



ALICE
MUNRO

DROGIE
ŻYCIE



ALICE
MUNRO

DROGIE ŻYCIE

PRZEŁOŻYŁA
AGNIESZKA KUC

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2013

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Dotrzeć do Japonii](#)

[Amundsen](#)

[Wyjechać z Maverley](#)

[Żwir](#)

[Domowe zacisze](#)

[Duma](#)

[Corrie](#)

[Pociąg](#)

[Nieopodal jeziora](#)

[Dolly](#)

[Finał](#)

[Oko](#)

[Noc](#)

[Głosy](#)

[Drogie życie](#)

[Przypisy](#)

Tytuł oryginału: DEAR LIFE

Opieka redakcyjna: PAWEŁ CIEMNIEWSKI

Redakcja: ANNA RUDNICKA

Korekta: ALEKSANDRA SZCZEPAN, MAŁGORZATA WÓJCIK

Projekt okładki i stron tytułowych: URSZULA GIREŃ

Skład i łamanie: Infomarket

Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Copyright © 2012 by Alice Munro

All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Agnieszka Kuc

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2013

ISBN 978-83-08-05168-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dotrzeć do Japonii

Kiedy Peter wniósł jej walizkę do pociągu, widać było, że chciałby jak najszybciej wysiąść. Wysiąść, ale nie odejść. Wyjaśnił jej, że trochę się denerwuje, bo przecież pociąg może w każdej chwili ruszyć. Stał potem na peronie, wpatrywał się w ich okno, uśmiechał się i machał na pożegnanie. Uśmiech, który posyłał Katy, był szeroki, promienny, bez śladu zwątpienia w świat, jak gdyby wierzył, że córeczka wiecznie będzie dla niego cudem, a on dla niej. Uśmiech skierowany do żony wydawał się ufny, pełen nadziei i determinacji. Wyrażał wiarę w coś, co nie jest łatwo ująć w słowa i przeświadczenie, że w ich przypadku pewne rzeczy nie mogą się zdarzyć. Gdyby Greta wspomniała o takiej możliwości, powiedziała by do niej: „Nie bądź śmieszna”. A ona przyznałaby mu rację, uważając, że byłoby co najmniej dziwne, gdyby ludzie, którzy widywali się codziennie, musieli składać sobie jeszcze jakiegokolwiek deklaracje.

Kiedy Peter był niemowlęciem, jego matka przeniosła go przez jakieś góry (których nazwę Greta ciągle zapomina), pragnąc przedostać się z komunistycznej Czechosłowacji do Europy Zachodniej. Nie była sama, towarzyszyli jej inni ludzie. Ojciec Petera też zamierzał z nimi iść, lecz został wysłany do sanatorium tuż przed tym, jak ustalono datę nielegalnej przeprawy. Miał się przyłączyć, gdy tylko odzyska siły, ale zamiast tego umarł.

„Czytałam takie historie”, oznajmiła Greta, kiedy Peter pierwszy raz jej o tym mówił. Wyjaśniła, że – gdyby to było opowiadanie, niemowlę z całą pewnością zaczęłoby płakać i musieliby je czymś nakryć albo udusić, żeby jego krzyk nie naraził na niebezpieczeństwo całej grupy nielegalnych imigrantów.

Peter stwierdził, że nigdy nie słyszał o takim przypadku i nie umiałby powiedzieć, jak jego matka zachowałaby się w podobnych okolicznościach.

W każdym bądź razie udało jej się dotrzeć do Kolumbii Brytyjskiej, gdzie udoskonaliła swój angielski i znalazła pracę jako nauczycielka. Przedmiot nosił nazwę podstawy biznesu i był przeznaczony dla uczniów szkół średnich. Matka samodzielnie wychowała Petera i posłała go do college’u. Chłopak skończył studia i został inżynierem. Gdy odwiedzała ich najpierw w mieszkaniu, a potem przychodziła do ich domu, zawsze siadała w salonie i nigdy nie zaglądała do kuchni, chyba że Greta ją tam zaprosiła. Taki miała zwyczaj. Aż do przesady, trzymała się reguły niezauważania niedociągnięć. Starła się nie wtrącać, niczego nie sugerować, chociaż pod każdym względem, jeśli chodzi o umiejętność, o sztukę prowadzenia domu, zostawiała swoją synową daleko w polu.

Zrezygnowała z mieszkania, w którym Peter się wychował, i przeprowadziła do mniejszego, gdzie nie było odrębnej sypialni, tylko jeden pokój z rozkładaną kanapą. „A więc Peter nie może teraz odwiedzać swojej matki?”, żartowała Greta, ale teściowej wcale nie było do śmiechu. Takie żarty sprawiały jej ból. Mogła to być kwestia bariery językowej. Ale angielski stał się teraz dla niej językiem podstawowym, którym posługiwała się na co dzień, i tak naprawdę jedynym językiem, jaki Peter znał. On również nauczył się podstaw biznesu, chociaż nie od swojej matki – natomiast Greta studiowała literaturę i *Raj utracony*^[1]. Żona Petera unikała jak zarazy wszystkiego, co pachniało pragmatyzmem. Wygląda na to, że on robił dokładnie odwrotnie.

Rozdzieleni okienną szybą, z Katy wymuszającą nieustanne machanie, wymieniali między sobą już

tylko spojrzenia, wyrażające wzajemną serdeczność. Z uśmiechami przyklejonymi do twarzy wyglądali dość komicznie, jakby byli na granicy obłąkania. Ona myślała o tym, jak bardzo Peter jest przystojny, i w dodatku chyba wcale tego nieświadomy. Włosy miał obcięte krótko na jeża, jakie się wtedy nosiło – jeśli się było inżynierem. Jego jasna skóra nigdy nie była zaczerwieniona, tak jak jej, a pod wpływem słońca pokrywała się równomierną opalenizną, bez względu na porę roku.

Jego opinie w pewnym sensie były tak samo jednolite jak jego skóra – przemyślane i wyważone. Kiedy chodzili do kina, nigdy nie chciał potem rozmawiać o obejrzanym filmie. Zwykle ograniczał się do ogólnego stwierdzenia, że był dobry, dość dobry albo okej. Nie widział żadnego sensu w rozwijaniu dyskusji na ten temat. Oglądał telewizję, czytał książki – w podobny sposób. Zachowywał dystans. Uważał, że ludzie, którzy stworzyli te rzeczy, prawdopodobnie starali się wywiązać ze swego zadania najlepiej jak potrafili. Greta zazwyczaj natychmiast kwestionowała takie podejście, pytając, czy tak samo wypowiedziałby się na temat mostu. Budowniczości, którzy go wznosili, starali się wywiązać ze swego zadania jak najlepiej, ale to, co osiągnęli, nie było dobre, więc most się zawalił.

Zamiast się z nią kłócić, Peter wybuchał śmiechem.

„To nie to samo – mówił. – Nie? – Nie”.

Greta powinna dawno zrozumieć, że to jego nastawienie – dystans i tolerancja – było dla niej, jako artystki słowa, prawdziwym błogosławieństwem, zwłaszcza że treści pojawiające się w jej poezji wcale nie były pogodne ani łatwe do objaśnienia.

(Matka Petera i jego koledzy z pracy – ci, którzy słyszeli o jej zamiłowaniu – nadal mówili o niej: „poetka”. Peterowi wytłumaczyła, żeby tej formy nie używał, bo jest przestarzała i nieadekwatna. Wolą, gdy określano ją mianem poety. Pozostałym osobom nawet nie próbowała tego wyjaśniać. Krewnych, których na pewnym etapie życia zostawiła za sobą, a także ludzi, których znała teraz, gdy występowała głównie w roli niepracującej żony oraz matki, nie było sensu pouczać, bo tego rodzaju niuanse językowe i tak nic im nie mówiły).

Patrząc na swoje życie z perspektywy czasu, Greta miałaby problem z wyjaśnieniem, co w tamtym okresie było dobre, a co nie. Można by rzec, że feminizm nie wyszedł jej na dobre. Ale wówczas należałoby dodać, że w tamtych latach prawie nikt tego terminu nie używał. W dodatku nikt nie chciał teraz uwierzyć, że posiadanie wyrazistych poglądów, nie wspominając już o ambicjach, czy choćby czytanie poważnych książek – z miejsca czyniło z kobiety osobę podejrzaną, niedopełniającą rodzicielskich obowiązków, co mogło skończyć się tym, że dziecko dostałoby, na przykład, zapalenia płuc. Również uwaga o charakterze politycznym rzucona przez nią mimochodem podczas przyjęcia służbowego, mogła kosztować jej męża awans. I to niezależnie od opcji politycznej. Wystarczył sam fakt, że k o b i e t a miała czelność wypowiedzieć się na taki temat.

Ludzie, słysząc teraz jej gorzkie uwagi, śmialiby się i mówili: „Och, z pewnością przesadzasz”, a wtedy ona musiałaby odpowiedzieć: „Może, ale nie do końca”. A potem dodałaby jeszcze, że gdy uprawiało się poezję, bezpieczniej było, mimo wszystko, przyznać się do tego kobiecie niż mężczyźnie. I tylko w tym jednym wypadku słowo „poetka” nie budziło w niej oporu, okazywało się przydatne i miękkie jak wata cukrowa. Peter mógł widzieć to inaczej, kontynuowałyby, ale musicie pamiętać, że on urodził się w Europie. Z pewnością jednak orientował się, jak na kwestie parania się literaturą zapatrywali się mężczyźni, z którymi pracował.

Tamtego lata Peter miał spędzić miesiąc albo dłużej, dozorując prace, które prowadzono w kanadyjskim Lund, najbardziej wysuniętym na północ miejscu na stałym lądzie, do którego można

było dotrzeć. Nie zapewniono jednak zakwaterowania żonie i córce.

Ale Greta utrzymywała kontakt z koleżanką, z którą dawniej pracowała w bibliotece w Vancouver. Przyjaciółka była już wtedy mężatką i mieszkała w Toronto. Tamtego lata ona i jej mąż planowali spędzić miesiąc w Europie – on był nauczycielem – i napisała do Greta, czy ona i jej rodzina nie zechcieliby wyświadczyć im przysługi – była bardzo uprzejma – i nie zamieszkaliby w tym czasie u nich w Toronto, żeby dom nie stał pusty. Greta odpisała, że wprawdzie Peter wyjeżdża do pracy na północ, ale ona i Katy z chęcią przyjmą jej propozycję.

Oto dlaczego byli teraz na dworcu i bez końca sobie machali – z pociągu i z peronu.

W tamtym okresie w Toronto ukazywał się, dosyć nieregularnie, magazyn zatytułowany „Odpowiedzi Echa”. Greta odkryła go w bibliotece i wysłała do redakcji kilka swoich wierszy. Dwa utwory zostały opublikowane i gdy ubiegłej jesieni redaktor pisma przyjechał do Vancouver, Greta, wraz z innymi ludźmi pióra, została zaproszona na przyjęcie, na którym miała się z nim spotkać. Przyjęcie to odbywało się w domu pisarza, którego nazwisko знаła, jak się jej zdawało, całe życie. Impreza została zaplanowana na późne popołudnie, kiedy Peter był jeszcze w pracy, dlatego Greta wynajęła opiekunkę dla Katy i pojechała autobusem linii Północny Vancouver przez most wiszący Lions Gate i park Stanleya. Potem czekała przed domem towarowym sieci Hudson’s Bay na następny autobus, by pokonać ostatni długi odcinek trasy i dotrzeć na kampus uniwersytecki, bo tam właśnie mieszkał ów pisarz. Wsiadła na pętli i odszukała właściwą ulicę, a w trakcie marszu sprawdzała numery mijanych po drodze domów. Wysokie obcasy utrudniały każdy krok i sprawiały, że szła dosyć wolno. Również jej najelegantsza czarna sukienka – zapinana z tyłu na zamek, dopasowana w talii i oczywiście nieco zbyt opięta na biodrach – krępowała jej ruchy. Greta pomyślała, że wygląda trochę śmiesznie, gdy tak idzie gasnącym popołudniem, lekko się potykając, krętymi, pozbawionymi chodników uliczkami, a wokół nie widać żywego ducha. Nowoczesne domy, okna panoramiczne, tak jak na każdym innym przedmieściu cieszącym się renomą – zupełnie się tego nie spodziewała. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie pomyliła ulicy, i nawet niezbyt ją to zmartwiło. Najwyżej wróci na przystanek, gdzie jest ławka. Zdejmie buty, odpocznie, a potem odbędzie długą i samotną podróż powrotną do domu.

Ale gdy zobaczyła zaparkowane samochody, a potem numer budynku, którego szukała, było już za późno, żeby odwrócić się na pięcie i odejść. Zza zamkniętych drzwi przenikał hałas, więc musiała po raz drugi nacisnąć dzwonek.

Przywitała ją kobieta, która najwyraźniej spodziewała się ujrzeć kogoś całkiem innego. „Przywitała” to nie jest właściwe słowo – otworzyła drzwi i Greta zagadnęła ją, czy to tutaj odbywa się przyjęcie.

– A nie widać? – odparła gospodyni, opierając się o futrynę. Zagradzała przejście, aż w końcu ona – Greta – poprosiła:

– Mogę wejść?

Wtedy nieznajoma wykonała taki ruch, jakby nagle przeszył ją ból. Nie wprowadziła gościa, ale Greta i tak poszła za nią.

Nikt się do niej nie odezwał ani nie zwrócił na nią uwagi, ale już po chwili jakaś nastolatka podsunęła jej tacę, na której stały szklanki wypełnione czymś, co wyglądało jak różowa lemoniada. Greta wzięła jedną i duszkiem wychyliła zawartość, bo chciało jej się pić. Potem sięgnęła po następną. Podziękowała młodej kelnerce i próbowała z nią chwilę porozmawiać o długiej i męczącej z powodu upału drodze na przyjęcie. Dziewczyna nie była jednak zainteresowana i wróciła do

swoich zajęć.

Greta przeszła nieco dalej w głąb pomieszczenia. Wciąż rozsyłała uśmiechy. Nikt jej nie poznawał ani nie spoglądał na nią z sympatią, ale właściwie dlaczego ktokolwiek miałby to robić? Ludzie tylko omiatali ją wzrokiem i zaraz potem wracali do swoich rozmów. Śmiali się. Wszyscy z wyjątkiem Greta mieli tam swoich znajomych, wymieniali się żartami i na wpół poufnymi informacjami. Każdy wydawał się być przez kogoś oczekiwany i serdecznie witany. Wyjątek stanowiły nastolatki, które z ponurym wyrazem twarzy wciąż krążyły wśród gości, roznosząc różowe drinki.

Greta jednak się nie poddawała. Wypity alkohol działał odprężająco, poczuła się pewniej i postanowiła, że pozwoli sobie na jeszcze jedną szklaneczkę, gdy tylko w pobliżu pojawi się taca z drinkami. Obserwowała grupkę osób, złożoną głównie z kobiet, do której ewentualnie mogłaby się przyłączyć. Wydawało jej się, że w końcu trafiła na właściwe towarzystwo. Usłyszała, że rozmawiają o filmach. Filmach europejskich, które właśnie zaczynało wtedy wyświetlać w Vancouver. Wychwyciła tytuł jednego z nich, na którym była razem z Peterem: *Czterysta batów*^[2].

– Och, widziałam ten film – powiedziała głośno, z nieskrywanym entuzjazmem, a wtedy stojące tam osoby spojrzały na nią i jedna z nich, bezsprzecznie wyrażająca opinię ogółu, rzuciła cynicznie:

– N a p r a w d ę?

Greta była oczywiście pijana. Pimm's No. 1 zmieszany z sokiem grejpfrutowym, wypity jednym haustem. Nie wzięła sobie do serca zgryźliwego komentarza, chociaż w normalnych okolicznościach zareagowałaby na taki afront całkiem inaczej. Poddała się po prostu biegowi zdarzeń. Czuła się wprawdzie trochę zagubiona, ale odnosiła wrażenie, że na przyjęciu panuje swobodna atmosfera, dlatego nie przejęła się zbytnio tym, że z nikim nie potrafi nawiązać bliższego kontaktu; wystarczało jej, iż może sobie chodzić wśród zgromadzonych osób i wygłaszać własne sądy.

W pobliżu zwieńczonego łukiem wejścia do pokoju stała kolejna grupa. Ci byli naprawdę ważni. Wypatrzyła wśród nich gospodarza – tego autora, którego nazwisko i twarz znała od dawien dawna. Toczyła się głośna i zażarta dyskusja. Zarówno pisarz, jak i jego rozmówcy roztaczali wokół siebie aurę niebezpieczeństwa. Grecie wydawało się, że jeśli tylko na nią spojrzą, natychmiast rzucą pod jej adresem jakąś kąśliwą uwagę. Przyszło jej na myśl, że poprzednie grono, do którego przed chwilą próbowała dołączyć, to pewnie ich żony.

Kobieta, która otworzyła jej drzwi, nie należała do żadnej z grup, bo sama była pisarką. Greta widziała, jak się odwróciła, gdy ktoś wymienił jej nazwisko i zawołał do niej po imieniu. Była jedną z autorek publikujących w tym samym magazynie, gdzie zamieszczono także wiersze Greta. Czy to nie stanowiło dobrego pretekstu do tego, żeby podejść i przedstawić się? Spotkać się jak równy z równym, pomimo chłodnego przyjęcia przy drzwiach?

Ale kobieta właśnie złożyła głowę na ramieniu mężczyzny, który chwilę wcześniej ją zawołał, i Grecie przyszło na myśl, że pewnie żadne z nich nie chciałoby, żeby im teraz przeszkadzać.

Dlatego zdecydowała się usiąść, a ponieważ nie było w pobliżu krzeseł, siadła na podłodze. Zaczęła się zastanawiać. Przypomniała sobie, że kiedy poszła z Peterem na przyjęcie organizowane przez inżynierów, atmosfera była bardzo przyjemna, chociaż same rozmowy dosyć sztampowe i nudnawe. Wynikało to z faktu, że tam wszyscy mieli wyraźnie ustaloną pozycję. Tutaj zaś nikt nie czuł się bezpieczny. Nie oszczędzano nawet osób znanych i z dorobkiem. Bez względu na to, kim się było, mogli okrzyknąć cię geniuszem albo strącić z piedestału.

Greta wciąż pragnęła, żeby ktoś z nią porozmawiał.

Kiedy jednak wyjaśniła sobie, dlaczego atmosfera na tym przyjęciu jest taka nieprzyjemna i niezycziwa, odetchnęła i przestała się martwić tym, czy ktoś zwraca na nią uwagę, czy nie. Zdjęła

pantofle, a wtedy ulga była jeszcze większa. Oparła się plecami o ścianę, wyciągnęła nogi i tym samym zablokowała przejście. Nie chciała ryzykować, że rozleje zawartość kieliszka i poplamy dywan, więc wypła drinka w pośpiechu.

Po chwili zbliżył się do niej jakiś mężczyzna.

– Jak pani tutaj trafiła?

Zrobiło jej się go żal, bo miał taki ciężki, zmęczony chód. Współczuła każdemu, kto musiał na przyjęciu stać.

Wyjaśniła, że została zaproszona.

– No tak, ale czy przyjechała pani własnym samochodem?

– Przyszłam pieszo. – Ale to nie było wszystko i po chwili sprostowała: – Przyjechałam autobusem, a potem szłam pieszo.

Za plecami mężczyzny o ciężkim chodzie stanął drugi, z kręgu tych bardzo ważnych.

– Świetny pomysł – powiedział i wyglądało na to, że ma ochotę z nią porozmawiać.

Pierwszy z mężczyzn nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Odszukał buty Grety, ale ona nie chciała ich włożyć, twierdząc, że zbyt ją uwierają.

– W takim razie proszę je nieść. Albo lepiej ja je poniosę. Może pani wstać?

Greta rozejrzała się za tym ważniejszym, z nadzieją, że pomoże jej się podnieść, ale jego już nie było. Teraz sobie przypomniała, co napisał. Sztukę o duchoborcach^[3], która wywołała wielką awanturę, ponieważ grający w niej aktorzy mieli pojawiać się na scenie nago. Nie zezwolono im na występowanie bez ubrań.

Greta chciała opowiedzieć tę historię mężczyźnie, który pomógł jej wstać, ale on ewidentnie nie był zainteresowany. Zapytała go, co napisał. Odparł, że nie jest pisarzem, lecz dziennikarzem. Przyjechał tu z wizytą, wraz z synem i córką, wnukami gospodarza. To właśnie one – jego dzieci – roznosiły napoje.

– Zabójcza mieszanka – wyraził swoją opinię o drinkach. – Jak można podawać coś takiego. Żenujące, naprawdę.

Wyszli na zewnątrz. Szła po trawie w samych pończochach, z trudem omijając kałuże.

– Ktoś tu zwymiotował – powiedziała do swojego towarzysza.

– Faktycznie – odparł i pomógł jej usadowić się w samochodzie. Świeże powietrze ocuciło ją i nastrój chwiejnego, radosnego uniesienia ustąpił miejsca zażenowaniu, a nawet wstydomi.

– Północny Vancouver – powiedział mężczyzna. Musiała mu to już wcześniej powiedzieć. – Zgadza się? No to jedziemy. Najpierw na most – Lions Gate.

Miała nadzieję, że nie zapyta jej, jak się znalazła na przyjęciu. Gdyby musiała przyznać się do zainteresowania literaturą i pisania wierszy, jej obecny stan, spowodowany alkoholem, w przygnębiający sposób wpisałby się w stereotyp. Wprawdzie na dworze nie zapadł jeszcze zmrok, ale było już szaro. Wyglądało na to, że jadą we właściwym kierunku, najpierw wzdłuż jakiejś wody, potem przez most Burrard. Później ruch się nasilił. Greta otwierała oczy i widziała uciekające za szybą drzewa, a potem znowu przymykała ciężące jej powieki, chociaż wcale nie zamierzała tego robić. Kiedy samochód się zatrzymał, wiedziała, że nie mogli dotrzeć jeszcze do domu, bo upłynęło zbyt mało czasu. To znaczy nie mogli dotrzeć do jej domu.

Nad nimi wielkie liściaste drzewa. Nie widać przez nie żadnych gwiazd. Tylko delikatny błysk wody pomiędzy miejscem, w którym się właśnie znajdowali, a światłami miasta.

– Niech pani chwilę posiedzi i wszystko rozważy – powiedział.

To ostatnie słowo szczególnie przypadło jej do gustu.

– Rozważy – powtórzyła.

– No, na przykład, jak ma pani zamiar wejść do domu. Zachowywać się wyniośle i z godnością? Radziłbym z tym nie przesadzać. Nonszalancko? Ma pani przecież męża, jak sędzę.

– Po pierwsze, będę musiała panu podziękować za odwiezienie mnie do domu – powiedziała. – Dlatego bardzo proszę mi powiedzieć, jak pan się nazywa.

Mężczyzna odparł, że przedstawił się już wcześniej. Chyba dwukrotnie. Ale nie ma sprawy, może zrobić to jeszcze raz. Nazywa się Harris Bennet. Bennet. Jest zięciem tych ludzi, u których odbywało się przyjęcie. Jego dzieci podawały gościom drinki. Przyjechał w odwiedziny z Toronto.

– Jest pani zadowolona?

– A co z ich matką? Pana żoną?

– Mają matkę, proszę się nie martwić. Tyle że akurat jest w szpitalu.

– Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. To bardzo ładny szpital. Dla osób z zaburzeniami umysłowymi. Albo może należałoby raczej powiedzieć – emocjonalnymi.

Słyszając to, Greta pospieszyła z wyjaśnieniem, że jej mąż ma na imię Peter, jest inżynierem, i że mają córkę Katy.

– No cóż, miło mi to słyszeć – powiedział i zaczął cofać.

– A więc kierujemy się na most Lions Gate – upewnił się. – Przepraszam za to, co powiedziałem, i że zabrzmiało to tak, jak zabrzmiało. Zastanawiałem się przez chwilę, czy mam panią pocałować, czy nie, i zdecydowałem, że nie.

Pomyślała, że chciał jej uzmysłwić, iż ma w sobie coś, co każe mężczyznom rezygnować z całowania jej. Wstyd i upokorzenie podziały jak policzek, pomogły otrzeźwieć i się wyciszyć.

– A jak już przejedziemy przez ten most, zjeżdżamy na prawo w Marine Drive, tak? – ustalał dalsze szczegóły. – Polegam na pani wskazówkach.

W ciągu następnej jesieni, zimy i wiosny nie było dnia, żeby o nim nie myślała. Gdy zasypiała, wciąż śniła ten sam sen. Albo składała głowę na oparciu sofa i wyobrażała sobie, że leży w jego ramionach. Trudno byłoby oczekiwać, iż będzie pamiętała jego twarz, ale tak właśnie było – pamiętała ją bardzo drobiazgowo. Przed oczami stawało jej zmięte i dość zmęczone oblicze introwertyka o lekko ironicznym podejściu do życia. Przywoływała w myślach nie tylko jego twarz, ale i ciało, ktoś zaznaczył już upływ czasu, jednak wciąż było sprawne i budziło gwałtowne pożądanie.

Czasami z tęsknoty nieomal płakała. Jednak wszystkie te fantazje znikwały, zapadały w stan hibernacji, gdy Peter wracał do domu. Górę brały wtedy zwykłe uczucia, jakie towarzyszyły im każdego dnia – wierne i dające stabilność, jak zawsze.

Sen, który wciąż ją nawiedzał, był jak pogoda w Vancouver – wywoływał wrażenie przygnębiającej tęsknoty, deszczowego melancholijnego rozmarzenia i ciężkiego serca.

A co z pocałunkiem, a właściwie z rezygnacją z niego, którą odebrała wówczas jako policzek i afront?

Po prostu wymazała ten epizod z pamięci. Zupełnie o nim zapomniała.

Jakie znalazło to odbicie w jej poezji? Nie poświęciła temu ani jednej linijki, jednego słowa. Żadnego śladu, że kiedykolwiek ją to obeszło.

Oczywiście Greta dawała upust swoim fantazjom głównie wtedy, gdy Katy uciniała sobie drzemkę. Czasami wymawiała wówczas jego imię, co graniczyło z szaleństwem. Potem odczuwała z tego powodu palący wstyd, wręcz sobą gardziła. Kompletnie wariactwo, nie ma co. Zachowywała się jak idiotka.

Aż któregoś dnia coś drgnęło. Najpierw pojawiła się perspektywa, a potem pewność, że Peter wyjedzie do Lund. A dla niej propozycja zamieszkania w Toronto. Niespodziewane przejaśnienie, przyływ odwagi.

Nagle zorientowała się, że pisze list. Nie zaczynał się w żaden konwencjonalny sposób. Nic w stylu: „Drogi Harrisie”. Żadnego: „Pamiętaj o mnie”.

Pisanie listu jest jak wkładanie wiadomości do butelki...

Z nadzieją, że

Dotrze do Japonii.

Kiedyś tak będzie tworzyło się wiersze.

Nie знаła jego adresu. Była na tyle zuchwała i niemądra, że zadzwoniła do ludzi, którzy zorganizowali wówczas przyjęcie. Kiedy jednak gospodyni odebrała telefon, Grecie zupełnie zaschło w ustach, a gardło zrobiło się przepastne jak tundra, tak że nie mogła wydobyć słowa i musiała odłożyć słuchawkę.

Zabrała ze sobą Katy i pojechała do biblioteki publicznej, gdzie znalazła książkę telefoniczną Toronto. Było tam wielu Bennetów, ale ani jednego Harrisa czy chociażby H. Benneta.

Wtedy przyszedł jej do głowy szokujący pomysł, postanowiła przejrzeć nekrologi. Nie mogła się powstrzymać. Czekala, aż mężczyzna czytający gazetę wypożyczoną z biblioteki skończy lekturę. Zwykle nie miała do czynienia z torontowską prasą. Żeby ją kupić, trzeba było przejść przez most, a Peter zawsze przynosił do domu „Vancouver Sun”. Szeleszcząc kartkami, znalazła w końcu nazwisko Harrisa na górze jednej z kolumn. A więc nie umarł. Był komentatorem. Pewnie nie życzyłby sobie, żeby obcy ludzie zwracali się do niego po imieniu i wydzwaniali do jego domu.

Pisywał o polityce. Zręcznie i inteligentnie, ale ten aspekt jego osoby niespecjalnie ją interesował.

Postanowiła, że wyśle do niego list na adres gazety. Nie miała pewności, czy sam otwierał swoją korespondencję, a napis „Do rąk własnych” wręcz prowokował, żeby otworzyć kopertę, dlatego podała w nim tylko datę przyjazdu i godzinę przybycia pociągu – zaraz po tym fragmencie, w którym pisała o butelce. Żadnego imienia czy nazwiska. Wpadła na pomysł, że bez względu na to, kto przeczyta list, pomyśli, że pewnie to jakiś starszy krewny posłużył się tak dziwną formą. Nic, co mogłoby sugerować, że Harris Bennet jest w coś uwikłany, nawet jeśliby jakimś cudem ów list został odesłany do jego domu i kopertę otworzyła żona, która wyszła już pewnie ze szpitala.

Do Katy najwyraźniej nie docierało, że skoro Peter stoi na peronie, to oznacza, że nie jedzie razem z nimi. Kiedy pociąg ruszył, a potem nabrał prędkości, zostawiając go daleko z tyłu, dziewczynka poczuła się porzucona i bardzo ciężko to przyjęła. Ale już po chwili nieco się uspokoiła i zapewniała Gretę, że tata na pewno do nich dołączy następnego ranka.

Gdy wstały nazajutrz, Greta była pełna obaw co do reakcji Katy, ale córeczka w ogóle nie wspomniała o ojcu i nie domagała się wyjaśnień, dlaczego się do tej pory nie pojawił. Matka zapytała ją, czy nie jest głodna, na co mała odparła twierdząco, a potem tłumaczyła – tak jak wcześniej matka tłumaczyła jej, zanim jeszcze wsiadły do pociągu – że będą musiały teraz zdjąć piżamki, przebrać się i przejść do innego pomieszczenia na śniadanie.

– Co chcesz na śniadanko?

– Chrupiące kuleczki. – Co oznaczało płatki Rice Krispies.

– Zobaczymy, czy je mają.

Mieli.

– To pójdziemy teraz poszukać tatusia?

W pociągu wydzielono miejsce do zabawy dla dzieci, które było jednak bardzo małe. Kącik przejęli chłopiec i dziewczynka – brat i siostra, wnioskując na podstawie niemal identycznych kostiumów króliczków, które mieli na sobie. Bawili się w ten sposób, że prowadzili na wprost siebie autka i w ostatniej chwili gwałtownie skręcali, próbując uniknąć zderzenia. TRACH, BACH, ŁUP.

– To jest Katy – powiedziała Greta. – Jestem jej mamą. Jak macie na imię?

Samochodziki zaczęły się zderzać jeszcze gwałtowniej, ale żadne z dzieci nie podniosło głowy.

– Tu nie ma taty – stwierdziła Katy.

Greta zdecydowała, że lepiej będzie wrócić do przedziału po tom wierszy dla dzieci *Kiedy byliśmy bardzo młodzi*^[4] i pójść poczytać Katy do wagonu panoramicznego. Nie powinny tam nikomu przeszkadzać, bo trwało jeszcze śniadanie, a najładniejsze widoki górskie były dopiero przed nimi.

Trudność polegała na tym, że gdy tylko kończyły książeczkę, Katy natychmiast chciała, żeby matka czytała ją od początku. W czasie pierwszej lektury siedziała cichutko, ale teraz zaczęła dopowiadać końcówki zdań. Po jakimś czasie recytowała wierszyki równocześnie z tekstem, który słyszała, chociaż nadal nie była gotowa, żeby mówić je zupełnie samodzielnie. Grecie przeszło przez myśl, że gdy wagon wypełni się ludźmi, będzie to dość męczące dla innych pasażerów. Dzieciom w wieku Katy zupełnie nie przeszkadzał brak urozmaicenia przy lekturze. Tak naprawdę uwielbiały to – były całkowicie zaabsorbowane znajomymi słowami, które napływały do ich uszu, z prawdziwą rozkoszą je powtarzały i obracały nimi w kółko, jakby to był ulubiony cukierek z upodobaniem trzymany na języku.

Jakiś chłopak i dziewczyna weszli po schodach na górę i usiedli w pobliżu Greta i Katy, po drugiej stronie przejścia. Powiedzieli głośno „dzień dobry”. Greta również się z nimi przywitała. Katy wolała udawać, że ich nie widzi, i dalej powtarzała sobie pod nosem wierszyki, ze wzrokiem wbitym w książeczkę.

Od strony foteli, gdzie usiedli, dobiegł je głos chłopaka, równie cichy jak głosik Katy:

– „Zmieniają warty przed Buckingham Palace,

Christopher Robin poszedł tam z Alice”.

Skończył mówić jeden wiersz i od razu zaczął kolejny:

– „Jestem Sam i tak-już-mam, że nie cierpię zielonej szynki i zielonych jaj, już-tak-mam, bo jestem Sam”^[5].

Greta roześmiała się, ale nie Katy, i zauważyła, że mała była odrobinę zgorszona tym występem. Akceptowała w pełni różne śmieszne i absurdalne niekiedy słowa i zwroty, pod warunkiem, że

pochodziły z książeczki, ale nie padały z czyichś ust.

– Przepraszam – powiedział do Greta chłopak. – Jesteśmy przedszkolakami i takie właśnie rzeczy czytamy. – Wychylił się w stronę Katy i zupełnie poważnym, choć łagodnym głosem powiedział: – Ładna książeczka, prawda?

– On chciał powiedzieć, że pracujemy z przedszkolakami – wyjaśniła Grecie dziewczyna. – Czasami trochę nam się to myli.

Chłopak nadal mówił do Katy:

– To spróbuję zgadnąć, jak masz na imię. Może Rufus? Albo Rover?

Katy zagryzła wargi, ale nie mogła się powstrzymać od poważnej odpowiedzi.

– Nie jestem psem – oznajmiła.

– Oczywiście, że nie. Nie wiem, dlaczego byłem aż tak głupi. Ja jestem chłopakiem i mam na imię Greg. A ta dziewczyna nazywa się Laurie.

– On się z tobą przekomarzał – powiedziała Laurie. – Mam go za to trzepnąć?

Katy zastanowiła się, a potem powiedziała:

– Nie.

– „Alice poślubi jednego z żołnierzy – kontynuował Greg. – Trudno straż pełnić, możesz mi wierzyć, mówi Alice”.

Gdy w tekście po raz drugi była mowa o Alice, Katy przyłączyła się do Grega.

Laurie powiedziała Grecie, że oboje z Gregiem chodzili do przedszkoli i przedstawiali tam różne śmieszne scenki. Zajmowali się czymś, co fachowo nazywa się wprowadzeniem do nauki czytania. Byli aktorami. Ona planowała wysiaść w Jasper, gdzie dostała na lato pracę kelnerki, co wiązało się również z odgrywaniem różnych zabawnych skeczy, które jednak raczej trudno byłoby określić mianem wprowadzenia do nauki czytania. Bardziej rozrywka dla dorosłych, tym razem.

– O Jezu! – wyrwało się Grecie.

Dziewczyna roześmiała się.

– Na bezrybiu i rak ryba.

Greg miał wolne i chciał zatrzymać się w Saskatoon, gdzie mieszkała jego rodzina.

Oboje są bardzo ładni, pomyślała Greta. Wysocy, gibcy, niewiarygodnie szczupli, on z ciemnymi kędziorami, ona podobna do Madonny, z gładko zaczesanymi czarnymi włosami. Kiedy nieco później zauważyła na głos, że są bardzo do siebie podobni, odparli, iż czasami wykorzystywali ten fakt przy wynajmie mieszkania, co niezmiernie ułatwiało im życie. Musieli tylko pamiętać o tym, żeby prosić o dwa osobne łóżka i dopilnować, by na obu pościel była rano zmięta.

Teraz – powiedzieli jej – nie muszą się już takimi rzeczami przejmować. Nie, nic gorszego. Po prostu się rozstają, po trzech latach wspólnego życia. Od miesiący prowadzą się bardzo cnotliwie, przynajmniej wtedy, gdy przebywają ze sobą.

– No, damy już sobie spokój z pałacem Buckingham – powiedział Greg do Katy. – Muszę teraz trochę poćwiczyć.

Greta myślała, iż Greg zejdzie na dół albo będzie się gimnastykował w przejściu. Przypuszczała, że chodzi o jakiś trening siłowy lub coś w tym rodzaju. Zobaczyła jednak, że oboje odrzucili głowy do tyłu, wyciągnęli szyje, zaczęli jodłować, krakać i powtarzać jakieś muzyczne frazy. Katy była tym zachwycona i uważała, że to przedstawienie adresowane jest do niej. Zachowywała się jak na publiczność przystało – siedziała do końca w milczeniu, a potem wybuchnęła śmiechem.

Pasażerowie, którzy planowali wejść na górę, zatrzymali się u dołu schodów, bo byli trochę mniej

oczarowani występem pary niż Katy i nie bardzo rozumieli, co tam się właściwie dzieje.

– Przepraszam – powiedział uprzejmie Greg, nie próbując nawet niczego tłumaczyć, i wyciągnął rękę do Katy.

– Chodźmy sprawdzić, czy jest tutaj jakiś kącik zabaw.

Laurie i Greta poszły za nimi. Greta miała nadzieję, że Greg nie zaliczał się do tych dorosłych, którzy prędko zaprzyjaźniają się z dziećmi głównie po to, by testować na malcach swój urok osobisty, i równie szybko się nudzą; stają się opryskliwi, gdy tylko dociera do nich, jak bardzo trwałe są uczucia i przywiązanie dzieci.

Przed lunchem albo jeszcze wcześniej Greta nabrała pewności, że niepotrzebnie się martwiła. Greg nie tylko nie był zmęczony jej córką, ale zaakceptował również to, że dołączyły do nich inne dzieci, i w ogóle nie okazywał znużenia.

Nie nakłaniał nikogo do rywalizacji. Potrafił skupić uwagę na sobie, a potem przenieść ją na pozostałych uczestników zabawy. Gry, które organizował, były bardzo ożywione, nawet rozhukane, ale nigdy nie prowadziły do konfliktów. Napady złości w ogóle się nie zdarzały. Nikt nie psuł innym zabawy, bo po prostu szkoda było na to czasu – działo się tyle ciekawych rzeczy. Był to prawdziwy cud – niezwykła umiejętność okiełznania i skierowania energii na odpowiednie tory, i to w tak małym pomieszczeniu. W dodatku można było żywić nadzieję, że po takiej porcji świetnej zabawy dzieci bez protestów zapadną w popołudniową drzemkę.

– On jest niesamowity – powiedziała Greta do Laurie.

– Po prostu się angażuje – odparła dziewczyna. – Nie robi tego na pół gwizdka. Rozumie pani? Ale wielu aktorów tak postępuje. Zwłaszcza aktorów. Poza sceną, w normalnym życiu nie istnieją, są martwi.

Greta pomyślała: ja też tak robię. Żyję na pół gwizdka, przez większość czasu. Nie angażuję się w pełni, ani gdy jestem z Katy, ani wtedy gdy jestem z Peterem.

W dekadzie, która już się rozpoczęła, na co Greta nie zwróciła jednak specjalnej uwagi, takie kwestie zaczęto poddawać wnikliwej analizie. Istnienie zaczęło oznaczać coś innego, niż znaczyło kiedyś. Płynięcie z nurtem. Poddanie mu się. Niektórym przychodziło to łatwo, innym nie. Kiedyś pewne sprawy pozostawały ukryte, ale teraz wszelkie bariery między tym, co w głowie, i tym, co na zewnątrz, zostały zburzone. Ważniejsza stała się autentyczność. Takie rzeczy jak wiersze Grety, w których myśli i doznania nie płynęły w sposób niekontrolowany, były czymś podejrzanym, nawet wyszydzanym. Oczywiście Greta dalej robiła dokładnie to, co zawsze, wciąż była niezadowolona z efektów swej pracy, bez końca wszystko cyzelowała i próbowała dojść istoty rzeczy, a potajemnie była przeciwna panującej kontrkulturze. Teraz jednak, kiedy jej dziecko zupełnie poddało się Gregowi i temu, co robił, Greta była mu niezmiernie wdzięczna.

Po południu, tak jak się tego spodziewała, dzieci zasnęły. Podobnie zresztą jak niektóre matki. Inne grały w karty. Greg i Greta pomachali Laurie, kiedy wysiadła w Jasper. Posłała im całusy z peronu. Przyszedł po nią jakiś starszy mężczyzna, który wziął od niej walizkę, czule ucałował dziewczynę, a potem spojrzął w kierunku pociągu i pomachał Gregowi. Chłopak też mu pokiwał na do widzenia.

– To jej obecny kochaś – powiedział.

Gdy pociąg zwiększył prędkość, wymienili z Laurie ostatnie pożegnalne gesty, a potem Greg i Greta zabrali Katy z powrotem do przedziału, gdzie dziewczynka prędko zapadła w sen, układając się pomiędzy nimi. Zasnęła na samym środku łóżka. Odsunęli specjalną kotarę, dającą poczucie prywatności, żeby wpuścić więcej powietrza, teraz, gdy nie groziło już, że mała może wypaść.

– Odlatowo jest mieć dziecko – stwierdził Greg. To było kolejne nowe słowo, które zrobiło

kariere w tamtym czasie, w każdym razie na pewno nowe dla Greta.

– No cóż, zdarza się – powiedziała.

– Pani jest taka spokojna. Za chwilę doda pani jeszcze: „Jak to w życiu”.

– Na pewno tego pan nie usłyszy – odparła Greta i wytrzymała jego spojrzenie, aż w końcu Greg pokręcił głową i się roześmiał.

Powiedział jej, że religia, której był wyznawcą, wpłynęła na wybór jego zawodu. Jego rodzina należała do sekty chrześcijańskiej, o której Greta nigdy nie słyszała. Grupa ta nie była może zbyt liczna, ale za to bardzo bogata, a przynajmniej niektórzy jej członkowie. Wybudowali w mieście na prerii kościół, w którym funkcjonował również teatr. To właśnie tam Greg zaczął występować, zanim jeszcze skończył dziesięć lat. Inscenizowano przypowieści z Biblii, a także współczesne historie, opowiadające o różnych strasznych rzeczach, które spotkały ludzi za to, że nie potrafili żyć w zgodzie z wiarą. Rodzina Grega była bardzo z niego dumna, podobnie zresztą jak on sam. Nawet nie marzył, że w jego obecności bogaci konwertyci będą odnawiać swoje śluby i doznawać umocnienia na drodze do świętości. W każdym razie podobało mu się, gdy okazywali mu aprobatę i uznanie. Lubił grać.

Aż któregoś dnia przyszło mu do głowy, że mógłby zająć się aktorstwem już bez pośrednictwa kościoła. Próbował to załatwić grzecznie, ale oni uznali, że kieruje nim szatan. Zaśmiał się wówczas i odparł, że dobrze wie, kto kim kieruje. I się rozstali.

– Nie chcę, żeby pani myślała, że wszystko, co się wiązało z religią, było złe. Nadal wierzę w modlitwę i inne tego typu rzeczy. Ale nigdy nie mógłbym powiedzieć mojej rodzinie, co się wydarzyło. Nawet gdybym wyznał tylko część prawdy, mogłoby to ich zabić. Nie zna pani tego typu ludzi.

Wtedy opowiedziała mu, że gdy z Peterem przeprowadzili się do Vancouver, jej babcia, zamieszkała wtedy w Ontario, nawiązała kontakt z pewnym duchownym. Kiedy ten przyszedł do nich z wizytą, Greta potraktowała go lekceważąco. Pastor powiedział wówczas, że będzie się za nią modlił, a ona po prostu wypaliła, żeby nie robił sobie kłopotu. Były to ostatnie dni życia babci. Greta czuła się potem nieswojo za każdym razem, gdy wspominała to zdarzenie, a jednocześnie denerwowało ją zażenowanie, które tym wspomnieniom towarzyszyło.

Peter tego wszystkiego nie rozumiał. Jego matka nigdy nie chodziła do kościoła, chociaż jednym z powodów, dla którego zdecydowała się przenieść go przez góry, była nadzieja, że będą mogli potem zostać praktykującymi katolikami. Według Petera katolicy mieli tę przewagę, że nawet w momencie śmierci mogli dokonać właściwego wyboru i uratować swoją duszę.

Właściwie dopiero teraz, po dłuższej przerwie pomyślała o Peterze.

W czasie tej bolesnej, ale i w pewien sposób kojącej rozmowy ona i Greg zaczęli pić. Chłopak wyjął skądś butelkę greckiej anyżówki. Greta starała się nie nadużywać alkoholu i była dosyć ostrożna, zwłaszcza od czasu pamiętnej wyprawy na przyjęcie dla pisarzy, ale nawet ta mała ilość *ouzo* wywarła określony skutek. Wypili wystarczająco, żeby zacząć głaskać swoje dłonie, a potem przejść do pocałunków i pieszczot. Wszystko to odbywało się obok śpiącego dziecka.

– Lepiej przestańmy – powiedziała Greta. – Bo inaczej będziemy naprawdę żałośni.

– To nie my – oświadczył Greg. – To jakaś zupełnie inna para.

– Wobec tego każ im, żeby przestali. Wiesz, jak się nazywają?

– Zaraz, chwileczkę. Mam. Reg. Reg i Dorothy.

– Przestań, Reg – powiedziała Greta. – Co z moim niewinnym dzieckiem?

– Możemy przejść do mojego przedziału. To niedaleko.

– Ale ja nie mam...

– Ja mam.

– Chyba nie przy sobie?

– Jasne, że nie. Za kogo ty mnie uważasz?

Tak więc poprawili na sobie ubrania, te, które należało poprawić, i wymknęli się z przedziału. Dokładnie posprawdzali wszystkie klamry zabezpieczające kuszetkę, na której spała Katy i, z wyszukaną nonszalancją, przeszli z wagonu Grety do wagonu Grega. Było to całkiem niepotrzebne, bo i tak nie spotkali nikogo po drodze. Ludzie, którzy nie siedzieli w wagonie panoramicznym, zajęci fotografowaniem ciągnących się w nieskończoność łańcuchów górskich, okupowali miejsca w barze albo spali.

W zabałaganionym przedziale Grega podjęli to, co przerwali wcześniej.

Nie było tam dość miejsca, by dwójka ludzi mogła się wygodnie położyć, ale jakoś dali sobie radę. Początkowo nie potrafili powstrzymać się od tłumionego śmiechu, potem – gdy patrzyli sobie w oczy i gryźli nawzajem swoje usta, by nie wydawać dzikich krzyków – ogarnęła ich niesamowita euforia z powodu doznanej przyjemności.

– Było miło – powiedział Greg. – Nawet bardzo.

– Muszę wracać.

– Tak szybko?

– Katy mogła się już obudzić i przestraszyć, że mnie tam nie ma.

– Okej. Właściwie to ja też powinienem zacząć się zbierać, bo niedługo przecież Saskatoon. Co by to było, gdybyśmy tam dotarli, będąc akurat w trakcie? Dzień dobry, mamó. Dzień dobry, tato. Przepraszam, jeszcze tylko chwila i ja... już, już – hurra!

Greta doprowadziła się do ładu i wyszła. Właściwie niewiele ją obchodziło, kto ją teraz spotka. Była słaba, zszokowana, ale trzymała się dzielnie, niczym gladiator – uśmiechnęła się na tę myśl – po stoczeniu walki.

W każdym razie po drodze nie spotkała żywej duszy.

Dolne zatrzaski przytrzymujące zasłonę były odpięte, chociaż Greta była absolutnie pewna, że je zapinała. Ale nawet bez tego zabezpieczenia Katy raczej nie udałoby się wyjść i z pewnością nawet nie podejmowała takiej próby. Któregoś razu, gdy Greta musiała skorzystać z toalety, nakazała córce, by nigdy się nie odważyła za nią iść, i wtedy Katy odparła zniecierpliwiona: „Przecież bym nie poszła, mamó”, jakby chciała dać do zrozumienia, że matka uważa ją za malucha, a ona przecież jest już duża.

Greta odsłoniła kotarę do samego końca i zobaczyła, że Katy tam nie ma. Poczula niepokój. Gwałtownie szarpnęła poduszkę i podniosła ją do góry, jakby dziecko wielkości Katy mogło się pod nią schować. Obmacała cały koc, licząc, że dziewczynka się pod nim ukryła. Ochłonęła nieco i próbowała sobie przypomnieć, gdzie pociąg się zatrzymywał i czy czasem nie stawał, gdy ona była z Gregiem. Jeżeli tak, to czy ewentualny porywacz mógł wsiąść do pociągu i uciec z Katy? Stała w przejściu, usiłując odtworzyć w pamięci, co powinna zrobić, żeby zatrzymać pociąg.

Potem doszła do wniosku, że nic takiego nie mogło się zdarzyć. Zachowuje się nedorzecznie. Katy po prostu się zbudziła, zobaczyła, że jest w przedziale sama, i ruszyła na poszukiwanie mamy.

Z pewnością gdzieś tu jest. Musi być w pobliżu. Drzwi po obu końcach wagonu były przecież zbyt ciężkie dla małej dziewczynki, nie zdołałaby ich otworzyć.

Greta była jak sparaliżowana i miała pustkę w głowie. To nie mogło się zdarzyć. Gdyby tak dało

się wrócić do tej chwili, kiedy jeszcze nie poszła z Gregiem... Należało wtedy przerwać tę gierkę.

Po drugiej stronie przejścia zobaczyła puste łóżko. Ktoś je zwolnił, ale tylko na chwilę, bo leżały na nim kobiecy sweter i jakieś czasopismo. Jeszcze dalej była kolejna kuszетка, cała ukryta za zasłoną, tak samo szczelnie zapiętą jak ta jej, ich. Jednym szarpnięciem odsunęła ją. Spał tam jakiś starszy człowiek, który wprawdzie obrócił się na plecy, ale się nie obudził. Niemożliwe, aby kogokolwiek tam ukrywał.

Cóż za absurdalna sytuacja.

Poczuła, że znowu ogarnia ją przerażenie. A może Katy poszła jednak na koniec wagonu i jakimś cudem udało jej się odsunąć drzwi. Albo też pomaszerowała za kimś, kto je otworzył, i w ten sposób zdołała się wymknąć. Pomiędzy drzwiami był krótki pomost, umieszczony dokładnie ponad złączem między wagonami. Tam najbardziej wyczuwało się ruch pociągu i wszelkie nagłe wstrząsy, które mogły budzić lęk. Ciężkie drzwi za plecami i drugie z przodu, a po obu stronach pomostu szereg metalowych płyt. Blachy te zakrywały stopnie, które opuszczano, gdy pociąg się zatrzymywał.

Pasażerowie zwykle bardzo szybko przechodzili przez pomosty, gdzie nieustający łomot i ciągłe kołysanie uświadamiały im, że wszystkie te połączenia niekoniecznie muszą być trwałe. Można by pomyśleć, że zostały zrobione niestarannie, w zbyt wielkim pośpiechu, i stąd ten niekończący się huk i rozhuśtanie.

Drzwi na końcu wagonu były ciężkie do przesunięcia nawet dla Greta. Niewykluczone też, że strach odebrał jej siły. Napięła mięśnie i barkiem natarła na drzwi.

I między wagonami – na jednej z łomocących metalowych płyt – tam właśnie siedziała Katy. Oczy miała szeroko otwarte, usta rozchylone, wyglądała na zdumioną i całkiem samotną. Wcale nie płakała, ale kiedy zobaczyła matkę, od razu zalała się łzami.

Greta chwyciła ją, uniosła i posadziła sobie na biodrze, po czym potykając się, wróciła tą samą drogą do wagonu. Każdy z nich nosił nazwę, która miała coś upamiętniać – słynne bitwy, wyprawy, wybitnych Kanadyjczyków. Jej wagon nosił nazwę Connaught^[6]. Nigdy tego nie zapomni.

Katy nie odniosła żadnych obrażeń. Jej ubrania też były całe – nie dostały się pomiędzy ostre, przesuające się blachy, co przecież mogło się zdarzyć.

– Poszłam cię szukać – powiedziała dziewczynka.

Kiedy? Przed chwilą czy może zaraz potem, jak Greta ją zostawiła?

Z pewnością nie wtedy. Ktoś bez wątpienia by ją zauważył, wybawił z opresji, wszczął alarm.

Dzień był słoneczny, ale w rzeczywistości wcale nie było ciepło. Twarzyczka i rączki małej były zmarznięte.

– Myślałam, że jesteś na schodach – oświadczyła Katy.

Greta położyła ją na łóżku, okryła kocem i wtedy sama zaczęła się trząść, całkiem jakby miała gorączkę i dreszcze. Było jej niedobrze i czuła, że zbiera jej się na wymioty.

– Nie popychaj mnie – powiedziała Katy i z obrzydzeniem się odsunęła. – Brzydsko pachniesz – dodała.

Greta położyła się na plecach obok córki.

To wszystko było takie okropne. Myślała o tym, jakie straszne rzeczy mogły się wydarzyć. Dziecko siedziało zeszywniałe, niechętnie i trzymało się od niej z dala, jakby na znak protestu.

Ktoś z pewnością natknąłby się na Katy. Jakiś przyzwoity człowiek odprowadziłby ją w bezpieczne miejsce, a Greta usłyszałaby przez megafon napawający trwogą komunikat, że w pociągu znaleziono pozostawione bez opieki dziecko. Dziewczynkę, która mówi, że ma na imię

Katy. Natychmiast ruszyłaby z przedziału Grega po córkę. Obciągnęłaby prędko ubranie i doprowadziła się do porządku, żeby jakoś wyglądać, kłamiąc potem, że musiała wyjść do toalety. Z pewnością czułaby paraliżujący strach, ale przynajmniej oszczędzony byłby jej widok, który teraz wciąż miała przed oczami: obraz małej bezradnej istotki, zamkniętej w niewielkiej przestrzeni pomiędzy wagonami. Obraz Katy, która nie płakała i nie skarżyła się, jak gdyby uznała, że będzie tam siedzieć całą wieczność, z nieznanym sobie powodów, bez słowa wyjaśnienia i bez nadziei. Dziwnie patrzyła, z jej oczu wyzierała tylko pustka, a wrażenie to potęgowały otwarte bezwiednie usta dziecka. Zobaczyła matkę i zrozumiała, że oto nadszedł ratunek i może w końcu dać upust swojemu żalowi. Odzyskała swój świat, znajomy i bezpieczny, w którym miała prawo cierpieć i się skarżyć.

Teraz oświadczyła, że nie jest śpiąca i chce wstać. Zapytała, gdzie podział się Greg. Greta wyjaśniła, że uciął sobie drzemkę, bo był zmęczony.

Poszły razem do wagonu panoramicznego, żeby spędzić w nim resztę popołudnia. Oprócz nich prawie nikogo tam nie było. Ludzie, którzy robili zdjęcia, musieli znużyć się Górami Skalistymi i, jak przewidywał Greg, na oglądanie prerii nie mieli już siły.

Pociąg zatrzymał się na moment w Saskatoon i kilka osób wysiadło. Między innymi Greg. Greta widziała, że na dworcu przywitała go jakaś para – prawdopodobnie jego rodzice. Była z nimi także starsza kobieta na wózku, pewnie babcia, a także kilka młodszych osób, które kręciły się wokół, wesołe i z lekka zakłopotane. Nikt spośród nich nie wyglądał na członka sekty, nie wydawał się jakoś szczególnie surowy czy w jakikolwiek inny sposób nieprzyjemny.

Ale czy można coś takiego od razu zauważyć i mieć pewność?

Greg na moment odwrócił się od osób, które wyszły mu na spotkanie, i zaczął lustrować okna pociągu. Pomachała do niego z wagonu panoramicznego, a on odwzajemnił ten gest.

– Zobacz, tam jest Greg – powiedziała do Katy. – Spójrz, macha do nas. Możesz mu też pomachać.

Ale Katy jakoś nie mogła dostrzec Grega. Albo może nie chciała, bo nie podjęła próby. Odwróciła się z lekko nadąsaną miną, a wtedy Greg ostatni raz skinął ręką, co wyglądało trochę groteskowo, i też się odwrócił. Greta zastanawiała się, czy dziecko postanowiło go ukarać za to, że je obie opuścił, skoro nie chciało za nim tęsknić ani nawet go zauważyć.

W porządku, jeżeli tak ma być, niech będzie. Najlepiej o wszystkim zapomnieć.

– Greg machał do ciebie – powiedziała Greta, gdy pociąg ruszył.

– Wiem.

Kiedy tamtej nocy Katy spała obok niej na łóżku, Greta napisała list do Petera. Długi list, który w założeniu miał być zabawny i opowiadać o różnych ludziach spotkanych w pociągu. O tym, jak woleli oglądać krajobraz przez wizjer swoich aparatów fotograficznych, zamiast po prostu chłonąć go oczami, i o innych podobnych rzeczach. Opisywała zachowanie Katy, które oceniała jako miłe i niekłopotliwe. Oczywiście ani słowem nie wspomniała o Gregu, nagłym zniknięciu córki i własnym strachu. Wysłała list, gdy prerie zostały już daleko za nimi, a wokół ciągnęły się po horyzont bory z przewagą świerku czarnego. Z jakiegoś powodu stanęli na chwilę w małym zagubionym miasteczku Hornepayne.

Cały czas, potrzebny na przebycie kolejnych setek mil, poświęcała Katy. Nigdy wcześniej nie odczuwała takiej potrzeby. To prawda, że dbała o dziewczynkę, ubierała ją, karmiła, rozmawiała z nią w trakcie tych wszystkich godzin, które spędzały razem, kiedy Peter był w pracy, a one

zostawały we dwie. Ale Greta miała też mnóstwo innych rzeczy do zrobienia i dlatego jej uwaga była rozproszona, a czułość bardziej obliczona na osiągnięcie jakiegoś zamierzonego celu.

I właściwie nie chodziło tylko o obowiązki domowe. W jej głowie powstawało mnóstwo myśli, które odsuwały córeczkę na dalszy plan. Jeszcze zanim zaczęła marzyć o mężczyźnie z Toronto, co było zajęciem całkowicie jałowym, wyczerpującym i absurdalnym – pochłaniała ją inna praca: pisanie poezji, którą tworzyła, jak jej się zdawało, od zawsze. Nagle uświadomiła sobie, że to też jest forma zdrady – wobec Katy, Petera i wobec życia. A teraz, z powodu obrazu, który utrwalił się w jej głowie – Katy siedzącej samotnie na pomoście między wagonami, przy akompaniamencie stukających blach – nagle pojawiło się coś nowego, coś, czego Greta, matka Katy, zdecydowała się bezwzględnie wyrzec.

Grzech. Całą swoją uwagę postanowiła skupić na czymś innym niż dziecko. Na grzechu.

Do Toronto przyjechały nad ranem. Dzień był dosyć ponury. Letnie grzmoty i błyskawice. Katy nigdy wcześniej nie widziała takiej zawieruchy, ale Greta powiedziała jej, że nie ma się czego obawiać i wyglądało na to, że córeczka nie czuła strachu. – Nie lękała się również narastającej ciemności, która je obie wchłonęła, gdy wjechały do oświetlonego jedynie elektrycznym światłem lamp tunelu, gdzie pociąg w końcu się zatrzymał.

– Znowu noc – powiedziała dziewczynka.

Greta wyjaśniła jej, że to nie noc, tylko tunel i dlatego jest ciemno. Tłumaczyła, że gdy wysiądą z pociągu, będą musiały dojść do końca tunelu. Potem jeszcze w górę po schodach, może będzie jakaś winda, a później znajdą się w takiej dużej hali, wyjdą na zewnątrz i wezmą taksówkę. Taksówka to taki samochód, który odwiezie je do domu. Do ich nowego domu, w którym będą mieszkać przez jakiś czas, a potem wrócą do tatusia.

Szły w górę po rampie, aż znalazły schody ruchome. Katy zatrzymała się, więc Greta również stanęła i czekały, aż miną je ludzie. Potem Greta podniosła Katy, posadziła ją sobie na biodrze, a drugą ręką zdołała jakoś ująć walizkę, pochylając się przy tym i uderzając nią ciągle o schody. Gdy wjechały na górę, postawiła dziewczynkę na ziemi i znowu mogły chwycić się za ręce, w jasnym, padającym z wysoka blasku lamp oświetlających dworzec Union Station w Toronto.

Pasażerowie, którzy szli przed nimi, zaczęli się z wolna rozchodzić, wołani po imieniu przez oczekujące je osoby, albo po prostu sami chwyтали za bagaż i ruszali dalej.

Nagle ktoś podniósł ich walizkę. Chwycił też w ramiona Gretę i radośnie, bez najmniejszego zawahania, pocałował, pierwszy raz.

Harris.

Najpierw szok, potem ściskanie w żołądku, wreszcie wszechogarniający spokój.

Greta pamiętała, żeby trzymać rączkę Katy, ale właśnie w tej chwili dziewczynka wyrwała swoją dłoń z mocnego uścisku matki.

Nie próbowała uciekać. Ona, Katy, po prostu stała i czekała na to, co jeszcze miało przynieść jej życie.

Amundsen

Siedziałam na ławce przed stacją i czekałam. Budynek dworca był otwarty, gdy nadjechał pociąg, ale teraz ktoś go zamknął. Jakaś kobieta siadła obok mnie. Między kolanami trzymała sznurkową siatkę wypchaną paczuszkami zawiniętymi w zatłuszczony papier. Mięso – surowe mięso. Wokół unosił się jego zapach.

Na torach stał pociąg elektryczny – pusty, oczekujący na pasażerów.

Nikt inny się jednak nie pokazał, a po chwili naczelnik stacji wychylił głowę i krzyknął jakieś słowo, z którego wychwytiłam tylko pierwszą sylabę:

– San!

W pierwszej chwili sądziłam, że chodzi o czyjeś imię. I rzeczywiście, zza węgła budynku wyłonił się jakiś człowiek ubrany w służbowy uniform. Przeszedł przez tory i wsiadł do wagonu. Kobieta z paczkami wstała i poszła za nim, więc ja zrobiłam to samo. Od strony ulicy dobiegły nagle jakieś krzyki i drzwi budynku o płaskim, pokrytym ciemnym gontem dachu otwarły się, wypuszczając ze środka grupkę mężczyzn. Pospieszenie wciskali na głowy kapelusze i pobrzękiwali pojemnikami na lunch, które przy każdym ruchu uderzały o ich uda. Z powodu hałasu, jaki czynili, odnosiło się wrażenie, że obawiają się, by pociąg nie odjechał bez nich. Kiedy jednak wsiedli do wagonu, nic szczególnego się nie wydarzyło. Pociąg nadal stał, a oni sprawdzali, czy na pewno nikogo nie brakuje. Po chwili stwierdzili, że ktoś nie dotarł, poprosili więc maszynistę, żeby jeszcze nie odjeżdżał. Potem komuś się przypomniało, że mężczyzna, na którego czekają, ma tego dnia wolne. Pociąg ruszył, chociaż nie było do końca jasne, czy maszynista w ogóle słuchał, co do niego mówiono, i czy go to cokolwiek obchodziło.

Mężczyźni wysiedli przy tartaku w lesie – oddalonym o dziesięć minut drogi piechotą – a zaraz potem ukazało się pokryte śniegiem jezioro, przed którym wznosił się długi biały drewniany budynek. Kobieta chwyciła siatkę z mięsem i wstała, a ja pospieszyłam za nią. Maszynista znowu zawołał: „San!” i otworzyły się drzwi wagonu. Na stacji parę kobiet oczekiwało na pociąg. Pozdrowiły pasażerkę wiozącą mięso, a ona oznajmiła, że jest mroźny dzień.

Wszystkie starannie omijały mnie wzrokiem, gdy również opuszczałam wagon.

Na tej stacji poza nimi widocznie nikt więcej nie wsiadał, bo drzwi zatrzęsnęły się za mną i pociąg ruszył.

Potem już tylko cisza, powietrze jak lód. Brzozy, delikatne i kruche, z czarnymi cętkami na białej korze, i nastroszone choinki, wyglądające jak pozwijane w kłębek śpiące niedźwiedzie. Zamarznięta tafla jeziora wcale nie była płaska przy brzegu, lecz powybrzuszana, zupełnie jakby mróz ściał fale, zanim jeszcze zdążyły opaść. Ponad nimi wznosił się długi budynek, z regularnie rozmieszczonymi oknami, z obu stron zakończony przeszklonym gankiem. Wszystko surowe, o typowo północnym charakterze, czarnobiałe pod wysoką czaszą chmur.

Kiedy jednak podeszło się bliżej, kora brzoź nie była już biała. Raczej szara z domieszką żółci, szaroniebieska.

Tak cicho, bezmiar zachwyty.

– Dokąd panidzie? – zapytała mnie kobieta niosąca mięso. – Odwiedziny są tylko do godziny

trzeciej.

– Nie jestem gościem, lecz nauczycielką – powiedziałam.

– Frontowym wejściem i tak pani nie wpuszczą – z satysfakcją stwierdziła kobieta. – Niech pani lepiej pójdzie ze mną. Nie wzięła pani ze sobą walizki?

– Naczelnik stacji powiedział, że dostarczy ją później.

– Gdy tak pani stała i rozglądała się wokół, przez chwilę myślałam, że zgubiła pani drogę.

Wyjaśniłam jej, że zatrzymałam się, bo widok zapierał mi dech w piersiach.

– Rzeczywiście, można się zachwycić. No chyba że ktoś jest zbyt chory lub zajęty.

Żadna z nas nie powiedziała więcej ani słowa, do momentu kiedy weszliśmy do kuchni położonej na końcu budynku. Z ulgą poczułam, że przenika mnie przyjemne ciepło. Nie zdążyłam się jednak rozejrzeć, bo w centrum uwagi znalazły się nagle moje buty.

– Lepiej będzie je zdjąć, zanim zabłoci pani podłogę.

Przez chwilę mocowałam się z kozakami – nie było krzesła, żeby usiąść – postawiłam je na wycieracze, obok butów dopiero co poznanej kobiety.

– Proszę wziąć wszystko ze sobą, bo nie wiadomo, gdzie panią ulokują. I radziłabym nie ściągać płaszcza, w szatni nie ma ogrzewania.

Nie było tam ani ogrzewania, ani oświetlenia, z wyjątkiem nikłego światła, które wpadało przez zbyt wysoko umieszczone okienko. Jakbym została ukarana i musiała siedzieć w kozie. Zesłana do szatni. Właśnie tak. Uderzył mnie znajomy zapach zimowych okryć, które nigdy tu nie wysychały, i butów przesiąkniętych do tego stopnia, że wilgoć docierała do brudnych skarpet i nieumytych stóp.

Wspięłam się na ławkę, ale i tak nie zdołałam wyrzucić przez okienko. Na półce, gdzie leżały zostawione w pośpiechu czapki i szaliki, znalazłam jakąś torbę z daktylami i figami. Ktoś musiał te owoce ukraść i schować tutaj, by potem zabrać je do domu. Nagle poczułam głód. Od rana nie miałam nic w ustach, z wyjątkiem wyschniętej kanapki z serem, którą zjadłam w pociągu linii Ontario Northland. Zastanawiałam się, czy okradanie złodzieja jest etyczne. Ale doszłam do wniosku, że figowe pesteczki pewnie utkwilyby mi między zębami i zdradziły mój występ.

W odpowiednim momencie zdążyłam zejść z ławki. Ktoś wchodził do szatni.

Nie była to pomoc kuchenna, lecz uczennica ubrana w obszerny i ciężki zimowy płaszcz. Jej głowę otulał szal. Wpadła do środka w pośpiechu – książki niedbale rzuciła na ławkę, więc rozsypały się po podłodze. Energicznym ruchem zdjęła szal, spod którego wysunęła się istna burza włosów, i jednocześnie, jak się wydaje, zrzuciła kozaki – najpierw jeden, potem drugi, ciskając je z rozmachem, tak że śmignęły po posadzce. Najwidoczniej nikt jej nie zatrzymał w drzwiach i nie kazał ściągać butów zaraz na progu kuchni.

– Hej! Nie chciałam pani przestraszyć – oświadczyła dziewczyna. – Tutaj jest tak ciemno, zwłaszcza gdy wchodzi się z zewnątrz, że człowiek sam nie wie, co właściwie robi. Nie marznie tu pani? Czeka pani, aż ktoś skończy pracę?

– Muszę zobaczyć się z doktorem Foxem.

– To nie będzie pani długo czekać. Właśnie przed chwilą przyjechałam z nim z miasta. Pani nie jest chora, prawda? Jeśli tak, to nie wolno tu pani przebywać, musi pani pojechać do jego gabinetu w mieście.

– Jestem nauczycielką.

– Naprawdę? Przyjechała pani z Toronto?

– Tak.

Dziewczyna zamilkła na chwilę. Pomyślałam, że poczuła respekt.

Ale nie. Jej uwagę przyciągnął mój płaszcz.

– Naprawdę ładny. Z czego zrobiony jest kołnierz?

– To karakuły. Sztuczne.

– Wyglądają jak prawdziwe. Nie wiem, dlaczego kazali pani czekać w szatni. Tu można odmrozić sobie tyłek. Przepraszam za wyrażenie. Pani chce się zobaczyć z doktorem, chętnie panią do niego zaprowadzę. Znam w tym budynku każdy kąt. Mieszkam tutaj właściwie od urodzenia. Moja matka jest szefową kuchni. Na imię mam Mary. A pani?

– Vivi. Vivien.

– Jeżeli jest pani nauczycielką, to pewnie będziemy musieli zwracać się do pani po nazwisku, panno...?

– Hyde.

– Pannie Hyde nie pleć bajd – powiedziała dziewczyna. – Przepraszam, tak mi się zrymowało. Chciałabym, żeby mnie pani uczyła, ale muszę jeździć do szkoły w mieście. Wszystko przez głupie przepisy. To dlatego, że nie jestem chora na gruźlicę.

Moja młoda przewodniczka przez cały czas mówiła, prowadząc mnie do drzwi położonych w odległym końcu szatni, a potem przez typowy szpitalny korytarz. Woskowane linoleum. Matowa zielona farba. Zapach środka odkażającego.

– Teraz, gdy dotarliśmy na miejsce, zawołam już Ryżego, by panią przejął.

– Kto to jest Ryży?

– Reddy Fox – Ryży Lis – to taka postać z książki. A my z Anabel zaczęliśmy tak mówić na doktora, bo on też nosi nazwisko Fox.

– Kim jest Anabel?

– Teraz już nikim. Nie żyje.

– Och, tak mi przykro.

– To nie pani wina. Takie rzeczy się tutaj zdarzają. W tym roku poszłam już do szkoły średniej. Anabel tak naprawdę nigdy nie uczęszczała do szkoły. Kiedy chodziłam jeszcze do państwowej podstawówki, Ryży załatwił dla mnie nauczycielkę z miasta, żebym mogła więcej zostawać w domu i dotrzymywać Anabel towarzystwa.

Dziewczyna stanęła w na wpół otwartych drzwiach i zagwizdała.

– No hej, przyprowadziłam nauczycielkę.

– W porządku, Mary – odezwał się męski głos. – Na dzisiaj mam już ciebie dość.

– Okej. Zrozumiałam.

Oddaliła się wolnym krokiem i zostawiła mnie samą z doktorem, szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, którego rudawe jasne włosy, bardzo krótko obcięte, błyszczały w sztucznym świetle lamp wiszących w korytarzu.

– A więc poznała pani Mary – stwierdził. – Ona ma zawsze dużo do powiedzenia. Na szczęście nie jest w pani klasie, więc nie będzie pani musiała jej codziennie słuchać. Niektórzy od razu darzą ją sporą dozą sympatii, inni – wprost przeciwnie.

Odniosłam wrażenie, że jest starszy ode mnie o jakieś dziesięć, piętnaście lat i początkowo zwracał się do mnie tak, jak można by tego oczekiwać po starszym mężczyźnie i potencjalnym pracodawcy. Okazywał mi zatroskanie. Pytał, jaką miałam podróż i kiedy dostarczą mój bagaż. Był ciekaw, co myślę o życiu na północy wśród lasów, bo przecież przyjechałam z Toronto, i czy nie

będę się tu nudziła.

– Ani trochę – powiedziałam i dodałam, że przecież tutaj jest pięknie. – Zupełnie jakbym była postacią z rosyjskiej powieści.

Po tych słowach po raz pierwszy bacznie mi się przyjrzał.

– Naprawdę? Którą powieść ma pani na myśli?

Jego oczy były jasne, intensywnie szaroniebieskie. Jedna brew uniosła się i wyglądała trochę jak wygięty daszek czapki.

Ja naprawdę czytywałam rosyjską literaturę. Nie wszystkie powieści udało mi się skończyć, ale wiele z nich przeczytałam od deski do deski. Jednak z powodu tej uniesionej brwi i prowokacyjnego uśmiechu na jego twarzy nie mogłam sobie przypomnieć żadnego tytułu poza *Wojną i pokojem*. A tego akurat nie chciałam przywoływać, bo przecież wszyscy go znają.

– *Wojna i pokój* – wykrztusiłam.

– No cóż, rzekłbym, że tutaj doświadczamy jedynie „pokoju”. Ale gdyby to „wojna” bardziej panią interesowała, przypuszczam, że przywdziałyby pani mundur i wyjechała w dalekie strony.

Poczułam złość i upokorzenie, bo przecież wcale nie próbowałam się przed nim popisować. No może trochę. Chciałam po prostu powiedzieć, że zachwyciły mnie tutejsze widoki.

On był najwyraźniej takiego rodzaju człowiekiem, który lubi zadawać podstępne pytania, i należało bardzo uważać, by nie wpaść w zastawioną pułapkę.

– Spodziewałem się raczej kogoś starszego – powiedział, a w jego głosie pojawiło się lekkie usprawiedliwienie. – Nie wiem, czemu założyłem, że w obecnych trudnych czasach każda wykwalifikowana osoba w pełni sił będzie się starała wrócić do zawodu. Pani nie kształciła się w kierunku nauczania, prawda? Co zatem planowała pani robić po uzyskaniu licencji?

– Zdobyć tytuł magistra – odparłam krótko.

– Więc dlaczego zmieniła pani zdanie?

– Uznałam, że powinnam najpierw trochę zarobić.

– Całkiem rozsądnie. Muszę jednak panią rozczarować – tu nie zarobi pani wiele. Przepraszam, że tak panią o wszystko wypytyuję, ale chciałem się tylko upewnić, czy nie zwinie pani nagle żagli i nie zostawi nas na lodzie. Nie planuje pani na razie wychodzić za mąż?

– Nie.

– W porządku. To cóż, nie będę już pani dłużej męczył. Mam nadzieję, że pani nie zniechęciłem.

– Nie.

– Proszę przejść teraz korytarzem do pokoju siostry przełożonej, ona wszystko pani wytłumaczy. Posiłki będzie pani jadać razem z pielęgniarkami. Siostra wskaże też pani miejsce do spania. Proszę tylko wystrzegać się przeziębień. Raczej nie miała pani wcześniej kontaktu z ludźmi chorymi na gruźlicę, prawda?

– No cóż, czytałam...

– Tak, wiem, wiem. Czytała pani *Czarodziejską górę*.

Kolejna pułapka, a doktor wydawał się zyskiwać na pewności siebie.

– Czasy trochę się jednak zmieniły, a przynajmniej taką mam nadzieję. Proszę, oto moje notatki na temat dzieci przebywających w naszym sanatorium i ogólne sugestie odnośnie do pani zajęć. Bywa, że wolę wyrazić to, o co mi chodzi, w formie pisemnej. Siostra przełożona poda pani wszystkie istotne szczegóły.

Nie upłynął nawet tydzień, a już wydarzenia tego pierwszego dnia wydały mi się niezwykle, niemal nierealne. Zarówno kuchnia, jak i przyległa do niej szatnia, gdzie pracownicy trzymali ubrania i przemycali skradzione jedzenie, były pomieszczeniami, do których później nie miałam okazji zaglądać i pewnie już nigdy nie zajrzę. Gabinet doktora również stanowił strefę zakazaną, a z wszelkimi sprawami – typu: zapytania, skargi i zmiany ustaleń – należało się zwracać do siostry przełożonej. Szefowa pielęgniarek była kobietą niską i korpulentną, nosiła okulary bez oprawki, miała zaróżowioną twarz i ciężko oddychała. Bez względu na to, o co się ją prosiło, za każdym razem wydawała się zaskoczona i zaczynała piętrzyć trudności, by w końcu załatwić sprawę lub dostarczyć potrzebną rzecz. Czasami приходziła na posiłki do jadalni pielęgniarek, gdzie otrzymywała leguminę ze słodkiego twarożku, przygotowaną specjalnie dla niej, i przy okazji psuła wszystkim nastroj. Zazwyczaj jednak nie opuszczała swojego gabinetu.

Poza siostrą przełożoną w szpitalu pracowały trzy dyplomowane pielęgniarki, każda starsza ode mnie o ponad trzydzieści lat. Wszystkie zawiesiły emeryturę i wróciły do zawodu, by podczas wojny spełnić swój obywatelski obowiązek wobec kraju. Oprócz nich były także zwykłe pielęgniarki – te akurat w moim wieku albo nawet młodsze – w większości mężatki, narzeczone lub potencjalne narzeczone, szukające usilnie odpowiednich kandydatów na mężów, przeważnie wśród wojskowych. Bez przerwy ze sobą rozmawiały, jeśli tylko siostry przełożonej lub pielęgniarek oddziałowych nie było w pobliżu. Mną natomiast zupełnie się nie interesowały. Nie ciekawiło ich, jak wygląda życie w Toronto, ale wiedziały, że niektórzy jeżdżą tam spędzić swój miesiąc miodowy. Nie pytały, jak mi się pracuje z dziećmi ani czym się zajmowałam, zanim przyjechałam uczyć w sanatorium. I nie chodzi o to, że odnosiły się do mnie niegrzecznie – uprzejmie podawały mi masło (masło tylko z nazwy, w rzeczywistości była to margaryna, którą barwiono domowym sposobem na żółty kolor, bo wówczas była to jedyna dostępna metoda) i lojalnie ostrzegały przed zjedzeniem zapiekanki z ziemniaków i mielonego mięsa, ich zdaniem pochodzącego ze świstaków – ale za każdym razem, kiedy była mowa o nieznanym miejscu, ludziach i czasach, natychmiast się wyłączały. Weszło im to w nawyk i stało się ich drugą naturą. Dlatego gdy w radiu nadawano wiadomości, od razu zmieniały stację i próbowały poszukać jakiejś muzyki.

„Dance with a dolly with a hole in her stockin’ ...”^[7].

Zarówno obie pielęgniarki oddziałowe, jak i pozostałe siostry nie lubiły stacji radiowej CBC, stworzonej po to, jak mi kiedyś wpajano, by kultura mogła docierać w odległe i słabo rozwinięte regiony kraju. Czuły jednak respekt przed doktorem Foxem, częściowo pewnie dlatego, że był tak bardzo czytany.

Od nich dowiedziałam się również, że nikt nie potrafi zbesztać pracownika tak jak on, gdy uzna to za stosowne.

Do końca nie mogłam jednak zrozumieć, czy według nich istniał jakiś związek między liczbą przeczytanych książek a umiejętnością przywoływania podwładnego do porządku.

„Tradycyjne teorie pedagogiczne się tu nie sprawdzają. Niektóre z tych dzieci wrócą do normalnego funkcjonowania w świecie, a inne nie. Lepiej ich zanadto nie stresować. Dlatego wszelkie sprawdziany, uczenie się na pamięć i klasyfikowanie są bez sensu.

Proszę zapomnieć o tym, co przewiduje program danej klasy. Jeśli powstaną jakieś zaległości, dzieci nadrobą je później albo dadzą sobie radę i bez tego. Tak naprawdę potrzebny jest im zupełnie

podstawowy zakres umiejętności i znajomość najważniejszych faktów, dzięki którym będą mogły swobodnie poruszać się w świecie. A co z tak zwanymi «uczniami wybitnie zdolnymi»? Cóż za okropny termin. Jeśli są rzeczywiście tak zdolni, jak wynikałoby z różnych wątpliwych akademickich analiz, to z pewnością szybko wyrównają braki.

Proszę wyrzucić z programu takie tematy, jak: «Rzeki Ameryki Południowej» czy «Magna Carta».

Zdecydowanie lepsze będą dla nich zajęcia plastyczne, muzyka, czytanie.

Gry są w porządku, ale trzeba uważać, żeby dzieci się zanadto nie ekscytowały, i nie dopuszczać do ostrej rywalizacji między nimi.

Wyzwanie polega na tym, by znaleźć równowagę pomiędzy stresem a nudą. Nuda to najgorsze przekleństwo hospitalizacji.

Jeżeli zdarzy się, że siostra przełożona nie zapewni potrzebnych materiałów, proszę zwrócić się do woźnego, który może mieć jakieś ukryte zapasy.

Bon voyage”.

Liczba dzieci, które pokazywały się na zajęciach, była różna. Czasami było ich piętnaścioro, a kiedy indziej tylko sześcioro. Lekcje odbywały się wyłącznie rano, od dziewiętej do południa, wliczając w to przerwy na odpoczynek. Te dzieci, które miały podwyższoną temperaturę lub zlecone badania, nie przychodziły na zajęcia. Kiedy już były obecne, zachowywały się grzecznie i nie sprawiały kłopotów, ale nie okazywały też szczególnego zainteresowania. Natychmiast się zorientowały, że nauka w szpitalu odbywa się trochę na niby. Nie stawiano im żadnych wymagań, nie obowiązywał plan lekcji i niczego nie trzeba było zapamiętywać. Mimo dużej swobody uczniowie wcale nie byli przemądrzali, znudzeni czy nieznośni, raczej potulni i marzycielsko usposobieni. Cicho śpiewali kanony, grali w kółko i krzyżyk. Jednak nad tymi improwizowanymi próbami edukowania przebywających w szpitalu dzieci wciąż wisiał cień porażki.

Postanowiłam uwierzyć doktorowi na słowo, a może nawet uwzględnić więcej jego porad, na przykład te, które mówiły o nudzie jako największym wrogu hospitalizacji.

W kantorku woźnego wypatrzyłam globus. Poprosiłam, żeby mi go przyniósł. Zaczęłam od najprostszych rzeczy z geografii. Oceany, kontynenty, strefy klimatyczne. A może wiatry i prądy? Kraje i miasta? Zwrotnik Raka i zwrotnik Koziorożca? I dlaczego właściwie miałabym pominąć rzeki Ameryki Południowej?

Niektórzy z moich podopiecznych uczyli się już podobnych rzeczy wcześniej, ale prawie wszystko zapomnieli. Świat istniejący gdzieś poza jeziorem i lasem zniknął z ich świadomości. Odniosłam wrażenie, że dzięki lekcjom geografii dzieci poweselały, jakby na nowo odnalazły kontakt z czymś, co kiedyś znały. Oczywiście nie zarzucałam swoich uczniów zbyt wielką ilością informacji. Musiałam też traktować ulgowo tych, którzy nigdy się o takich rzeczach nie uczyli, bo zachorowali w bardzo młodym wieku.

Ale czułam, że to było właściwe podejście. Postanowiłam nadać tym lekcjom charakter zabawy. Podzieliłam uczniów na drużyny i prosiłam, by udzielali odpowiedzi, gdy tylko kierowałam wskaźnik w stronę jednej lub drugiej grupy. Starłam się nie dopuszczać do tego, by atmosfera zbyt się podgrzała. Któregoś dnia na lekcji pojawił się doktor. Przyszedł zaraz po porannej operacji i mnie przyłapał. Nie mogłam przerwać gry, ale próbowałam ostudzić nieco zapał dzieci. Doktor usiadł, wydawał się zmęczony i zamknięty w sobie. Nie zgłaszał zastrzeżeń. Po kilku chwilach zaczął się włączać do zabawy, podając różne śmieszne odpowiedzi, nie tyle błędne, co zmyślone. Potem

stopniowo ściszał głos, tak że najpierw zamiast mówić, mamrotał, następnie zaczął szeptać, a w końcu otwierał tylko usta. I w ten niezwykle, trochę absurdalny sposób przejął nad wszystkim kontrolę. Cała klasa zaczęła go naśladować i bezgłośnie poruszać ustami. Dzieci śledziły ruchy jego warg.

Wtem doktor cicho zawarczał, co sprawiło, że dzieci zaczęły się śmiać.

– Czemu, u licha, wszyscy się na mnie patrzycie? Czy tego was uczy pani? Gapić się na ludzi, którzy nikomu nie robią nic złego?

Większość dzieci się roześmiała, ale niektóre nawet po tym komentarzu nadal uparcie wbijały w niego wzrok, nie mogąc doczekać się kolejnych żartów.

– No dalej, wracajcie do pracy. Rozrabiać możecie gdzie indziej.

Doktor przeprosił mnie, że przerwał zajęcia. Zaczęłam mu tłumaczyć, dlaczego zależało mi, by lekcje w szpitalu były podobne do tych, jakie dzieci odbywały w szkole.

– Chociaż w zupełności zgadzam się z tym, co mówił pan o stresie... – zaczęłam z powagą – i w pełni akceptuję pańskie zalecenia, to jednak pomyślałam sobie, że...

– Jakie zalecenia? Och, to były tylko takie luźne uwagi, które przelałem na papier. Nie chciałem, żeby traktowała je pani jak zbiór prawd objawionych, wyrytych w kamieniu.

– Chodzi mi o to, że póki czują się w miarę dobrze...

– Jestem pewien, że ma pani rację. Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Inaczej dzieci przestawały się interesować lekcją, wydawały się apatyczne i zobojętniałe.

– Nie ma się nad czym rozwodzić – oznajmił dość obcesowo i ruszył do wyjścia.

Ale po chwili się zreflektował i przeprosił zdawkowo:

– Możemy o tym porozmawiać innym razem.

Innego razu nigdy nie będzie, pomyślałam. On z pewnością uznał, że jestem głupia i tylko niepotrzebnie sprawiam kłopot.

Podczas lunchu dowiedziałam się od pielęgniarek, że ktoś nie przeżył operacji tego ranka. Więc mój gniew nie był jednak usprawiedliwiony i z tego powodu poczułam się jeszcze głupsza.

Wszystkie popołudnia miałam wolne. Uczniowie udawali się na długą drzemkę, a ja czasami miałam ochotę zrobić dokładnie to samo. Mój pokój był niedogrzany – każda część budynku wydawała się wiać chłodem i była dużo zimniejsza niż mieszkanie przy Avenue Road, mimo że moi dziadkowie również ustawiali zawory grzejników na niezbyt wysoką temperaturę, ze względów patriotycznych. No i przykrycie było cienkie – z całą pewnością ludziom chorym na gruźlicę przydałoby się coś znacznie cieplejszego i przyjemniejszego.

Ale ja oczywiście nie miałam gruźlicy. Może oszczędzali na kołdrach tylko kosztem pracowników.

Chciało mi się spać, lecz nie mogłam zasnąć. Z góry wciąż dobiegało dudnienie, bo łóżka pacjentów przewożono na odkrytą werandę, gdzie w przenikliwie chłodnym powietrzu odbywało się popołudniowe leżakowanie.

Budynek sanatorium, drzewa, jezioro nigdy już nie jawiły mi się takimi, jakimi ujrzałam je pierwszego dnia, gdy tajemnicza sceneria zawładnęła mną bez reszty. Miałam wówczas wrażenie, że się w niej roztapiam i staję się niewidzialna. Teraz widzę jednak, że było to tylko złudzenie.

Oto nauczycielka. Co zamierza zrobić?

Spogląda na jezioro.

W jakim celu?

Bo nie ma nic lepszego do roboty.

Niektórzy ludzie to mają szczęście.

Od czasu do czasu nie chodziłam na lunch, chociaż wliczony był w moje wynagrodzenie. Wolałam jechać do Amundsen, żeby zjeść posiłek w bistro. Kupowałam sobie kawę zbożową Postum, a jeżeli mieli kanapki, to brałam tę najsmaczniejszą, z łososiem z puszki. Na sałatkę z kurczaka trzeba było uważać, bo trafiały się kawałki skóry i chrząstki. Tak czy inaczej w bistro czułam się znacznie swobodniej, ponieważ wydawało mi się, że nikt mnie tam nie zna.

Najprawdopodobniej jednak myliłam się co do tego.

W bistro nie było damskiej toalety, więc należało iść do pobliskiego hotelu, a po drodze minąć salę, w której serwowano piwo – pomieszczenie wiecznie głośnie, ciemne, przesiąknięte odorem piwa i whisky, spowite gęstym dymem z papierosów i cygar, którego duszący zapach mógł zwalić z nóg. Mimo tych wszystkich niedogodności czułam się tam dosyć swobodnie i bezpiecznie. Drwale i mężczyźni pracujący w tartaku nigdy nie próbowali słownych zaczepek, tak jak to robili żołnierze i lotnicy w Toronto. Żyli we własnym świecie, głośno i z przejęciem rozprawiali na męskie tematy i nie szukali damskiego towarzystwa. Prawdopodobnie bardziej zależało im na tym, by choć na chwilę, albo i na zawsze, móc się od kobiet uwolnić.

Doktor miał swój gabinet przy głównej ulicy. Przyjmował w małym, jednopiętrowym budynku, tak więc sam musiał mieszkać gdzie indziej. Od młodszych pielęgniarek dowiedziałam się, że nie ma żony. Przy jedynej w miasteczku bocznej uliczce natknęłam się na dom, który mógł należeć do niego – był otynkowany, nad drzwiami frontowymi mieściło się mansardowe okno, a parapet okupowały stosy książek. Budynek wyglądał dość ponuro, ale był zadbany i wyczuwało się od razu, że zapewnia akurat tyle komfortu, ile mógłby potrzebować samotny mężczyzna o ustabilizowanym trybie życia.

Szkoła mieszcząca się przy końcu tej jedynej zamieszkannej ulicy miała dwa piętra. Parter przeznaczony był dla uczniów klas niższych do ósmej włącznie, a góra dla starszych oddziałów aż do klasy dwunastej. Któregoś popołudnia zauważyłam tam Mary, pochłoniętą akurat zabawą w rzucanie śnieżek. Wyglądało na to, że dziewczyny staczały potyczkę z chłopcami. Kiedy mnie zobaczyła, zawołała głośno w moją stronę:

– Dzień dobry pani!

Na chybił trafił rzuciła śniegowe kulki w stronę kolegów, a potem wolnym krokiem przeszła na drugą stronę ulicy.

– To do jutra! – krzyknęła na odchodnym przez ramię, jakby w formie ostrzeżenia, by nikt nie próbował jej towarzyszyć. – Jedzie pani do domu? – zapytała. – Ja też. Zwykle podwoził mnie Ryży, ale dzisiaj za późno skończył pracę. Jak zamierza pani wracać, pociągiem?

Odpowiedziałam twierdząco.

– Och, mogę pani pokazać krótszą drogę, a na dodatek oszczędzi pani pieniądze. Trzeba iść przez las.

Poprowadziła mnie wąską, ale przejezdną dróżką, wiodącą pod górę. Poza granicami miasteczka droga biegła przez las i obok tartaku.

– To właśnie tędy jeździ Ryży – stwierdziła Mary. – Wprawdzie jest tu bardziej stromo, ale za to trasa krótsza, zwłaszcza gdy skręca się ostro w dół, zaraz przy budynku sanatorium.

Minęłyśmy tartak. Poniżej widać było brzydkie przesieki w lesie i kilka chałup, najwyraźniej

zamieszkanym, bo obok nich leżały sągi drewna i wisiały sznury na bieliznę, a z kominów unosił się dym. Od strony jednego z zabudowań nadbiegł wielki, podobny do wilczura pies, który wściekle ujadł i warczał.

– Zamknij się! – krzyknęła na niego Mary. Błyskawicznie uformowała kulkę i rzuciła nią psu między oczy. Rozległ się świst, chwilę później kolejna śnieżka czekała już w pogotowiu, tym razem wymierzona w zad zwierzęcia. Z chałupy wybiegła kobieta w fartuchu i wrzasnęła:

– Mogłaś go zabić!

– I dobrze, krzyżyk mu na drogę.

– Powiem mężowi, to da ci popalić.

– Chciałabym to widzieć. Twój stary nie trafiłby nawet w wychodek.

Stróż obejścia szedł za nimi jeszcze kawałek, zachowując dystans i z cicha poszczekując, niby dla postrachu, lecz nie do końca szczerze.

– Poradzę sobie z każdym psem, proszę się nie martwić – oznajmiła Mary. – Jestem pewna, że dałabym radę nawet niedźwiedziowi, gdyby stanął nam nagle na drodze.

– O tej porze roku one zapadają chyba w sen zimowy?

Incydent z psem przeraził mnie, ale udawałam, że nic mnie to nie obeszło.

– Właściwie tak. Ale nigdy nie wiadomo. Kiedyś jeden taki przebudził się wcześniej i szukał jedzenia w kuble na śmieci tuż przy naszym sanatorium. Moja mama odwróciła się i zmartwiła. Ryży wyciągnął broń i go zastrzelił. Ryży często zabierał mnie i Anabel na sanki, a czasami szły z nami również inne dzieci. Odstraszał niedźwiedzie gwizdaniem. Dźwięk był tak wysoki, że niesłyszalny dla ludzkich uszu.

– No proszę. Miał specjalny gwizdek?

– Nie. On nie potrzebował gwizdka, bo sam potrafił wydobyć takie tony. Odpowiednio układał usta.

Przypomniał mi się jego występ podczas mojej lekcji.

– No nie wiem. Może on tylko udawał, bo chciał uspokoić Anabel, i to dlatego powiedział nam o tym specjalnym gwizdaniu. Ona nie mogła sama jeździć na sankach, więc doktor ciągnął ją na toboganie. Ja zwykle szłam z tyłu i od czasu do czasu wskakiwałam na płozy. Wtedy doktor się dziwił, co te sanie takie ciężkie, ważą pewnie z tonę. A potem zniechęcał się odwracał i próbował mnie złapać, ale ja zawsze mu się wymykałam. Pytał też Anabel, co jadła na śniadanie, bo tak trudno mu było ciągnąć sanki, ale nie odpowiadała. Gdy były z nami inne dzieci, nie wskakiwałam na tobogan. Najbardziej lubiłam, gdy szłyśmy same, tylko Anabel i ja. Była moją najlepszą przyjaciółką i nikt jej nie zastąpi.

– A koleżanki ze szkoły? Nie chcesz się z nimi przyjaźnić?

– Trzymam się z nimi, gdy nie mam innego towarzystwa. Ale one się nie liczą. Anabel i ja obchodziłyśmy urodziny w tym samym miesiącu. W czerwcu. Na nasze jedenaste urodziny Ryży zabrał nas nad jezioro na łódkę. Uczył nas też pływać. A właściwie mnie, bo Anabel zawsze wymagała pomocy. Ona nie była w stanie się tego nauczyć. Kiedyś sam poszedł pływać, i to dość daleko, a my tymczasem nasypałyśmy mu piasku do butów. Na nasze dwunaste urodziny nie mogłyśmy się już wybrać na taką wycieczkę, ale pojechałyśmy do jego domu, gdzie czekał na nas tort. Anabel nie zdołała przełknąć nawet kawałeczka, więc Ryży zabrał nas na przejażdżkę samochodem, podczas której karmiłyśmy przez okno mewy, rzucając im kawałki ciasta. Ptaki zaciekle ze sobą walczyły i przeraźliwie krzyczały. Śmiałyśmy się do rozpuku, aż w końcu doktor musiał stanąć i zająć się Anabel, by nie dostała krwotoku. A potem – kontynuowała Mary – potem to

już nie pozwalano mi się z nią widywać. Poza tym moja mama nie była zadowolona, gdy się zadawałam z dziećmi chorymi na gruźlicę. Ale Ryży jakoś ją przekonał i obiecał, że natychmiast przerwie te kontakty, gdy zajdzie potrzeba. I rzeczywiście to zrobił, a ja zaczęłam odchodzić od zmysłów. Tyle że Anabel i tak nie mogłaby się ze mną bawić, była zbyt chora. Pokazałabym pani jej grób, ale nie ma na nim żadnego napisu. Ryży i ja mamy zamiar się tym zająć, gdy on znajdzie choć trochę czasu. Gdybyśmy poszły dalej drogą, zamiast iść na skróty, dotarłybyśmy do cmentarza, na którym została pochowana. Leżą tam ludzie, którzy nie mieli żadnych krewnych.

Tymczasem zdążyłyśmy wyjść na płaski teren i byłyśmy już blisko budynku sanatorium.

– Prawie zapomniałam – powiedziała Mary i wyciągnęła plik biletów. – To na walentynki. Wystawiamy w szkole spektakl pod tytułem: *H.M.S. Pinafore*. Dostałam te bilety do rozprowadzenia i pani jest pierwszą osobą, która może je ode mnie kupić. Ja też biorę udział w tym przedstawieniu.

Nie pomyliłam się co do domu doktora – budynek, który widziałam w Amundsen, rzeczywiście należał do niego. Doktor zaprosił mnie do siebie na kolację. Zaproszenie to przyszło dosyć nieoczekiwanie, gdy mijaliśmy się na korytarzu. Pomyślałam: może mu się nagle przypomniało, że mieliśmy porozmawiać o metodach nauczania.

Zaproponował akurat ten wieczór, kiedy w szkole Mary grano *H.M.S. Pinafore*. Powiedziałam mu o tym.

– No cóż, ja też kupiłem bilet na to przedstawienie. Ale to jeszcze nie znaczy, że mamy obowiązek się na nim pojawić.

– Tylko że ja jej to już jakby obiecałam.

– No to teraz jej pani jakby odmówi. Ten spektakl będzie okropny, proszę mi wierzyć.

Zrobiłam tak, jak mi polecił, chociaż nie uprzedziłam Mary, bo jej nie widziałam. Czekałam na niego w umówionym miejscu, na odkrytym ganku przed głównym wejściem. Miałam na sobie swoją najlepszą sukienkę z ciemnozielonej krepy, z małymi perłowymi guziczkami i kołnierzykiem z prawdziwej koronki. Stopy wbiłam w zamszowe pantofle na wysokich obcasach i tak obuta założyłam jeszcze śniegowce. Stałam i czekałam na niego, a gdy się nie pojawił o umówionej porze, zaczęłam się martwić, że siostra przełożona wyjdzie z biura i mnie zobaczy, a także że doktor pewnie zapomniał o naszym spotkaniu.

Jednak w końcu się pojawił, zapinając po drodze płaszcz, i mnie przeprosił.

– Nigdy nie można się wyrwać, bo ciągle są jakieś sprawy do załatwienia – powiedział.

Poprowadził mnie pod rozgwieżdżonym niebem wokół budynku do samochodu.

– Nie przewróci się pani? – zapytał, a gdy zaprzeczyłam – chociaż martwiłam się trochę, czy sobie poradzę w zamszowych bucikach – nie zaproponował mi swego ramienia.

Samochód był stary i wysłużony, tak jak większość aut w tamtym czasie. Nie miał też ogrzewania. Kiedy doktor powiedział, że jedziemy do jego domu, poczułam ulgę. Obawiałam się tłumu w hotelu i niespecjalnie miałam ochotę na kanapki w bistro.

Gdy dotarliśmy na miejsce, powiedział, bym nie ściągała płaszcza, dopóki w mieszkaniu się trochę nie ociepli. Od razu zabrał się do rozniecania ognia w żelaznym piecyku opalanym drewnem.

– Teraz zamienię się dla pani w woźnego, kucharza i kelnera – oświadczył. – Za chwilę zrobi się całkiem przyjemnie, a ja szybko przygotuję coś do jedzenia. Tylko proszę nie próbować mi pomagać, wolę pracować sam. Gdzie chciałaby pani poczekać? Może miałaby pani ochotę przejrzeć sobie książki w dużym pokoju? Jeżeli zostanie pani w płaszczu, nie powinna pani zmarznąć. Dom jest

ogrzewany piecami, a ja nie palę w pokoju, który nie jest używany. Włącznik światła znajduje się tuż za drzwiami. Nie uzna pani za niewłaściwe, jeśli posłucham sobie wiadomości? Taki już mam zwyczaj.

Zabrzmiało to raczej jak polecenie. Poszłam więc do dużego pokoju, ale drzwi do kuchni zostawiłam otwarte. Doktor podszedł i zamknął je.

– Dopóki kuchnia się trochę nie ogrzeje – stwierdził krótko i wrócił do słuchania wiadomości. Z radia dobiegał dramatyczny głos spikera stacji CBC, przemawiającego z powagą i niemal religijnym namaszczeniem na temat aktualnych wydarzeń ostatniego roku wojny. A ponieważ nie miałam okazji słuchać tego głosu od czasu wyjazdu z domu dziadków, bardzo żałowałam, że nie mogę zostać w kuchni. Na szczęście w dużym pokoju było mnóstwo książek. Nie tylko na półkach, ale także na stolikach, krzesłach, parapetach i na podłodze – wszędzie sterty. Gdy się im przyjrzałam, doszłam do wniosku, że doktor lubi kupować serie, rozmaite złote kolekcje i prawdopodobnie należy do kilku klubów książki. Klasyka literatury światowej: *The Harvard Classics. Lekcje historii* autorstwa Willa i Ariela Durantów – takie samo wydanie, jakie stało na półce u moich dziadków. Beletrystyka i poezja były mniej licznie reprezentowane, ale znalazłam też trochę klasyki dziecięcej, której nie spodziewałabym się tam zobaczyć.

Książki o amerykańskiej wojnie domowej, wojnach burskich w Afryce Południowej, wojnach napoleońskich, wojnach peloponeskich, kampaniach Juliusza Cezara. *Podróże w głąb Amazonii i Arktyki, Shackleton w okowach lodu, Niepowodzenie wyprawy Franklina, Ekspedycja Donnera i zaginione plemiona, Zasypane miasta Afryki Środkowej, Newton i alchemia, Sekrety gór Hindukuszu*. Tytuły książek wskazują na kogoś złaknionego wiedzy, posiadającego szeroki, choć dosyć przypadkowy zasób wiadomości z różnych dziedzin. Niekoniecznie kogoś o ustalonych gustach i rzetelnej głębokiej znajomości tematu.

Nagle zrozumiałam, że gdy doktor zapytał mnie: „Którą powieść ma pani na myśli?”, wcale nie musiało to oznaczać, że jest znawcą literatury rosyjskiej, tak jak sobie wówczas wyobrażałam.

Kiedy zawołał w moim kierunku: „Gotowe!” i otworzyłam drzwi, w relacjach z nim miałam już nowy oręż w postaci sceptycyzmu.

– Z którym z nich pan się zgadza, doktorze, z Naphtą czy Settembrinim?

– Słucham?

– Mówię o *Czarodziejskiej górze*. Lubi pan Naphtę czy raczej Settembriniego?

– Jeśli mam być szczery, to zawsze uważałem ich obu za straszne gaduły. A pani?

– Settembrini jest bardziej ludzki, ale Naphta chyba ciekawszy.

– Tak pani mówili w szkole?

– Nie czytałam tego w szkole – odparłam chłodno.

Posłał mi szybkie spojrzenie i uniósł brwi.

– Przepraszam. Jeżeli jest coś, co panią interesuje, proszę się nie krępować. Proszę przychodzić tu do mnie i czytać sobie w wolnym czasie. Mógłbym zainstalować grzejnik elektryczny, bo pewnie nie ma pani doświadczenia z piecykami na drewno. Chciałaby pani? Zaraz poszukam dla pani zapasowego klucza.

– Dziękuję.

Na kolację były kotlety schabowe, tłuczone ziemniaki i groszek z puszkki. Na deser jabłecznik z cukierni, który smakowałby znacznie lepiej, gdyby gospodarz podał go na ciepło.

Doktor pytał o moje życie w Toronto, o wykłady na uniwersytecie, o moich dziadków. Powiedział,

że z pewnością zostałam przykładnie wychowana.

– Mój dziadek był liberalnym duchownym, trochę w stylu Paula Tillicha.

– A pani? Jest pani jego małą liberalno-chrześcijańską wnuczką?

– Nie.

– *Touche*. Poczula się pani dotknięta?

– To zależy. Jeżeli wypytuje mnie pan jako mój pracodawca, to nie.

– W takim razie będę pytał dalej. Ma pani narzeczonego?

– Tak.

– W siłach zbrojnych, jak sądzę?

Odparłam, że w marynarce wojennej. Powiedziałam tak z rozmysłem, bo w razie czego zawsze będę mogła się tłumaczyć, że nie otrzymuję od niego regularnie listów i dlatego nie wiem, gdzie aktualnie przebywa. Mogłabym też zasłaniać się tym, że nie pozwolono mu zejść na ląd.

Doktor wstał i przyniósł herbatę.

– Na jakim statku pływa?

– Na korwecie. – Kolejny trafny wybór. Po jakimś czasie będę mogła powiedzieć, że statek został storpedowany, co w przypadku korwet zdarza się nader często.

– Dzielny człowiek. Mleko i cukier do herbaty?

– Nie, dziękuję.

– To dobrze, bo nie mam ani jednego, ani drugiego. Wie pani, kiedy mija się pani z prawdą, dostaje pani wypieków.

Jeżeli wcześniej nie miałam rumieńców, to w tym momencie na pewno ich dostałam. Zrobiłam się cała czerwona, od stóp do głów, a spod pach pociekły mi strużki potu. Miałam tylko nadzieję, że mojej sukience to zbytnio nie zaszkodzi.

– Zawsze dostaję wypieków, gdy piję herbatę.

– Ach, rozumiem.

Gorzej już być nie mogło, więc zdecydowałam się dać odpór jego zaczepkom. Chciałam skupić rozmowę na nim i zapytałam o wykonywane przez niego operacje. Czy to prawda, że usuwa płuca, tak jak słyszałam?

Mógł odpowiedzieć na moje pytanie w ironiczny sposób, okazując mi swoją wyższość – przypuszczalnie w jego pojęciu na tym właśnie polegało flirtowanie – ale ja byłam pewna, że gdyby tak się zachował, włożyłabym płaszcz i wyszła, nie zważając na mróz. Możliwe, że to przeczuwał, bo zaczął mówić o torakoplastyce i wyjaśniać, że to jednak znacznie bardziej radykalna i nieprzyjemna dla pacjenta metoda niż zwykłe nakłucie, wywołujące zapadnięcie się płuca. Co ciekawe, nawet Hipokrates znał ten sposób leczenia. Naturalnie, usunięcie płata płuca również stało się ostatnio dosyć powszechną praktyką.

– Ale czy pacjenci z powodu tych operacji nie odchodzą? – spytałam.

Doktor najwyraźniej doszedł do wniosku, że znowu może sobie zażartować.

– Ależ oczywiście, że tak. Zwiewają i ukrywają się w lesie. Nie wiemy gdzie – może wskakują do jeziora? Czy też chodziło pani o to, że umierają? Zdarza się, że nie umiemy im pomóc. Tak.

Powiedział też, że szykują się wielkie zmiany i operacje, których był zwolennikiem, wkrótce staną się równie przestarzałą metodą leczenia jak puszczanie krwi. Właśnie testowano nowy lek. Streptomycynę. Środek ten próbnie zaczęto już wdrażać do leczenia. Naturalnie pojawiły się pewne problemy, to normalne. Wysoka toksyczność i szkodliwe oddziaływanie na układ nerwowy. Ale

i z tym bez wątpienia niedługo sobie poradzą.

– Rzeźnicy, jak nazywają chirurgów, wkrótce zostaną bez pracy.

Doktor umył talerze, a ja je powycierałam. Przepasał mnie ściereczką do naczyń, żebym nie pobrudziła sobie sukienki. Zawiązał ją, położył mi dłonie na plecach, rozcapierzył palce, a potem zaczął uciskać moje barki zupełnie jakby przystępował do badania. Kiedy tamtej nocy kładłam się spać, wciąż czułam na sobie ten jego mocny dotyk, który narastał, począwszy od małego palca, aż do twardego kciuka. Nawet mi się to podobało. Wywarło na mnie większe wrażenie niż pocałunek w czoło, którym pożegnał mnie później, zanim wysiadłam z jego samochodu. Był on suchy, krótki i formalny, złożony w pośpiechu, niemal władczy.

Klucz do domu doktora znalazłam na podłodze w swoim pokoju, wsunięty tam pod moją nieobecność. Ostatecznie jednak nie zdecydowałam się go użyć. Nie mogłam. Gdyby ktokolwiek inny złożył mi taką propozycję, natychmiast bym z niej skorzystała. Zwłaszcza że miałabym do dyspozycji grzejnik. Ale w tym wypadku obecność doktora, zarówno ta miniona, jak i przyszła, sprawiałaby, że przyjemność korzystania z komfortowych warunków nie dałaby mi odprężenia, a wręcz przeciwnie, ciągle towarzyszyłoby mi nerwowe napięcie. Nie umiałabym się wyzbyć drżenia, nawet gdyby w pokoju nie było wcale zimno, i pewnie nie potrafiłabym tam przeczytać ani jednego słowa.

Sądziłam, że wkrótce Mary wpadnie, żeby mnie zrugać za to, że nie pojawiłam się na przedstawieniu *H.M.S. Pinafore*. Chciałam się wytłumaczyć przed nią złym samopoczuciem. Powiedzieć coś o przeziębieniu. Ale przypominałam sobie, że przecież w sanatorium każde przeziębienie traktowano z najwyższą powagą – należało chodzić w masce, stosować środki odkażające i trzymać się z dala od chorych. Gdy tylko zdołałam to sobie uświadomić, zrozumiałam, że w żaden sposób nie uda mi się ukryć mojej wizyty w domu doktora. Była to tajemnica poliszynela. Znali ją wszyscy, nie wyłączając starszych pielęgniarek, które przykładownie milczały, bo były zbyt wyniosłe i dyskretne albo też flirty i romanse dawno przestały je interesować. Za to młodsze pielęgniarki nie dawały mi spokoju.

– Jak się udała tamtego wieczoru kolacja, smakowała?

Zwracały się do mnie przyjacielskim tonem i z dosyć przychylnym nastawieniem. Wyglądało na to, że cechująca mnie odmienność oraz dobrze już im znany swoisty styl bycia doktora, który akceptowały i przyjmowały z szacunkiem, w pewien sposób pasowały do siebie. Moje notowania wzrosły. Zyskałam mocny punkt – miałam szansę zdobyć mężczyznę.

Mary nie pokazała się przez cały tydzień.

– W następną niedzielę – powiedział doktor, a potem zaaplikował mi pocałunek. Znowu więc czekałam na niego na ganku, tym razem jednak pojawił się punktualnie. Pojechaliśmy samochodem do jego domu, gdzie poszłam od razu do dużego pokoju, a on w tym czasie rozniecał ogień. Zauważyłam zakurzony grzejnik.

– Nie skorzystała pani z mojej propozycji – stwierdził. – Nie wierzyła pani, że mówię serio? Ja nigdy nie składałam pustych deklaracji.

Odparłam, że nie chciałam iść do miasta, bo obawiałam się spotkania z Mary.

– Nie poszłam przecież na jej spektakl.

– To pani życie i chyba nie zamierza pani za każdym razem pytać o zgodę Mary – powiedział.

Menu było bardzo zbliżone do poprzedniego. Kotlety schabowe, tłuczone ziemniaki, zamiast

groszku ziarna kukurydzy. Tym razem doktor pozwolił mi pomagać w kuchni, a nawet poprosił mnie, żebym nakryła do stołu.

– Przy okazji może się pani rozeznać, gdzie co leży. W moim przekonaniu wszystko jest dosyć sensownie poukładane.

To oznaczało, że mogę mu się przyglądać, gdy rozpala w piecu.

Jego łatwość koncentracji, precyzyjne i przemyślane ruchy przyprawiały mnie o dreszcze.

Ledwo zaczęliśmy jeść, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wstał, odciągnął zasuwę i do pokoju wpadła Mary.

Miała ze sobą tekturowe pudło, które postawiła na stole. Zrzuciła płaszcz i pokazała nam się w czerwono-żółtym kostiumie.

– Najlepsze, choć spóźnione życzenia z okazji walentynek! – zawołała. – Ponieważ nie przysłiszcie mnie zobaczyć, ja postanowiłam przyjść do was. Przyniosłam też prezent.

Umiała doskonale utrzymywać równowagę, więc bez trudu, stojąc na jednej nodze, zrzuciła jeden but, a potem drugi. Odsunęła je potem na bok, by móc spokojnie przejść, i zaczęła poruszać się tanecznym krokiem wokół stołu, śpiewając przy tym tęsknym, ale pełnym wigoru głosem:

– Mówią o mnie stokrotka,

Biedna mała stokrotka,

Choć nie mam pojęcia dlaczego.

Wciąż mówią o mnie stokrotka,

Biedna mała stokrotka,

Mała słodka stokrotka to ja...

Doktor podniósł się z krzesła, zanim jeszcze Mary zaczęła śpiewać. Stał przy piecu, zajęty skrobaniem patelni, na której wcześniej smażył kotlety.

Zaczęłam bić brawo.

– Jaki wspaniały strój – powiedziałam.

Kostium Mary naprawdę robił wrażenie. Czerwona spódnica, jaskrawożółta halka, lekki zwiewny fartuszek, haftowana góra.

– Moja mama go dla mnie uszyła.

– Hafty to też jej robota?

– No pewnie. W noc przed występem siedziała do czwartej nad ranem, żeby zdążyć wszystko przygotować.

Jeszcze przez chwilę Mary wirowała i przytupywała, chcąc się jak najlepiej zaprezentować. Aż talerze dzwoniły na półkach. Znów dałam wyraz swojemu uznaniu oklaskami. Obie pragnęłyśmy tylko jednego – by doktor wreszcie się odwrócił i przestał nas ignorować. Żeby powiedział, choćby nawet bez szczególnego entuzjazmu, jedno miłe słowo.

– No i spójrzcie, co jeszcze przyniosłam – powiedziała Mary. – To na walentynki.

Otworzyła kartonowe pudło, a w środku były walentynkowe ciasteczka, wszystkie w kształcie serc, ozdobione grubą warstwą czerwonego lukru.

– Wspaniale się spisałaś, Mary! – powiedziałam i dziewczynka znów zaczęła podrygiwać, wyśpiewując:

– Jestem kapitanem statku Pinafore.

I na pływaniu jak mało kto się znam!

Otóż powiedzieć chciałem wam,

Że jesteście druhy fest i dobrze z wami jest.

Doktor w końcu się odwrócił, a Mary mu zasalutowała.

– No dobrze – powiedział. – Już wystarczy.

Ona zupełnie go zignorowała.

– Więc wiwatujcie głośno, na cześć kapitana!

Mężnego kapitana statku Pinafore...

– Powiedziałem, że już wystarczy.

– Na cześć dzielnego kapitana statku Pinafore...

– Mary, jemy akurat kolację. A ty przyszłaś bez zaproszenia. Rozumiesz? Przyszłaś bez zaproszenia.

Dziewczynka w końcu umilkła. Ale tylko na chwilę.

– Phi! Możecie się wypchać. Nie jesteście dla mnie zbyt mili.

– A ty mogłabyś sobie darować te ciasteczka. Powinnaś przestać jeść słodycze. Bo inaczej wkrótce zrobisz się pulchniutka jak prosiaczek.

Twarz Mary nabrzmiała, jakby dziewczynka miała się rozplakać, ale zamiast tego powiedziała:

– Przyganiał kocioł garnkowi. Niech pan lepiej zacznij leczyć swego zeza.

– Dosyć tego.

– Przecież powiedziałam prawdę.

Doktor postawił przed Mary jej buty.

– Włóż je – powiedział.

Mary zastosowała się do polecenia, ale oczy miała pełne łez i pociągała nosem. Ciężko sapała. Doktor przyniósł płaszcz dziewczynki i nawet nie próbował pomóc jej go założyć, choć nie mogła trafić w rękawy i zapiąć guzików.

– No świetnie. A teraz mów, jak się tu dostałaś?

Nie chciała odpowiedzieć.

– Przyszłaś pieszo, mam rację? Gdzie twoja mama?

– Gra w karty.

– Dobrze, w takim razie odwiozę cię do domu. Żeby czasem z tego rozzalenia nie strzeliło ci do głowy rzucić się w zaspę i tam zamarznąć.

Nie odezwałam się ani słowem, a Mary nawet na mnie nie spojrzała. Szok był zbyt wielki, żeby mówić sobie spokojnie do widzenia.

Kiedy usłyszałam odgłos silnika, zaczęłam sprzątać ze stołu. Nawet nie zaczęliśmy deseru – znowu była to szarlotka. Może on nie znał innego rodzaju ciasta albo w cukierni sprzedawali tylko jabłecznik.

Wzięłam jedno z ciasteczek, które przyniosła Mary, i zjadłam. Lukier był potwornie słodki. Nie sposób było wyczuć smaku jagód ani wiśni, wyłącznie cukier i kolorowy barwnik. Sięgnęłam po kolejne ciasteczko, a potem następne.

Wiedziałam, że powinnam przynajmniej się pożegnać. I podziękować za prezent. Ale to nie miało większego znaczenia. Tak sobie powiedziałam: to nie miało większego znaczenia. Przedstawienie nie było przecież przeznaczone dla mnie. A jeśli nawet, to tylko w niewielkim stopniu.

On postąpił naprawdę okrutnie. Zaszokowało mnie, że potrafił być taki bezwzględny. I to w stosunku do kogoś, kto bardzo potrzebował wsparcia. Ale zrobił to dla mnie, poniekąd. Żeby nikt nie odbierał nam cennego czasu i możliwości spędzenia go tylko we dwoje. Ta myśl mi pochlebiała

i było mi z tego powodu wstyd. Nie wiedziałam, co powinnam mu powiedzieć, kiedy wróci.

Ale okazało się, że on wcale tego ode mnie nie oczekiwał. Wziął mnie do łóżka. Nie wiedziałam, czy zaplanował wszystko wcześniej, czy też wyszło to całkiem naturalnie i było zaskoczeniem tak samo dla mnie, jak i dla niego. Z pewnością nie okazał zdziwienia, iż byłam dziewicą – miał przygotowany zarówno ręcznik, jak i prezerwatywę – nie wycofał się i próbował nie sprawić mi bólu. Nieoczekiwana namiętność, jaką mu okazałam, była niespodzianką dla nas obojga. Wyobraźnia, jak się okazało, potrafi wprowadzić w stan gotowości równie skutecznie co doświadczenie.

– Naprawdę planuję się z tobą ożenić – oświadczył.

Zanim odwiózł mnie do domu, wysypał ciasteczka – wszystkie czerwone serduszka – na śnieg, by nakarmić nimi zmarznięte ptaki.

A więc zostało postanowione. Nasze nagłe zaręczyny – on trochę wzbraniał się przed takim określeniem – stały się faktem, ale wiedzieliśmy o tym tylko my dwoje. Nie wolno mi było wspominać o nich moim dziadkom. Ślub miał się odbyć, gdy tylko on zdoła wygospodarować kilka wolnych dni.

– Wyłącznie skromna uroczystość – oznajmił.

Znaczyło to mniej więcej tyle, że jakakolwiek ceremonia przebiegająca w obecności osób trzecich, których poglądów on nie respektował, przy akompaniamencie głupich śmiechów i chichów zaproszonych gości, była ponad jego siły.

Diamentowy pierścionek też nie wchodził w grę. Powiedziałam mu, że nie chcę mieć takiego pierścionka, co było zresztą zgodne z prawdą, ponieważ nigdy nawet o tym nie myślałam. Odparł, że to dobrze, od razu wiedział, iż nie jestem głupiutką dziewczyną przywiązaną do konwencji.

Lepiej było przestać umawiać się na wspólne kolacje, nie tylko dlatego, że zaczęto by plotkować, ale również ze względu na to, że żywność była racjonowana i jedna kartka na mięso nie starczała, by przygotować posiłek dla dwóch osób. Moją kartkę musiałam przekazać szefowej kuchni sanatoryjnej – czyli mamie Mary – gdy zaczęłam się tam stołować.

Lepiej nie przyciągać niepotrzebnie uwagi.

Oczywiście wszyscy coś podejrzewali. Starsze pielęgniarki stały się w stosunku do mnie bardziej serdeczne i nawet siostra przełożona posłała mi wymuszony uśmiech. A ja dbałam o to, choć niekoniecznie w sposób do końca świadomy, by wyglądać szykownie, a przy tym skromnie. Starłam się, by otaczała mnie aura spokoju i wyciszenia, głowę też miałam zazwyczaj spuszczoną. Nie przyszło mi na myśl, że starsze pielęgniarki po prostu mnie obserwowały, czekając na dalszy rozwój wypadków. Gdyby moje intymne relacje z doktorem nagle się urwały, a on postanowiłby mnie rzucić, były gotowe postąpić stosownie do takiej sytuacji.

Młodsze pielęgniarki stały natomiast całkowicie po mojej stronie i żartowały, że dostrzegły w moich fusach od herbaty kształt dzwonów weselnych.

Marzec był dosyć ponurym miesiącem i w szpitalu sporo się działo. Pielęgniarki twierdziły, że jak coś złego ma się wydarzyć, to właśnie wtedy. Z niewiadomych przyczyn pacjenci gremialnie odchodzili z tego świata właśnie w marcu, gdy już zdołali przetrwać wszelkie niedogodności zimy. Jeżeli jakieś dziecko nie pokazywało się na lekcjach, nigdy nie mogłam być pewna, czy jego stan dramatycznie się pogorszył, czy też było to zwykłe przeziębienie. Na zajęciach korzystałam z przenośnej tablicy, na której wypisywałam nazwiska uczniów. Teraz nie musiałam nawet sama

zmazywać tych, których nieobecność się przedłużała. Bez słowa robiły to za mnie dzieci. Doskonale znały szpitalną etykietę, której ja wciąż nie mogłam opanować.

Doktor znalazł wreszcie czas, by poczynić stosowne kroki w związku z naszym ślubem. Pod drzwi mojego pokoju wsunął karteczkę, żebym się przygotowała na pierwszy tydzień kwietnia. Jeśli nie wydarzy się żadna kryzysowa sytuacja, będzie mógł wziąć wtedy parę dni wolnego.

Jedziemy do Huntsville.

Wyprawa do Huntsville to był nasz sekretny kod oznaczający ceremonię ślubną.

Zaczął się dzień, który z pewnością będę pamiętać do końca życia. Oddałam do czyszczenia moją sukienkę z zielonej krepy, a potem ostrożnie ją zwinęłam i schowałam na noc do torby. Moja babcia nauczyła mnie kiedyś sztuki ciasnego rolowania odzieży, co było znacznie lepszą metodą niż zwykłe składanie rzeczy w kant, bo na ubraniach nie znać było zagnieceń. Przypuszczałam, że będę musiała się przebrać w jakiejś toalecie.

Obserwowałam, czy gdzieś przy drodze nie pokazały się wczesne polne kwiatki, mogłabym ich nazrywać i zrobić bukiet. Czy on zgodziłby się, żebym miała bukiet? Ale było jeszcze zbyt wcześnie na kwiaty, nawet na kaczeńce. Wzdłuż pustej, wijącej się wśród mokradeł drogi rosły tylko wynędzniałe czarne świerczki i kępy płożącego się jałowca. A gdy pokonywaliśmy odcinki drogi wyciętej w skałach, wokół widać było niezwykłą mieszaninę kolorów i form, do której zdążyłam się już w tych stronach przyzwyczać – krwistorude skały przesycone związkami żelaza i pochyłe bloki granitu.

W samochodzie mamy włączone radio, z którego dobiega triumfalna muzyka, jako że alianci są coraz bliżej Berlina. Doktor – Alister – twierdzi, że specjalnie opóźniają marsz, żeby Rosjanie dotarli tam pierwsi. Mówi, że jeszcze będą tego żałować.

Teraz, gdy już wyjechaliśmy z Amundsen, czuję, że wreszcie mogę mówić do niego Alister. To najdłuższa podróż, jaką odbyliśmy razem, i jestem przejęta tym, że on wydaje się nie okazywać mi zainteresowania – chociaż wiem, że za chwilę to się może całkowicie zmienić – a także jego nonszalanckim sposobem prowadzenia samochodu. Ekscytuje mnie, że jest chirurgiem, chociaż otwarcie nigdy bym się do tego nie przyznała. Wyobraźnia podpowiada mi, że mogłabym się dla niego położyć choćby na tej mokrej ziemi czy w jakiejś błotnistej jamie albo też poczuć, jak mój kręgosłup jest wgniatany w skałę, gdyby przyszła mu ochota robić to ze mną na stojąco. Wiem też, że wszystkie te uczucia i pragnienia będę musiała zachować dla siebie.

Zaczynam myśleć o tym, co nastąpi. Jak już dojedziemy do Huntsville, spodziewam się, że znajdziemy pastora i staniemy obok siebie w pokoju, który będzie emanował tą samą skromną szlachetnością, jaka cechowała mieszkanie moich dziadków – w pokoju podobnym do tych, jakich wiele widywałam przez całe życie. Przypominam sobie czasy, kiedy do mojego dziadka zwracano się z prośbą, by udzielił ślubu, nawet wtedy, gdy przeszedł już na emeryturę. Babcia wtarłaby odrobinę różu w policzki i wyjęła ciemnogrnatowy koronkowy żakiet, który zawsze wkładała, gdy pełniła rolę świadka przy takich okazjach.

Ale przyszło mi odkryć, że istnieją też inne sposoby zawierania ślubów i poznać kolejną awersję pana młodego, o której dotychczas jeszcze nie wiedziałam. Otóż nie życzy on sobie mieć do czynienia z pastorami. Pójdziemy do ratusza w Huntsville, wypełnimy formularze, które zaświadczają, że żadne z nas nie jest w związku małżeńskim, i uzgodnimy termin ślubu, który zawrzemy w obecności sędziego pokoju.

Czas na lunch. Alister zatrzymuje się przed restauracją, która mogłaby być siostrą bliźniaczką bistra z Amundsen.

– Odpowiada ci?

Ale gdy widzi wyraz mojej twarzy, zmienia zdanie.

– Nie? W porządku.

Ostatecznie jemy lunch w chłodnej sali reprezentacyjnej jednego z bardziej eleganckich lokali, które specjalizują się w potrawach z drobiu. Dania są letnie i nikogo poza nami tu nie ma. Z radia nie dobiega żadna muzyka, słychać tylko szcęk sztućców, gdy próbujemy pokroić żyłasty drób. Jestem pewna, że Alister uważa, iż w bistrze, które początkowo zaproponował, jedzenie byłoby znacznie lepsze.

Zbieram się na odwagę i pytam, gdzie znajduje się damska toaleta. Jest tam jeszcze zimniej niż w sali jadalnej. Wyciągam swoją zieloną sukienkę, zakładam ją, poprawiam usta i fryzurę.

Gdy stamtąd wychodzę, Alister wstaje, żeby mnie powitać, uśmiecha się, ściska moją dłoń i mówi, że ładnie wyglądam.

Sztywnym krokiem, trzymając się za ręce, wracamy do samochodu. On otwiera drzwi od mojej strony, obchodzi samochód dokoła i siada za kierownicą. Przekręca kluczyk w stacyjce, a potem wyłącza silnik i zaczyna mówić...

Samochód jest zaparkowany przed sklepem z artykułami żelaznymi. Za pół ceny oferują tam łopaty do odśnieżania. W oknie nadal wisi informacja, że można u nich naostrzyć łyżwy.

Po drugiej stronie ulicy stoi drewniany dom pomalowany na żółto olejną farbą. Stopnie od frontu są w kiepskim stanie i dlatego na dole umieszczono dwie skrzyżowane deski, by zagrozić wejście.

Ciężarówka, która parkuje przed autem Alistera, to przedwojenny model, który przy drzwiach ma jeszcze stopień do wsiadania, a na zderzakach ślady rdzy. Ze sklepu z artykułami żelaznymi wychodzi mężczyzna ubrany w kombinezon. Wsiada do ciężarówki. Silnik przez chwilę rzezi, stuka, auto podskakuje w miejscu, w końcu odjeżdża. Po chwili na to samo miejsce próbuje wjechać kolejna, tym razem dostawcza ciężarówka z wypisaną na plandece nazwą sklepu. Nie może się jednak zmieścić, bo wolna przestrzeń jest zbyt mała. Kierowca wysiada, podchodzi do naszego samochodu i puka w okno od strony Alistera.

Doktor jest zaskoczony. Gdyby nie był przed chwilą aż tak bardzo pochłonięty rozmową ze mną, zauważyłby pewnie, co się przed nim dzieje. Opuszcza szybę, a mężczyzna pyta, czy zaparkowaliśmy w tym miejscu dlatego, że chcemy coś kupić. Jeżeli nie, to czy bylibyśmy uprzejmi odjechać?

– Właśnie ruszamy – mówi Alister, siedzący obok mnie mężczyzna, który miał zamiar mnie poślubić, ale zmienił zdanie. – Właśnie odjeżdżaliśmy.

„Ruszamy”. Przez chwilę chwytam się tego słowa. Potem myślę, że powiedział tak po raz ostatni.

To jego „-my” nie jest właściwie najważniejsze i nie dlatego odgaduję prawdę. Podpowiada mi to raczej sposób, w jaki zwraca się do kierowcy ciężarówki – po męsku, rzeczowo i spokojnie przeprosza go za powstałe utrudnienia. Już wolałabym, żeby wróciła ta chwila, kiedy nie spostrzegł, że przed nami próbuje zaparkować ciężarówka. Słowa, które usłyszałam, były straszne. Ale jego dłonie mocno zaciśnięte na kierownicy, ogólne rozkojarzenie i tembr głosu wyrażały ból. Bez względu na to, co wówczas powiedział i myślał, miało to bardzo głęboki wydźwięk, jak wtedy gdy mówił do mnie, kiedy leżeliśmy razem w łóżku. Teraz zaszła w nim zmiana, po tym jak porozmawiał z tamtym mężczyzną. Zamyka okno i całą swoją uwagę skupia na aucie – cofa, starając się wyjechać z ciasnego miejsca i nie uderzyć w samochód dostawczy.

A jeszcze chwilę później cieszyłabym się nawet, gdyby wrócił ten moment, kiedy wyciągał szyję,

by widzieć, co jest za nim. Lepsze to niż jazda samochodem – tak jak teraz – główną ulicą Huntsville, jakby niczemu nie dało się już zaradzić ani nic powiedzieć.

„Nie mogę tego zrobić”, stwierdził.

Powiedział, że nie jest w stanie odnaleźć się w tej sytuacji.

Nie potrafi tego wytłumaczyć.

Tylko tyle – popełnił błąd.

Myślę, że nigdy nie będę umiała spojrzeć na znak informujący, że tu mieści się punkt ostrzeżenia łyżew, i nie słyszeć przy tym jego głosu. Albo na surowe deski zbite razem na krzyż, takie jak te, które zagradzały wejście na schody do żółtego domu, naprzeciwko sklepu.

– Odwiozę cię teraz na dworzec i kupię bilet. Jestem prawie pewien, że późnym popołudniem odjeżdża pociąg do Toronto. Wymyślę jakąś wiarygodną historię i poproszę, by ktoś spakował twoje rzeczy. Musisz mi podać swój adres z Toronto, bo nie sądzę, abym go zachował. Och, no i oczywiście wystawię ci odpowiednie referencje. Świetnie sobie radziłaś. I tak nie mogłabyś pracować tutaj do końca semestru. Nie powiedziałem ci jeszcze, ale dzieci mają być stąd przeniesione. Szykują się wielkie zmiany.

W jego głosie pojawia się nowy ton. Niemal beztroski. Wyraźne doznanie ulgi. Próbuje to ukryć – pomyślałam – do momentu kiedy mnie już przy nim nie będzie.

Obserwuję ulice. Czuję się trochę tak, jakby wieziono mnie na miejsce egzekucji. To jeszcze nie teraz. Dopiero za chwilę. Nie prędzej niż usłyszę jego głos po raz ostatni. Jeszcze nie.

Nawet nie musi pytać o drogę. Zastanawiam się głośno, czy wcześniej też mu się zdarzało wsadzać dziewczyny do tego pociągu.

– Nie bądź taka – mówi.

Każdy zakręt to kolejny kawałek odcięty z tego, co jeszcze pozostało z mego życia.

Pociąg do Toronto odjeżdża rzeczywiście o godzinie piątej. Powiedział, żebym zaczekała w samochodzie, a on pójdzie wszystko sprawdzić. Wraca z biletem w dłoni i chyba lżejszym krokiem. Musiał nagle to sobie uświadomić, bo gdy znalazł się bliżej samochodu, zaczął iść wolniej i bardziej statecznie.

– Na stacji jest ciepło i przyjemnie. Jest też specjalna poczekalnia dla kobiet.

Podchodzi do auta i otwiera mi drzwi.

– Wolalabyś, żebym zaczekał z tobą i cię pożegnał? Może uda nam się gdzieś kupić kawałek dobrego placka? Bo ten nasz obiad był okropny.

Jego słowa budzą mnie z odrętwienia. Wsiadam z samochodu i idę przed nim w stronę dworca. Pokazuje mi poczekalnię dla kobiet. Unosi brew i próbuje po raz ostatni zażartować.

– Może kiedyś uznasz, że był to jeden z najszcześniejszych dni w twoim życiu.

W poczekalni siadam na ławce, z której dobrze widać główne wejście na dworzec. To na wszelki wypadek, by móc go zauważyć, jeśli wróci. Powie mi, że to był tylko żart. Albo próba, jak w średniowieczu.

A może po prostu zmieni zdanie. Gdy będzie jechał autostradą i zobaczy na skałach blade wiosenne słońce, na które tak niedawno patrzyliśmy razem. Uświadomi sobie wtedy, jakie głupstwo popełnił, zatrzyma się na środku drogi, a potem pędem ruszy z powrotem.

Mija co najmniej godzina, zanim na stację wjeżdża pociąg do Toronto, ale dla mnie czas stanął w miejscu. I nawet w tej chwili nie mogę się uwolnić od różnych wyobrażeń, które nieustannie

powstają w mojej głowie. Wsiadam do wagonu, powłóczęc nogami, jakby były skute łańcuchem.

Przyciskam twarz do szyby i lustruję peron, dopóki nie rozlegnie się gwizd oznajmiający odjazd. Jeszcze nawet w tym momencie zdążyłabym wyskoczyć z pociągu. Wyskoczyć, przemknąć przez stację i wybiec na ulicę, gdzie on przed chwilą zdążył zaparkować samochód, a teraz pędzi co sił w nogach po schodach, z nadzieją, że jeszcze nie jest za późno. Modląc się, żeby nie było za późno.

Biegnę, by go powitać, zdążył.

Nagle w pociągu powstaje jakieś zamieszanie. Słysząc krzyki, wrzaski, do wagonu pakuje się nie jeden, lecz cała grupa spóźnialskich, którzy tupiąc i hałasując, przebiegają między siedzeniami. Są to dziewczęta ze szkoły średniej, w sportowych strojach, niezmiernie podekscytowane tym, że narobiły takiego rwetusu. Konduktor jest wyraźnie niezadowolony i przynagla młode pasażerki, które wciąż przepychają się i kotłują, szukając dla siebie miejsca.

Jedna z dziewcząt, niewykluczone, że najbardziej hałaśliwa – to Mary.

Odwracam głowę i nie patrzę więcej w tamtą stronę.

Ale proszę, oto i ona, Mary. Woła mnie, wymawiając na głos moje imię i nazwisko – koniecznie chce wiedzieć, gdzie byłam.

Mówię jej, że przyjechałam tu kogoś odwiedzić.

Z impetem siada obok mnie i oznajmia, że właśnie rozegrały mecz koszykówki z drużyną z Huntsville. Świetnie się przy tym bawiły, ale przegrały.

– Przegrałyśmy, prawda?! – krzyczy do koleżanek, jakby była tym zachwycona. Pozostałe dziewczynki mruczą coś w odpowiedzi i chichoczą. Mary informuje, jaki był wynik, i faktycznie nie ma się czym chwalić.

– Elegancko się pani ubrała – stwierdza Mary. Ale gdy zaczynam się tłumaczyć, słucha mnie bez zaciekawienia.

Nie okazuje też większego zainteresowania, gdy mówię jej, że jadę do Toronto odwiedzić moich dziadków. Rzuca tylko uwagę, że muszą być już bardzo starzy. Ani słowa na temat Alistera. Nawet jednego złośliwego komentarza. A przecież na pewno nie zapomniała tamtej sceny. Po prostu zwinęła dekoracje i schowała je do szafy, razem z wyobrażeniami, które miała wcześniej na swój temat. Możliwe też, że po prostu umie w sposób brawurowy radzić sobie z sytuacją upokorzenia.

Jestem jej teraz za to wdzięczna, nawet jeśli wówczas tego nie czułam. Pograżona we własnych myślach, zastanawiałam się, co mogłabym zrobić, gdy już dojedziemy do Amundsen. A może by tak wyskoczyć z pociągu, pobiec do jego domu i zażądać, by się wytłumaczył i powiedział dlaczego, dlaczego tak postąpił. Musiałabym się potem wstydzić do końca życia. Pociąg stanął tylko na chwilę, tak że koszykarki ledwo zdążyły się pozbierać i zastukać w okna, przyciągając w ten sposób uwagę tych, którzy przyszli po nie na dworzec, a to wszystko przy akompaniamencie przynagleń konduktora, który straszył dziewczyny, że jeśli zaraz nie wysiądą, to pojedą dalej do Toronto.

Przez wiele lat myślałam, czy czasem gdzieś na niego nie wpadnę. Mieszkałam i nadal mieszkam w Toronto. Wydawało mi się, że prędzej czy później wszyscy trafiają do Toronto, przynajmniej na pewien czas. To oczywiście nie oznacza jeszcze, że uda się daną osobę spotkać, no chyba żeby bardzo się postarać.

Ale w moim przypadku tak się w końcu stało. Podczas przechodzenia przez zatłoczoną ulicę, gdzie nie można było nawet na chwilę się zatrzymać. Szliśmy w przeciwnych kierunkach. Spojrzeliśmy na siebie w tym samym momencie, a na naszych postarzałych twarzach, pojawił się wyraz pełnego

zaskoczenia.

Zawołał: „Co słyszeć?!”, a ja odpowiedziałam: „W porządku”. A potem jeszcze dodałam: „Jestem szczęśliwa”.

To stwierdzenie odnosiło się raczej do mojej ogólnej sytuacji życiowej, bo akurat wtedy od dłuższego czasu byłam skłócona z moim mężem – chodziło o to, kto ma spłacać dług zaciągnięty przez jedno z jego dzieci. Tamtego popołudnia chciałam poprawić sobie trochę nastrój i szłam na wystawę do galerii sztuki.

Zawołał za mną raz jeszcze: „No to świetnie!”.

Wydawało się pewne, że za moment wydostaniemy się z tłumu i będziemy razem. Ale równie pewne, niemal nieuniknione było to, że każde z nas pójdzie dalej w swoją stronę. I tak właśnie się stało. Gdy stanęłam wreszcie na chodniku, nikt nie zawołał, niczyja ręka nie dotknęła mojego ramienia. Żadnego wybuchu radości, uścisków, całowania moich włosów. A przecież zdążyłam spostrzec, że jedno oko, lewe, otworzył szerzej – teraz, jak o tym myślę, pamiętam, że zawsze było to lewe oko – i w ułamku sekundy zdołał zarejestrować obraz chwili. Nagłe pragnienie, przebłysk porozumienia.

Przyjęłam, że to jego spojrzenie było wyrazem miłości.

Bo ja z pewnością wciąż go kocham.

Wyjechać z Maverley

W czasach gdy kino było w każdym miasteczku, również tutaj, w Maverley, działała taka instytucja, o jakże banalnej nazwie Capital. Morgan Holly był właścicielem kina i operatorem w jednej osobie. Unikał kontaktów z publicznością – wolał zaszyć się w swojej kabinie, pochłonięty doglądaniem technicznej strony projekcji – dlatego był zaskoczony, gdy bileterka oznajmiła mu, że wkrótce zrezygnuje z pracy, bo oczekuje dziecka. Mógł się tego spodziewać – od pół roku była mężatką, a w tamtych czasach należało zniknąć z widoku, zanim jeszcze cokolwiek było widać – a ponieważ bardzo nie lubił zmian i nie chciał zauważyć, że inni mają także życie prywatne, był tym zirytowany.

Na szczęście bileterka przyprowadziła chętną na zastępstwo. Jej sąsiadka poszukiwała dodatkowej pracy na wieczory. W ciągu dnia pomagała matce opiekować się młodszym rodzeństwem. Była wystarczająco rozgarnięta, ale nieśmiała.

Morgan ją zaakceptował – nie wymagał, żeby zabawiała klientów.

Dziewczyna zaczęła więc pracę. Nazywała się Lea, a pierwszą i jedyną rzeczą, o jaką zapytał ją Morgan, było: skąd pochodzi to imię. Wyjaśniła, że z Biblii. Od razu zauważył, że nowa pracownica nie robi sobie makijażu, a włosy ma gładko zaczesane i ciasno upięte spinkami. Z początku ogarnęły go wątpliwości, czy aby na pewno skończyła szesnaście lat i może legalnie pracować, ale gdy się jej przyjrzał, doszedł do wniosku, że pewnie tak. Zakomunikował, że w dni robocze będzie obsługiwała seanse o dwudziestej, a w soboty dwa, poczynając od dziewiętnastej. Na koniec dnia miała zliczyć utarg i zabezpieczyć go w schowku.

Był tylko jeden problem. Dziewczyna oświadczyła, że w dni robocze będzie wracała do domu sama, ale co do sobót – ojciec jest temu przeciwny, bo nocami dorabia w młynie i nie może po nią przychodzić.

Morgan powiedział, że nie wie, czego można się obawiać w takiej miejscinie jak ta, i już chciał dodać, że jeśli ona widzi tylko same problemy, to niech od razu zrezygnuje z pracy, gdy nagle przypomniał mu się pewien policjant, który często zarywał nocną służbę, by wpaść do kina. Może udałoby się go namówić na odprowadzanie Lei.

Obiecała porozmawiać z ojcem.

Ojciec zgodził się, ale postawił dodatkowy warunek: córce nie wolno oglądać filmów ani nawet słuchać dialogów. Nie zezwalała na to bowiem ich religia. Morgan odparł, że nie po to zatrudnia bileterkę, żeby jej fundować bezpłatne seanse. A co do dialogów, to skłamał, że sala kinowa jest dźwiękoszczelna.

Policjant Ray Elliot brał dyżury na nocnej zmianie, żeby móc za dnia choć trochę pomóc żonie. Wystarczało mu pięć godzin snu nad ranem i popołudniowa drzemka, na którą często brakowało mu jednak czasu, a to z powodu jakiegoś pilnego zajęcia, a to dlatego, że zagadał się z żoną, Isabel. Nie mieli dzieci i mogli sobie pozwolić na rozmowy o dowolnej porze. Mąż przynosił jej z miasta najświeższe wieści, które nieraz rozśmieszały ją do łez, a ona opowiadała mu w zamian o przeczytanych książkach.

Ray zaciągnął się do wojska podczas wojny, gdy miał zaledwie osiemnaście lat. Wybrał lotnictwo, bo tam podobno można było przeżyć najwięcej przygód i umrzeć szybką śmiercią. Służył jako strzelec pokładowy – Isabel nigdy do końca nie zrozumiała, na czym polegała jego rola – i wrócił z wojny cały i zdrowy. Pod koniec przydzielono go do nowej załogi, a po zaledwie kilku tygodniach ta, z którą tak długo wcześniej latał, została zestrzelona i zginęła w boju. Wrócił do domu z nieokreślonym poczuciem, że musi zrobić coś sensownego z życiem, które w tak niewyjaśniony sposób zostało mu darowane, ale nie wiedział co.

Po pierwsze, należało skończyć szkołę średnią. W jego miasteczku, z inicjatywy wdzięcznych współobywateli, założono właśnie specjalną placówkę dla weteranów, którzy chcieli uzupełnić wykształcenie, a potem wybrać się na studia. Isabel pracowała tam jako nauczycielka języka i literatury angielskiej. Była trzydziestoletnią mężatką. Jej mąż również był weteranem i dosłużył się znacznie wyższego stopnia niż uczniowie z jej klasy. Miała zamiar popracować jeszcze rok z pobudek patriotycznych, a potem poświęcić się życiu rodzinnemu. Podzieliła się tymi przemyśleniami z grupą, a uczniowie za jej plecami komentowali, że niektórzy faceci to mają wyjątkowe szczęście i zgarniają wszystko, co najlepsze.

Ray niechętnie słuchał tych uwag, bo zakochał się w swojej nauczycielce. A ona w nim, co było jeszcze bardziej zaskakujące. Wszyscy patrzyli na ten związek z rezerwą, tylko nie oni sami. Doszło do rozwodu, który wywołał skandal wśród członków jej wielce ustosunkowanej rodziny, a byłego męża wręcz dobił, bo małżeństwo z Isabel planował od czasów, gdy oboje byli jeszcze dziećmi. Ray nie musiał mierzyć się z równie delikatną sytuacją i trudnymi rozmowami, gdyż miał nieliczną rodzinę, a w dodatku krewni uznali, że skoro zamierza wżenić się w tak wysokie sfery, to będą mogli tylko sporadycznie się z nim kontaktować. Może myśleli, że Ray od takiej oceny się odżegna i ich uspokoi, ale on nie poczynił żadnego sprostowania. Uważał, że pora zacząć życie od nowa. Isabel miała zamiar nauczać do czasu, gdy Ray skończy college i zdobędzie jakąś pozycję zawodową, czymkolwiek miałby się zajmować.

Ale plany musiały ulec zmianie. Isabel nie czuła się bowiem dobrze. Z początku myśleli, że to nerwy. Ciężkie przeżycia. Całe to głupie zamieszanie.

Przyszły jednak bóle. Przy każdym głębszym oddechu. Kłucie pod żebrem i lewą łopatką, które bagatelizowała. Żartowała, że to kara boska za jej miłosne podboje, ale Bóg niepotrzebnie się wysiła, tym bardziej że ona i tak w niego nie wierzy.

Zdiagnozowano zapalenie osierdzia, schorzenie poważne, które ona niestety zaniedbała. Choroba była nieuleczalna, ale dało się z nią żyć – mimo wielu problemów. Musiała porzucić posiadłość. Każde przeziębienie mogło okazać się fatalne w skutkach, a gdzie łatwiej o infekcję niż w klasie? W tej sytuacji znalazła się na utrzymaniu Raya, dlatego musiał podjąć pracę jako policjant w Maverley, niewielkim miasteczku przy granicy hrabstw Grey i Bruce. Nie poczytywał sobie tego za krzywdę, a i ona wkrótce pogodziła się z częściowym odosobnieniem.

Nie rozmawiali o jednej tylko sprawie. Żadne z nich nie miało pewności, czy drugie jest w stanie pogodzić się z tym, iż nie będą mieli dzieci. Ray pomyślał, że może dlatego Isabel tak bardzo interesuje się młodziutką dziewczyną, którą odprowadzał do domu w sobotnie wieczory.

– Szkoda mi jej – powiedziała na wieść o zakazie oglądania filmów, a jeszcze bardziej przejęła się, słysząc, że dziewczyna nie chodzi do szkoły średniej, bo musi pomagać w domu.

– A przecież, jak mówisz, jest taka inteligentna.

Ray nie pamiętał, żeby coś takiego powiedział. Na pewno wspominał za to o dziwnej nieśmiałości cechującej dziewczynę i wynikających z tego problemach, jak choćby braku wspólnych tematów do

rozmowy. Na nic się zdały pytania w rodzaju: „Jaki jest twój ulubiony przedmiot w szkole?”, bo przecież nie chodziła już do szkoły, a dociekanie, co było kiedyś, nie miało większego sensu. Bez sensu było też pytać: „Co chciałabyś robić, jak dorośniesz?”. Ona już była dorosła pod każdym względem i bardzo szybko znalazła pracę w sam raz dla siebie. Również próba dowiedzenia się, czy podoba jej się miasto i czy tęskni za okolicą, w której kiedyś mieszkała, nieważne gdzie, okazała się bezskuteczna. A imiona i wiek młodszego rodzeństwa zdążyli już z grubsza omówić. Kiedy spytał o psa lub kota, odparła, że nie mają zwierząt.

W końcu jednak sama zadała pytanie. Chciała wiedzieć, z czego ludzie tak się śmiali podczas zakończonego właśnie seansu.

Nie zganił jej, że miała nie podsłuchiwać. Ale też nie mógł sobie przypomnieć, co tak bardzo rozbawiło publiczność. Nadmienił więc tylko, że pewnie jakiś głupi drobiazg – ludzie zawsze śmieją się nie wiadomo z czego. A jego samego filmy niezbyt wciągają, zwłaszcza że ogląda je zwykle na raty, więc nie śledzi dokładnie fabuły.

– Fabuła – powtórzyła.

Musiał jej wytłumaczyć, co to jest – zdarzenia przedstawione w filmie. Od tamtej pory nie mieli już problemu z konwersacją. I nawet nie musiał jej przypominać, by o tych rozmowach nie wspominała w domu. Sama to wiedziała. Nie miał streszczać jej filmów – czego i tak nie byłby pewnie w stanie zrobić – raczej wyjaśniać przebieg fabuły. Mówił, że wiele z nich jest o oszustach i niewinnych ludziach, a oszuści zawsze z początku nieźle na swoich krętaństwach wychodzą. Nabierają ludzi, którzy śpiewają w nocnych klubach (to takie miejsca, gdzie się tańczy) albo czasami, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, śpiewają gdzieś na szczycie góry lub w jakiejś innej niezwykłej scenerii, a przez to tylko opóźnia się akcja. Zdarzają się filmy w kolorze. Ze wspaniałymi kostiumami – to wtedy gdy fabuła osadzona jest w przeszłości. Poprzebierani aktorzy w efektowny sposób mordują się nawzajem. Po twarzach kobiet płyną sztuczne, glicerynowe łzy. Dzięki zwierzęta, rzekomo żyjące w dżungli, tak naprawdę są pewnie przywożone z zoo i specjalnie na tę okazję drażnione, żeby zachowywały się odpowiednio groźnie. Zabici natychmiast ożywają, gdy tylko kamera odjedzie. I mają się dobrze, choć dopiero co leżeli zastrzeleni lub konali pod toporem kata, a ich głowy spadały do kosza – to wszystko starał się jej wytłumaczyć.

– Powinieneś oszczędzać jej takich szczegółów – powiedziała Isabel. – Będzie przez to miała koszarne sny.

Ray nie widział powodów do obaw, bo dziewczyna raczej dawała się wciągać w opowieści, nie protestowała i nie czuła się nimi przytłoczona. Szybko wszystko kojarzyła i nigdy nie pytała, co to takiego pień do egzekucji, ani nie dziwiły jej zbyt ścięte głowy. Lea zachowywała się tak – mówił żonie – jakby chłoneła każdą zasłyszaną opowieść, a nie tylko ekscytowała się nią czy była zadziwiona. Odnosił wrażenie, że w pewnym sensie przestała pasować do swojej rodziny. Nie przejawiało się to w okazywaniu krewnym pogardy, czy choćby uszczypliwości. Była po prostu niesamowicie myślącą osobą.

A potem jeszcze dodał z przykrością, choć nie do końca wiedział, dlaczego tak się czuje:

– Prawdę mówiąc, nieciekawą ma dziewczyna przyszłość przed sobą.

– Cóż, może moglibyśmy ją z tego wyrwać – powiedziała Isabel.

Wtedy ostrzegł ją. Chciał, by zachowywała się poważnie.

– Nawet o tym nie myśl.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem (jeszcze zanim chwyciły tęgie mrozy) Morgan przyszedł na posterunek policji, około północy w zwykły dzień roboczy, by zgłosić zaginięcie Lei.

Wiedział, że dziewczyna wykonała swoje zwykłe obowiązki: skończyła sprzedaż biletów, zatrzasnęła okienko, schowała utarg gdzie trzeba i ruszyła w stronę domu. On sam zamknął kino po seansie, a kiedy wyszedł, ujrzał nieznaną mu kobietę. Spytała go, co się stało z Leą. To była jej matka. Ojciec wciąż jeszcze pracował w młynie, więc Morganowi przyszło do głowy, że może dziewczyna postanowiła go odwiedzić. Matka była zupełnie zdezorientowana, dlatego zaproponował, by udali się razem do młyna i osobiście sprawdzili. Wtedy ona – ta matka – wybuchła płaczem i zaczęła błagać, by tam nie szli. Więc Morgan odwiózł ją do domu z nadzieją, że może Lea tymczasem wróciła, ale nic takiego się nie stało, dlatego postanowił zawiadomić Raya. Nie uśmiechała mu się perspektywa przekazania wieści ojcu dziewczyny.

Ray od razu postanowił jechać do młyna, ponieważ był jeszcze cień szansy, że Lea tam właśnie trafiła. Ale oczywiście okazało się, że ojciec nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jest córka, a na dodatek wpadł we wściekłość, że żona wyszła z domu i próbowała sama działać, bez jego zezwolenia.

Ray spytał o przyjaciół dziewczyny i wcale nie był zdziwiony, gdy usłyszał, że Lea nie ma żadnych. Kiedy Morgan pojechał do siebie, Ray udał się do domu zaginionej. Jej matka nadal była zupełnie rozbita, tak jak to opisał Morgan. Młodsze rodzeństwo nie spało, przynajmniej część z nich, ale żadne nie powiedziało ani słowa. Dzieci drżały albo ze strachu, widząc nieznanego, albo z panującego w domu zimna, które, jak zauważył Ray, stawało się coraz bardziej przejmujące. Prawdopodobnie ogrzewanie działało według zasad ustalonych przez ojca.

Lea miała na sobie zimowe palto – tyle się od nich dowiedział. Pamiętał to brunatne, workowate okrycie w kratkę i pomyślał, że przez jakiś czas na pewno ochroni ją od zimna. Podczas wizyt Morgana i Raya w domu Lei zaczął padać dość gęsty śnieg.

Ray skończył zmianę, wrócił do żony i o wszystkim jej opowiedział. Potem wyszedł z domu, a ona nawet nie próbowała go zatrzymać.

Po godzinie zjawił się bez pomyslnych wieści i tylko zakomunikował, że lada moment drogi staną się nieprzejezdne z powodu pierwszej prawdziwej zadymki tej zimy.

Tak się też stało, i to zanim nastał świt. Miasto zostało odcięte od świata, a pługi starały się utrzymać przejezdność tylko głównej ulicy. Zamknięto prawie wszystkie sklepy. W tej części miasta, gdzie mieszkała rodzina Lei, nastąpiła awaria elektryczności i nie było na to rady, bo wiatr tak wyginał drzewa, że zamiatały gałęziami ziemię.

Policjant z dziennej zmiany wpadł na pomysł, który Rayowi nie przyszedł do głowy. Należał do Zjednoczonego Kościoła i wiedział, chyba od żony, że Lea co tydzień pomagała pastorowej w prasowaniu. Obaj z Rayem odwiedzili więc probostwo, by dowiedzieć się czegoś, co rzuciłoby światło na sprawę zniknięcia dziewczyny, ale na próżno. Po chwilowym przeblysku nadziei jej przypadek wydał się im jeszcze bardziej beznadziejny.

Raya ogarnęło lekkie zdziwienie, że Lea znalazła sobie kolejną pracę i wcale o niej nie wspomniała. Tym bardziej że w odróżnieniu od kina zajęcie to nie stanowiło żadnego okna na świat.

Postanowił odpocząć po południu i rzeczywiście zdołał zdrzemnąć się z godzinkę. Isabel usiłowała nawiązać z nim rozmowę podczas kolacji, ale żaden temat go nie interesował. Ray wracał ciągle do wizyty u pastora i podkreślał życzliwą, pełną troski postawę jego żony, zwłaszcza że sam

pastor zachował się nie tak, jak przystało na duchownego – zdenerwowały go te odwiedziny, zupełnie jakby goście przeszkodzili mu w pisaniu kazania. Zawołał żonę i dopiero ona uświadomiła mu, kim jest zaginiona: „Przypominasz sobie dziewczynę, która pomaga mi w prasowaniu? Lea, pamiętasz?”. Na pożegnanie wyraził nadzieję, że sprawa wkrótce się wyjaśni, a z powodu wiatru ledwo udało mu się zamknąć za gośćmi drzwi.

– No, a co miał zrobić? – stwierdziła Isabel. – Odmówić modlitwę?

Ray odparł, że wcale by nie zaszkodziło.

– Wszyscy poczuli by się tym skrupowani i uświadomiliby sobie własną bezsilność – ucięła Isabel. A po chwili dodała jeszcze, że to widocznie bardzo nowoczesny pastor, który preferuje inne, mniej tradycyjne formy zwracania się do Boga.

Bez względu na pogodę trzeba było podjąć jakieś próby poszukiwań. Przetrząsnięto szopy i dawno nieużywane stodoły, by sprawdzić, czy w którejś nie schroniła się dziewczyna. Bezskutecznie. Lokalna radiostacja podała rysopis zaginionej.

Jeśli Lea postanowiła wyjechać, to chyba złapała jakąś okazję jeszcze przed zadymką, co można było przyjąć z nadzieją, ale i niepokojem.

W radiu określono ją jako osobę niską, chociaż Ray uważał, że była nieco więcej niż średniego wzrostu. Zgodnie z opisem miała proste włosy koloru jasnobrązowego, a on skłonny był ją uznać za ciemnowłosą, niemal brunetkę.

Ani ojciec Lei, ani żaden z jej braci nie przyłączyli się do poszukiwań. Trzeba jednak wyjaśnić, że chłopcy byli od Lei młodszy i bez zgody ojca nie mogli tak naprawdę nawet wyjść z domu. Kiedy Ray ich odwiedził, przedarłszy się przez zasy na piechotę, ojciec już od progu oświadczył, że jego córka na pewno uciekła. Tylko Bóg może ją w tej sytuacji ukarać, on już nie. Ray nie został nawet zaproszony do środka, by się ogrzać. Może ciągle jeszcze nie palono w piecach?

Zawieja przycichła nazajutrz koło południa. Pługi zabrały się do pracy i udrożniły ulice miasteczka. Przystąpiono do oczyszczania szosy i poproszono kierowców, żeby zwracali uwagę na zasy, czy nie dostrzegą w nich ciała zamarznętej nieszczęśnicy.

Następnego dnia do miasteczka dotarł ambulans pocztowy i przywiózł list adresowany do pastora i jego żony. Dziewczyna informowała, że wyszła za mąż. Jej wybrankiem został saksofonista jazzowy, a przy okazji syn pastora. Pan młody umieścił własnoręczny dopisek: „Niespodzianka, co?”. Tak przynajmniej sobie powtarzano, choć Isabel w to nie wierzyła, no chyba że na pocztce otwierano nad parą cudze listy.

Saksofonista nie wychowywał się w miasteczku, bo jego ojciec był wtedy przydzielony do innej parafii. A potem rzadko odwiedzał rodziców. Większość mieszkańców nie znała go nawet z widzenia. W kościele się nie pojawiał. Przed kilku laty przedstawił rodzicom pewną kobietę. Mocno umalowaną i szykowną. Chodziły słuchy, że była jego żoną, ale najwidoczniej nie.

Ile razy Lea spotkała saksofonistę w domu pastora? Byli tacy, którzy wiedzieli. Podobno tylko raz. Ray usłyszał to na posterunku policji, gdzie plotki krążyły jak w maglu.

Isabel uznała całą tę historię za niesamowitą. I nie winiła uciekinierów. Przecież nie sprowadzili burzy śnieżnej na miasteczko.

Okazało się, że i ona pamiętała trochę tego saksofonistę. Któregoś dnia, gdy choroba pozwoliła jej wyjść z domu, spotkała go na pocztce, bo akurat przyjechał odwiedzić rodziców. Oczekiwała na zamówioną płytę, która nie nadchodziła. Spytał ją o tytuł, a ona mu go podała. Teraz już nie pamięta, o jaką płytę chodziło. Ale wyznał jej wtedy, że sam uprawia zupełnie inną muzykę. Od razu domyśliła się, że ma do czynienia z przyjezdnym. Dziwnie się nad nią nachylał i pachniał owocową

gumą do zucia. Nie wspomniał nic, że jest synem pastora, ale ktoś inny jej o tym powiedział, po tym jak nieznajomy życzył jej powodzenia, uklonił się i wyszedł.

Próbował z nią flirtować, a przynajmniej miał świadomość własnego uroku. Wspomniał, że jak już płyta nadejdzie, mogliby jej razem posłuchać. Uznała to wtedy za żart.

Wciąż pytała Raya, czy to z powodu jego filmowych opowieści Lea postanowiła wyruszyć w szeroki świat.

Ray nie przyznał się, w jaką rozpacz popadł, gdy dowiedział się o zniknięciu dziewczyny. Kiedy prawda wyszła na jaw, poczuł wielką ulgę.

Niemniej jednak Lea odeszła. I chociaż nie było w tym nic szczególnie niezwykłego lub niedającego nadziei, z niezrozumiałych powodów poczuł się urażony. Jakby oczekiwał, że powinna była chociaż zasugerować, iż w jej życiu dzieje się coś ważnego.

Jej rodzice wraz z całą rodziną też wkrótce wyjechali i chyba nikt nie wiedział dokąd.

Gdy Ray przeszedł na emeryturę, stary pastor i jego żona wciąż mieszkali w mieście. Zajmowali ten sam dom, który nadal nazywano probostwem, choć w rzeczywistości nie miał już z tą funkcją nic wspólnego. Młoda żona nowego pastora zgłaszała zastrzeżenia do budynku, więc przełożeni kościoła, zamiast zrobić remont, woleli zbudować dla nich nowy dom i nie wysłuchiwać więcej skarg. Stary pastor odkupił podniszczony budynek za niewygórowaną cenę. Dzięki temu mieli dość miejsca dla syna muzyka, który wraz z żoną i dziećmi przyjeżdżał do nich w odwiedziny.

A dzieci było dwoje – najpierw urodził się chłopiec, a potem dziewczynka. Ich imiona podawała w kronice urodzin miejscowa gazeta. Przyjeżdżały rzadko, przeważnie z samą Leą; ich ojciec był zajęty przygotowaniem do występów czy czegoś w tym rodzaju. Ani Isabel, ani Ray nie natknęli się na nich podczas tych wizyt.

Isabel czuła się lepiej, niemal wróciła do zdrowia. Gotowała tak wyśmienicie, że oboje musieli trochę przystopować z jedzeniem, zwłaszcza jeśli chodzi o smakołyki. Widywała się w mieście z kilkoma paniami, by czytać i omawiać arcydzieła literatury. Kilka uczestniczek wkrótce zrezygnowało, bo kształt spotkań rozmijał się z ich oczekiwaniami, ale pozostałe były bardzo usatysfakcjonowane. Isabel cieszyła się na myśl o fermencie, jaki wywoła czytanie *Nieba*, bo właśnie zabierały się za twórczość starego pocziwego Dantego Alighieri.

Pewnego dnia Isabel zemdląła, czy raczej zasłabła, ale nie poszła do lekarza, aż Ray się na nią zdenerwował. Twierdziła jednak, że to tylko chwilowe pogorszenie samopoczucia, do czego i on się przyczynił swoim złym nastrojem. Potem przeprosiła i pogodzili się, ale jej serce na tyle osłabło, że wkrótce musieli zatrudnić pielęgniarkę, by czuwała nad Isabel, gdy Raya nie było w domu. Na szczęście mieli trochę pieniędzy – jej ze spadku i jego z niewielkiej podwyżki, której dochrapał się, mimo że nadal, z własnego wyboru, pracował tylko na nocną zmianę.

Któregoś letniego poranka, wracając do domu, wstąpił na pocztę. Czasami przesyłki czekały do odbioru nawet o tak wczesnej porze, ale nie zawsze. Tamtego ranka niczego jeszcze nie było.

Idąc chodnikiem, w jaskrawym świetle, spotkał Leę. Pchała przed sobą wózek spacerowy, w którym siedziała mała, na oko dwuletnia dziewczynka i kopała w metalowy podnóżek. Drugie dziecko, znacznie grzeczniejsze, trzymało się maminej spódnicy. A raczej – długich pomarańczowych spodni. Założyła do nich luźną białą bluzkę przypominającą podkoszulek. Jej włosy nabrały blasku, a uśmiech stał się tak promienny jak nigdy dotąd i po prostu go oczarował.

Mogłaby właściwie uchodzić za jedną z nowych znajomych Isabel, które najczęściej wywodziły

się spośród młodych lub dopiero co przybyłych do miasta kobiet, choć zdarzały się też osoby starsze, dawniej nastawione trochę bardziej zachowawczo, a teraz pod presją nowoczesności zmieniające język i poglądy. Żałował, że nie udało mu się odebrać z poczty świeżej prasy. Na szczęście nie było to już tak ważne dla Isabel. Do niedawna nie mogła żyć bez swoich ulubionych magazynów, pełnych poważnych tekstów okraszonych dowcipnymi rysunkami, które bardzo ją śmieszyły. Nawet reklamy futer i biżuterii wprawiały ją w doskonały humor, miał więc nadzieję, że tak samo cieszyłaby się dzisiaj. Dobrze, że będzie przynajmniej miał jej o czym opowiadać. O Lei.

Lea powitała go radośnie jak nigdy wcześniej i udawała zdziwienie, że zdołał ją rozpoznać, chociaż, jak to ujęła, stała się już niemal starszą panią. Przedstawiła najpierw córeczkę, która nawet na niego nie spojrzała, tylko dalej rytmicznie tłukła nóżkami o wózek, a potem synka – ten z kolei, zapatrzony w dal, mówił coś do siebie. Zwróciła się do niego z uśmiechem, bo kurczowo trzymał się nogawki jej spodni:

– Przejdziemy teraz przez ulicę, dobrze, serduszko?

Na imię miał David, a dziewczynka – Shelly. Ray nie przypominał sobie tych imion z kącika „Nasi milusińscy” w lokalnej gazecie. Oba jednak wydały mu się modne.

Powiedziała, że mieszka z dziećmi u teściów. Nie że ich odwiedza. Mieszka z nimi. Dopiero później sobie to uświadomił i nie wiedział, czy wyraziła się tak celowo.

– Właśnie idziemy na pocztę.

Wyjaśnił, że on stamtąd wraca, bo jeszcze nie skończyli sortować przesyłek.

– Oj, szkoda. A myśmy myśleli, że dostaniemy list od tatusia, prawda, Dawidku?

Chłopczyk znowu uchwycił się jej ubrania.

– Poczekamy, aż skończą. Na pewno dadzą nam jakiś liścik.

Można było odnieść wrażenie, że nie chce się z Rayem rozstawać, on zresztą też nie miał ochoty odchodzić, ale o czym mogli rozmawiać?

– Idę do apteki – rzucił.

– Stało się coś?

– Muszę odebrać lekarstwo dla żony.

– Ale mam nadzieję, że to nic poważnego.

W tym momencie poczuł się jak nielojalny mąż i odparł krótko:

– Nie. Nic takiego.

Spojrzała za plecy Raya i powitała kogoś równie serdecznie jak niedawno jego.

Był to pastor Zjednoczonego Kościoła – ten nowy, czy raczej prawie nowy, którego żona domagała się nowocześniejszego domu.

Zapytała obu panów, czy mieli już przyjemność się poznać, a oni potwierdzili. Powiedzieli to jednak tak, by dać do zrozumienia, że znają się niezbyt dobrze i wcale im to nie przeszkadza. Ray spostrzegł, że pastor nie ma koloratki.

– Jeszcze mnie pan nie przyłapał na żadnym wykroczeniu – powiedział pastor, siląc się na dowcip. Uścisnął dłoń Raya.

– Mam szczęście, bo od dawna chciałam o coś pana zapytać, pastorze. I wreszcie udało mi się pana spotkać – powiedziała Lea.

– Miło mi – odrzekł pastor.

– Chodzi o szkółkę niedzielną – ciągnęła Lea. – Bo tak sobie myślę, że mam te dwa szkraby, one szybko rosną i pora się zastanowić, co z zapisami.

– Racja – zgodził się pastor.

Ray zauważył, że mężczyzna należy do tych, którzy nie lubią publicznie utożsamiać się ze stanem duchownym. Na ulicy wolał nie być kojarzony z kościołem i rozpoznawany jako pastor. Starał się ukryć swoje skrępowanie na tyle, na ile potrafił, i widać było, że rozmowa z dziewczyną taką jak Lea sprawiała mu przyjemność, stanowiąc rodzaj rekompensaty.

– Musimy to omówić – powiedział. – Jestem gotowy na spotkanie w dowolnej chwili.

Ray rzucił, że na niego już pora.

– Miło cię było spotkać – zwrócił się do Lei i skłonił głowę, żegnając duchownego.

Odchodząc, był bogatszy o dwie informacje. Lea zamierzała tu pozostać dłużej, skoro chciała zapisać dzieci do szkoły niedzielnej. Poza tym wydawała się trwać przy wartościach, które ukształtowały w niej religia i wychowanie.

Miał nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkają, ale okazja się nie powtórzyła.

Po powrocie do domu powiedział Isabel, jak bardzo zmieniła się Lea, a ona odparła:

– Doprawdy, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

Zareagowała w ten drażliwy sposób, bo nie mogła się już doczekać, kiedy Ray wreszcie wróci i poda jej kawę. Opiekunka przychodziła dopiero na dziewiątą, a od czasu ostatniej próby samodzielnego przygotowania kawy, która skończyła się poparzeniem, Izabel nie wolno było samej szykować gorących napojów.

Sprawy zaczęły iść w złym kierunku i do Bożego Narodzenia nastąpiło kilka kryzysów, wreszcie Ray wziął urlop i pojechali do miasta, gdzie łatwiej było o specjalistów. Isabel została z miejsca przyjęta do szpitala, a Ray zamieszkał w pokoju dla zamieszcowych, którzy towarzyszyli chorym. Nagle odpadły mu wszelkie obowiązki poza długimi odwiedzinami u Isabel. Na początku próbował dostarczać jej rozrywki w postaci ożywionych rozmów o przeszłości lub spostrzeżeń na temat innych pacjentów, których przelotnie spotykał. Bez względu na pogodę, niemal codziennie, chodził na spacer i o nich również opowiadał żonie. Przynosił gazetę i czytał jej wiadomości. Wreszcie powiedziała:

– Bardzo to miłe z twojej strony, kochanie, ale ja mam już to wszystko poza sobą.

– W jakim sensie poza sobą? – spróbował ją odwieść od smutnych myśli.

– Daj spokój, proszę cię.

Ray zajął się więc czytaniem po cichu jakiejś książki ze szpitalnej biblioteki. Dodała wtedy:

– Nie przejmuj się, jeśli zamknę oczy. I tak czuję twoją obecność.

Jakiś czas temu przeniesiono ją z Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej do czteroosobowej salki, którą zajmowały pacjentki w podobnym stanie. Jedna co jakiś czas krzyczała do Raya:

– Całuj nas, całuj!

Pewnego dnia na miejscu Isabel zastał inną kobietę. Przemknęło mu przez myśl, że żona zmarła i nikt go nie powiadomił, ale gadatliwa pacjentka z łóżka w kącie sali krzyknęła z nutą radości, czy też tryumfu w głosie:

– Jest na górze!

Okazało się, że Isabel nie obudziła się tego ranka, więc przeniesiono ją na piętro, które zajmowali pacjenci w jeszcze gorszym stanie niż panie z czteroosobowej salki – właściwie nie mieli szans na wyzdrowienie, ale wciąż kurczowo trzymali się życia.

– Może pan wracać do domu – usłyszał. – Jeżeli nastąpi jakakolwiek zmiana stanu pacjentki, poinformujemy pana.

Była to rozsądna propozycja, bo skończył mu się przydział na miejsce w pokoju dla członków rodziny, a limit urlopu przysługującego w policji zdążył już przekroczyć. Wszystko wskazywało na to, że powinien wracać do Maverley.

Jednak mimo wszystko został w mieście. Zatrudnił się w służbie porządkowej szpitala – sprzątał, czyścił i zmywał podłogi. Wynajął umeblowane mieszkanie, bez żadnych luksusów, ale w sąsiedztwie szpitala.

Do Maverley pojechał na krótko. Właściwie po to tylko, żeby zlecić agencji nieruchomości sprzedaż domu z całym wyposażeniem. Zdał się całkowicie na pośrednika, gdyż wszystkie lata, które tam przeżył, odeszły w przeszłość i nie liczyły się już wcale.

Po przyjeździe dowiedział się o skandalu, jaki wywołał pastor Zjednoczonego Kościoła, któremu żona wytoczyła sprawę rozwodową z powodu zdrady. Już sam ten fakt był wystarczająco obciążający i powinien był go skłonić do wyciszenia afery, zabiegania o rehabilitację lub usunięcia się do jakiejś zapadłej parafii na odludziu. On jednak postanowił grać swoją rolę w świetle jupiterów. Przyznał się do niewierności, a nawet więcej. Zakwestionował całą swoją posługę w Zjednoczonym Kościele, twierdząc, że głoszenie Ewangelii i dziesięciorga przykazań, w które właściwie nie wierzy, oraz udzielanie konwencjonalnych i niezyciowych porad odnośnie do miłości i spraw seksu, jest z gruntu nieszczerze. I oto teraz uznaje siebie za człowieka wyzwolonego, który życie cielesne celebrytuje w równym stopniu jak duchowe. Kobietą, która go do tych wniosków doprowadziła, była Lea. Jej mąż, muzyk, wrócił do niej podobno jakiś czas temu, ale go odtrąciła. On już wtedy twierdził, że to za namową pastora, ale ponieważ mąż był pijakiem, nikt mu do końca nie uwierzył. Chyba poza jego własną matką, która wyrzuciła Leę z domu i przejęła opiekę nad dziećmi.

Dla Raya cała ta sprawa była jedną wielką obrzydliwą marnością. Zdrada, pijaństwo i skandale – kto tu zawinił, a kto padł ofiarą? Jaki sens się tym zajmować? Dziewczyna wrosła w środowisko i przejęła metody, którymi się ono kierowało. Całkowita strata czasu, zmarnowane życie, ludzie uganijający się za uciechami i lekceważący to, co naprawdę istotne.

Oczywiście, gdy mógł jeszcze porozmawiać z Isabel, wszystko wyglądało inaczej. I nie dlatego, że żona próbowała znaleźć odpowiedź, ale dlatego, że potrafiła mu uświadomić inny wymiar każdego problemu. A wreszcie kwitowała każdą sprawę śmiechem.

W pracy nieźle sobie radził. Zaproponowano mu członkostwo w klubie kręglarskim, ale podziękował z braku czasu. Prawdę mówiąc, miał go sporo, ale cały poświęcał Isabel. Analizował każdą zmianę, szukał wyjaśnienia. Nic nie mogło ująć jego uwadze.

– Ma na imię Isabel – przypominał pielęgniarkom, które mówiły do niej: „No, kochana, i po krzyku” albo: „A teraz droga pani, na drugi boczek, siup”.

Po jakimś czasie zaakceptował ich sposób zwracania się do chorej. Zaszły też zmiany – jeśli nie u Isabel, to w nim.

Przez długi czas odwiedzał ją codziennie.

Potem co drugi dzień. A wreszcie dwa razy w tygodniu.

Cztery lata. Był przekonany, że to swoisty rekord. Zapytał więc o zdanie tych, którzy się nią opiekowali, i usłyszał: „Już prawie, prawie”. Zawsze mówili niejasno, na każdy temat.

Porzucił przekonanie, że Isabel myśli. Nie czekał już, by otwarła oczy. Jednak nie potrafił odejść i zostawić jej samej.

Ze szczupłej kobiety przemieniła się nie tyle w dziecko, co raczej w niezgrabny i zdeformowany

worek kości targany nieregularnym oddechem, który mógł lada chwila ustać.

Ze szpitalem połączone były przestronne sale używane do ćwiczeń i rehabilitacji. Zwykle ziały pustką, sprzęt stał pod ścianami, a lampy były zgaszone. Ale któregoś wieczoru Ray, wychodząc ze szpitala, obrał inną drogę i zauważył w salach zapalone światła.

Gdy wszedł, aby sprawdzić, co się dzieje, zobaczył jakąś kobietę. Siedziała okrakiem na wielkiej piłce do ćwiczeń i odpoczywała albo zastanawiała się, co dalej robić.

Była to Lea. W pierwszym momencie jej nie poznał, ale potem przyjrzał się jeszcze raz i... tak, ona. Gdyby wcześniej się zorientował, pewnie by nie wszedł, ale teraz, w drodze do wyłącznika prądu dotarł już do środka sali, nie mógł się wycofać. Dostrzegła go.

Zsunęła się z piłki. Miała na sobie strój gimnastyczny i nietrudno było zauważyć, że znacznie przybrała na wadze.

– Tak sobie właśnie myślałam, że kiedyś na siebie wpadniemy – powiedziała. – Jak się czuje Isabel?

Zdziwił się, że nazywa jego żonę po imieniu, że w ogóle mówi o niej tak, jakby ją znała.

Zwięźle opisał stan Isabel. Niewiele dało się powiedzieć.

– Mówisz do niej? – zapytała.

– Już nie tyle, co kiedyś.

– A powinno się. Nie wolno do nich przestawać mówić.

Skąd u niej takie przeświadczenie, że na każdy temat ma coś do powiedzenia?

– Zdziwiłeś się na mój widok? Pewnie niejedno o mnie słyszałeś? – spytała.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

– Co nieco – rzucił.

– Już dosyć dawno dowiedziałam się, że tu jesteś. Dlatego przypuszczałam, że i ty o mnie wiesz.

Odparł, że nic o niej nie słyszał.

– Prowadzę rehabilitację dla pacjentów z rakiem. Jeżeli są wystarczająco sprawni i chętni do ćwiczeń.

Powiedział, że według niego to dobry pomysł.

– Oczywiście. Mnie też ta praca pomaga. Ogólnie nieźle się czuję, ale czasami dopada mnie zły nastrój. Szczególnie podczas kolacji. Nachodzą mnie dziwne myśli.

Zauważyła, że za nią nie nadąża, nie rozumie, i była gotowa, nawet bardzo chętna, by wyjaśnić szczegóły.

– Brak mi dzieci i w ogóle. Wiedziałaś, że ich ojciec je zabrał?

– Nie – odparł.

– Tak się stało, bo uznali, że jego matka lepiej się nimi zajmie. On jest w AA i tak dalej, orzeczenie byłoby inne, gdyby nie ona.

Pociągnęła nosem i zalała się łzami, niemal zapominając o jego obecności.

– Nie przejmuj się – to tylko tak dramatycznie wygląda. Łzy same mi płyną. Płacz nie jest złą rzeczą, chyba że ktoś wpadnie w rutynę.

Ten członek AA to zapewne saksofonista. A co z pastorem i jak to się wszystko ułożyło?

Zupełnie jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

– No i jeszcze Carl. To była niezła afera. Powinien mnie chyba zbadać psychiatra. Carl ponownie się ożenił. Zaraz się lepiej poczuł. Bo wtedy uwolnił się od wszystkiego, co się ze mną wiązało. I w dodatku dosyć zabawnie to wyszło, bo ożenił się z pastorem. Wiesz, że dzisiaj kobiety mogą nimi

być? No więc ona jest pastorem. A on jest teraz jakby żoną pastora. Można umrzeć ze śmiechu.

Po łzach nie zostało już śladu, Lea się uśmiechała, ale Ray wiedział, że to jeszcze nie koniec, nie potrafił tylko zgadnąć, co za chwilę nastąpi.

– Pewnie już sporo czasu tu mieszkasz. Masz swoje mieszkanie?

– Tak.

– Sam sobie gotujesz i w ogóle?

Powiedział, że tak.

– Mogłabym ci w tym pomóc od czasu do czasu, chciałbyś?

Oczy jej zabłyśły, gdy utkwiała w nim wzrok.

Powiedział, że może i tak, tylko problem w tym, że jego mieszkanie jest za małe, żeby mogły tam równocześnie przebywać dwie osoby.

A później dodał, że już od kilku dni nie był u Isabel, więc musi teraz do niej pójść.

Lekko skinęła głową na znak, że rozumie. Nie wyglądało na to, że zrobiło jej się przykro lub poczuła się odrzucona.

– Do zobaczenia.

– Na razie.

Wszędzie go szukali. Isabel w końcu odeszła. Tak powiedzieli – odeszła, zupełnie jakby wstała i wyszła. Podczas ostatniej kontroli, przed godziną, jej stan był jak zwykle bez zmian, a teraz odeszła.

Często się zastanawiał, jak to będzie.

A jednak pustka po niej była zdumiewająca.

Spoglądał na pielęgniarkę zdziwiony. Zrozumiała, że pyta ją, co powinien teraz robić, jakie są procedury, więc zaczęła mu wyjaśniać. Tłumaczyła powoli. Rozumiał doskonale, ale ciągle jeszcze był pogrążony w zadumie.

Zawsze myślał, że to z Isabel stało się już dawno. Ale nie, dopiero teraz.

Istniała, a teraz już jej nie ma. Tak zupełnie jakby jej nigdy nie było. A dokoła ludzie biegają, coś załatwiają. Jakby te załatwiania mogły w czymś pomóc, anulować to, co się stało. On również podporządkował się tym praktykom, podpisał wszystko, co mu kazano, by można było – jak to ujęli – roztoczyć opiekę nad doczesnymi szczątkami zmarłej.

Co za trafne słowo – szczątki. Jakby chodziło o jakieś pozostałości, resztki gromadzące się na półkach kredensu.

Po niedługim czasie wyszedł, udając, że tak jak innych ludzi czeka go mnóstwo zwyczajnych i ważnych spraw, którymi musi się zająć.

Zabrał ze sobą pustkę, jedynie pustkę, jakby nagle zabrakło mu powietrza, nie mógł oddychać i miał wrażenie, że ten stan będzie trwał wiecznie.

Dziewczyna, z którą rozmawiał, którą znał z dawnych czasów, mówiła o swoich dzieciach. O utracie dzieci. I że można się przyzwyczaić. O złym samopoczuciu przy kolacji.

O ile ona była ekspertem od utraty, o tyle on był w tej dziedzinie nowicjuszem. Przez chwilę nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. Stracił je, choć kiedyś znał tak dobrze. Tracić, utracony.

Los nieźle sobie z niego zażartował.

Wchodził do siebie po schodach, gdy nagle przypomniał sobie jej imię.

Lea.

Cóż za niesamowita ulga, że sobie przypomniał.

Żwir

W tamtym czasie mieszkaliśmy niedaleko żwirowni. Nie jakiejś ogromnej, gdzie pracowałyby monstrualnej wielkości maszyny. To była nieduża żwirownia, z której już dawno temu jakiś miejscowy farmer musiał czerpać zyski. Prawdę mówiąc, żwirownia wydawała się na tyle płytka, że można było wziąć ją za wykop pod budowę domu, którego nigdy nie wzniesiono.

Moja matka wciąż nawiązywała do niej w rozmowie.

– Mieszkamy koło starej żwirowni, przy wylocie drogi prowadzącej ze stacji obsługi pojazdów – zwykła mówić ludziom ze śmiechem, bo taka była zadowolona, że udało jej się odseparować od wszystkiego, co wiązało się z domem, ulicą – mężem, życiem, które wiodła wcześniej.

Ja ledwo pamiętam tamto dawne życie. To znaczy przypominam sobie wyraźnie niektóre epizody, ale nie potrafię odtworzyć obrazu całości. Z domu, który mieliśmy w mieście, została mi w pamięci tapeta w misie z mojego starego pokoju. W nowym domu, który właściwie był przyczepą, moja siostra Caro i ja miałyśmy wąskie łóżka umieszczone jedno nad drugim. Kiedy się tam wprowadziłyśmy, Caro dużo mi opowiadała o naszym starym miejscu zamieszkania, próbując mnie zmusić, bym sobie przypominała to czy tamto. Robiła tak zawsze wtedy, gdy już leżałyśmy w łóżkach, i zwykle nasze rozmowy kończyły się tym, że ja nie mogłam przywołać w pamięci dawnych wydarzeń, a ona się na mnie złościła. Czasem już mi coś prawie świtało w głowie, ale z przekory lub obawy, że coś przekręcę, wołałam udawać, że nie pamiętam.

Kiedy przeprowadziłyśmy się do przyczepy, było akurat lato. Towarzyszyła nam suczka Blitzee.

– Blitzee uwielbia to miejsce – mówiła matka i to była prawda. Który pies nie wolałby zamienić ulicy w mieście, nawet takiej z dużymi trawnikami i przestronnymi domami, na rozległe, ciągnące się po horyzont wiejskie okolice? Blitzee obszczekiwała każdy przejeżdżający pojazd, jakby cała droga należała do niej, a od czasu do czasu przynosiła do domu upolowaną wiewiórkę albo świstaka. Początkowo Caro bardzo się tym martwiła. Neal rozmawiał z nią na ten temat, tłumacząc tajniki psiej natury i łańcucha życia, w którym jedne zwierzęta pożerają inne.

– Przecież dostaje swoje psie jedzenie – upierała się Caro.

– A gdyby go nie dostawała? A jeśli któregoś dnia zostałaby zupełnie sama, bez nas i musiałaby dawać sobie jakoś radę? – spokojnie kontynuował swój wywód Neal.

– Nigdy jej nie zostawię – odpowiedziała Caro. – Zawsze będę się nią opiekować.

– Tak myślisz? – zapytał, a wtedy wtrąciła się matka, żeby odwieść Neala od jego ulubionego tematu.

Neal zawsze był chętny do rozmowy o Amerykanach, grzybie atomowym i tym podobnych sprawach, a nasza matka uważała, że my nie jesteśmy jeszcze na to gotowe. Nie przyszło jej nawet do głowy, że kiedy on rozprawiał o grzybie atomowym, ja wyobrażałam sobie jakiś gigantyczny grzyb wyhodowany przez Amerykanów. Nie byłam jednak pewna, czy dobrze wszystko rozumiem, i dlatego wołałam nie zadawać pytań, by się nie ośmieszyć.

Neal był aktorem. W mieście działał profesjonalny teatr letni, zupełna nowość w tamtym czasie.

Niektórzy ludzie byli do tego projektu nastawieni entuzjastycznie, a inni martwili się, że teatr ściągnie do miasta różne szumowiny. Moi rodzice zaliczali się do grupy entuzjastów, a zwłaszcza matka, bo miała więcej czasu. Ojciec był agentem ubezpieczeniowym i dużo podróżował. Matka wciągnęła się w działalność na rzecz teatru, zbierała fundusze i pomagała również, pracując jako bileterka. Była bardzo atrakcyjna i młoda, tak że równie dobrze mogła uchodzić za aktorkę. W pewnym momencie zaczęła się też nosić jak artystka, zakładała powłóczyste spódnice, szale i długie naszyjniki. Włosom pozwalała swobodnie spływać na ramiona i przestała robić sobie makijaż. Oczywiście ja w tamtym okresie byłam za mała, by coś z tego rozumieć albo zauważyć jakiegokolwiek zmiany. Matka to matka. Natomiast bez wątpienia nie uszło to uwagi Caro. No i mojego ojca. Chociaż znając jego naturę i uczucia, jakimi darzył mamę, myślę, że mógł być z niej dumny, bo tak pięknie wyglądała w tych swoich nowych strojach i tak dobrze się rozumiała z artystami. Kiedy opowiadał o tych latach później, twierdził, że zawsze aprobował sztukę. Mogę sobie teraz wyobrazić, jak bardzo zażenowana byłaby matka i jak bardzo starałaby się pokryć śmiechem swoje zakłopotanie, gdyby ojcu przyszło na myśl złożyć taką deklarację w obecności jej teatralnych przyjaciół.

No cóż, a potem rzeczy potoczyły się tak, jak można było przewidzieć, i pewnie wiele osób tego właśnie się spodziewało, ale nie mój ojciec. Trudno mi stwierdzić, czy podobne historie przytrafiły się również innym osobom, które zgłosiły się do pomocy w teatrze. Wiem jednak, chociaż tego nie pamiętam, że mój ojciec płakał i przez cały dzień chodził za matką, nie spuszczać jej z oczu i wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. A ona, zamiast podnieść go na duchu, powiedziała coś, co go dobiło.

Wyznała, że dziecko jest Neala.

Była tego pewna?

Całkowicie. W pełni kontrolowała sytuację.

I co się stało później?

Ojciec przestał płakać. Musiał wrócić do pracy. Matka spakowała nasze rzeczy i zabrała nas ze sobą. Zamieszkałyśmy razem z nią i Nealem w przyczepie, którą on wynalazł, na wsi za miastem. Potem matka powiedziała, że ona też płakała. Ale przynajmniej poczuła ulgę. Może po raz pierwszy miała pełną świadomość tego, że naprawdę żyje. Uważała, że otrzymała szansę od losu. Mogła zacząć wszystko od nowa. Porzuciła nie tylko męża, ale także swoje srebra, porcelanę, urządzone mieszkanie, ogród pełen kwiatów i nawet ukochane książki stojące w bibliotece. Teraz miała zacząć żyć, a nie zajmować się czytaniem. Zostawiła ubrania wiszące w szafie, buty na obcasach z włożonymi do środka prawkami, brylantowy pierścionek i obrączkę na toaletce, jedwabną koszulę nocną w szufladzie. Planowała, że gdy zamieszkamy na wsi, będzie się starała chodzić nago, dopóki pogoda na to pozwoli. Ale ten pomysł nie wypalił, bo gdy próbowała wprowadzić go w życie, Caro popędziła do łóżka i zwinęła się w kłębek. Nawet Neal nie był jakoś szczególnie entuzjastycznie nastawiony do tego projektu.

Neal. Co właściwie o tym wszystkim myślał? Jego filozofią życiową, jak to później wyłożył, było akceptować w pełni to, co niesie życie. Wszystko jest darem. Dajemy i bierzemy.

Do ludzi, którzy głoszą takie teorie, nie mam zaufania, co nie znaczy, że moje podejrzenia są uprawnione.

Neal nie był tak naprawdę aktorem, tylko eksperymentował, jak sam twierdził. W ten sposób chciał dowiedzieć się jak najwięcej o samym sobie. Gdy studiował w college'u, zanim jeszcze

z niego wyleciał, występował jako członek chóru w *Królu Edypie* Sofoklesa. Podobało mu się to – lubił się w coś bez reszty angażować, współdziałać z innymi. Później, na ulicy w Toronto, wpadł na znajomego, który wybierał się na przesłuchania w sprawie pracy sezonowej. Chciał zaciągnąć się do nowej trupy aktorskiej, która miała dawać przedstawienia na prowincji. Neal poszedł razem z nim, bo akurat nie miał nic lepszego do roboty, i ostatecznie to on dostał angaż, a znajomy odszedł z kwitkiem. Neal miał zagrać rolę Banka. Czasami reżyserzy woleli, by duch Banka ukazywał się na scenie naprawdę, a czasami nie. Tym razem zdecydowano, że duch Banka się pojawi. Neal idealnie się do tego celu nadawał, bo miał odpowiedni wzrost i w ogóle był pokaźnych rozmiarów. Solidny kawał ducha.

Neal planował, że zimę również spędzi w naszym mieście, jeszcze zanim moja matka ujawniła radosną wiadomość. Już wcześniej upatrzył sobie przyczepę. Znał się też na tyle dobrze na stolarce, by móc wykonywać prace renowacyjne w teatrze, a tym samym przetrwać jakoś do wiosny. Dalej już nie planował, bo nie widział takiej potrzeby.

Caro nawet nie musiała zmieniać szkoły. Zabierał ją szkolny autobus, który stawał na końcu drogi biegnącej obok zwirowni. Musiała zaprzyjaźnić się z wiejskimi dziećmi, a może też wyjaśnić to i owo swoim przyjaciółom z miasta, z którymi przyjaźniła się w poprzednim roku, ale nawet jeśli miała z tego powodu jakieś problemy, ja nigdy o tym nie słyszałam.

Blitzee zawsze czekała na nią przy drodze, by razem wrócić do domu.

Ja nie poszłam do przedszkola, ponieważ matka nie miała samochodu. Ale nie tęskniłam za towarzystwem innych dzieci. Wystarczała mi Caro, kiedy już wracała do domu.

Matka często była w radosnym nastroju. Tamtej zimy, gdy tylko spadł śnieg, ulepiłyśmy wspólnie bałwana, a ona poprosiła:

– Możemy dać mu na imię Neal?

Zgodziłam się i powtykałyśmy w niego różne rzeczy, żeby zabawnie wyglądał. Potem zdecydowałyśmy, że wybiegnę z domu, gdy nadjedzie samochód Neala, i zawołam: „Neal! Neal!”, pokazując na bałwana. I tak zrobiłam, ale Neal wysiadł z auta wściekły, krzycząc, że mógł mnie przejechać.

To był jeden z nielicznych momentów, kiedy widziałam, że zachowuje się jak ojciec.

Tamte krótkie zimowe dni musiały wydawać mi się dziwne – w mieście o zmierzchu zapalano światła. Ale dzieci szybko przyzwyczajają się do zmian. Czasami myślałam sobie o naszym dawnym domu. Nie chodzi o to, że za nim tęskniłam albo że znów chciałabym tam zamieszkać – zastanawiałam się tylko, gdzie się podział.

Relacje mojej matki z Nealem nadal dobrze się układały, co dotyczyło również nocy. Kiedy się budziłam i musiałam iść po ciemku do łazienki, wołałam matkę. Przychodziła uśmiechnięta, ale nie spieszyła się zbytnio. Owinięta była kawałkiem materiału albo szalem. Również pachniała w charakterystyczny sposób, który kojarzył mi się ze światłem świec oraz muzyką. I z miłością.

Potem coś się wydarzyło, coś niezbyt krzepiącego i dodającego otuchy, ale ja w tamtym czasie nawet nie starałam się tego zrozumieć.

Blitzee, nasza suczka, nie należała do dużych psów, ale nie była też na tyle mała, żeby się zmieścić pod płaszczem Caro. Nie mam pojęcia, jak siostra zdołała tego dokonać. I to nie raz, lecz dwa razy. Ukryła psa pod płaszczem, wsiadając do szkolnego autobusu, a potem zamiast iść prosto na lekcje, zabrała Blitzee do naszego starego domu w mieście, który znajdował się tylko trochę dalej niż szkoła.

I właśnie tam mój ojciec znalazł psa, gdy przyszedł do domu na samotny lunch – na zimowej werandzie, której nie zamykał na klucz. Był bardzo zdziwiony, że Blitzee do niego dotarła, znalazła drogę do domu zupełnie jak psy, o których piszą w powieściach.

Najwięcej szumu wokół tego robiła sama Caro. Twierdziła, że nie widziała suczki przez cały ranek. Ale jakiś tydzień później popełniła błąd, próbując powtórzyć tę akcję, i chociaż ani w autobusie, ani w szkole znów nikt niczego nie zauważył, to matka tym razem zaczęła ją podejrzewać.

Nie pamiętam, czy mój ojciec odwiózł wtedy Blitzee do nas. Jakoś nie wyobrażam go sobie w przyczepie, ani nawet na prowadzącej do niej drodze. Może Neal pojechał do naszego domu w mieście i zabrał ją. Co wcale nie znaczy, że tę drugą wersję łatwiej jest sobie wyobrazić.

Jeśli z mojej opowieści wynika, że Caro była osobą nieszczęśliwą albo knującą jakieś intrygi, nie jest to zgodne z prawdą. Tak jak powiedziałam, rzeczywiście próbowała nakłonić mnie do wspomnień, gdy wieczorem leżałyśmy w łóżkach, ale to nie znaczy, że bez końca wylewała żale. Dąsanie się nie leżało w jej naturze. Za wszelką cenę starała się wyrzucić dobre wrażenie. Chciała, żeby ludzie ją lubili; uwielbiała podgrzać atmosferę w pokoju do tego stopnia, że można by nawet mówić o ogólnej wesołości. Bardziej o to zabiegała niż ja.

Ona bardziej przypominała naszą matkę, jak mi się teraz wydaje.

Jeśli chodzi o psa, musiało zostać przeprowadzone w tej sprawie małe dochodzenie. Myślę, że trochę tę sytuację pamiętam.

– Zrobiłam to dla żartu.

– Chcesz wrócić i zamieszkać ze swoim ojcem?

Zdaje się, że takie właśnie padło pytanie i z tego, co pamiętam, Caro powiedziała: nie.

Nie dociekałam. To, co zrobiła, wcale nie wydawało mi się dziwne. Tak prawdopodobnie reagują małe dzieci – zachowania starszego i bardziej przebojowego rodzeństwa nigdy nie przyjmują jako czegoś nadzwyczajnego czy niewyobrażalnego.

Pocztą, która do nas przychodziła, była wrzucana do metalowej skrzynki zawieszanej na słupie, stojącym kawałek dalej przy drodze. Matka i ja lubiłyśmy chodzić tam każdego dnia, chyba że pogoda była bardzo nieprzyjemna. Po listy szłyśmy po mojej drzemce. Czasami była to w ogóle jedyna chwila w ciągu dnia, kiedy wychodziłyśmy z domu. Rano oglądałyśmy w telewizji programy dla dzieci – albo ona czytała, a ja oglądałam. (Nie na długo zarzuciła czytanie). Przygrzewałyśmy sobie zupę z puszki na lunch, a potem ja szłam się trochę zdrzemnąć, a ona dalej czytała. Matka, wydawało mi się, była okazałej postury, zwłaszcza wtedy, gdy dziecko w jej brzuchu stale rosło i poruszało się, tak że nawet ja mogłam to wyczuć. Miało nosić imię Brandy – już mówiliśmy o nim Brandy – bez względu na to, czy miał być to chłopiec, czy dziewczynka.

Pewnego dnia, gdy szłyśmy alejką w kierunku skrzynki i właściwie byłyśmy już całkiem niedaleko, matka nagle zatrzymała się i zastygła w bezruchu.

– Cicho – powiedziała do mnie, chociaż nie odzywałam się ani słowem i nawet nie szurałam, tak jak to lubiałam robić, butami po śniegu.

– Przecież jestem cicho – zaprotestowałam.

– Ciiii – zawracamy.

– Ale nie zabrałyśmy listów.

– Nic nie szkodzi. Po prostu chodź.

Wtedy zauważyłam, że Blitzee, która zawsze nam towarzyszyła z tyłu albo biegła z przodu, gdzieś

przepadła. Po drugiej stronie drogi, kilka metrów od skrzynki na listy, stał jakiś inny pies.

Gdy tylko dotarliśmy do domu, matka wpuściła Blitzee, która na nas czekała, i zadzwoniła do teatru. Nikt nie odebrał telefonu. Wtedy zadzwoniła do szkoły i poprosiła kogoś o przekazanie kierowcy autobusu, żeby wysadził Caro pod samymi drzwiami. Okazało się, że jednak nie mógł podjechać tak blisko naszej przyczepy, bo śnieg znowu zasypał drogę, choć Neal niedawno ją odśnieżał. Ale zczekał, aż Caro bezpiecznie dotarła do drzwi. Wilka nie było już wtedy w pobliżu.

Neal był zdania, że wilk w ogóle nie istniał. A gdyby jakimś cudem rzeczywiście tam wtedy się pojawił, to i tak nie stanowił dla nas żadnego zagrożenia, bo po okresie snu zimowego z pewnością był bardzo osłabiony.

Wtedy Caro powiedziała, że wilki nie zapadają w sen zimowy.

– Uczyliśmy się o nich w szkole.

Matka chciała, żeby Neal kupił broń.

– Myślisz sobie pewnie, że zaopatrzę się w spluwę, pójdę i zastrzelę tę cholerną wilczycę, ot tak. Biedaczka ma pewnie na wychowaniu stado szczeniąt ukrytych gdzieś w lesie i po prostu stara się je chronić, tak jak ty chronisz własne dzieci – dodał cicho.

– Tylko dwoje – wtrąciła się Caro. – W jednym miocie jest tylko dwoje młodych.

– Okej, okej. Nie rozmawiam z tobą.

– Tego nie możesz wiedzieć – powiedziała matka. – Nie możesz wiedzieć, czy to zwierzę ma gdzieś do wykarmienia głodne szczeniaki.

Nigdy bym nie pomyślała, że matka będzie z nim rozmawiać w taki sposób.

– Spokojnie, po co te nerwy, wyluzuj trochę i pomyśl. Broń to okropna rzecz. Gdybym rzeczywiście ją kupił, co musiałbym wtedy powiedzieć? Uznać, że wojna w Wietnamie była sprawiedliwa? I że właściwie ja sam też powinienem był tam pojechać?

– Nie jesteś Amerykaninem.

– Przestań mnie wkurzać.

Tak mniej więcej wyglądała wymiana zdań między nimi, która skończyła się tym, że Neal nie musiał jednak kupować broni. A wilka nigdy potem już nie widziałyśmy, jeśli to w ogóle był wilk. Wydaje mi się, że matka przestała chodzić po listy, może dlatego, że zrobiła się taka duża i nieporadna i nie byłaby już w stanie tego robić.

Śniegu w magiczny sposób ubywało. Drzewa nadal były gołe i bezlistne, dlatego matka wciąż nakazywała Caro wkładać rano płaszcz, ale gdy moja siostra wracała po szkole do domu, ciągnęła zawsze okrycie za sobą.

Matka uważała, że dziecko w niej to muszą być bliźnięta, ale doktor powiedział, że wcale nie.

– Świetnie, wspaniale – mówił Neal, któremu idea bliźniąt jak najbardziej przypadła do gustu. – Co ci lekarze mogą wiedzieć.

Wyrobisko zwirowni po brzegi wypełniała woda z topniejącego śniegu i padającego deszczu, dlatego Caro musiała obchodzić je dokoła, by móc dotrzeć do miejsca, gdzie stawał autobus. Zwirownia zamieniła się w małe jezioro, nieruchome i błyszczące pod czystym niebem. Caro zapytała, bez większej nadziei na to, że uzyska zgodę, czy może się tam bawić.

Matka odparła, że trzeba zachować zdrowy rozsądek.

– To wyrobisko musi mieć ze dwadzieścia stóp głębokości – powiedziała.

– Najwyżej z dziesięć – oświadczył Neal.

– Tuż przy brzegu na pewno nie jest aż tak głęboko – upierała się Caro.

Matka stwierdziła, że owszem, jest głęboko.

– Od razu gwałtowny spadek – powiedziała. – Tu nie można sobie bezpiecznie wejść do wody jak na plaży. Zrozum to wreszcie, do kurwy nędzy, i trzymaj się od tego miejsca z daleka.

Matka zaczęła używać słowa „kurwa” dosyć często, może nawet częściej niż Neal. W dodatku mówiła to okropnie poirytowanym tonem.

– Czy nie powinniśmy też bardziej pilnować psa, żeby nie próbował tam wchodzić? – zapytała go.

Neal odparł, że tym zupełnie nie musimy się martwić.

– Psy potrafią pływać.

Sobota. Caro oglądała ze mną *Przyjaznego olbrzyma*^[8] i wciąż rzucała jakieś komentarze, które tylko przeszkadzały. Neal leżał na kanapie. Była to rozkładana kanapa, która służyła jemu i mojej mamie za łóżko. Palił swoje ulubione papierosy. Nie mógł tego robić w pracy, więc palił je przeważnie w weekendy, w przyczepie. Caro niekiedy mu się naprzykrzała i mówiła, że chciałaby spróbować. Raz jej pozwolił, ale zabronił chwalić się tym przed naszą matką.

Ale ja przy tym byłam, więc jej powiedziałam.

Matka bardzo się zdenerwowała, ale raczej nie można by tego nazwać awanturą.

– Przecież wiesz, że gdyby się o tym dowiedział, natychmiast wyrwałby stąd dzieci i tyle byśmy je widzieli – powiedziała. – Nigdy więcej tego nie rób.

– Nigdy więcej – posłusznie odparł Neal. – A co będzie, jak on postanowi je otruć i doda jakiegoś świństwa do płatków Rice Krispies?

Początkowo w ogóle nie widywałyśmy się z ojcem. Potem, po Bożym Narodzeniu, uzgodniono, że będziemy się z nim spotykać w soboty. Nasza matka miała w zwyczaju pytać później, czy dobrze się bawiłyśmy. Ja zawsze odpowiadałam twierdząco i rzeczywiście tak myślałam – w moim przekonaniu wyjście do kina, wycieczka nad jezioro Huron albo obiad w restauracji były dobrą zabawą. Caro też odpowiadała twierdząco, ale tonem, który sugerował, że matce nic do tego. Potem ojciec wyjechał na ferie zimowe na Kubę (matka mówiła o tym ze zdumieniem i chyba aprobatą) i wrócił stamtąd z przewlekłą gripą, co sprawiło, że nasze wizyty zostały chwilowo zawieszono. Miałyśmy znów zacząć go odwiedzać na wiosnę, ale do tej pory to nie nastąpiło.

Kiedy program się skończył i zgasł telewizor, Caro i ja zostałyśmy odesłane na dwór, żebyśmy trochę sobie pobiegały, jak powiedziała matka, i zaczerpnęły świeżego powietrza. Zabrałyśmy ze sobą psa.

Gdy byłyśmy już na zewnątrz, od razu poluzowałyśmy szaliki, którymi matka opatuliła nam szyje – zwisały teraz swobodnie i ciągnęły się za nami. (Trzeba powiedzieć, chociaż może w tamtym czasie nie umiałyśmy połączyć ze sobą tych dwóch faktów, że im dłużej matka była w ciąży, tym bardziej stawała się zwykłą mamą, przynajmniej jeśli chodzi o kwestię szalików, których wcale wtedy nie potrzebowałyśmy, czy też jedzenia regularnych posiłków. Zachowywała się znacznie mniej wyzywająco niż jesienią, kiedy to usilnie broniła swego prawa do niekonwencjonalnego stylu życia). Caro zapytała mnie, co chciałabym robić. Była to tylko formalność z jej strony, za to ja odpowiedziałam zupełnie szczerze, że nie wiem. W każdym razie pozwoliłyśmy suczce biegnąć z przodu, a Blitzee wpadła na pomysł, by bliżej przyjrzeć się zwirowni. Wiatr smagał tafłę wody, tak że na jej powierzchni tworzyły się zmarszczki, i bardzo szybko zrobiło nam się zimno, więc z powrotem obwiązałyśmy sobie szyje szalikami.

Nie wiem, jak długo wędrowałyśmy brzegiem wykopu w przekonaniu, że z przyczepy nie da się

nas zauważyć. Po jakimś czasie nagle dotarło do mnie, że dostałam zadanie do wykonania.

Miałam wrócić do przyczepy i powiedzieć o czymś Nealowi i naszej matce.

Że pies wpadł do wody.

Że pies wpadł do wody, a Caro bała się, że zwierzak utonie.

Blitzee. Utopiła się.

Utopiła.

A przecież Blitzee nie była w wodzie, stała na brzegu.

Ale mogła wejść. A Caro mogła wskoczyć do wody, by ją ratować.

Wydaje mi się, że nadal upierałam się przy swoim, że przecież nie skoczyła, nie skoczyłyście, wprawdzie tak mogłoby się zdarzyć, ale się nie zdarzyło. Przypomniałam też to, co mówił Neal, że psy się nie topią.

Caro powiedziała, że mam zrobić tak, jak mi kazała.

Dlaczego?

Może ją o to spytałam, a może tylko stałam tam, nie chciałam wykonać tego, o co mnie prosiła, i próbowałam wysunąć jakiś kolejny argument przeciwko temu pomysłowi.

W wyobraźni widzę ją, jak chwyta Blitzee i ciska na fale, chociaż Blitzee rozpaczliwie próbuje uczepić się jej płaszcza. Potem cofa się, Caro się cofa, bierze rozbieg i pędzi do wody. Bieg, skok, nagłe rzucenie się na głębię. Nie mogę sobie jednak przypomnieć dźwięku rozbryzgującej się wody, gdy one, jedna po drugiej, uderzają o tafle zalanego zwirowiska. Ani małego plusku, ani dużego. Możliwe, że wtedy zdążyłam się już odwrócić i biegłam w stronę przyczepy – pewnie tak właśnie zrobiłam.

Gdy to mi się śni, zawsze widzę siebie biegnącą. Ale w tych snach nie biegnę wcale w stronę przyczepy, tylko z powrotem w kierunku zwirowiska. Widzę, jak Blitzee miota się w wodzie, a Caro płynie w jej kierunku. Mocno pracuje rękami, płynie, by ją ratować. Widzę jej jasnobrązowy kraciasty płaszcz, szal w szkocką kratę, dumną, zadowoloną z siebie twarz i rudawe loki pociemniałe na końcach od wody. Nie muszę podejmować żadnych kroków, stoję tylko i się przyglądam. Jestem zadowolona – w końcu nikt mi niczego nie nakazuje.

W rzeczywistości wspierałam się na niewielką pochylnię prowadzącą do przyczepy, gdzie usiadłam. Zupełnie jakbym siedziała na werandzie albo na ławce, chociaż tak naprawdę przycupnęłam obok przyczepy. Usiadłam i czekałam na rozwój wypadków.

Wiem, że tak było, bo to nie jest domysł, tylko fakt. Nie mam pojęcia jednak, co mną wtedy kierowało, jaki miałam plan. Może po prostu czekałam na następny akt dramatu z udziałem Caro albo psa.

Nie wiem też, jak długo tam siedziałam. Pięć minut? Więcej? Mniej? Nie było bardzo zimno.

Poszłam potem do terapeuty, żeby o tym porozmawiać, i ta pani mnie przekonała – na jakiś czas mnie przekonała – że na pewno próbowałam dostać się do środka przyczepy, pociągnęłam za kłamkę i stwierdziłam, że drzwi są zamknięte. Jej zdaniem na pewno były, bo moja matka i Neal uprawiali seks i nie chcieli, żeby ktoś im przeszkadzał. Gdybym zaczęła się dobijać, tylko by się zdenerwowali. Pani psycholog była zadowolona, że pomogła mi dojść do takich wniosków i ja też byłam zadowolona. Przez jakiś czas. Ale teraz już tak nie uważam. Nie sądzę, aby zamknęli drzwi, bo wiem,

że wcześniej tego nie robili. Caro weszła kiedyś do środka, a oni śmiali się, gdy zobaczyli wyraz jej twarzy.

Niewykluczone, że pamiętałam słowa Neala o tym, że psy się nie topią, bo potrafią pływać, co oznaczało, że Caro wcale nie musi ratować Blitzee. Pewnie uznałam, że w takim razie Caro przerwie zabawę, którą wymyśliła. Zabawa, z Caro.

Czy sądziłam, że ona umie pływać? W wieku dziewięciu lat wiele dzieci to potrafi. I faktycznie, okazało się, że poprzedniego lata odbyła jedną lekcję pływania, tylko że później przeprowadziliśmy się do przyczepy i nauki już nie kontynuowała. Może Caro uważała, że da sobie radę. A ja naprawdę mogłam być święcie przekonana, że moja siostra potrafi dokonać wszystkiego, czego tylko zechce.

Pani psycholog wprawdzie nigdy nie wspomniała, że mogłam mieć po prostu dosyć wykonywania poleceń Caro, ale taka myśl rzeczywiście przyszła mi do głowy. Wydaje się jednak chybiona. Co innego, gdybym była starsza, wtedy taka hipoteza mogłaby mieć sens. Ale w tamtym okresie to Caro wypełniała mi świat.

Ile czasu tam siedziałam? Pewnie nie tak znowu długo. I możliwe, że faktycznie zapukałam do drzwi. Po chwili. Po minucie albo dwóch. Tak czy inaczej moja matka rzeczywiście w którymś momencie otworzyła drzwi. Bez wyraźnego powodu. Miała przeczucie.

Zaraz potem jestem w środku. Matka krzyczy na Neala i usiłuje mu coś uświadomić. On wstaje, rozmawia z nią i delikatnie jej dotyka, próbuje pocieszyć. Ale oczekiwania mojej matki wobec niego są zupełnie inne. Wirywa mu się i pędzi do drzwi. Neal kręci głową i spogląda na swoje bose stopy. Na wielkie i całkiem bezradne palce u nóg.

On chyba coś do mnie mówi. W jego głosie pobrzmiewa melodyjny smutek. Dziwna rzecz.

Żadnych innych szczegółów nie pamiętam.

Matka nie rzuciła się do wody. Ani nie zaczęła przedwcześnie rodzić z powodu szoku. Mój brat, Brent, przyszedł na świat dopiero tydzień albo może nawet dziesięć dni po pogrzebie i był dzieckiem donoszonym. Gdzie matka oczekiwała na poród, nie wiem. Może w szpitalu, ponieważ z powodu zaistniałych okoliczności podawano jej środki nasenne.

Dzień pogrzebu pamiętam całkiem dobrze. Jakaś bardzo miła i spokojna kobieta, której nie znałam – na imię miała Josie – zabrała mnie na małą wyprawę. Poszliśmy na huśtawki i do czegoś, co wyglądało jak domek dla lalek, na tyle duży, że mogłam do niego wejść. A potem na lunch, w czasie którego jadłam swoje ulubione przysmaki, ale nie aż tyle, żeby rozboleł mnie brzuch. Josie była przyjaciółką mojego ojca, z którą później bardzo dobrze się poznałam. Ojciec spotkał ją w czasie swojego pobytu na Kubie. Po rozwodzie została moją macochą.

Matka odzyskała w pełni zdrowie. Musiała. Trzeba było opiekować się Brentem i także, przez dłuższy czas, mną. Wydaje mi się, że mieszkaliśmy z ojcem i Josie do momentu, kiedy matka urządziła się w domu, w którym planowała mieszkać przez resztę życia. Nie pamiętam, żebym przebywała z Brentem, gdy był jeszcze całkiem mały. Razem byliśmy dopiero wtedy, gdy wyrósł na tyle, że mógł siedzieć w wysokim krzeselku.

Matka wróciła też do teatru. Na początku sprzedawała bilety i nie brała za to pieniędzy. Ale później, zanim jeszcze poszłam do szkoły, dostała prawdziwą pracę, płatną, z którą przez cały rok wiązało się mnóstwo obowiązków. Zaczęła pełnić funkcję impresaria. Teatr jakoś przetrwał kolejne zawirowania losu i działa do tej pory.

Neal nie uznawał pogrzebów, więc na pogrzeb Caro także nie poszedł. Nigdy nie widział też

Brenta. Napisał list – dowiedziałam się o tym dużo później – w którym wyjaśniał, że nie czuł się powołany do roli ojca i że lepiej zrobi, wycofując się z tego od razu na początku. Nigdy nie mówiłam Brentowi o Nealu, bo myślałam, że to zasmuci moją matkę. A także dlatego, że Brent prawie wcale nie był do niego podobny – nie był podobny do Neala – i wydawał się tak bardzo przypominać mego ojca, że naprawdę zaczęłam się zastanawiać, co właściwie działo się w naszej rodzinie w tym czasie, kiedy został poczęty. Mój ojciec nigdy się na ten temat nie wypowiadał. Traktuje Brenta na równi ze mną, ale jest takim rodzajem człowieka, który bez względu na fakty i tak postąpiłby w ten sposób.

On i Josie nie mają własnych dzieci, lecz to chyba ich zbyt nie martwi. Josie jest jedyną osobą, która wspomina Caro i nie robi tego zbyt często. Twierdzi, że ojciec nie obciąża matki odpowiedzialnością za to zdarzenie. Powiedział także, że najwidoczniej zachowywał się jak skostniały i nudny tradycjonalista, a matka szukała czegoś innego – była spragniona wrażeń. Życie postanowiło nim wstrząsnąć i tak się też stało. Nie ma sensu się uzalać. Zresztą gdyby nie ten wstrząs, nie byłiby teraz oboje tak bardzo szczęśliwi.

– Oboje, czyli kto? – mogłabym go zapytać tylko po to, by zbić go trochę z tropu, a on natychmiast stanowczo by oznajmił:

– Josie, chodziło mi oczywiście o Josie. Gdyby nie ten wstrząs, nigdy bym jej nie poznał.

Mojej matki nie udaje się nakłonić do wspomnienia tamtych czasów, a ja sama również staram się omijać ten temat, żeby jej nie martwić. Wiem, że któregoś dnia pojechała zobaczyć, jak wygląda droga, przy której mieszkaliśmy. Okazało się, że okolice zwirowni zmieniły się nie do poznania. Na tamtejszych nieużytkach wybudowano nowoczesne domy, takie, jakie się teraz widuje. Matka wspomniała o nich z lekką pogardą w głosie, bo tego typu budowle zawsze wywołują u niej taką reakcję. Ja sama również pojechałam przyjrzeć się naszej drodze, ale nikomu o tym nie wspomniałam. Uważam bowiem, że dzisiaj w rodzinnych rozmowach za dużo rzeczy wyciąga się całkiem niepotrzebnie na wierzch, co w moim przekonaniu jest oczywistym błędem.

Nawet tam, gdzie kiedyś była zwirownia, stoi teraz dom. Grunt pod jego budowę został odpowiednio wyrównany.

Mam partnerkę, Ruthann, która jest ode mnie młodsza, ale, jak mi się wydaje, w pewien sposób mądrzejsza. Albo przynajmniej bardziej optymistyczna, jeśli chodzi o wypędzanie ze mnie starych demonów. Gdyby nie jej namowy, nigdy nie zdecydowałabym się skontaktować z Nealem. Oczywiście przez długi czas nie tylko o tym nie myślałam, ale nawet nie było takiej możliwości. Ostatecznie to on do mnie napisał. Był to króciuteńki list z gratulacjami, który wysłał, gdy zobaczył moje zdjęcie w „Kronice Absolwentów”. Po co w ogóle ją czytał? Nie mam pojęcia. Przyznano mi akademickie wyróżnienie, które znaczy coś dla wąskiego gremium specjalistów, natomiast bardzo mało wszystkim pozostałym.

Jak się okazało, Neal mieszka zaledwie pięćdziesiąt mil od miejsca, gdzie teraz uczę, i tak się składa, że właśnie w tamtej miejscowości chodziłam kiedyś do college’u. Zastanawiałam się, czy również wtedy Neal tam był. Tak blisko. Może nawet pracował jako nauczyciel?

Początkowo nie miałam zamiaru odpisywać na jego list, ale opowiedziałam o tym Ruthann, a ona doradziła mi, żebym się jednak zastanowiła. W końcu stanęło na tym, że wysłałam mu e-maila i uzgodniłyśmy szczegóły wizyty. Miałam pojechać do miasta, w którym mieszkał, i tam spotkać się z nim na neutralnym gruncie, w kawiarence uniwersyteckiej. Postanowiłam, że gdyby jego wygląd pozostawiał wiele do życzenia – pod jakimkolwiek względem – to po prostu wyjdę i już.

Był niższy, niż go zapamiętałam, jak to się często zdarza z dorosłymi, których widywaliśmy tylko w dzieciństwie. Miał przerzedzone włosy, bardzo krótko przycięte, niemal przy samej skórze. Zamówił dla mnie herbatę. Sam również ją pił.

Z czego się utrzymywał?

Powiedział, że udziela korepetycji uczniom przygotowującym się do egzaminów. Pomagał im pisać eseje, a niekiedy, powiedzmy to sobie szczerze, sam był ich autorem. Oczywiście kazał sobie za to płacić.

– Nie tyle, żebym miał szansę zostać milionerem, możesz być tego pewna – powiedział.

Mieszkał w jakiejś norze. Albo w średnio przyzwoitej norze. Ale lubił to. W ubrania zaopatrywał się w sieci sklepów Sally Ann^[9] z używaną odzieżą, co również mu odpowiadało.

– Pasują do moich poglądów.

Nie pogratulowałam mu osiągnięć, ale, prawdę mówiąc, chyba na to nie liczył.

– Tak czy inaczej nie sądzę, aby to, jak żyję, mogło cię interesować. Pewnie wolałabyś się dowiedzieć, co się wtedy wydarzyło.

Nie wiedziałam, jak mam zacząć o tym rozmawiać.

– Byłem nawalony – powiedział. – W dodatku nie umiem pływać. Tam, gdzie dorastałem, nie było zbyt wiele basenów. Gdybym poszedł ją ratować, sam też bym się utopił. To chciałaś wiedzieć?

Odparłam, że tak naprawdę nie interesował mnie on, lecz ktoś inny. Neal był trzecią osobą, której zadałam to samo pytanie:

– Jak sądzisz, o co chodziło wtedy Caro?

Pani psycholog powiedziała, że tego się nigdy nie dowiemy.

– Wielce prawdopodobne, że ona sama nie do końca wiedziała, co chciała w ten sposób osiągnąć. Może zwrócić na siebie uwagę? Nie sądzę, żeby faktycznie chciała się utopić. Pokazać, jak bardzo źle się z tym wszystkim czuje?

Ruthann powiedziała:

– Może chciała do czegoś nakłonić waszą matkę? Prawdopodobnie pragnęła, żeby otrzeźwiała i wróciła do waszego ojca.

Neal stwierdził:

– To bez znaczenia. Może wydawało jej się, że potrafi pływać lepiej, niż rzeczywiście umiała. Albo nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ciężkie robią się zimowe okrycia, gdy nasiąkną wodą. Nie przyszło jej na myśl, że nie było tam nikogo, kto mógłby jej w tej sytuacji pomóc. Nie trać niepotrzebnie czasu – dodał. – Chyba nie zastanawiasz się nadal nad tym, co by było, gdybyś wtedy przybiegła i od razu o wszystkim powiedziała? Nie próbujesz wziąć na siebie winy, co?

Odparłam, że brałam taki wariant pod uwagę, ale nie, nie winię siebie za to, co się stało.

– Ważne, żeby czuć się szczęśliwym – dodał. – Bez względu na to, co się stanie. Po prostu spróbuj. Uda ci się. Z czasem będzie ci coraz łatwiej. Okoliczności nie mają tu nic do rzeczy. Nie uwierzyłabyś, jaka to dobra metoda. Zaakceptuj wszystko takim, jakie jest, i zobaczysz, że tragedia zniknie. Albo przynajmniej zobaczysz ją w jaśniejszych barwach. Przyjmij, że po prostu jesteś, żyjesz, ot tak, i nie rozpamiętuj się zbyt długo. To tyle miałbym ci do powiedzenia, cześć.

Rozumiem, co miał na myśli. I to, co mówił, było słuszne. Ale w mojej wyobraźni Caro wciąż biegnie, a potem rzuca się do wody, jakby odniosła zwycięstwo, a ja nadal tkwię w miejscu i czekam

na jej wyjaśnienia, czekam na plusk.

Domowe zacisze

Wydarzyło się to w latach siedemdziesiątych, ale ten okres w małych miastach to coś zupełnie innego niż ten sam czas widziany z dzisiejszej perspektywy, czy choćby zapamiętany z Vancouver. Włosy chłopców były dłuższe niż dawniej, ale nie opadały na plecy, a w powietrzu nie wyczuwało się aury niezwyklej wolności, buntu czy przekory.

Wuj zaczął od upominania mnie z powodu modlitwy dziękczynnej. Dlatego że jej nie odmówiłam. Miałam trzynaście lat, gdy rodzice wyjechali do Afryki, a ja na rok zamieszkałam z wujostwem. Nigdy wcześniej nie skłaniałam głowy nad talerzem.

– Pobłogosław, Panie, ten posiłek, by był dla nas pożytkiem, i pobłogosław nas, byśmy Ci wiernie służyli – powiedział wuj Jasper. Mój widelec zawisł w powietrzu, a ja przestałam żuć ziemniaki i mięso.

– Coś taka zdziwiona? – odezwał się po słowach: „przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”. A po tem zapytał jeszcze, czy moi rodzice odmawiają może inną modlitwę, składając dziękczynienie dopiero po posiłku.

– W ogóle się nie modlą – odparłam.

– Naprawdę? – powiedział wuj, udając, że jest zdumiony. – Chyba żartujesz. Jak mogą się nie modlić, skoro wyjechali do Afryki pracować wśród pogan, coś takiego!

W Ghanie, gdzie moi rodzice uczyli w szkole, nie było właściwie żadnych pogan. Chrześcijaństwo rozwijało się zaskakująco dobrze, o czym świadczyły choćby tabliczki o religijnej treści umieszczone z tyłu na autobusach.

– Moi rodzice należą do Kościoła Zjednoczonego, są unitarianami – powiedziałam, z jakiegoś powodu nie zaliczając do tego kościoła siebie.

Wuj Jasper pokręcił głową i poprosił, żebym mu wytłumaczyła, kim są unitarianie. Czyż nie wierzą w Boga Mojżesza i Boga Abrahama? Muszą być zatem żydami. Nie? I muzułmanami też nie?

– Właściwie każdy człowiek ma swoje wyobrażenie o Bogu – powiedziałam, pewnie dobitniej, niż się tego spodziewał. Moi dwaj bracia byli w college’u i nie zanosilo się na to, że zostaną unitarianami, dlatego przywykłam już do gorących dysput o religii – a także o ateizmie – podczas posiłków.

– Ale wierzą w dobre uczynki i dobre życie – dodałam.

To był błąd. Nie dość, że niedowierzanie opanowało wuja – uniesione brwi, pełne zadziwienia skinienie głową – to jeszcze słowa te zabrzmiały obco nawet w moich własnych uszach, górnolotnie i nieszczerze.

Nie pochwalałam wyjazdu moich rodziców do Afryki. Sprzeciwiałam się podrzuceniu mnie do wujostwa, jak mawiała. Być może powiedziałam nawet rodzicom, wykazującym doprawdy anielską cierpliwość, że ich dobre uczynki są niewarte funta kłaków. W naszym domu otwarcie wyrażało się własne zdanie. Choć z drugiej strony nie przypominam sobie, żeby sami rodzice mówili kiedyś o „dobrych uczynkach” albo o „dobrym życiu”.

Wuj był chwilowo usatysfakcjonowany. Powiedział, że musi uciąć naszą dyskusję, bo spieszy się do gabinetu na pierwszą, by móc dalej świadczyć dobre uczynki.

Chyba dopiero wtedy ciotka podniosła widelec i zaczęła jeść. Wcześniej czekała na zakończenie wymiany zdań między nami. Może bardziej z nawyku niż z powodu większego przejęcia się moją bezpośredniością. Przyzwyczała się czekać, aż wuj powie wszystko, co ma do powiedzenia. Nawet wtedy, gdy zwracałam się do niej, czekała z utkwionym w niego wzrokiem, by upewnić się, czy małżonek nie zamierza czasem udzielić odpowiedzi. Słowa dobierała zawsze z największą starannością, a uśmiechała się wtedy, gdy wiedziała, że pora na uśmiech; uważałam ją wówczas za osobę zdominowaną. Trudno mi było również dostrzegać w niej siostrę mojej matki, gdyż wyglądała na znacznie młodszą i bardziej zadbaną, a na dodatek potrafiła, tak jak wspomniałam, promiennie się uśmiechać.

Moja mama mówiła równocześnie z ojcem, gdy uznała, że ma coś ważnego do przekazania, a to zdarzało się nad wyraz często. Moi bracia, nawet ten, który twierdził, że rozważa przejście na islam, by móc surowiej traktować kobiety, liczyli się z jej słowami i poważali ją na równi z ojcem.

– Dawn podporządkowała swoje życie mężowi – mawiała mama, siląc się na neutralność. Albo bardziej obcesowo: – Jej życie kręci się wokół tego faceta.

Często w tym okresie formułowała takie komentarze, i to niekoniecznie z zamiarem dyskredytowania siostry. Ale też nie spotkałam innej kobiety, do której te uwagi pasowałyby równie dobrze jak do ciotki Dawn.

Zdaniem mojej matki życie wujostwa mogłoby oczywiście potoczyć się zgoła inaczej, gdyby dane im było mieć dzieci.

Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Dzieci. Wchodzą w drogę wujowi Jasperowi, błagają o chwilę uwagi ze strony swojej mamy. Chore, rozgrymaszone, doprowadzają dom do ruiny, domagają się potraw, których wuj nie znosi.

To niemożliwe. Dom należy do niego. Podobnie jak wybór menu, programu radiowego i telewizyjnego. Nawet jeśli jest właśnie w gabinecie lub w domu pacjenta, i tak wszystko wymaga jego akceptacji.

Stopniowo dotarło do mnie, że taki reżim mógł być nawet całkiem przyjemny. Lśniące srebrne łyżki i widełce, wypolerowane ciemne podłogi, przytulna lniana pościel – cały ten kult porządku, wynikający z pobożności, nadzorowała ciotka, a podtrzymywała Bernice, ich służąca, która gotowała, używając wyłącznie świeżych, nieprzetworzonych składników, i z zapalem prasowała ścierki. Pozostali lekarze z miasteczka korzystali z chińskiej pralni, ale Bernice i ciotka Dawn godzinami celebrowały pranie, a potem rozwieszały rzeczy na sznurach do bielizny. Wszystko musiało być białe od promieni słońca, świeże od powiewów wiatru, zarówno pościel, jak i bandaże – czyściuteńkie i pachnące. Wuj twierdził, że żółtki przesadzają z krochmalem.

– Chińczycy – poprawiała go ciotka z lekką przekorą w głosie, jakby chciała być w porządku zarówno wobec męża, jak i właścicieli pralni.

– Żółtki – gromko odcinał się wuj.

Jedynie Bernice potrafiła powiedzieć to słowo w sposób naturalny.

Stopniowo stałam się mniej lojalna wobec własnego domu, który cechowały intelektualna powaga i wieczny rozgardiasz. Zdawałam sobie rzecz jasna sprawę, że utrzymanie takiego domowego zacisza, jakie obserwowałam u wujostwa, wymagało wielkiego poświęcenia ze strony kobiet. Było nie do pogodzenia z wypisywaniem unitariańskich manifestów czy ucieczką do Afryki. (Na początku, gdy ktoś w tym domu, gdzie teraz mieszkalam, mówił, że moi rodzice uciekli do Afryki, z uporem prostowałam, że pojechali tam p r a c o w a ć. Potem znudziło mi się to poprawianie).

Tak, domowe zacisze to było właściwe określenie.

„Rola kobiety jest stworzyć swojemu mężczyźnie domowe zacisze”.

Czy ciotka Dawn tak właśnie to ujęła? Chyba nie. Unikała kategoriycznych stwierdzeń. Tę mądrość wyczytałam chyba w jakimś magazynie dla gospodyń domowych, który znalazłam w domu wujostwa. Czasopiśmie, które moją matkę przyprawiłoby o mdłości.

Na początek postanowiłam zwiedzić miasteczko. W czeluściach garażu znalazłam stary rower i wybrałam się na przejażdżkę, nie myśląc nawet o tym, by spytać o pozwolenie. Gnając z górki świeżo wyszutrowaną drogą biegnącą w kierunku portu, straciłam panowanie nad kierownicą. Poważnie obtarłam kolano i musiałam odwiedzić przylegający do domu gabinet wuja. Fachowo, z niewzruszoną miną, opatrzył mi ranę. Podszedł do wszystkiego rzeczowo i delikatnie, ale bezosobowo. Nie próbował żartować. Powiedział, że nie pamięta, skąd się u nich wziął ten rower – zdradziecki gruchot, a skoro mam taką ochotę na przejażdżki, to postarają się o coś lepszego. Kiedy jednak bliżej poznałam swoją nową szkołę i zasady, do których musiały stosować się miejscowe dorastające dziewczęta, zrozumiałam, że jazda na rowerze nie wchodziła w grę i tego rodzaju plany należało zarzucić. Zdziwiłam się tylko, że wuj nie próbował mnie strofować i nie pouczał, co przystoi lub nie przystoi młodej dziewczynie. W gabinecie jakby zapomniał o naganie i nie należał, bym zachowywała się jak ciotka Dawn, zwłaszcza przy obiedzie.

– I ty się tak zupełnie sama wybrałaś na przejażdżkę? – zapytała ciotka na wieść o moim wypadku. – Po co? Mniejsza z tym, niedługo znajdziesz sobie towarzystwo.

I nie myliła się. Zarówno w kwestii nawiązania nowych znajomości, jak i ograniczeń, jakie te relacje wprowadzą do mojego świata.

Wujek Jasper nie był zwyczajnym lekarzem, ale tym panem doktorem. To on doprowadził do wybudowania miejscowego szpitala, a mimo to wzbraniał się przed użyczeniem mu swego imienia. Wyrósł w niedostatku, ale był bardzo zdolny i podjął pracę w lokalnej szkole, by móc zarobić na studia medyczne. A potem latami przedzierał się przez zasy do pacjentów i w kuchniach farmerskich domostw odbierał porody albo operował wyrostki robaczkowe. Nawet jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych musiał mierzyć się z takimi wyzwaniem jak samodzielne wyrywanie pacjentów z okowów sepsy albo zapalenia płuc, a nie dysponował przecież lekami nowej generacji.

W gabinecie sprawiał jednak wrażenie rozluźnionego, przynajmniej w porównaniu do zachowania, jakie cechowało go w domu. Tak jakby domowe zacisze wymagało stałego nadzoru, a gabinet już nie, choć mogłoby się wydawać, że powinno być dokładnie na odwrót. Pielęgniarka nie traktowała go z jakąś szczególną atencją – w przeciwieństwie do ciotki Dawn. Wetknęła głowę do gabinetu, w którym wuj opatrywał mi kolano, i oświadczyła, że musi wcześniej wyjść do domu.

– Niech pan pamięta, doktorze Cassel, żeby odebrać telefon. Nie zapomni pan?

– Mhm – potwierdził.

Należy oczywiście dodać, że pielęgniarka była osobą starszą, po pięćdziesiątce, a kobiety w tym wieku często zachowują się dosyć autorytarnie i nikogo specjalnie to nie dziwi.

Jednak ciotki Dawn nie potrafiłabym sobie wyobrazić w takiej roli. Wyglądało na to, że na zawsze pozostała niewinną i bojaźliwą dziewczyną, jaką była w młodości.

Na początku mojego pobytu u wujostwa, kiedy jeszcze wydawało mi się, że mogę chodzić gdzie mi się podoba, zapuściłam się kiedyś do ich sypialni i zauważyłam jej zdjęcie na szafce przy jego łóżku. Te same miękkie kształty i ciemne falujące włosy, jakie zachowała do dziś. Ale zauważyłam też

niegustowny czerwony czepek pielęgniarski i fioletową pelerynkę. Gdy zeszłam na dół i spytałam o ten dziwny strój, zdziwiła się:

– Strój? A, chodzi ci pewnie o ubiór studentki szkoły pielęgniarskiej.

– Byłaś kiedyś pielęgniarką?

– Ależ skąd – zaśmiała się, jakbym popełniła jakiś afront. – Rzuciłam szkołę.

– Tam spotkałaś wujka Jaspera?

– Ależ skąd, on już od dawna był wtedy lekarzem. Poznałam go, kiedy doszło u mnie do perforacji wyrostka robaczkowego. Przyjechałam do przyjaciółki – to znaczy do jej rodziny – i poważnie się rozchorowałam, ale nie wiedziałam, co mi jest. On mnie zdiagnozował i zoperował.

Wypowiadając te słowa, okryła się większym niż zwykle rumieńcem i poprosiła, żebym nie odwiedzała ich sypialni, jeśli wcześniej nie uzyskam na to zgody. Domyśliłam się od razu, że nigdy więcej już tam nie wejdę.

– A ta przyjaciółka nadal tu mieszka?

– Wiesz, po ślubie rzadko udaje się zachować dawne znajomości i wzajemne kontakty nie są już tak intensywne.

W tym samym mniej więcej czasie odkryłam również, że wuj nie jest tak zupełnie pozbawiony krewnych, jak mi się początkowo wydawało. Miał siostrę. Ona także zrobiła karierę, przynajmniej według moich wyobrażeń. Była muzykiem, skrzypaczką. Na imię miała Mona. Tak się do niej zwracano, ale jej prawdziwe imię, które otrzymała na chrzcie, brzmiało Maud. Mona Cassel. Pierwszy raz usłyszałam o niej w połowie roku szkolnego. Gdy wracałam pewnego dnia z zajęć, dostrzegłam w oknie biura miejscowej gazety plakat zapowiadający koncert, który miał się odbyć za kilka tygodni w ratuszu. Troje muzyków z Toronto. Siwowłosą, wysoką skrzypaczką z plakatu była właśnie Mona Cassel. Po powrocie opowiedziałam ciotce o przypadkowej zbieżności nazwisk.

– Ach nie, to siostra twojego wujka – oświadczyła. A po chwili dodała: – Tylko nie wspominaj o tym w domu.

Nieco później uznała za stosowne dorzucić jeszcze:

– Twój wujek nie przepada za tego rodzaju muzyką. No wiesz, muzyką symfoniczną.

I wreszcie rozwiązał jej się język.

Opowiedziała mi, że siostra jest od wujka o kilka lat starsza i coś ich poróżniło w młodości. Jacys krewni uznali, że dziewczyna ma talent muzyczny i należy zapewnić jej właściwą edukację, co wiązało się z wyjazdem z domu. Mona otrzymała więc zupełnie inne wychowanie i dlatego drogi rodzeństwa się rozeszły. I to w zasadzie wszystko, co ona, ciotka Dawn, wie na ten temat, ale i tak prosi o zachowanie dyskrecji wobec wuja.

– On nie lubi tego rodzaju muzyki? – spytałam. – A jakiej słucha?

– Takiej trochę staromodnej. Na pewno nie klasycznej.

– Beatelsów?

– Ależ skąd.

– Lawrenca Welka?

– Nie powinnyśmy wdawać się w takie dywagacje. W ogóle niepotrzebnie poruszyłam ten temat.

Puściłam tę uwagę mimo uszu.

– A ty jakiej muzyki słuchasz, ciociu?

– Wszystkiego po trochu.

– Ale na pewno coś lubisz bardziej, a coś mniej.

Skwitowała to jedynie lekkim uśmiechem. Nieco nerwowym, w którym kryło się mniej z troską, a jednak podobnym do tego, z jakim pytała zwykle męża, czy, na przykład, smakowała mu kolacja. A on przeważnie wyrażał wtedy aprobatę, choć z pewnymi zastrzeżeniami: w zasadzie dobra, ale trochę za ostra albo jakby bez smaku. Coś było lekko niedogotowane, a kiedy indziej – rozgotowane. Któregoś razu jednak powiedział:

– Niesmaczne było.

Nawet nie zdobył się na wyjaśnienia, a z jej zaciśniętych ust zniknął uśmiech i z trudem się opanowała.

Co to mogło być za danie? Chyba curry, ale może tylko mi się zdaje, bo to mój ojciec nie lubił curry, a mimo wszystko nigdy nie narzekał. Wuj wstał od stołu i zrobił sobie kanapkę z masłem orzechowym, i to tak demonstracyjnie, że wszelki komentarz był już zbędny. Bez względu na to, co ciotka wtedy podała, na pewno nie zrobiła tego na złość mężowi. Możliwe, że przygotowała coś lekko nietypowego, bo zbyt zaufała przepisowi z gazety. W dodatku, jeśli mnie pamięć nie myli, zanim wuj wygłosił swój miażdżący werdykt, zdążył wszystko zmieść z talerza. Nie był więc głodny i to nie głód sprawił, że tak bardzo skrytykował danie – po prostu chciał okazać swoje niezadowolenie i to zrobił.

Przychodzi mi teraz na myśl, że prawdopodobnie tamtego dnia coś niedobrego wydarzyło się w szpitalu, umarł ktoś, kto powinien był przeżyć – możliwe, że tak naprawdę wcale nie chodziło o jedzenie. Wydaje mi się jednak, że ciotka Dawn nie wzięła takiego wariantu pod uwagę. A nawet jeżeli wzięła, nie dała tego po sobie poznać. Całą sobą wyrażała wielką skruchę.

Ciotka Dawn miała wtedy jeszcze jeden problem, który zrozumiałam dopiero znacznie później. Wiązał się on z parą mieszkającą w bezpośrednim sąsiedztwie. Wprowadzili się mniej więcej równo ze mną. On był inspektorem oświatowym nadzorującym wiejskie szkoły, ona – nauczycielką muzyki. Byli najprawdopodobniej równolatkami ciotki, a więc trochę młodszy od wujka Jaspera. Oni też nie mieli dzieci, nie brakowało im zatem czasu na kontakty towarzyskie. A ponieważ wchodzili właśnie w nowe środowisko, optymistycznie patrzyli na wszelkie znajomości. Ulegając temu nastrojowi, zaprosili wujostwo na drinka. Obycie towarzyskie ciotki Dawn i wujka Jaspera było na tyle skromne – z czego zresztą całe miasteczko świetnie zdawało sobie sprawę – że ciocia nie umiała im odmówić, bo nie nabrała w tym wprawy. Tak więc trochę niespodziewanie wpadli w wir odwiedzin, pogawędek oraz spotkań przy drinku i wydaje mi się, że wujek Jasper całkiem nieźle potrafił się w tej sytuacji znaleźć, ale i tak nigdy nie wybaczył żonie występku, jakim w jego oczach było przyjęcie zaproszenia.

Ciotka miała więc dylemat. Z jednej strony uważała za oczywiste, że skoro ktoś nas zaprasza, to należy odwzajemnić się tym samym. Drink za drinka, kawka za kawkę. Kolacja niekoniecznie. Ale nawet skromnej rewizyty nie potrafiła zaaranżować. Bo wuj, choć nie miał nic przeciw swoim nowym sąsiadom, pod żadnym pretekstem nie tolerował obcych u siebie w domu.

I wtedy przyniosłam jej wieści, które mogły stworzyć szansę wyjścia z impasu. Trio z Toronto – w skład którego wchodziła także Mona – miało dać tylko jeden koncert w ratuszu. Tak się złożyło, że występ odbywał się dokładnie w ten wieczór, kiedy wujek Jasper zajęty był do późna. Uczestniczył w uroczystym obiedzie zorganizowanym z okazji dorocznego Okręgowego Zjazdu Lekarzy. Nie był to bankiet – żon nie zaproszono.

Sąsiad i sąsiadka wybierali się na koncert. Z racji jej zawodu poczytywali to sobie niemal za obowiązek. Ale obiecali, że zaraz po występie wpadną na kawę i mały poczęstunek. A także po to, by

spotkać – i tu ciotka posunęła się zdecydowanie za daleko – członków tria, którzy także mieli wstąpić z wizytą.

Nie mam pojęcia, jak wiele powiedziała ciotka sąsiadom o pokrewieństwie z Moną Cassel. Jeśli kierowała się rozsądkiem, to ani słowa. A przecież rozsądku jej przeważnie nie brakowało. Z pewnością wyjaśniła im natomiast, że doktor będzie tego wieczoru nieobecny, ale na pewno nie posunęła się do tego, by prosić ich o zachowanie spotkania w tajemnicy przed nim. A czy dopuściła do grona wtajemniczonych Bernice, która poszła do domu przed kolacją i z pewnością pochwaliła się wiadomością o przygotowaniach – tego nie wiem. A najważniejsze, że zupełnie się nie orientuję, jak ciotka Dawn przekazała zaproszenia muzykom. Czy wcześniej nawiązała już kontakt z Moną? Wątpię. Oszukiwanie męża w poważnych sprawach i przez długi czas zupełnie nie było w jej stylu.

Wyobrażam sobie, że podniecona perspektywą spotkania zaniosała zaproszenie do hotelu, gdzie zamieszkali muzycy. Nie mogła mieć ich adresu z Toronto.

Nawet wchodząc do hotelu, musiała zachować czujność i modlić się, aby tego dnia nie miał dyżuru kierownik, który znał dobrze jej męża, tylko ta młoda kobieta, cudzoziemka, która nie zorientuje się, że ma do czynienia z żoną miejscowego doktora.

Zamierzała dać muzykom do zrozumienia, że ich wizyta powinna być krótka. Koncerty są przecież męczące, a oni mają wczesnym rankiem ruszyć w podróż do kolejnego miasta.

Po co podjęła to ryzyko? Dlaczego zdecydowała się poszerzyć krąg gości? Trudno powiedzieć. Możliwe, że czuła się niezdolna, by samodzielnie prowadzić rozmowę z sąsiadami, a może chciała po prostu trochę przed nimi zabłysnąć. Niewykluczone też – choć sama w to nie wierzę – że czuła potrzebę, by wykonać mały gest sympatii pod adresem szwagierki, której, jak się zdaje, nigdy wcześniej nie spotkała.

Ten mały spisek musiał ją bardzo przytłaczać. Ileż wzniosła modłów, by wszystko poszło dobrze, ile się nadenerwowała, choćby tym, żeby sąsiadka nie zdekonspirowała planów przed koncertem, natykając się przypadkowo na jej męża gdzieś w mieście i zasypując go podziękowaniami za zaproszenie oraz wyrazami zachwytu.

Muzycy nie czuli się po koncercie tak zmęczeni, jak można było tego oczekiwać. Ani zawiedzeni małą liczbą słuchaczy w ratuszu, bo pewnie tego się właśnie spodziewali. Entuzjazm współbiedników i domowe ciepło (w ratuszu panowały dość niskie temperatury), a do tego jeszcze pobudzający wiśniowy kolor aksamitnych zasłon w salonie – które za dnia robiły wrażenie rudobrazowych, a dopiero po zmroku nabierały radosnego odcienia głębokiej czerwieni – wszystko to musiało bardzo dobrze ich nastroić. Ponurość zewnętrznego świata stała w wyraźnym kontraście do atmosfery domu, a gorąca kawa ogrzała zmęczonych drogą gości. Nie wspominając już o wiśniówce, którą podano po kawie. Ani o portweinie w kryształowych kieliszkach o przepisowym kształcie i rozmiarze, ani o posypanych wiórkami kokosankach, kruchych ciasteczkach w kształcie półksiężyców i rombów oraz czekoladowych wafelkach. Sama nigdy wcześniej nie widziałam tylu pysznych rzeczy. Moi rodzice podejmowali gości chipsami w glinianych miseczkach.

Ciotka Dawn nałożyła skromną sukienkę z krepy w cielistym kolorze. Nawet pani w poważnym wieku mogłaby bez ryzyka wystąpić w takim stroju, ale ciotka nie potrafiła wyzbyć się wrażenia, że uczestniczy w uroczystości lekko podejrzanego autoramentu. Sąsiadka również elegancko się ubrała, może nawet zbyt sztywnie jak na tę okazję. Niski, przysadzisty wiolonczelista wystroił się w czarny garnitur, który tylko dzięki muszce nie upodabniał go do przedsiębiorcy pogrzebowego, a pianistka, zresztą jego żona, włożyła czarną sukienkę, trochę zbyt odważną jak na jej obfite kształty. W całym

towarzystwie brylowała jednak Mona Cassel, jak księżyc na czarnym niebie, ubrana w prostą suknię ze srebrzystego materiału. Była kobietą znacznej postury i, podobnie jak brat, miała dość wydatny nos.

Pianino ciotki Dawn musiało być dobrze nastrojone, skoro wzbudziło zainteresowanie gości. (A jeśli obecność tego instrumentu miałyby się komuś wydać dziwna – zwłaszcza w kontekście wypowiedzi wuja na temat muzyki klasycznej – to wyjaśniam, że w tamtych czasach każdy dom o pewnym statusie mógł się pianinem pochwalić).

Sąsiadka poprosiła o *Eine Kleine Nachtmusik*, a ja jej w tym sekundowałam, bo, prawdę mówiąc, chciałam się popisać. Muszę przyznać, że z całego utworu znałam jedynie tytuł, zapamiętany z lekcji niemieckiego, które pobierałam w mojej starej miejskiej szkole.

Potem swoje życzenie wyraził jej mąż, a gdy i ono zostało spełnione, przeprosił gospodynię, że ją uprzedził i nie dał szansy wybrać ulubionego utworu, co z racji pełnienia honorów pani domu bezwzględnie jej się należało.

Ciotka Dawn uspokoiła go, że nic się nie stało, bo i tak wszystko jej się podoba. Po tych słowach okryła się rumieńcem. Nie potrafię powiedzieć, czy muzyka rzeczywiście przypadła jej do gustu, w każdym razie była czymś niezwykle poruszona. Może po prostu tym, że te szczęśliwe i radosne chwile zawdzięczała samej sobie i decyzji, którą podjęła?

Z tego wszystkiego zapomniała – jak mogła zapomnieć? – że Okręgowy Zjazd Lekarzy, oficjalny obiad połączony z wyborami do władz, kończył się o dziesiątej trzydzieści. A była już jedenasta.

Gdy obie sobie to uświadomiłyśmy, było już za późno.

Oto otwierają się drzwi wejściowe, a potem drugie, prowadzące do przedpokoju, i nie poświęcając chwili na zdjęcie butów, palta oraz szalika, w pełnym rynsztunku do salonu wkracza wuj.

Muzycy wykonują właśnie jakiś utwór i kontynuują granie. Sąsiedzi wesoło pozdrawiają gospodarza, lecz głosami nieco ściszonymi ze względu na muzykę. Wuj sprawia wrażenie potężniejszego niż zwykle, a to za sprawą rozpiętego płaszcza, luźno zwisającego szalika oraz butów. Piorunuje wzrokiem, ale nie skupia go na nikim konkretnym, nie wyłączając żony.

Ona również na niego nie patrzy. Zaczyna zbierać ze stołu stojące najbliżej naczynia i układa je w stosik, nie zauważając nawet, że na niektórych są jeszcze ciasteczka, które kruszą się pod ciężarem talerzy.

Wolnym krokiem, nie zatrzymując się choćby na moment, wuj przechodzi przez składający się z dwóch połączonych części salon, potem przez jadalnię i popycha wahadłowe drzwi do kuchni.

Dłonie pianistki spoczywają nieruchomo na klawiaturze, a wiolonczelista zastyga w bezruchu. Tylko skrzypaczka gra dalej. Do dziś nie wiem, czy to solo wynikało z kompozycji, czy też umyślnie je zaimprovizowała, by zlekceważyć gospodarza. Nie zwraca uwagi na jego karcący wzrok. Jej duża siwa głowa, nieco podobna do jego, ale o bardziej zmierzwionej fryzurze, nieco drży, ale możliwe, że nie ma to związku z pojawieniem się wuja.

Po chwili doktor wraca z porcją wieprzowiny i fasolki. Pewnie przed chwilą otworzył puszkę, a jej zawartość bez przygrzewania wysypał prosto na talerz. I wciąż nie podnosząc na zebranych wzroku, głośno stukając widelcem, je, samotny i zgłodniały. Można by odnieść wrażenie, że podczas Okręgowego Zjazdu Lekarzy nie podano obiadu.

Nigdy wcześniej nie widziałam, by tak jadł. Przy stole zachowywał się zawsze władczo, ale

przyzwocie.

Utwór wykonywany przez jego siostrę dobiega końca, najprawdopodobniej zgodnie z intencją kompozytora. Jeszcze zanim na stole pojawia się mięso z fasolką. Sąsiedzi zdążyli już wyjść do przedpokoju i założyć okrycia, a teraz pokazują się tylko w drzwiach salonu, by wyrazić szczere podziękowania, i czym prędzej znikają.

Pora na muzyków, którzy zbierają się do wyjścia w nieco mniejszym pośpiechu. Trzeba przecież odpowiednio spakować instrumenty; nie da się ich byle jak wepchnąć do futerałów. Robią to dokładnie, zapewne tak, jak to mają w zwyczaju, a potem również odchodzą. Nie pamiętam, czy padło wtedy jakieś słowo i czy ciotka zapanowała nad sobą na tyle, by przekazać artystom swoje podziękowania i odprowadzić ich do drzwi. Nie mogę skupiać się na pożegnaniu, bo oto wujek Jasper przemawia donośnym głosem i zwraca się akurat do mnie. Wydaje mi się jednak, że zapamiętałam jedno spojrzenie, jakim obdarzyła go skrzypaczka, dokładnie w chwili, gdy zaczynał mówić. On zaś absolutnie to spojrzenie ignoruje, a może po prostu go nie zauważa. Nie jest to spojrzenie pełne złości, jak można by się spodziewać, ani nawet zdumione. Siostra doktora jest po prostu bardzo zmęczona i ma niewyobrażalnie bladą twarz.

– Powiedz mi – mówi wuj, zwracając się bezpośrednio do mnie, jakbym była jedyną obecną tam osobą – powiedz, czy twoi rodzice też lubią słuchać czegoś takiego? Tego rodzaju muzyki? Koncerty i te sprawy? Czy wydają pieniądze, żeby parę godzin posiedzieć na tyłku i posłuchać z roztargnieniem czegoś, czego nawet nie będą następnego dnia pamiętać? Czy wydają pieniądze, by stwarzać jakieś pozory? Słyszałaś kiedy o czymś takim?

Odparłam, że nie, bo była to prawda. Nigdy nie zauważyłam, żeby wybrali się na koncert, choć w ogólnych deklaracjach koncerty pochwalali.

– No widzisz? Mają dość rozsądku. Są za mądrzy, żeby przyłączać się do tego klaszczącego i hałaśliwego tłumu, który zachowuje się tak, jakby zobaczył ósmy cud świata. Wiesz, jakich ludzi mam na myśli? To kłamcy. Kupa końskiego łajna. Chodzi im tylko o to, żeby się snobować na elitę. Albo raczej ulegają żonom, które chcą się zaliczać do elity. Zapamiętaj to sobie na całe życie. Dobrze?

Obiecałam pamiętać. Jego słowa wcale mnie nie zdziwiły. Tego rodzaju opinie były dość powszechne. Zwłaszcza wśród mężczyzn. Nienawidzili oni wielu rzeczy. Szczególnie tych, które uważali za całkiem bezużyteczne. I w zasadzie mieli rację. Gardzili tym, co nieprzydatne. Do pewnego stopnia przypominało to mój stosunek do algebry – nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby mogła mi się kiedykolwiek do czegoś przydać.

Ale nie posuwałam się do takiej skrajności, aby z powodu własnej awersji chcieć zetrzeć algebrę z powierzchni ziemi.

Kiedy rano zesłam na dół, wujek Jasper wyszedł już z domu. Bernice zmywała w kuchni naczynia, a ciotka Dawn układała kryształ w kredensie. Uśmiechnęła się do mnie, ale nie do końca panowała nad drżeniem rąk, więc szkło zadźwięczało alarmująco.

– Leczę blizny. Dom jest twierdzą mężczyzny – powiedziała.

– Niezły rym – zauważyłam, by ją choć trochę rozweselić.

Znów się uśmiechnęła, ale nie byłam pewna, czy w ogóle do niej dotarło, o czym mówię.

– Jak będziesz pisała do mamy, do Ghany – poprosiła – nawet o tym zdarzeniu nie wspominaj. Chodzi mi o całe to zamieszanie, jakie powstało wczoraj wieczorem. Ona tam ma dość prawdziwych

kłopotów, bo ludzie wokół niej głodują i tak dalej. Bylibyśmy małostkowi, jakbyśmy jej zawracali głowę podobnymi drobiazgami.

Właściwie się z nią zgodziłam. Powstrzymałam się tylko od uwagi, że nigdy wcześniej nie słyszałam o klęsce głodu w Ghanie.

A poza tym listy do rodziców pisywałam tylko w pierwszym miesiącu po ich wyjeździe do Afryki. Były pełne narzekań i sarkastycznych opisów. Później sprawy się zbyt skomplikowały, by można je było wyjaśniać korespondencyjnie.

Po tamtej pamiętnej rozmowie na temat muzyki wujek Jasper zaczął mnie darzyć większym szacunkiem. Wysłuchiwał moich wypowiedzi na temat powszechnej opieki medycznej, jakby to były moje poglądy, a nie cytaty z komentarzy rodziców. Raz nawet powiedział, że miło jest porozmawiać przy stole z taką inteligentną osobą. Ciotka zgodziła się z jego opinią. Chodziło jej o podkreślenie swego zgodnego nastawienia, a kiedy skwitował jej słowa znaczącym śmiechem, spłonęła rumieńcem. Nastaly ciężkie dla niej czasy, ale do walentynek wszystko wróciło do normy, zyskała przebaczenie, dostała wisior z krwiście czerwonym kamieniem, a na jej twarzy zagościł uśmiech i szybko skłoniła głowę, by uronić kilka łez ulgi.

Woskowa bladość Mony i jej chudość, widoczna nawet pomimo srebrzystej sukni, mogły być objawami choroby. Lokalna prasa odnotowała jej śmierć wiosną, wspominając przy tym koncert w ratuszu. Przedrukowano nekrolog z torontowskiej gazety, który zawierał także krótki opis jej kariery, jeśli nie entuzjastyczny, to pełen sympatii. Wujek Jasper wyraził zdziwienie – nie tym, że zmarła, ale że nie zostanie pochowana w Toronto. Ceremonia żałobna miała się odbyć w kościele Bożej Chwały znajdującym się kilka mil na północ od miasteczka, na terenach wiejskich. Był to rodzinny kościół anglikański Jaspera i Mony, czyli Maud z czasów dzieciństwa. Wujostwo należeli teraz do Kościoła Zjednoczonego, jak większość zamożnych mieszkańców miast. Wierni tego Kościoła poważnie traktowali religię, ale nie okazywali przywiązania do praktyk w każdą niedzielę ani nie uważali, że Bóg ma coś przeciwko kilku drinkom od czasu do czasu. (Służąca Bernice chodziła do innego kościoła i grała tam na organach. Była to niewielka i nietypowa wspólnota – roznosili po domach ulotki z listą ludzi skazanych na męki piekielne. Nie miejscowych, ale takich ogólnie znanych, jak Pierre Trudeau^[10]).

– Kościół Bożej Chwały już nie funkcjonuje jako świątynia – powiedział wujek Jasper. – Po co ja tam wieźć? Trzeba by sprawdzić, czy to nie jest przypadkiem zakazane.

Ale okazało się, że kościół służy wiernym jak za dawnych lat. Ci, którzy znali go z dzieciństwa, często decydowali się urządzać tam pogrzeby, z rzadka ich dzieci brały tam również śluby. Dzięki niewielkim rozmiarom kościół był dobrze utrzymany, a nawet miał nowoczesne ogrzewanie.

Pojechałam tam z ciotką Dawn jej samochodem. Wuj dotarł prosto z pracy, w ostatniej chwili.

Nigdy wcześniej nie byłam na pogrzebie. Moi rodzice sądzili, że takie doświadczenie nie jest dziecku potrzebne, a w swoich kręgach – jak mi się wydaje – posługiwali się raczej neutralnym określeniem „ceremonia uczczenia pamięci”.

Wbrew moim oczekiwaniom ciotka Dawn nie ubrała się na czarno. Założyła kostium w delikatnym kolorze lila z kołnierzem z karakułów, a do tego toczek – również karakułowy. Wyglądała pięknie i odnosiło się wrażenie, że dopisuje jej doskonały humor, co ledwo była w stanie ukryć.

Cierń został usunięty. Cierń, który uwierał jej męża, więc ona niejako podświadomie odczuwała

radość.

Moje myślenie zmieniło się pod wieloma względami w czasie, gdy zamieszkiwałam u ciotki i wuja. Na przykład wyzbyłam się bezkrytycznego stosunku do ludzi pokroju Mony. Nie uważałam jej wprawdzie za osobę nawiedzoną, ale byłam w stanie zrozumieć tych, którzy tak właśnie sądzili. Z powodu jej bladej twarzy o wydatnym nosie, kościstej sylwetki, skrzypiec i dziwaczного sposobu, w jaki je trzymała – wreszcie z powodu samej muzyki i gotowości Mony do poświęcania się dla sztuki. Kobieta, która oddawała się czemuś z pasją, musiała liczyć się z tym, że będzie traktowana jako osoba niepoważna.

Nie chcę przez to powiedzieć, że przyjąłam sposób rozumowania wujka Jaspera, ale wydał mi się on mniej bulwersujący niż na początku. Skradając się w niedzielny poranek obok drzwi sypialni wujostwa, by niepostrzeżenie dotrzeć do kuchni i porwać cynamonową drożdżówkę, jedną z tych, które ciotka upiekła w sobotę, usłyszałam odgłosy, które nie dobiegały nigdy z pokoju moich rodziców ani żadnego innego – jakieś pełne rozkoszy pomruki i popiskiwanie, każące myśleć o zapomnieniu się i samozatraceniu. Dźwięki te wzbudziły we mnie niepokój i wywołały poczucie wewnętrznego rozbicia.

– Myślę, że niewiele osób z Toronto się tutaj pojawi – powiedziała ciotka w kościele. – Nawet Gibsonowie się nie wyrobiją. On ma zebranie, a ona nie zdołała przesunąć zajęć w szkole.

Gibsonowie to sąsiedzi wujostwa. Ich przyjazne stosunki trwały nadal, ale jakby straciły na intensywności – nie obejmowały już teraz wzajemnych odwiedzin.

Moja szkolna koleżanka powiedziała:

– Zobaczysz, jak będzie wyglądać ostatnie pożegnanie. Ja popatrzyłam kiedyś na babcię w trumnie i zaraz zemdlałam.

Nie słyszałam wcześniej o takim obyczaju żegnania zmarłego, ale wyobraziłam sobie, co to musi być za uczucie. Postanowiłam, że w razie czego przymknę oczy i będę tylko udawała, że patrzę.

– Żeby tylko w kościele nie było tego stęchłego zapachu – powiedziała ciotka Dawn. – Wuj dostaje wtedy podrażnienia zatok.

Obyło się bez stęchlizny. Bez ponurej wilgoci osiadającej na kościelnym murze i posadzce. Ktoś musiał wstać wcześniej rano i włączyć ogrzewanie.

Ławki były prawie pełne.

– Spore grono pacjentów wuja się tu pofatygowało – powiedziała łagodnie ciotka. – Miło z ich strony. Wobec żadnego innego lekarza nie wykonaliby takiego gestu.

Organista zagrał utwór dobrze mi znany. Moja przyjaciółka z Vancouver wykonywała go kiedyś na koncercie wielkanocnym – *Jezu, radości serca człowieczego*.

Organistą okazała się kobieta, która podczas pamiętnego, niedokończonego koncertu w domu grała na pianinie. W pobliżu, na jednym z miejsc przeznaczonych dla chórzystów siedział wiolonczelista. Domyśliłam się, że czekał na swoją kolej.

Gdy już wszyscy ucichli, zaszuchani, nagle w tyle kościoła powstało małe poruszenie. Nie odwróciłam się w tamtą stronę, bo mój wzrok przykuła właśnie lśniąca czarna skrzynia ustawiona w poprzek przed ołtarzem. Była to trumna. Zamknięta. Jeśli nie było zwyczaju otwierania jej podczas uroczystości, to nie musiałam już obawiać się rytuału ostatniego pożegnania. Ale i tak wyobrażałam sobie Monę. Jej wielki, sterczący kościsty nos, wychudzone ciało, nieruchome oczy. Tak długo przywoływałam w wyobraźni ten obraz, aż poczułam, że przestaje być porażający.

Ciotka Dawn, podobnie jak ja, nie odwróciła się, by sprawdzić, co jest przyczyną poruszenia za naszymi plecami.

Powód zamieszania kroczył środkiem kościoła i wkrótce okazało się, że to wujek Jasper we własnej osobie. Nie zatrzymał się przy ławce, w której obie z ciotką zajęłyśmy dla niego miejsce. Minał nas, starając się nie hałasować, choć stawiał zdecydowane kroki. Ktoś mu towarzyszył.

Była to służąca Bernice. Ubrała się elegancko – granatowy kostium i dopasowany kapelusz z małym bukietem kwiatów. Nie patrzyła na nas i w ogóle na nikogo. Miała zarumienioną twarz i zaciśnięte usta.

Ciotka Dawn również nie zwracała uwagi na obecnych. Zajęta była kartkowaniem śpiewnika, który wyjęła ze schowka w ławce przed nią.

Wujek Jasper nie zatrzymał się obok trumny; prowadził Bernice do organów. Instrument ucichł nagle, ku ogólnemu zaskoczeniu. Potem dał się słyszeć szmer rozmów, zmieszanie, cisza i tylko ludzie w ławkach szurali nogami i wiercili się, usiłując dojrzeć, co się dzieje.

Pianistka, która siedziała przy klawiaturze organów, oraz wiolonczelista zniknęli. Musieli salwować się ucieczką przez jakieś boczne drzwi. Wuj usadowił Bernice na stołku organisty.

Gdy Bernice zaczęła grać, wuj wyszedł na środek i dał zgromadzonym znak. Należało go zinterpretować jako: „wstańcie i włączcie się w śpiew”. Rzeczywiście, parę osób tak uczyniło. Potem jeszcze kilka. Wreszcie wstali wszyscy.

Zaszeleściły przewracane kartki śpiewników, ale większość zgromadzonych zaintonowała melodię, jeszcze zanim znalazła odpowiednią stronę z pieśnią *Chwalebny srogi krzyż*.

Wujek Jasper wykonał to, co zamierzył. Może teraz usiąść w ławce, którą dla niego zajęłyśmy.

Ale jest pewien problem. O jednym wuj nie pomyślał.

Był to kościół anglikański. W Zjednoczonym Kościele, do którego wuj przywykł, chórzyci wchodzi przez drzwi obok pulpitu i zajmują miejsca, zanim pojawi się celebrant. Dzięki temu mogą nawiązać z wiernymi kontakt wzrokowy. Dopiero potem wychodzi pastor i w jego obecności zaczyna się celebrowanie. Natomiast w kościele anglikańskim chórzyci podążają do ołtarza przez całą długość nawy, intonując pieśń bez udziału zgromadzonych. Oczy znad śpiewników unoszą tylko po to, by spojrzeć wprost na ołtarz, i od samego początku są trochę anonimowi, odświętni, zdystansowani w stosunku do swoich bliskich, sąsiadów i pozostałych wiernych.

Chórzyci wychodzą teraz ze słowami pieśni *Chwalebny srogi krzyż* na ustach, tej samej, którą śpiewają wierni, dlatego wuj musiał to z nimi uzgodnić przed uroczystością. Być może ten właśnie utwór uznał za ulubioną pieśń zmarłej.

Problem polega na tym, że z powodu dużej liczby osób powstaje ścisk. Wuj nie ma szans przedostać się na swoje miejsce, droga jest odcięta.

Może zrobić tylko jedno, i to szybko, tak więc czyni. Chór nie zablokował mu jeszcze dostępu do pierwszej ławki, toteż do niej właśnie się wpycha. Stojących obok ludzi ogarnia zdziwienie, ale robią mu miejsce. Przynajmniej na tyle, na ile mogą. Bo tak się składa, że są to same osoby potężnej postury, a i wujek Jasper, choć szczupły, też jest dość barczysty.

„Będę wielbił chwalebny, srogi krzyż,
Aż dostąpię mych marzeń spełnienia.
Chwyć mocno chwalebny, srogi krzyż,
Aż osiągnę koronę zbawienia”.

Tak śpiewa wujek Jasper i zajmuje miejsce, które przypadło mu w udziale. Nie jest w stanie obrócić się twarzą do ołtarza, musi patrzeć na mijających go chórzystów, których widzi z profilu. Wydaje się być w potrzasku. Niby wszystko się udało, ale nie do końca tak, jak sobie zaplanował. Nawet wtedy, gdy pieśń cichnie, on pozostaje na swoim niewygodnym miejscu i siedzi wciśnięty pomiędzy innych ludzi. Może dochodzi do wniosku, że gdyby teraz wstał i poszedł do naszej ławki, zburzyłby nastrój skupienia.

Ciotka Dawn nie włącza się w śpiew, ponieważ nie umie odnaleźć właściwej strony w śpiewniku. A nie potrafi chyba powtarzać za innymi, jak to robię ja.

Możliwe też, że dostrzegła na twarzy męża cień rozczarowania, z którego on sam nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

Albo też po raz pierwszy przyłapała siebie na tym, że jej nie zależy. Życie straciło sens.

– Módlmy się – mówi pastor.

Duma

Niektórzy do wszystkiego podchodzą nie tak, jak należy. Jak to wytłumaczyć? Otóż jednym wiatr ciągle wieje w oczy, spotykają ich jakieś niepowodzenia, a mimo to potrafią się z nimi uporać. Ich kłopoty zaczynają się dość wcześnie – w klasie drugiej zdarza im się na przykład narobić w spodnie – a potem spędzają resztę życia w takim mieście jak nasze, gdzie nic nie jest nikomu zapomniane (zresztą wszędzie dzieje się tak samo, w każdym mieście), a jednak umieją się podnieść, być ludźmi serdecznymi i wesołymi i jeszcze mówią szczerze, że za nic w świecie nie chcieliby zamieszkać gdzie indziej, tylko tu.

Drudzy wręcz przeciwnie. Nie potrafią się otrząsnąć, chociaż chcielibyśmy, żeby tak się stało. Dla ich własnego dobra. Bez względu na to, w jakie tarapaty się wpędzili za młodu – niekoniecznie chodzi, rzecz jasna, o narobienie w spodnie – zamiast sobie pomóc i starać się wszystko zatuszować, jeszcze rozdmuchują sprawę, chcą znaleźć się w centrum zainteresowania.

Naturalnie dzisiaj wiele się zmieniło. Mamy do dyspozycji terapeutów – uprzejmych i wyrozumiałych. Tłumaczą nam, że niektórzy ludzie mają w życiu pod górkę. Nie z własnej winy, ma się rozumieć, nawet jeśli ciosy, które na nich spadają, są tylko wytworem ich wyobraźni. Równie boleśnie odczuwają rzeczywistość zarówno ci, którzy faktycznie doznają niepowodzeń, jak i ci, co ich nie doświadczają, bo i takie bywają przypadki.

Ale dobry użytek można zrobić ze wszystkiego, jeśli się chce.

W każdym razie Oneida nie uczęszczała z nami, pozostałymi dziećmi, do szkoły. I dlatego nie przytrafiało jej się nic, co mogłoby w jakiś sposób przygotować ją do życia. Oneida uczyła się w prywatnej szkole dla dziewcząt, której nazwy nie mogę sobie przypomnieć, a może nigdy jej nie znałem. Co więcej, również latem rzadko spotykało się Oneidę w okolicy. Zapewne jej rodzina miała jakąś posiadłość nad jeziorem Simcoe. Oni byli bogaci – na tyle bogaci, że nikt inny w mieście nie mógł się z nimi równać, nawet ci, którym się nieźle wiodło.

Imię Oneida było dość niezwykle – nadal jest – i zupełnie się nie przyjęło. Imię pochodzenia indiańskiego, jak później odkryłem. Prawdopodobnie wybrała je matka. Zmarła, gdy dziewczyna była jeszcze nastolatką. Ojciec chyba wołał na córkę Ida.

Przez jakiś czas przechowywałem wszystkie gazety, całe sterty. Ale i w nich było wiele niedomówień. Żadnego przekonywującego wytłumaczenia, w jaki sposób pieniądze zniknęły. Widocznie nie było takiej potrzeby. Dawniej w zupełności wystarczał przekaz ustny. Choć dziwnym trafem nikt nie próbuje ustalić, jak to się dzieje, że po pewnym czasie autorów informacji podawanych z ust do ust w żaden sposób nie można zidentyfikować.

Ojciec Idy prowadził bank. Nawet w tamtych czasach urzędnicy bankowi przychodzili i odchodzili, co przypuszczalnie miało przeciwdziałać nadmiernemu spoufalaniu się pracowników z klientami. Ale rodzina Jantzenów zdołała wyrobić sobie w mieście taką pozycję, że nie musiała stosować się do żadnych powszechnie obowiązujących reguł, a przynajmniej takie odnosiło się

wrażenie. Horace Jantzen niewątpliwie wydawał się stworzony do sprawowania władzy. Bujna siwa broda (choć z fotografii robionych przed pierwszą wojną światową wynika, że brody nie były już wtedy w modzie), słuszny wzrost, wydatny brzuch i wyniosły wyraz twarzy.

W ciężkich latach trzydziestych ludzie bezustannie mieli jakieś nowe pomysły. Powiększono więzienia, by stworzyć azyl dla rozmaitych włóczęgów, podróżujących nielegalnie pociągami towarowymi (bez wątplenia również wśród tych trampów byli tacy, którzy wciąż kombinowali, jak by tu zdobyć milion dolarów).

Milion dolarów w tamtych czasach to było naprawdę coś.

Tak czy inaczej człowiek, który wszedł do banku, żeby porozmawiać z Horace'em Jantzenem, nie był trampem podróżującym koleją. Bez wątplenia był dobrze ubrany i budził zaufanie. Horace przywiązywał bowiem wagę do pozorów, jednak z pewnością nie był głupcem, chociaż może nie dość szybko potrafił zorientować się w sytuacji.

Pomysł dotyczył wskrzeszenia starego typu samochodu, z silnikiem parowym, takiego, jaki pojawił się na przełomie wieków. Możliwe, że Horace sam był właścicielem tego typu pojazdu i miał do nich słabość. Ten nowy model, oczywiście odpowiednio zmodyfikowany, posiadałby wiele zalet – byłby bardziej ekonomiczny i cichy.

Nie znam szczegółów, bo w tamtym okresie byłem uczniem szkoły średniej. Ale wyobrażam sobie, że z pewnością nastąpił jakiś przeciek, ujawniono treść rozmów, czemu towarzyszyły zarówno drwiny, jak i entuzjazm, a wiadomość szybko się rozeszła wśród przedsiębiorców z Toronto, Windsoru albo Kitchener, chętnych, by zaangażować się w takie przedsięwzięcie. Niektórzy nazywali ich pewnie nadętymi waźniakami. Inni pytali tylko, czy ci entuzjaści mają odpowiednie zaplecze finansowe.

I, w rzeczy samej, mieli je, ponieważ bank umożliwiał wzięcie stosownej pożyczki. Była to decyzja Jantzena, z tym że powstały jakieś niejasności wokół tego, czy bankier wyłożył na ten cel własne pieniądze. Może faktycznie tak było, ale później wyszły na jaw także inne sprawy, a mianowicie nieuprawnione sięganie do kapitału własnego banku. Bez wątplenia Jantzen sądził, że po cichu ureguluje dług i nikt się o niczym nie dowie. Możliwe, że w tamtym czasie przepisy nie były aż takie surowe. Wynajęto ludzi i uporządkowano starą stajnię, którą następnie przystosowano na potrzeby centrum zawiadującego całą operacją. I w tym oto miejscu moja pamięć zaczyna szwankować, w tamtym okresie bowiem ukończyłem akurat szkołę średnią i bardziej absorbowały mnie kwestie własnego utrzymania. Moja wada wymowy, pomimo tego, że rozszczep wargi został zoperowany, wykluczała podjęcie jakiegokolwiek pracy, która wymagała ciągłego mówienia, dlatego zdecydowałem się na księgowość, a to oznaczało wyjazd z miasta na praktykę do firmy w miejscowości Goderich. Zanim wróciłem do domu, o całym przedsięwzięciu mówiono już z lekceważeniem. Krytykowali je ci, którzy od początku byli mu przeciwni, a ci, którzy je promowali – milczeli. Goście Jantzena, tak bardzo popierający ten projekt, zniknęli.

Bank poniósł spore straty.

W powszechnej opinii było to wynikiem nie tyle jakiegoś oszustwa finansowego, ile raczej złego zarządzania. Ktoś musiał ponieść tego konsekwencje. Zwykły manager z pewnością wyleciałby z pracy, ale ponieważ chodziło o samego Horacego Jantzena, tak się nie stało. Możliwe jednak, że to, co go spotkało, odczuł jeszcze bardziej dotkliwie. Został przeniesiony na stanowisko managerskie do Hawksburga, niewielkiej miejsciny odległej o prawie sześć mil drogi autostradą. Wcześniej w banku tym w ogóle nie było stanowiska managera, bo nie był potrzebny. Wystarczał główny księgowy i jego asystent, przy czym oba te stanowiska zajmowały kobiety.

Horace Jantzen mógł oczywiście odmówić, ale nie zrobił tego, bo, jak uważano, powodowała nim duma. Z tego powodu każdego ranka pozwalał się wieźć sześć mil, żeby usiąść za tandetnym przepierzeniem z lakierowanych desek, nie miał bowiem własnego gabinetu. Siedział tam beczynnie tyle, ile należało, a potem był odwożony do domu. Funkcję szofera pełniła jego córka.

Taki stan rzeczy trwał wiele lat, więc z upływem czasu córka przestała być Idą i stała się Oneidą. Wreszcie miała jakieś zajęcie. Nie prowadziła domu, bo nie mogli przecież tak po prostu zwolnić pani Birch. To jedna wersja wytłumaczenia. Ale można też było spojrzeć na to inaczej. Nigdy nie płacili pani Birch na tyle dużo, by na starość nie groziło jej, że trafi do przytułku, gdyby rzeczywiście straciła pracę, jeśli było to w ogóle brane pod uwagę.

Kiedy myślę o wozach Oneidy i jej ojca do Hawksburga i z powrotem, nieodmiennie widzę go jadącego z tyłu, a ją usadowioną z przodu, w charakterze szofera. Całkiem możliwe, że ojciec był po prostu zbyt zwalisty, by siedzieć obok niej. A może jego wielka broda potrzebowała więcej przestrzeni. Tak czy inaczej, w moich wyobrażeniach Oneida nigdy nie cierpiała z tego powodu ani on nie sprawiał wrażenia, że jest jakoś szczególnie nieszczęśliwy. Znosił swój los wyjątkowo godnie. Ją wyróżniało natomiast coś innego. Ilekroć wchodziła do sklepu lub choćby szła ulicą, wokół niej zawsze powstawała wolna przestrzeń, jakby ustępowano jej z drogi, na wypadek gdyby chciała uczynić jakiś gest lub kogoś pozdrowić. Z tego powodu czuła się zawsze odrobinę nieswojo, ale była uprzejma i gotowa śmiać się z samej siebie albo z tego, co ją spotkało. Naturalnie miała dobrą prezencję i wyglądała świetnie dzięki jasnej skórze i lśniący włosom. Choć może dziwnie to zabrzmieć, było mi jej na swój sposób żal, bo nigdy w pełni nie korzystała z życia, była taka ufna i nieco naiwna.

Spróbujcie wczuć się w moją sytuację i zrozumcie mój punkt widzenia, bez obrazy.

Wybuchła wojna i nasz świat z dnia na dzień radykalnie się zmienił. Włóczędzy przestali podróżować pociągami, powstały nowe miejsca pracy, młodzi ludzie nie szukali na gwałt zatrudnienia, imając się wszelkich możliwych zajęć, tylko paradowali w mundurach – bladoniebieskich i khaki. Według matki miałem szczęście, że byłem taki, jaki byłem, i przyznawałem jej rację, ale prosiłem, żeby nie wspominała o tym poza domem. Wróciłem już na dobre z praktyki, którą odbyłem w Goderich, i od razu dostałem pracę księgowego w domu towarowym Krebsa. Oczywiście można było twierdzić, i pewnie chodziły takie słuchy, że posadę dostałem ze względu na matkę, która była zatrudniona w tym samym domu towarowym w dziale z pasmanterią, ale tak się składa, że akurat wtedy Kenny Krebs, młody manager, wstąpił do Sił Powietrznych i zginął podczas lotu treningowego.

Wojna przynosiła tragiczne wydarzenia, takie jak to, ale również wyzwalała w ludziach energię. Wokół pojawiło się mnóstwo osób z pieniędzmi. Straciłem łączność z rówieśnikami, ale w gruncie rzeczy poczucie izolacji nigdy nie było mi obce. A poza tym mój przypadek nie był odosobniony. Synów farmerów ominęła służba wojskowa, bo ktoś musiał uprawiać ziemię i doglądać zwierząt. Znałem też takich, którzy poprosili o zwolnienie z tego obowiązku, chociaż na ich farmach pracowali wynajęci robotnicy. Wiedziałem, że gdyby ktokolwiek mnie zapytał, dlaczego nie wypełniam obywatelskiego obowiązku, zakrawałoby to na żart. A poza tym zawsze mogłem odpowiedzieć, że powinno się dbać o księgi rachunkowe. Prowadziłem je dla Krebsa, a wkrótce także dla innych. Ktoś musiał czuwać nad liczbami. W tamtych latach kobiety nie były jeszcze powszechnie akceptowane w zawodzie księgowego. Nawet pod koniec wojny, kiedy z przyczyn obiektywnych musiały choć w części przejąć obowiązki od mężczyzn, panowało przekonanie, że naprawdę solidnie potrafi

wykonywać tę pracę tylko mężczyzna.

Czasami stawiałem sobie pytanie: dlaczego przyzwolicie, jeśli nie idealnie zoperowana zajęcza wargą oraz dziwnie niekiedy brzmiący, choć przecież w pełni zrozumiały głos były uważane za wystarczający powód do pozostawienia mnie w domu? Z pewnością potrzebowałem zdobyć zaświadczenie o niezdolności do służby wojskowej i w tym celu musiałem odwiedzić lekarza. Tyle że teraz tego po prostu nie pamiętam. Może tak bardzo zdążyłem się przyzwyczaić do ulgowego traktowania pod wieloma względami, że po prostu uznałem zwolnienie ze służby za coś oczywistego?

Prawdopodobnie powiedziałem matce, aby zachowała dla siebie pewne sprawy, ale na ogół nie przykładałem zbyt wielkiej wagi do tego, co mówiła. Ona niezmiennie starała się dostrzec we wszystkim jasną stronę. O innych, bardziej mrocznych aspektach rzeczywistości dowiadywałem się, owszem, ale nie od niej. Wiedziałem na przykład, że to z mojego powodu nie chciała już mieć więcej dzieci i mężczyzna, któremu o tym powiedziała, przestał się nią interesować i odszedł. Nigdy jednak nie przyszło mi na myśl, że z tej racji powinienem użalać się nad nią czy nad własnym losem. Nigdy nie tęskniłem za ojcem, który zmarł, zanim przyszedłem na świat, ani za dziewczyną, którą mógłbym mieć, gdybym wyglądał inaczej, ani za krótką chwilą żołnierskiej buty, którą czują ci, którzy idą na wojnę.

Moja matka i ja mieliśmy ulubione potrawy, które przyrządzaliśmy sobie na kolację, a także audycje radiowe. Zawsze też przed położeniem się spać lubiliśmy słuchać zagranicznych serwisów BBC. Oczywiście często zachodziły łzami, gdy przemawiał król albo Winston Churchill. Zabrałem ją kiedyś na film *Pani Miniver*, który również ją poruszył. Dramaty, zarówno fikcyjne, jak i prawdziwe, wypełniały nasze życie. Ewakuacja wojsk z Dunkierki, dzielna postawa rodziny królewskiej, nocne bombardowania Londynu, złowieszcze bicie Big Bena. Statki zatopione na morzu, a potem jeszcze ta najstraszniejsza katastrofa, kiedy to cywilna jednostka – prom – zatonięła pomiędzy Kanadą a Nową Fundlandią, tuż przy ojczystych brzegach.

Tamtej nocy nie mogłem zasnąć i włóczyłem się po mieście. Nie potrafiłem uwolnić się od myśli o pasażerach, którzy poszli na dno. Stare kobiety i te nieco młodsze, w wieku mojej matki, wypełniające sobie czas robótkami na drutach. Jakieś dziecko z bolącym zębem. Ludzie, którzy ostatnie pół godziny życia spędzili, utyskując na chorobę morską. Towarzyszyły mi bardzo dziwne odczucia: z jednej strony groza i przerażenie, a z drugiej – jeśli potrafię to dobrze wyrazić – podekscytowanie dramatycznymi losami. Oto nastąpił nagły koniec wszystkiego, jakby ktoś zdmuchnął świecę. I nieoczekiwane wyrównanie szans – muszę to powiedzieć – zrównanie ludzi takich jak ja, gorszych niż ja i takich jak oni.

Odczucia te oczywiście znikły, gdy tylko zdążyłem się przyzwyczaić do różnych wojennych zdarzeń. Nagie, zdrowo wyglądające pośladki, chude stare pośladki – wszyscy razem pędzeni do gazu.

A jeżeli odczucia te nie znikły samoistnie, to przynajmniej nauczyłem się je tłumić.

Właśnie w tamtym okresie musiałem się gdzieś natknąć na Oneidę i śledziłem dalsze koleje jej życia. Nie mogłem tego nie robić. Jej ojciec zmarł dzień przed zakończeniem drugiej wojny światowej, co sprawiło, że ceremonie pogrzebowe dość niefortunnie zbiegły się z tymi, które zorganizowano dla uczczenia zwycięstwa. Podobnie było z moją matką, która odeszła latem tego samego roku, akurat gdy świat usłyszał o bombie atomowej. Z tym że matka zmarła bardziej spektakularnie, bo w miejscu publicznym, w pracy, ledwie zdoławszy oznajmić: „Muszę na chwilę usiąść”.

W ostatnim roku życia ojciec Oneidy mało się udzielał – nie bywał i nie zabierał głosu. Farsa z dojazdami do Hawksburga dobiegła końca, ale Oneida wydawała się bardziej zajęta niż kiedykolwiek. Albo też po prostu w tamtym okresie odnosiło się wrażenie, że wszyscy napotkani ludzie ciągle są czymś strasznie zaabsorbowani, bo trzeba było wykupić żywność wydawaną na kartki, wysyłać listy na front i opowiadać o tych, które się otrzymało.

A Oneida miała jeszcze na głowie wielki dom, którym po śmierci ojca musiała się sama zajmować.

Któregoś dnia zatrzymała mnie na ulicy i powiedziała, że potrzebowałaby mojej porady w sprawie sprzedaży domu. Odparłem, że nie powinna się z tym zwracać do mnie, bo nie jestem odpowiednią osobą. Stwierdziła, że rozumie moje obiekcje, ale mnie zna. Oczywiście nie znała mnie ani trochę lepiej niż inne osoby w mieście, ale nalegała i nawet przyjechała do mnie, żeby omówić sprawę dokładniej. Podobał jej się sposób, w jaki odnowiłem mieszkanie, a także poprzestawiałem meble. Stwierdziła, że te zmiany pewnie miały pomóc mi w uporaniu się z traumą po śmierci mojej mamy.

To była prawda, ale niewiele osób zdobyłoby się na to, żeby powiedzieć coś takiego.

Rzadko przyjmowałem gości, dlatego nie przyszło mi na myśl, żeby ją czymś poczęstować. Dałem jej tylko kilka poważnych rad i ostrzeżeń co do sprzedaży, wciąż zaznaczając, żeby nie uważała mnie za eksperta w tej dziedzinie.

A potem stało się, co się stało – Oneida zignorowała wszystko, co jej powiedziałem. Zawarła umowę z pierwszym klientem, który się napatoczył i zdobył jej przychyłność, mówiąc, że dom strasznie mu się podoba i marzy o tym, by zamieszkać w nim z rodziną. Człowiek ten był ostatnią osobą w mieście, której skłonny byłbym zaufać, mniejsza o to, czy miał dzieci, czy nie – a cena, za którą nabył budynek, była żałośnie niska. Musiałem jej to uświadomić. Powiedziałem też, że dzieci będą strasznie bałaganić, na co ona odparła, że dzieci właśnie po to są, żeby bałaganiły. Bałaganiły i robiły ciągle harmider, co było zaprzeczeniem jej własnego dzieciństwa. Jeśli chodzi o ścisłość, nigdy do tego nie doszło, kupiec bowiem natychmiast nakazał zburzyć stary dom i postawił na tym miejscu czteropiętrowy apartamentowiec z windą, a przyległy ogród zamienił na miejsca parkingowe. Był to pierwszy tego rodzaju budynek w mieście. Kiedy zaczęto roboty i Oneida zorientowała się, ku czemu zmierzają, była przerażona i chciała się dowiedzieć, czy cokolwiek jeszcze można z tym zrobić – wystąpić o uznanie budynku za obiekt zabytkowy albo skierować pozew do sądu przeciwko nieuczciwemu nabywcy, który złamał ustne zapewnienie, że zamieszka w nim z rodziną. Była zdumiona, gdy usłyszała, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem, a nowy właściciel miał prawo tak postąpić. I zrobił to człowiek chodzący regularnie do kościoła.

– Ja nie mogłabym się tak zachować – powiedziała – chociaż do kościoła chodzę tylko na Boże Narodzenie.

Potem potrząsnęła głową i wybuchnęła śmiechem.

– Jak mogłam być aż tak głupia – stwierdziła. – Powinnam słuchać twoich rad.

W tym czasie wynajmowała mieszkanie, nawet całkiem niezłe, ale narzekała, że jedyne, co widzi z okna, to sąsiedni budynek.

Jakby nie była świadoma tego, że większość osób mieszkających w mieście musiała się zadowalać takimi właśnie widokami. Tego jej jednak nie powiedziałem.

A potem, kiedy wszystkie apartamenty już wykończono... wprowadziła się do jednego z nich, położonego na ostatnim piętrze, czyli w pewnym sensie wróciła do siebie. Wiem na pewno, że nie płaciła niższego czynszu niż pozostali lokatorzy i nawet o to nie zabiegała. Przestała żywić wrogie uczucia w stosunku do nowego właściciela, widok z okna ją zachwycał, podobnie zresztą jak pralnia

w piwnicy, gdzie każdorazowo przy wejściu trzeba było uiścić opłatę.

– Uczę się żyć oszczędnie. Nie kupuję jakiejś rzeczy tylko dlatego, że mam na nią ochotę. Cokolwiek by nie mówić, ostatecznie to ludzie tacy jak on są siłą sprawczą, która popycha świat do przodu – powiedziała o krętaczu, który wykorzystał jej naiwność.

Zapraszała mnie, żebym przyszedł i zobaczył, jaki widok roztacza się z jej okna, ale ja wciąż się wymawiałem.

Jednak w tym mniej więcej czasie zaczęliśmy się często spotykać. Gdy Oneida nie wiedziała, co począć z domem i jaką podjąć decyzję, lubiła do mnie wpaść i pogadać. A potem, gdy jej kłopoty się skończyły i była zadowolona z nowego mieszkania, nadal mnie odwiedzała. Kupiłem sobie telewizor, a ona nie, bo powiedziała, że boi się uzależnić.

Ja sam raczej się o to nie martwiłem, ponieważ większość dnia i tak spędzałem poza domem. No i w tamtych latach telewizja nadawała mnóstwo dobrych programów. Oneida miała podobny gust do mojego. Lubiliśmy telewizję publiczną, a zwłaszcza angielskie komedie. Niektóre z nich oglądaliśmy wielokrotnie. Najbardziej bawił nas humor sytuacyjny, bardziej niż samo opowiadanie dowcipów. Początkowo angielska otwartość i szczerść, a nawet nieprzyzwoitość trochę mnie krępowały, ale Oneida nie miała podobnych problemów. Gdy jakiś cykl komediowy powtarzano od początku, zgodnie wydawaliśmy jęk niezadowolenia, ale potem nieodmiennie znowu dawaliśmy się porwać jego urokowi. Po jakimś czasie dostrzegaliśmy nawet, że barwy stawały się coraz mniej wyraziste. Teraz też czasami trafiam na te stare komedie, ale już odnowione, krzyczące kolorami i... przełączam kanał, bo ogarnia mnie wielki smutek.

Dosyć szybko nauczyłem się nieźle gotować, a ponieważ najlepsze programy zaczynały się zaraz po kolacji, odpowiednio wcześniej przygotowywałem dla nas posiłek, a Oneida przynosiła deser z cukierni. Kupiłem dwa składane stoliki i zazwyczaj jedliśmy kolację, śledząc wiadomości, a potem oglądaliśmy nasze ulubione programy. Moja matka zawsze nalegała, aby siedzieć przy stole, ponieważ uważała, że tylko tak można zjeść w sposób kulturalny, natomiast Oneidzie było to obojętne.

Zwykle wychodziła po dwudziestej drugiej. Pewnie bez problemu wracałyby do siebie pieszo, ale mnie się ten pomysł niezbyt podobał, dlatego odwoziłem ją do domu. Po tym, jak pozbyła się auta, którym woziła ojca do pracy, nigdy już nie kupiła samochodu. Nigdy też nie miała nic przeciwko spacerom i widywano ją w mieście chodzącą na piechotę, mimo że przez to nierzadko stawała się obiektem kpin. W tamtych latach spacer i ruch na świeżym powietrzu nie były jeszcze w modzie.

Nigdy nie chodziliśmy razem. Czasami jej nie widywałem, ponieważ wyjeżdżała z miasta albo może nie wyjeżdżała, ale dotrzymywała towarzystwa ludziom, którzy przyjeżdżali tu z wizytą. Ja wolałem się z nimi nie spotykać.

Nie. Może wygląda na to, że ich lekceważyłem, ale tak nie było. Poznawanie nowych osób zawsze stanowiło dla mnie wyzwanie i Oneida musiała to rozumieć. A zwyczaj wspólnego zasiadania do kolacji przed telewizorem był czymś tak całkowicie naturalnym, że nie budził żadnych kontrowersji. Wielu musiało słyszeć o naszych spotkaniach, lecz ponieważ chodziło o mnie, nikt nie zwracał na to szczególnej uwagi. Ludzie wiedzieli, że pomagam jej robić rozliczenia podatkowe, ale właściwie dlaczego miałbym tego nie robić? Znałem się na tym, a nikt nie oczekiwał, że ona także powinna się znać.

Nie wiem, czy ktoś się domyślał, że Oneida nigdy mi nie płaciła. Zażądałbym tylko symbolicznej zapłaty, ale jakoś tak wyszło, że temat ten nigdy nie wypłynął. I nie chodzi o to, że była skąpa. Ona po prostu o tym nie pomyślała.

Gdy musiałem z jakiegoś powodu wymówić jej imię, czasami wyrывało mi się: „Ida”. Trochę z tego żartowała, gdy zdarzyło mi się tak powiedzieć w jej obecności. Twierdziła, że zawsze wolałem nazywać różne osoby, używając zdrobnień, które pamiętałem jeszcze z czasów szkolnych. Sam jakoś nie zwróciłem na to uwagi.

– Nikt już tych dziecięcych form nie używa. Tylko ty.

Ta uwaga trochę mnie uraziła, chociaż wszelkimi sposobami starałem się to ukryć. Jakim prawem pozwalała sobie na takie komentarze? Tak jakby chciała dać do zrozumienia, że ja wciąż kurczowo trzymam się dzieciństwa, nie mogę się od niego oderwać, zatrzymując na tym etapie również inne osoby.

Ale to byłoby zbyt proste. Przez wszystkie lata szkolne próbowałem, tak to teraz odbieram, przyzwyczać się do mojego wyglądu – do mojej twarzy – i wrażenia, jakie ten wygląd wywierał na innych ludziach. Myślę, że mi się udało i mam prawo odczuwać z tego powodu pewną satysfakcję, bo przecież jakoś daję sobie radę, potrafię na siebie zarobić, no i nie muszę ciągle zjednywać sobie nowych osób. Ale to jeszcze nie oznacza, że chciałbym, abyśmy wszyscy znowu znaleźli się w klasie czwartej, co to, to nie.

Kim była Oneida, żeby wyrażać takie opinie? Wciąż nie wyglądała mi na osobę o ustalonym statusie społecznym. W rzeczywistości teraz, gdy straciła dom, wraz z nim straciła także część siebie, swoją pozycję, dawny styl życia. Miasto ewoluowało, podobnie jak i jej miejsce w nim, z czego chyba nie do końca zdawała sobie sprawę. Oczywiście zmiany zachodziły zawsze i były czymś naturalnym. Jednak przed wojną ludzie raczej wyprowadzali się stąd w poszukiwaniu nowych szans dla siebie, natomiast w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych miasto zaczęło przybierać inny wygląd za sprawą nowych mieszkańców, którzy tutaj napływali. Można by sądzić, że Oneida zaakceptowała ten stan rzeczy, gdy podjęła decyzję, by zamieszkać w apartamentowcu. Ale nie do końca się w tym wszystkim odnajdywała. Była w niej jakaś niepewność, wahanie i niefrasobliwość, jak gdyby wciąż czekała, że prawdziwe życie dopiero się dla niej zacznie.

Oczywiście wyjeżdżała na różne wycieczki z nadzieją, że właśnie tam coś się dla niej otworzy. Ale nie miała szczęścia.

W czasach kiedy budowano nowe centrum handlowe na południowych obrzeżach miasta, a dom towarowy Krebsa zakończył działalność (co mnie wcale nie zmartwiło, bo wystarczająco długo dla nich pracowałem), coraz więcej ludzi wyjeżdżało na ferie zimowe do Meksyku, Indii Zachodnich albo do jeszcze innych miejsc, w których wcześniej nikt z nas nie bywał. Skutkiem tych podróży, w moim przekonaniu, były różne egzotyczne choroby, poprzednio zupełnie tu niespotykane. Trwało to pewien czas. Ogłoszono nawet Chorobę Roku, która miała jakąś specjalną nazwę. Możliwe, że w mieście nadal pojawiają się dziwne infekcje, ale nikt nie zwraca na nie uwagi. Albo też ludzie w moim wieku przestali się tym przejmować, uznając, że gdyby mieli umrzeć gwałtowną i niespodziewaną śmiercią, doszłoby do tego dużo wcześniej.

Któregoś wieczoru, pod koniec telewizyjnego show postanowiłem zrobić nam po filiżance herbaty, zanim Oneida wróci do domu. Szedłem w stronę kuchni, gdy nagle poczułem się okropnie. Potknąłem się, upadłem na kolana i położyłem się na podłodze. Oneida chwyciła mnie, posadziła na krześle i zamroczenie minęło. Powiedziałem, że czasami dopadają mnie zawroty głowy i nie ma się czym martwić. Skłamałem i nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale ona i tak nie uwierzyła. Podtrzymywała mnie, bym mógł dojść do sypialni na dole i zdjąć mi buty. Potem wspólnymi siłami i nie bez protestów z mojej strony udało się przebrać mnie w piżamę. Rzeczywistość wciąż mi umykała i tylko

po części byłem świadomy tego, co się ze mną dzieje. Powiedziałem jej, żeby zamówiła dla siebie taksówkę, ale nie zwracała na mnie uwagi.

Tamtej nocy spała na kanapie w salonie, a nazajutrz, gdy rozejrzała się trochę po domu, zdecydowała przenieść się do sypialni mojej matki. W ciągu dnia musiała wrócić do swojego mieszkania, żeby zabrać potrzebne rzeczy. Możliwe, że poszła również do centrum handlowego, by dokupić dla mnie parę brakujących artykułów spożywczych. Rozmawiała też z lekarzem i odebrała z apteki lek, który łykałem, ilekroć mi go podała.

Przez większą część tygodnia wciąż traciłem i odzyskiwałem przytomność, wymiotowałem i miałem gorączkę. Od czasu do czasu mówiłem Oneidzie, że czuję się już dobrze i dam sobie radę, ale był to zupełny nonsens. Głównie jednak stosowałem się do jej zaleceń i stałem się od niej w pewien sposób zależny, tak jak pacjent od pielęgniarki w szpitalu, bez niepotrzebnych emocji. Oczywiście Oneida nie umiała zajmować się gorączkującym pacjentem tak jak zawodowa pielęgniarka i czasami, gdybym nie był taki słaby, pewnie skarżyłbym się jak sześciolatek. Ona przeprosiłaby mnie i na pewno nie czułaby urazy.

Potrafiłem wmawiać jej, że mam się lepiej i powinna wrócić do domu, a chwilę później znów myślałem tylko o sobie i przywoływałem ją do siebie, bez żadnego wyraźnego powodu, po to tylko, by się upewnić, że nadal ze mną jest.

W końcu poczułem się na tyle dobrze, że zacząłem martwić się o moją opiekunkę, czy czasem się ode mnie nie zarazi ową tajemniczą chorobą.

– Powinnaś nosić maskę.

– Nie martw się – odpowiedziała. – Gdybym miała się zarazić, z pewnością byłabym już chora.

Choć faktycznie poczułem się lepiej, ciągle miałem ochotę, by ktoś zajmował się mną jak małym dzieckiem.

Ale ona nie była przecież moją matką, któregoś ranka musiałem się obudzić i wreszcie to sobie uświadomić. Pomyślałem o wszystkim, co dla mnie robiła, i poczułem straszne zażenowanie. Każdy mężczyzna byłby zakłopotany, ale ja szczególnie, ponieważ wiedziałem, jak wyglądam. Już prawie o tym zapomniałem, a teraz dotarło do mnie, że Oneida nie była skrupowana moją osobą i mogła mnie pielęgnować bez emocji, zachowując obojętność, ponieważ nie istniałem dla niej jako mężczyzna – traktowała mnie jak biedne, nieszczęśliwe dziecko.

Teraz, gdy to zrozumiałem, byłem dla niej uprzejmy i starałem się okazać swoją wdzięczność, a jednocześnie szczerze pragnąłem, żeby poszła już sobie i zostawiła mnie w spokoju.

Odgadła mój stan ducha, ale nie poczuła się dotknięta. Z pewnością była już bardzo zmęczona ciągłym niewyspaniem i sprawowaniem nade mną opieki, do czego przecież nie przywykła. Poszła jeszcze po raz ostatni zrobić mi zakupy, zmierzyła mi temperaturę i wróciła do domu, wyraźnie z siebie zadowolona z powodu dobrze wykonanego zadania, tak jak się tego spodziewałem. Przed wyjściem stała przez chwilę w dużym pokoju i patrzyła, czy poradzę sobie z ubieraniem, a następnie uspokojona stwierdziła, że tak. Niemal natychmiast po tym, jak zamknęły się za nią drzwi, wyciągnąłem zestawienia finansowe i zasiadłem do pracy, którą przerwałem, kiedy dopadła mnie choroba.

Mój umysł pracował wolniej, ale tak jak należy, co przyjąłem z ogromną ulgą.

Oneida zostawiła mnie w spokoju aż do dnia – a właściwie wieczoru – kiedy to zwykle razem oglądaliśmy telewizję. Przyjechała z puszką zupy. Wprawdzie nie można było z tego przygotować porządnej kolacji, Oneida nie zrobiła też niczego samodzielnie, niemniej jednak wniosła jakiś swój wkład. Przyszła też na tyle wcześnie, żeby starczyło czasu na gotowanie. Puszkę otworzyła, nie

pytając mnie o zdanie. Przygrzała zupę, wyjęła miseczki i zjedliśmy razem. Zachowywała się, jakby chciała mi uzmysłowić, że jestem rekonwalescentem wymagającym solidnego odżywiania. I to właściwie była prawda. Tego dnia w południe tak bardzo drżały mi ręce, że nie potrafiłem dać sobie rady z otwieraczem do konserw.

Zwykle oglądaliśmy razem dwa programy rozrywkowe, jeden po drugim. Ale tamtego wieczoru nie udało nam się tego następnego obejrzeć. Oneida nie mogła się bowiem doczekać, aż coś mi zakomunikuje, i zaczęła rozmowę, która mocno wytrąciła mnie z równowagi.

Ogólnie rzecz biorąc, postanowiła, że się do mnie wprowadzi.

Po pierwsze, jak powiedziała, nie była jednak zadowolona ze swojego mieszkania. Popęłniła wielki błąd. Zdecydowanie bardziej lubiła domy. Ale to nie oznacza, że żałuje, iż sprzedała ten, w którym się urodziła. Zwariowałaby, gdyby musiała mieszkać w tym wielkim domu zupełnie sama. Jej błąd polegał na tym, że uznała mieszkanie w apartamentowcu za najlepsze rozwiązanie. Nigdy nie była tam szczęśliwa, okazało się to po prostu niemożliwe. Dotarło to do niej, gdy zamieszkała u mnie podczas mojej choroby. Powinna to sobie uświadomić już dawno temu, kiedy była małą dziewczynką. Przyglądała się wtedy różnym domom, o których myślała, że chciałaby w nich zamieszkać.

Po drugie, w jej przekonaniu żadne z nas nie umiało radzić sobie w pojedynkę. A jeśli w czasie mojej choroby nikogo by przy mnie nie było? Co bym wówczas zrobił? A gdyby choroba się powtórzyła? Albo gdyby to ją spotkało takie nieszczęście?

Łączyła nas pewna więź, jak to ujęła Oneida. Bardzo niezwykła więź. Moglibyśmy zamieszkać ze sobą jak brat i siostra, opiekować się sobą jak brat i siostra i byłaby to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Każdy by to zaakceptował. Dlaczego by nie spróbować?

Przez cały czas, kiedy to mówiła, czułem się strasznie. Byłem zły, przerażony i zbulwersowany. Najgorsze okazały się słowa, które wypowiedziała pod koniec – że nikomu nie przyszłoby do głowy, by uważać naszą relację za niestosowną. Jednocześnie doskonale wiedziałem, co miała na myśli, i możliwe, iż nawet się z nią zgadzałem, że wiele osób szybko by przywykło do tego stanu rzeczy. Jakiś sprośny kawał albo i dwa pod naszym adresem i to wszystko, możliwe, że nawet byśmy o tym nie wiedzieli.

Niewykluczone, że ona miała rację. To była nawet całkiem sensowna propozycja.

A jednak czułem się, jakby ktoś wrzucił mnie do piwnicy i zatrzasnął mi właz nad głową.

Za nic jednak nie chciałem dać po sobie poznać, co myślę.

Powiedziałem, że to ciekawy pomysł, ale z jednego powodu niemożliwy do zrealizowania.

Co stało na przeszkodzie?

Zapomniałem jej powiedzieć. Wszystko przez chorobę i całe to zamieszanie. Otóż wystawiłem dom na sprzedaż. I znalazł się kupiec.

Och, dlaczego jej nie poinformowałem?

Bo nie miałem pojęcia, wyznałem szczerze – nie miałem zielonego pojęcia, że taki plan powstanie w jej głowie.

– A więc spóźniłam się z tym pomysłem – powiedziała. – Jak i z innymi decyzjami w moim życiu. Coś musi być ze mną nie tak. Z wszystkim zwlekam. Zawsze wydaje mi się, że jest mnóstwo czasu.

Jakoś się uratowałem, ale nie bez strat. Musiałem wystawić dom – swój dom – na sprzedaż i przeprowadzić transakcję najszybciej jak się da. Prawie tak błyskawicznie, jak zrobiła to ona.

I udało mi się. Sprzedałem dom niemal tak samo szybko, ale na szczęście nie na takich śmiesznych

warunkach, na jakie przystała Oneida. A potem musiałem stawić czoło temu wszystkiemu, co nagromadziło się w domu od dnia, kiedy moi rodzice wprowadzili się do niego w trakcie miesiąca miodowego, bo nie mieli pieniędzy, żeby wyjechać w podróż poślubną.

Sąsiedzi się zdumiali. Nie byli długoletnimi sąsiadami, nie znali mojej matki, ale powiedzieli, że się przyzwyczaili do mnie, do tego, że zawsze o tej samej porze, z niezawodną regularnością wychodzę, a potem wracam.

Chcieli wiedzieć, jakie mam plany, i wtedy uświadomiłem sobie, że nie mam żadnych. Poza wykonywaniem swojej pracy, która zawsze była częścią mego życia, z tym że zacząłem ograniczać jej zakres, bo powoli chciałem już przejść na spokojną emeryturę.

Zacząłem się rozglądać za miejscem, gdzie mógłbym zamieszkać, i okazało się, że ze wszystkich, które mi odpowiadały, tylko jedno było do wzięcia – apartament w bloku wybudowanym na miejscu domu rodzinnego Oneidy. Nie na ostatnim piętrze, z widokiem, tam gdzie mieszkała ona, ale na dole. Tak czy inaczej nigdy specjalnie nie zależało mi na widokach, zdecydowałem się więc. Nie bardzo wiedząc, co innego mógłbym zrobić.

Oczywiście zamierzałem jej o tym powiedzieć. Ale wieść rozeszła się, zanim zdołałem to zrobić. Oneida i tak miała własne plany. Nastąpiło już lato i przestano nadawać nasze ulubione programy. W tym okresie nie widywaliśmy się regularnie. I nie pomyślałem, aż do momentu podjęcia ostatecznej decyzji w sprawie mieszkania, że powinienem może się usprawiedliwić albo prosić ją o zgodę. Kiedy poszedłem, żeby obejrzeć apartament i podpisać umowę najmu, nigdzie Oneidy nie było.

W trakcie tej wizyty albo może nieco później, kiedy o tym myślałem, zrozumiałem jedną rzecz. Spotkałem tam pewnego człowieka, którego nie do końca kojarzyłem, i dopiero po chwili, gdy podjął ze mną rozmowę, dotarło do mnie, że znam go od lat i przez pół życia kłaniałem mu się na ulicy. Gdybym zobaczył tego mężczyznę w środku miasta, pewnie bym go poznał, pomimo spustoszeń, jakich dokonał czas. Ale tu, w nowym miejscu zupełnie nie mogłem odgadnąć, z kim mam do czynienia. Śmiałyśmy się z tego, a on koniecznie chciał wiedzieć, czy planuję się wprowadzić do parku sztywnych.

Odparłem, iż nie wiedziałem, że tak ten blok nazywają, ale owszem, mam taki zamiar.

Potem zapytał mnie jeszcze, czy gram w karty, a konkretnie w euchre, na co odparłem, że trochę.

– To świetnie – powiedział.

I wtedy właśnie pomyślałem, że wystarczy żyć odpowiednio długo i można pozbyć się problemów. Zostajemy członkami ekskluzywnego klubu. Nieważne, jakie miało się upośledzenie, z chwilą gdy osiągamy pewien wiek, niedogodności związane z kalectwem stają się znacznie mniej dotkliwe. Bo czas zniekształca wszystkie twarze, a nie tylko naszą.

Gdy doszedłem do tych wniosków, przyszła mi na myśl Oneida i zacząłem się zastanawiać, jak wyglądała, gdy zaproponowała mi, że się do mnie wprowadzi. Nie była już szczupła, raczej wychudzona i zmęczona, co niewątpliwie wynikało z tego, że często musiała do mnie wstawać, ale pomijając ten fakt, jej wiek również dawał już o sobie znać. Zawsze uchodziła za subtelną piękność. Delikatna, łatwo rumieniąca się blondynka, w dość niezwykły sposób łączyła w sobie poczucie winy i arystokratyczną pewność siebie – teraz jednak wszystkie te atrybuty straciła. Kiedy przyszła, żeby złożyć mi propozycję, była spięta i wyglądała dziwnie.

Oczywiście, gdybym kiedykolwiek mógł wybierać, z pewnością poszukałbym sobie niższej dziewczyny, bardziej dla mnie odpowiedniej. Takiej jak ta z college'u, filigranowa i ciemnowłosa, spokrewniona z rodziną Krebsów. Podjęła u nich pracę na okres lata.

Ktoregoś dnia ta właśnie dziewczyna zakomunikowała mi w przyjazny sposób, że obecnie chirurdzy dokonują cudów i mógłbym dać sobie zoperować twarz ze znacznie lepszym skutkiem. Byłbym mile zaskoczony, powiedziała. I wcale nie musiałbym się wykosztować, bo zabieg jest refundowany.

Miała rację. Ale jak mogłem jej wytłumaczyć, że nie czułem się na siłach pójść do lekarza i przyznać się do ułomności.

Oneida wyglądała lepiej niż poprzednio, kiedy wpadła i zastała mnie pośród ogólnego rozgardiaszu, pakowania i wyrzucania zbędnych rzeczy. Ułożyła sobie włosy i chyba nieco zmieniła ich kolor, na bardziej brązowy.

– Nie musisz wyrzucać wszystkiego od razu – powiedziała. – Tego, co udało ci się zebrać przez lata, by dokumentować historię miasta.

Odparłem, że robię selekcję, chociaż nie było to do końca prawdą. Miałem wrażenie, że oboje udajemy, iż wydarzenia z przeszłości znaczą dla nas więcej, niż faktycznie znaczyły. Kiedy zacząłem myśleć o historii naszej miejscowości, doszedłem do wniosku, że w gruncie rzeczy wszystkie miasta są do siebie podobne.

Nie poruszyliśmy w ogóle kwestii mojej przeprowadzki do apartamentowca. Zupełnie jakby wszystko zostało już uzgodnione i zdecydowane dawno temu.

Powiedziała, że wyrusza w kolejną podróż, tym razem określiła jednak cel. Wyspa Savary, jakby to mi coś mówiło.

Zapytałem grzecznie, gdzie to jest.

– Och, u wybrzeży Kanady – odparła.

Jakby to była wyczerpująca odpowiedź na moje pytanie.

– Mieszka tam moja stara przyjaciółka – dodała.

To oczywiście mogło być prawdą.

– Przysłała mi faks. Zachęca mnie do tego wyjazdu. Jakoś nieszczególnie mam ochotę jechać, ale co mi szkodzi spróbować.

– Myślę, że to dobry pomysł, ale tego się nie wie, dopóki się nie spróbuje.

Czułem, że powinienem powiedzieć coś więcej. Zainteresować się, jaka tam panuje pogoda, albo zapytać o inne rzeczy związane z miejscem, do którego jedzie. Ale zanim zdążyłem pomyśleć, co powiedzieć, Oneida nieoczekiwanie wydała z siebie krzyk, czy pisk, po czym zasłoniła usta dłonią i zachowując ostrożność, dużymi krokami podeszła do okna.

– Tylko cicho, uważaj – powiedziała. – Popatrz no.

Śmiała się niemal bezgłośnie, śmiechem, który mógł oznaczać także ból. Gdy wstałem, gestem ręki nakazała mi, bym postarał się nie hałasować.

Na podwórku mojego domu znajdowało się poidło dla ptaków. Umieściłem je tam za dawnych czasów, żeby matka mogła obserwować swoich skrzydlatych przyjaciół. Bardzo lubiła ptactwo i umiała rozpoznać poszczególne gatunki po śpiewie i wyglądzie. Przez długi czas poidło stało zaniedbane i dopiero tego ranka nappełniłem je wodą.

I co?

Było w nim mnóstwo ptaków. Czarno-białych, rozchlapujących wodę na wszystkie strony.

To nie ptaki. Coś większego niż rudziki, mniejszego niż wrony.

– Skunksy – powiedziała. – To małe skunksy. Ich futro wciąż jest bardziej białe niż czarne.

Ale jakie piękne. Ruchliwe i zwinne zwierzątka nie wchodziły sobie w drogę, a ich migotliwe czarno -białe futerka zlewały się w jedną całość, tak że nie sposób było małych skunksów rozróżnić ani policzyć.

Kiedy je obserwowaliśmy, po kolei podniosły się, wyszły z wody i pomaszzerowały na przełaj – szybko, jeden za drugim, w odpowiednim porządku. Szły, jakby były z siebie dumne, ale też ostrożne. Było ich pięć.

– Mój Boże – powiedziała Oneida. – W środku miasta.

Jej twarz promieniała.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

Odparłem, że nie. Nigdy.

Pomyślałem, że może Oneida zechce coś dodać i wszystko zepsuje, ale nie. Żadne z nas tego nie zrobiło.

Byliśmy na tyle zachwyceni, na ile pozwalały nam okoliczności.

Corrie

Niedobrze, gdy pieniądze są zgromadzone w jednej rodzinie, tak jak u nas – powiedział pan Carlton. – Weźmy, dajmy na to, taką dziewczynę jak moja córka Corrie. Mówię o niej przykładowo. Nie jest dla niej korzystne, że nikt z krewnych nie żyje na takim samym poziomie jak ona.

Corrie siedziała po drugiej stronie stołu i patrzyła gościowi w oczy. Cała ta rozmowa najwyraźniej wydawała się jej śmieszna.

– Za kogo miałaby wyjść za męż? – kontynuował jej ojciec. – Ma dwadzieścia pięć lat.

Corrie skrzywiła się i zmarszczyła czoło.

– Pomyliłeś się o rok – stwierdziła. – Dwadzieścia sześć.

– No dobrze – odpowiedział ojciec. – To pośmiej się ze mnie ile wlezie.

I rzeczywiście – wybuchła głośnym śmiechem. Bo też co innego mogła zrobić?, pomyślał gość. Nazywał się Howard Ritchie i był od niej zaledwie o kilka lat starszy, a już założył rodzinę, jak szybko zorientował się ojciec dziewczyny.

Wyraz twarzy Corrie bardzo często się zmieniał. Miała lśniące białe zęby i krótkie kręcone, prawie czarne włosy. Światło pięknie rzeźbiło jej wydatne kości policzkowe. Nie była słabą kobietką. Żaden z niej pieszczoszek, jak by powiedział jej ojciec. Howard Ritchie był przekonany, że taka dziewczyna pewnie całymi dniami grywa w golfa i tenisa. Ale domyślał się też, że pomimo ciętego języka ma dość tradycyjny sposób myślenia.

Był zaledwie początkującym architektem, u progu kariery zawodowej. Ale pan Carlton z uporem twierdził, że Howard powinien się nazywać specjalistą od architektury sakralnej, bo przecież odrestaurowywał wieżę miejscowego kościoła anglikańskiego. Wieża pewnie lada dzień by się zawaliła, gdyby ojciec Corrie nie zechciał się nią zająć. Pan Carlton wielokrotnie deklarował, że nie jest anglikaninem, tylko metodystą, i to bardzo zaangażowanym, dlatego nie ma w domu mocnych alkoholi. Ale nie mógł przecież pozwolić, by taki ładny budynek jak ten anglikański kościół popadł w zupełną ruinę. A patrząc na anglikanów, trudno mieć nadzieję, by podjęli jakieś sensowne działania – to biedni ludzie, wywodzący się z rodzin irlandzkich protestantów, więc mogliby w najlepszym razie rozebrać wieżę i postawić w jej miejsce coś brzydkiego, co tylko oszpeciłoby miasto. Nie mają pieniędzy, dlatego zamiast architekta zatrudniliby cieślę. A do tej roboty potrzeba architekta z prawdziwego zdarzenia, znajdującego się na rzeczy.

Jadalnia prezentowała się okropnie, przynajmniej w opinii Howarda. Nastąpiła już połowa lat pięćdziesiątych, a pomieszczenie to wyglądało, jakby pochodziło z przełomu wieków. Jedzenie było zaledwie znośne. Mężczyzna siedzący u szczytu stołu nie przestawał mówić. Można by sądzić, że dla Corrie będzie to trudne do zniesienia, a tymczasem jej ciągle było do śmiechu. Jeszcze nie skończyła deseru, a już zapaliła papierosa. Poczęstowała też Howarda, mówiąc do niego półgłosem:

– Proszę nie przejmować się tatusiem.

Gość przyjął poczęstunek, ale pomyślał o niej nie najlepiej.

Zepsuta bogata pannica. Bez dobrych manier.

Ni z tego, ni z owego dziewczyna zapytała go, co sądzi o premierze rządu prowincji Saskatchewan, Tommym Douglasie.

Odparł, że jego żona głosowała właśnie na Douglasa. Uważała go wprawdzie za nie dość lewicowego, ale jego te sprawy mało obchodzą.

– Mój tatuś go uwielbia. Tatuś jest komunistą.

Słyszając to, pan Carlton zachnął się, ale ona nic sobie z tego nie robiła.

– Przecież śmiejesz się z jego żartów – przygadała ojcu.

Wkrótce potem zabrała Howarda na dwór, by obejrzał teren. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko domu stała fabryka obuwia męskiego i butów roboczych. Za to na tyłach domu ciągnęły się rozległe łąki, wśród których wiła się rzeka, przecinająca również miasto. Do brzegu prowadziła mocno wydeptana ścieżka. Corrie szła przodem, dlatego upewnił się, że dziewczyna kuleje – wcześniej miał co do tego wątpliwości.

– Z powrotem będziemy mieli mocno pod górkę, prawda? – spytał.

– Nie jestem inwalidką.

– Widzę, że macie łódkę – usiłował zmienić temat w formie zadośćuczynienia.

– Kiedyś zabiorę pana na przejażdżkę, ale nie dziś. Teraz musimy poobserwować zachód słońca.

Wskazała na stare krzesło kuchenne, które, jak twierdziła, służyło do tego celu, i uparła się, by na nim usiadł. Sama przycupnęła na trawie. Już miał zapytać, czy zdoła wstać bez problemu, ale zrezygnował.

– Miałam polio – wyjaśniła. – Takie są skutki, a moja mama zachorowała na to samo i zmarła.

– To straszne.

– No tak. Nawet jej nie pamiętam. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Egiptu. Jakiś czas temu bardzo się na to cieszyłam, ale ostatnio trochę mi przeszło. Myśli pan, że tam będzie można się zabawić?

– Ja muszę zarabiać na życie.

Sam nie mógł się nadziwić własnej odpowiedzi, a Corrie oczywiście zaczęła chichotać.

– Miałam na myśli tak w ogóle – powiedziała oficjalnym tonem, gdy przeszła jej ochota na śmiech.

– Ja też.

Pewnie złowi ją jakiś obrzydliwy kombinator, Egipcjanin czy inny taki. Dziewczyna wydawała się szalenie śmiała, ale i dziecinna. W pierwszej chwili mogła zainteresować każdego, ale wkrótce jej bezpośredniość, a może po prostu pewność siebie stawała się niepożądana i trudna do zniesienia. Oczywiście miała pieniądze, a te dla wielu mężczyzn nigdy nie są czymś niepożądanym.

– Przy tatusiu proszę nie wspominać nic o mojej nodze, bo może dostać apopleksji – powiedziała. – Kiedyś wyrzucił z pracy nie tylko chłopaka, który mi dokuczał, ale także całą jego rodzinę. Nawet kuzynów.

Z Egiptu nadeszły od niej dziwne pocztówki wysyłane do firmy, nie na adres prywatny. Ale, prawdę mówiąc, skąd miałyby znać jego adres domowy?

Ani jednej kartki z piramidą. Albo ze sfinksem.

Była więc pocztówka ze Skałą Gibraltarską i dopiskiem: „Zrujnowana piramida”. Inna pokazywała płaskie, ciemnobrązowe pola, Bóg raczy wiedzieć gdzie położone, i wyjaśniała, że to „Morze Melancholii”. Oprócz tego drobnym drukiem dopisane było: „Lupa za dopłatą”. Na szczęście nikt w biurze nie natrafił na te kartki.

Nie zamierzał reagować, a jednak odpisał: „Lupa uszkodzona. Żądam zwrotu gotówki”.

Pojechał do jej miasta, niby to na inspekcję wieży kościoła. Wiedział, że Corrie powinna już wrócić, ale nie miał pojęcia, czy będzie w domu, czy może na kolejnej eskapadzie.

Była w domu i przez jakiś czas nie zamierzała nigdzie wyjeżdżać. Jej ojciec przeszedł wylew. Niewiele mogła mu pomóc. Co drugi dzień przychodziła pielęgniarka. A dziewczyna nazwiskiem Lillian Wolfe zajmowała się paleniem w kominkach, które na przyjazd Howarda zawsze buzowały ogniem. Wykonywała też oczywiście inne prace. Corrie nie potrafiła napalić w piecu ani ugotować niczego porządnego; nie umiała też pisać na maszynie ani prowadzić samochodu, nawet gdy założyła but z pogrubioną podeszwą, który miał jej to ułatwić. Howard przejmował część tych obowiązków, gdy przyjeżdżał. Zajmował się paleniem w kominku i mnóstwem innych codziennych spraw domowych, a nawet odwiedzał ojca dziewczyny, jeśli dyspozycja starszego pana na to pozwalała.

Nie był pewien swojej reakcji na kalectwo Corrie, gdy znajdzie się razem z nią w łóżku. Ale ku jego zdumieniu chora noga okazała się dla niego nawet bardziej atrakcyjna i niezwykła niż reszta jej ciała.

Powiedziała mu, że nie jest już dziewicą. Wiązało się to ze skomplikowaną historią, w której uczestniczył nauczyciel gry na pianinie z czasów, gdy miała piętnaście lat. Pozwalała mu na różne rzeczy, bo zawsze było jej żal ludzi, którzy bardzo czegoś pragnęli.

– Nie czuj się dotknięty tym, co powiedziałam – dodała, wyjaśniając, że dawno już przestała odczuwać żal tego rodzaju.

– Mam nadzieję – odparł.

A potem opowiedział jej o sobie. To, że miał prezerwatywę, wcale nie oznaczało, że był wyrachowanym graczem. Prawdę mówiąc, była drugą kobietą, z którą poszedł do łóżka. Wcześniej tylko z żoną. Wychował się w niezwykle religijnej rodzinie i nadal wierzył w Boga – do pewnego stopnia. Nie wyjawiał tego jednak żonie z obawy, że zacznie się z niego naśmiewać, bo miała bardzo lewicowe poglądy.

Corrie ucieszyła się, że relacja, która powstała między nimi – to, co przed chwilą zrobili – nie wywołuje u niego wyrzutów sumienia, chociaż Howard uważa się za osobę wierzącą. Powiedziała też, że sama nigdy nie miała czasu dla Boga, bo jej ojciec był wystarczająco wymagający.

Aranżowanie spotkań przychodziło im bez większego trudu. Praca Howarda wymagała częstych wyjazdów na kontrole lub spotkania z klientami. A z Kitchener miał niedaleko. Corrie mieszkała teraz sama. Ojciec zmarł, a służąca poszukała sobie pracy w mieście. Corrie nie tylko na to przystała, ale nawet dała jej pieniądze na lekcje pisania na maszynie, żeby dziewczyna miała lepszy start.

– Jesteś zbyt bystra, żebyś miała marnować się wśród garów – powiedziała. – Daj potem znać, jak ci się ułożyło.

Nie wiadomo, czy Lillian Wolfe wydała te pieniądze na lekcje, czy na inne cele, w każdym razie nadal pracowała jako pomoc domowa. Wyszło to na jaw, gdy Howard został wraz z żoną zaproszony na obiad do jakiegoś ważnego, nowo przybyłego mieszkańca Kitchener. Do stołu podawała Lillian, ta sama, z którą twarzą w twarz spotykał się w domu Corrie. Ta, która widziała – gdy wchodziła zabrać talerze albo rozpalić ogień – jak obejmował jej pracodawczynię. Służąca domyśliła się, przysłuchując się prowadzonym rozmowom, że towarzysząca mu teraz osoba jest jego żoną i że w tamtym czasie, gdy odwiedzał Corrie, również nią była.

Howard tłumaczył kochance, że nie wspomniał jej od razu o tym pechowym obiedzie, bo nie sądził, że to przypadkowe przecież spotkanie będzie miało jakieś poważne następstwa. Gospodarze

wieczoru nie byli bliskimi znajomymi ani jego, ani żony. Zwłaszcza żony, która miała skrajnie odmienne poglądy polityczne i nawet później sobie z tych ludzi żartowała. Było to zwykłe spotkanie towarzysko-biznesowe i nic nie wskazywało, by służąca miała po zakończeniu imprezy plotkować na temat gości z panią domu.

I rzeczywiście nie plotkowała. Zachowała wszystko dla siebie, o czym skrupulatnie zapewniła w liście. A jeśli już miałyby z kimś rozmawiać o swoich odkryciach, to nie z panią domu, lecz z żoną Howarda. „Czy szanowną małżonkę zainteresowałyby może takie wieści?” – tak to mniej więcej ujęła. List przyszedł na adres służbowy, który Lillian zdołała jakoś ustalić. Podobnie zresztą jak prywatny. Musiała go śledzić. W liście wspomniała też o palcie żony ozdobionym kołnierzem ze srebrnych lisów. Żona nie lubiła tego palta i często się tłumaczyła, że je odziedziczyła, a nie kupiła. Była to zresztą prawda. A jednak decydowała się je włożyć przy pewnych okazjach, takich jak proszony obiad, bo chciała się czuć na równej stopie z pozostałymi uczestnikami spotkania, nawet jeśli nie wymagał tego żaden interes.

„Nie chciałam złamać serca takiej eleganckiej damie w płaszczu ozdobionym kołnierzem ze srebrnych lisów”, napisała w liście Lillian.

– Skąd taka Lillian może wiedzieć, że to akurat srebrne lisy – dziwiła się Corrie, gdy Howard zdecydował się jej powiedzieć o całej historii. – Jesteś pewien, że tak właśnie napisała?

– Jak najbardziej.

List spalił zaraz po przeczytaniu, bo się nim brzydził.

– Czyli przyłapała nas. Zawsze wiedziałam, że to spryciara. Domyślam się, że nie masz zamiaru jej zabić?

Nawet się nie uśmiechnął, więc dodała tylko:

– Żartowałam.

Nadszedł kwiecień, ale wciąż panowały chłody i przyjemnie byłoby napalić w kominku. Przez całą kolację myślała, że go o to poprosi, ale zniechęcił ją jego dziwny, ponury nastrój.

Powiedział, że żona wcale nie miała ochoty iść na tamten obiad.

– Co za pech.

– Trzeba było jej posłuchać – odparła.

– Cholerny pech – ciągnął. – Najgorsze, co mogło nas spotkać.

Wpatrywali się w czarne palenisko. Nie dotykał jej, przytulił tylko na powitanie.

– No co ty. Nie jest aż tak źle.

– Nie?

– Pewnie, że nie. Możemy jej przecież zapłacić. Nie żąda tak znowu dużo.

– Ale ja nie mam...

– To ja zapłacę.

– Ależ...

– Nie ma sprawy.

Zmuszała się do beztróskiego tonu, ale przeszył ją śmiertelny chłód. Bo co będzie, jak on odmówi? Zabroni jej płacić. Uzna, że to znak. Znak, że powinni się rozstać. Wyczuwała taką gotowość w jego głosie i wyrazie twarzy. Pewnie znów chodzi o grzech, czynienie zła i inne tego typu sprawy.

– Dla mnie to żaden problem – dodała. – A ty, nawet gdyby cię było stać, miałbyś poczucie, że

odbierasz te pieniądze swojej rodzinie, a przecież nie mógłbyś im czegoś takiego zrobić...

Rodzina. Nie powinna była użyć tego słowa. Nigdy.

Ale jego twarz o dziwo się rozpuściła. Wprawdzie dalej mówił nie, niby się nie zgadzał, ale w jego głosie pojawił się cień wątpliwości. Czują, że Howard powoli oswaja się z jej propozycją. Po chwili był już w stanie powrócić do rzeczowej rozmowy i przypomniał sobie jeszcze o czymś – Lillian w liście domagała się banknotów, czeki nie wchodziły w grę.

Powiedział to, nie podnosząc wzroku, jakby omawiał sprawę czysto służbowe. Corrie również wolała gotówkę. Ona nie zostawia śladu.

– Postanowione – oświadczyła. – Kwota nie jest powalająca.

– Ale ona nie powinna się o tym dowiedzieć – powiedział w tonie ostrzeżenia.

Skrytkę pocztową mieli wynająć na nazwisko Lillian, a banknoty, w zaadresowanej do niej kopercie, przekazywać dwa razy do roku. Dаты również ustalała ona. I nie życzyła sobie żadnych spóźnień. Bo, jak powiedziała, mogłaby się zacząć martwić.

On nadal prawie nie dotykał Corrie. Żegnał się z nią, okazując tylko wdzięczność, niemal oficjalnie. Cała ta historia nie powinna mieć wpływu na to, co ich łączy, wydawał się mówić. Zaczniemy wszystko od nowa. Z czystym sumieniem, że nikogo nie raniemy. Nikomu nie robimy krzywdy. Rozumiała ten jego komunikat bez użycia słów. Sama spróbowała trochę zażartować, ale żart okazał się chybiony, bo Howard go nie podchwycił.

– Przynajmniej przyczyniliśmy się do edukacji Lillian – kiedyś nie była aż tak bystra.

– Musimy postępować z nią rozważnie, bo co będzie, jak stanie się jeszcze bystrzejsza i podbije stawkę? – rzucił z powagą.

– Zobaczymy, jak się zachowa. W każdym razie zawsze możemy pójść na policję. Nawet teraz.

Stali na omiatanym wiatrem ganku.

– Ale to by oznaczało dla nas koniec – stwierdził. Zdążył się pożegnać, odwrócił głowę i dodał: – Nie chciałbym, żeby to, co jest między nami, się skończyło, nie zniósłbym tego.

– Cieszę się, że tak mówisz – powiedziała Corrie.

Szybko przestali o tej sprawie rozmawiać. Corrie przekazywała mu banknoty w kopercie. Z początku, gdy je przyjmował, chrząknięciem dawał wyraz swej odrazie. Później już tylko wzdychał, co było oznaką przyzwolenia na istniejący stan rzeczy, jak gdyby właśnie przypomniano mu o przykrym obowiązku.

– Tak to już jest w życiu.

– Co masz na myśli?

– Brudne pieniądze Lillian – powiedziała Corrie i choć najpierw puścił tę uwagę mimo uszu, wkrótce sam zaczął używać takiego określenia. Z początku pytała Howarda, czy kiedykolwiek potem widywał jeszcze Lillian, czy bywał u tych ludzi.

– To nie są nasi bliscy znajomi – przypomniał. Dlatego nawet nie wie, czy wciąż ją jeszcze zatrudniają.

Corrie również jej nie spotkała. Lillian miała krewnych na wsi, ale na zakupy do miasteczka nie przyjeżdżali, bo ostatnio handel wyraźnie tu podupadł. Przy głównej ulicy zostały już tylko zwykły sklep całodobowy – chodziło się do niego, żeby zagrać w lotto, i po podstawowe artykuły spożywcze – oraz salon meblowy, ciągle z tymi samymi stołami i kanapami na wystawie, w którym nie widywano klientów. Ów stan zawieszenia mógł trwać jeszcze długo, aż do śmierci właściciela

zamieszkałego na Florydzie.

Gdy umarł pan Carlton, fabrykę obuwia przejęła większa firma, która obiecała – albo tak przynajmniej rozumiała to Corrie – utrzymać produkcję. Jednak po roku budynek stał już pusty, co cenniejsze maszyny przewieziono do innego miasta, pozostawiając tylko przestarzałe narzędzia służące kiedyś do produkcji butów. Corrie umyśliła sobie, że musi zorganizować unikatowe małe muzeum, by wyeksponować te zabytkowe elementy wyposażenia. Sama zaaranżowała wystawę, ponieważ chciała oprowadzać chętnych i opowiadać, jak to kiedyś produkowano buty. Posiadała zadziwiająco bogatą wiedzę na ten temat, częściowo dzięki fotografiom, które jej ojciec zrobił przed laty, gdy na zamówienie pewnej organizacji kobiecej miał wygłosić odczyt – kiepska odbitka maszynowa tamtego tekstu zachowała się do dziś – na temat lokalnego przemysłu. Jeszcze zanim minęło lato, Corrie oprowadziła po swoim muzeum pierwszych zwiedzających. Z nadzieją czekała na rozwój placówki w nadchodzącym sezonie, do czego miały się przyczynić tablica informacyjna przy autostradzie i wydany przez nią folder turystyczny.

Pewnego wiosennego dnia zobaczyła przez okno, jak nieznana ekipa zabiera się do prac rozbiórkowych. Okazało się, że w umowie, która miała dać jej prawo do użytkowania budynku tak długo, aż zostanie wpłacona pewna łączna kwota czynszu, nie zezwalano na eksponowanie lub przywłaszczanie fragmentów wyposażenia fabryki, nawet jeśli są one zupełnie bezwartościowe, i to od dłuższego czasu. Po prostu nie godzono się, by te wiekowe drobiazgi stały się jej własnością; co więcej, mogła mówić o szczęściu, że nie otrzymała wezwania do sądu, gdy nowy właściciel, niegdyś tak ujmująco grzeczny, zorientował się w jej poczynaniach.

Gdyby Howard latem poprzedniego roku nie wyjechał z rodziną do Europy akurat wtedy, gdy ona zawierała umowę i zaczęła realizować swój projekt, zapewne przeczytałby dokument dokładnie, co oszczędziłoby jej wielu kłopotów.

Kiedy już ochłonęła, machnęła na wszystko ręką i szybko zainteresowała się czymś innym. Znużona przebywaniem w dużym, pustym domu, postanowiła znaleźć sobie jakieś zajęcie. Jej wybór padł na bibliotekę publiczną mieszczącą się przy tej samej ulicy.

Był to ładny, zgrabny budynek z czerwonej cegły, a ponieważ powstał ze środków fundacji Andrew Carnegie’ego, byt biblioteki wydawał się niezagrożony, chociaż korzystało z niej coraz mniej czytelników – ich liczba ledwo uzasadniała koszt zatrudniania bibliotekarza.

Corrie chodziła tam dwa razy w tygodniu, otwierała podwoje i zasiadała za biurkiem. Jeśli miała ochotę, to odkurzała półki i dzwoniła do osób zalegających od lat z oddaniem wypożyczonych książek. Czasami jej rozmówcy zarzekali się, że nigdy poszukiwanej książki nie widzieli na oczy, bo wypożyczyła ją jakaś ciotka czy babcia, które zresztą już nie żyją. Udzielała wtedy pouczenia na temat własności bibliotecznego i bywało, że książka trafiała jednak do skrzynki zwrotów.

Jedyną przykrą rzeczą związaną z pracą w bibliotece był hałas – winny był temu Jimmy Cousins, który kosił trawę wokół budynku, a robił to niemal bez przerwy, jako że nie miał nic lepszego do roboty. Zleciła mu więc koszenie trawy na swojej posesji. Zajmowała się tym co prawda sama dla sportu, ale jej szczupła sylwetka nie wymagała wiele ruchu, a krótsza noga znacznie utrudniała pracę.

Howard był nieco skonsternowany zmianą stylu życia kochanki. Odwiedzał ją rzadziej, za to pozostawał na dłużej. Mieszkał teraz w Toronto, ale wciąż pracował w tej samej firmie. Jego dzieci miały już przynajmniej po kilkanaście lat i studiowały w college’u. Dziewczętom bardzo dobrze szło, ich braciom nieco gorzej, ale tak to już z chłopakami bywa. Żona pracowała w biurze lokalnego polityka – na pełen etat, a czasem nawet po godzinach. Prawie nic nie zarabiała, ale była szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

Minionej wiosny Howard zabrał żonę do Hiszpanii. Corrie nie miała z nim wtedy kontaktu przez jakiś czas. Nie mógł przecież pisać do niej z wakacji, które były urodzinowym prezentem dla żony. Klóciłoby się to z jego dobrym smakiem, dlatego nigdy by czegoś takiego nie zrobił, a ona też nie należała.

– Pewnie zgodnie ze swoim zwyczajem powiesz, że ten dom przypomina świątynię – zauważyła Corrie, gdy wrócił.

– Właśnie miałem to na końcu języka.

Polubił teraz te przestronne pokoje ze zdobionymi sufitami i ciemnymi, posępnymi boazeriami. Było w nich coś monumentalnego i groteskowego zarazem. Ale Corrie patrzyła na to wszystko inaczej, potrzebowała wyrwać się z domu przynajmniej raz na jakiś czas. Zaczęli więc jeździć najpierw na krótkie wycieczki, potem na dłuższe, z jednym noclegiem w motelu i obiadem w średnio wykwintnej restauracji.

Nigdy nie natknęli się na żadnych znajomych. Któregoś razu już myśleli, że jednak stało się. Ale nie podeszli do tego tak jak kiedyś – choć sami nie wiedzieli dlaczego. Może dlatego, że nie byłoby to już tak brzemienne w skutki? Chodzi o to, że ci, których obawiali się spotkać, choć na szczęście nigdy nie spotkali, nie uznaliby ich za grzeszną parę, którą nadal byli. Mógł ją przecież bez ryzyka podejrzeń przedstawić jako kuzynkę – niepełnosprawną krewną, do której wpadł na chwilę. Miał liczną dalszą rodzinę, której żona nigdy nie zdołała poznać. Czy kobieta w średnim wieku, powłócząca nogą mogłaby wzbudzić czyjeś podejrzenia? Nikomu nie przyszłoby nawet na myśl, że tego rodzaju informację można zapamiętać, a potem sprytnie wykorzystać.

„Spotkaliśmy Howarda w Bruce Beach, z siostrą. Wyglądał świetnie. A może to nie była siostra tylko kuzynka, co? Taka kulawa”.

Nikommu nie chciałoby się dociekać.

Oczywiście nadal się kochali. Czasami ostrożnie i delikatnie, by nie urazić bolącego ramienia czy kolana. Zawsze robili to w sposób tradycyjny i bardzo się cieszyli, że nie potrzebują wyszukanych atrakcji. Może pary małżeńskie tego potrzebowały, ale oni nie.

Zdarzało się, że Corrie wybuchła płaczem i wtulała w niego twarz.

– Cieszę się, że tak dobrze nam się układa – mówiła.

Nigdy nie pytała, czy czuje się szczęśliwy, ale on pośrednio dawał jej to do zrozumienia. Mówił, że w pracy stał się bardziej konserwatywny i nowatorskie projekty przestały go interesować. (Dla siebie zachowała spostrzeżenie, że przecież zawsze był raczej staroświecki). Niezmiernie też zadziwił żonę i całą rodzinę tym, że nagle zaczął brać lekcje gry na pianinie. Bo w małżeństwie dobrze jest mieć własne zainteresowania.

– Pewnie, że tak – przyznała mu rację Corrie.

– Chodziło mi o to, że...

– Wiem.

Pewnego dnia – a było to we wrześniu – Jimmy Cousins przyszedł do biblioteki powiedzieć, że nie będzie mógł skosić trawy. Musiał iść na cmentarz wykopać grób.

– Dla kogoś, kto przed laty mieszkał w tej okolicy – sprecyzował.

Corrie, nie odrywając oczu od powieści *Wielki Gatsby*, spytała o nazwisko tej osoby. Dodała, że nie może się nadziwić, jak wiele osób pragnie tu właśnie być pochowanych i wyraża to w swojej ostatniej woli, sprawiając kłopot rodzinie. Nieważne, czy ten ktoś całe życie przeżył w pobliskim

mieście, czy też w bardzo odległym. Nawet jeśli się tam zadomowił, chciał mieć swój grób w miejscu, gdzie się wychował. Starzy ludzie miewają takie pomysły.

Jimmy wyjaśnił, że to wcale nie była taka stara osoba. Kobieta o nazwisku Wolfe. Imienia nie zapamiętał.

– Może Lillian? Lillian Wolfe?

Całkiem możliwe.

Informacja o jej śmierci została zamieszczona w lokalnej gazecie, która przychodziła do biblioteki, ale Corrie nigdy jej nie czytała. Zajrzała do niej dopiero teraz. Lillian zmarła w Kitchener, miała czterdzieści sześć lat. Początek uroczystości żałobnych zaplanowano w kościele Chrystusa Króla o czternastej.

No tak.

Pogrzeb przypadł na jeden z dwóch dni, kiedy biblioteka była otwarta. Corrie nie mogła więc pójść.

Kościół Chrystusa Króla został wzniesiony niedawno. Wszystko w mieście tkwiło w zastoju i tylko różne „dziwne religie”, jak o nich mawiał ojciec, rozwijały się w najlepsze. Nową budowlę można było dostrzec z okna biblioteki. Podeszła więc do niego przed czternastą i przyglądała się dość sporej grupie żałobników. Zauważyła, że kapelusze nie były już teraz obowiązkowe ani dla kobiet, ani dla mężczyzn.

Jak go powiadomić? Najlepiej listem na adres biura. Mogła zadzwonić, ale wtedy Howard tak bardzo musiałby uważać na to, co mówi, i powściągać emocje, że wcale nie doznałby ulgi, na czym jej zależało.

Powróciła do lektury *Wielkiego Gatsby'ego*, ale była tak poruszona, że czytała bez zrozumienia. Zamknęła bibliotekę i poszła na spacer.

Mieszkańcy mawiali, że na co dzień miasto wyglądało jak umarłe, za to gdy odbywał się pogrzeb, nagle w cudowny sposób ożywało. Przyszło to Corrie na myśl, kiedy w oddali ujrzała uczestników ceremonii, wychodzących z kościoła i zatrzymujących się na stopniach, by porozmawiać i pozbyć się częściowo brzemienia żałoby. A po chwili, ku jej zaskoczeniu, wielu z nich obeszło kościół, by przez boczne drzwi wejść z powrotem do środka.

No oczywiście. Zapomniała, że po uroczystości, kiedy zamknięta trumna spoczęła już w karawanie, a najbliższa rodzina poszła na cmentarz, aby uczestniczyć w pochówku, wszyscy pozostali udają się na mały poczęstunek. Stypa odbywała się w tej części kościoła, która mieściła szkółkę niedzielną i ogólnie dostępną kuchnię.

Pomyślała, że właściwie mogłaby się do nich przyłączyć.

Ale w ostatniej chwili postanowiła skrócić w przeciwną stronę. Za późno. Jakaś kobieta stojąca w drzwiach, w których przed chwilą zniknęli pozostali żałobnicy, zawołała ją ożywionym, a w każdym razie całkiem niepogrzebowym głosem. Potem nachyliła się i powiedziała:

– Brakowało nam pani na nabożeństwie.

Corrie nie rozpoznała jej. Powiedziała, że bardzo chciała przyjść, ale nie mogła zamknąć biblioteki.

– To zrozumiałe – skwitowała nieznajoma i natychmiast odwróciła się, by odpowiedzieć komuś, kto wchodził z półmiskiem.

– Zmieści się w lodówce?

– Nie mam pojęcia, moja droga, musisz to sprawdzić.

Corrie zasugerowała się wzorzystą suknią w kwiaty, którą miała na sobie jej rozmówczyni, i przyjęła, że wszystkie kobiety wewnątrz będą ubrane podobnie. W swoje najlepsze niedzielne, choć niekoniecznie pogrzebowe stroje. Ale może jej wyobrażenia o strojach na niedzielę były mało aktualne. Niektóre z obecnych tam pań miały na sobie po prostu spodnie, tak jak ona.

Jakaś inna kobieta podała jej kawałek piernika na plastikowym talerzyku.

– Pewnie jest pani głodna jak wszyscy.

Kolejna, do której Corrie chodziła kiedyś się czesać, powiedziała:

– Właśnie mówiłam, że na pewno pani wstąpi. Tłumaczyłam, że musi pani tylko zamknąć bibliotekę. Szkoda, że nie mogła pani przyjść na nabożeństwo. Wielka szkoda.

– Wzruszająca ceremonia – zauważyła jakaś inna. – Po tym cieście przyda się pani łyżek herbaty.

I tak dalej. Nikogo nie przypominała sobie z imienia. Zjednoczony kościół Kanady i kościół prezbiteriański nadal działały, ale anglikański został zamknięty przed paru laty, może te osoby kiedyś chodziły właśnie do niego?

Tylko jedna uczestniczka stypy przykuwała uwagę jak Corrie, ubrana w ładną liliową sukienkę i skromny szary letni kapelusz, odpowiednie do ceremonii pogrzebowej.

Przedstawiono je sobie, ale nazwisko to nic Corrie nie mówiło. Nieznajoma miała na szyi sznur naturalnych pereł.

– A tak – powiedziała aksamitnym głosem, okazując tyle zadowolenia, ile wypadało na tego typu uroczystości. – Pani ma zapewne na imię Corrie. Wiele o pani słyszałam. Nigdy się nie spotkałyśmy, a jednak mam wrażenie, jakbym panią dobrze знаła. Ale pewnie zastanawia się pani, kim jestem. – Następnie skinęła głową i uśmiechnęła się smutno. – Lillian pracowała u nas, odkąd tylko przeprowadziła się do Kitchener – wyjaśniła. – Dzieciaki za nią przepadały. A potem wnuki. Uwielbiały ją. Mój ty Boże. Gdy miała wolne, ledwie ją umiałam zastąpić. Prawdę mówiąc, wszyscy ją uwielbialiśmy.

Powiedziała to lekko speszona, ale szczerze i z przekonaniem. Dokładnie jak kobiety jej pokroju – z sympatyczną skłonnością do umniejszania swojej roli. Uznała Corrie za jedyną w tym gronie, z którą mogła się porozumieć, niekoniecznie mówiąc wszystko wprost.

– Nie słyszałam, by była chora – stwierdziła Corrie.

– Tak szybko nas zostawiła – powiedziała kobieta, która podeszła z zamiarem poczęstowania ich herbatą, ale spotkała się z odmową. – Osobom w jej wieku umieranie przychodzi szybciej niż starszym – dodała. – Wiecie panie, ile dokładnie dni była w szpitalu? – spytała, spoglądając dość nieprzychylnie na perły.

– Niech no pomyślę. Dziesięć?

– Nawet nie tyle. A jej bliskim zdawało się, że jeszcze krócej.

– Nie rozpowiadała o swojej chorobie – dodała dama w perłach, cicho, ale wyraźnie. – Nie w jej stylu byłoby robić wokół siebie zamieszanie.

– Ma pani rację – zgodziła się Corrie.

W tym momencie podeszła do nich dziarsko młoda, uśmiechnięta pani pastor.

– Rozmawiamy o Lillian? – zapytała. W zamyśleniu pokiwała głową. – Była bardzo dobra. Nieczęsto spotyka się takich ludzi.

Wszyscy przytaknęli. Corrie też.

„Mam podejrzenia co do pani pastor” – Corrie, wracając do domu, układała sobie w głowie długi

list do Howarda.

Późnym wieczorem zasiadła, by go napisać, ale i tak nie miała go jak wysłać, bo Howard wyjechał z rodziną na kilka tygodni do domku w Muskoce. Nikt na te wakacje nie wyrażał szczególnej ochoty, jak to przed podróżą opisał w rozmowie z Corrie. Żona nie chciała się rozstawać z polityką, on z pianinem, ale siła przyzwyczajenia zrobiła swoje.

„Oczywiście, przesadą byłoby podejrzewać, że brudne pieniądze wystarczyły na wybudowanie kościoła – pisała. – Ale mogłabym się założyć, że ufundowała wieżyczkę w kształcie odwróconego rożka z lodami. Zresztą dosyć szpetną. Nigdy bym nie pomyślała, że są one takie niedrogie. Tego rodzaju fundacje nie świadczą jednak o wierze, lecz o braku wiary. Sami fundatorzy tego nie wiedzą, ale one są tego jawną deklaracją”.

Corrie zgmiotła list i w nieco weselszym tonie zaczęła od nowa: „Dni Szantażystki dobiegły końca. Wykukła to właśnie kukółka na polu”. Nie uświadamiała sobie wcześniej, pisała, jakim brzemieniem była dla niej ta sprawa. Zrozumiała to dopiero teraz. I nie chodziło tu o pieniądze, które musiała płacić – zresztą on na pewno dobrze o tym wie. Na pieniądzech nigdy jej nie zależało, a poza tym ustalona niegdyś kwota straciła z biegiem lat na wartości, z czego Lillian nie zdawała sobie chyba sprawy. Była to raczej kwestia braku bezpieczeństwa, która kładła się cieniem na ich wieloletniej miłości. To dlatego czuła się nieszczęśliwa. Ogarniał ją niepokój, ilekroć mijała skrzynkę pocztową.

Zastanawiała się, czy przypadkiem wiadomość o śmierci Lillian nie dotrze do Howarda przed listem. Niemożliwe. Nie był jeszcze w tym wieku, kiedy regularnie czytuje się nekrologi.

Co roku w lutym i sierpniu wkładała banknoty do koperty i wsuwała mu ją do kieszeni. Potem Howard zapewne przeliczał sumę, pisał na kopercie nazwisko Lillian i wrzucał przesyłkę do jej skrytki.

Ciekawe, czy upewnił się ostatnim razem, że sierpniowa przesyłka została odebrana? Lillian wtedy jeszcze żyła, ale z pewnością nie była już w stanie sama podjąć okupu. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Ostatnią kopertę z pieniędzmi Howard zanosił tuż przed wyjazdem do Muskoki. Usiłowała przypomnieć sobie datę, żeby ustalić, czy zdążył jeszcze kilka dni później sprawdzić, co dzieje się z przesyłką, czy też bezpośrednio po doręczeniu wyjechał na wakacje. W przeszłości pisywał do niej z Muskoki, ale tym razem nie.

Kładzie się spać, ale list do Howarda wciąż nie jest skończony.

Budzi się wcześnie, gdy zaczyna świtać, choć jeszcze nie ukazało się słońce.

Nadchodzi taki ranek, kiedy nagle uświadamiamy sobie, że odleciały wszystkie ptaki.

Coś jej przyszło do głowy. We śnie.

Nie wysła listu, bo nie ma o czym pisać.

Lillian nie ma tu nic do rzeczy. I nigdy nie miała. Nie było żadnej skrytki, a pieniądze szły na jego konto lub wkładał je po prostu do portfela. Na wydatki ogólne. Mały zaskórniak. Powiedzmy, na wycieczkę do Hiszpanii. Co w tym dziwnego? Jak się ma rodzinę, domek letniskowy, edukację dzieci na karku, rachunki do zapłacenia, to cel zawsze się znajdzie. Taka sumka nie jest nawet specjalną gratką. Nie ma o czym gadać.

Corrie wstaje, ubiera się szybko i przebiega przez poszczególne pokoje, by z każdym podzielić się swoim odkryciem. Wszędzie odczuwa pustkę, a szczególnie w swojej piersi. Parzy kawę, ale nie pije

jej. Wraca do sypialni i dochodzi do wniosku, że zaistniały stan rzeczy trzeba zinterpretować od nowa.

Wyrzuca list i na karteczce pisze najkrócej, jak się da:

„Lillian zmarła, pogrzeb był wczoraj”.

Wysłała wiadomość na adres biura, nie ma to już większego znaczenia. Ekspresem, czemu by nie?

Wyłącza telefon, żeby oszczędzić sobie oczekiwania. Cisza. Może już na zawsze.

Ale wkrótce nadchodzi list. Niewiele dłuższy niż ten jej.

„Będzie dobrze, cieszę się. Niedługo się zobaczymy”.

A więc tak zamierzają to rozegrać. Jest już za późno, by zdecydować się na coś innego. A przecież mogło być gorzej, dużo gorzej.

Pociąg

Pociąg jedzie powoli, a na zakręcie ledwo się toczy. Jackson jest jedynym pasażerem, który nie wysiadł na poprzedniej stacji, a do kolejnej, Clover, zostało jeszcze około dwudziestu mil. Potem tylko Ripley, Kincardine, a dalej już jezioro. Dopisuje mu szczęście, a tego nie wolno zmarnować. Zdjął już umieszczony nad jego miejscem odcinek biletu, potwierdzający rezerwację.

Bierze worek, robi mocny zamach i patrzy, jak tobolek ląduje na torach. Teraz już nie ma wyboru – pociąg bardziej nie zwolni.

Próbuje szczęścia. Młody człowiek w dobrej formie, zwinny jak mało kto. Ale skok i lądowanie wypadają poniżej oczekiwań. Jest zbyt usztywniony i dlatego ogromna siła rzuca nim do przodu, dłonie ostro szorują o żwir między podkładami, zdiera sobie skórę. Nerwy.

Pociąg znika, słysząc jednak, że nieco przyspiesza po wyjściu z zakrętu. Jackson spluwa na bolące dłonie, strząsa okruchy żwiru. Potem podnosi worek i rusza z powrotem, w stronę, skąd nadjechał pociąg. Gdyby poszedł za pociągiem, dotarłby do Clover mocno po zmroku. Mógłby powiedzieć, że zasnął w drodze, potem zbudził się gwałtownie i nieprzytomny spanikował, że przejechał stację, choć tak się nie stało. Wyskoczył więc i poszedł piechotą.

Uwierzyliby mu. Komuś, kto wraca z tak daleka, w dodatku z wojny, mogło się wszystko pomylić. Jeszcze nie jest za późno, dotarłby na miejsce przed północą.

Ale myśląc o tym, idzie w przeciwnym kierunku.

Nie zna nazw wielu drzew. Pamięta klony, ale tym każdy może się pochwalić. Także sosny. I niewiele więcej. Był przekonany, że wyskoczył w środku lasu, ale nie. Drzewa są tylko wzdłuż torów, gęsto porastają nasyp, a za nimi pola – zielone, rdzawe lub żółte. Pastwiska, łąny, ścierniska. Tyle widać. Jest jeszcze sierpień.

Gdy odgłosy pociągu zamierają w oddali, spostrzega, że wokół nie zalega tak idealna cisza, jakiej się spodziewał. Zakłóca ją wiele różnych dźwięków. Suchych sierpniowych liści nie porusza wiatr, tylko stadko niewidocznych ptaków, które głośno udzielają mu reprimendy.

Skok z pociągu miał być czymś w rodzaju unieważnienia tego, co było. Rozgrzewką dla ciała, hartowaniem kolan przed wejściem w nową przestrzeń. Myślał, że czeka go pustka i cisza. I co z tego wyszło? Natłok obrazów, które przykuwają uwagę znacznie mocniej, niż się tego spodziewał, siedząc w pociągu i wyglądając przez okno. Co tu robisz? Dokąd idziesz? Ma poczucie, że jest obserwowany, zakłóca panujący spokój. Życie przygląda mu się w skupieniu z wielu niewidocznych dla niego punktów i wyciąga wnioski na jego temat.

Ludzie, których spotkał w ostatnich kilku latach, byli przeświadczeni, że jak ktoś nie pochodzi z miasta, to musi być ze wsi. A to nieprawda. Tylko że różnice może wychwycić jedynie ten, kto sam mieszkał między miastem a wsią. Jackson był synem hydraulika. Nigdy w życiu nie widział stajni, nie pędził krów na pastwisko i nie wiązał zboża w snopki. Ani nie wędrował po torze kolejowym, który najwyraźniej zmienił swoje przeznaczenie i zamiast służyć do wożenia ludzi oraz towarów, stał się ostoją dzikich jabłoni, ciernistych krzewów jagodowych, wijących się winorośli i kruków – przynajmniej tego ptaka rozpoznał – złorzeczących z niewidocznych dla oka konarów. A oto między szynami przeslizguje się wąż zwany pończosznikiem. Jackson ma pewność, że nie jest na tyle szybki,

by go przydeptać i zabić. Ale wie też, że wąż jest niejadowity, tyle że ta świadomość go z jakichś powodów irytuje.

Niewielka krowa rasy jersey, o imieniu Margaret Rose, zazwyczaj pojawiała się u drzwi szopy, aby dwa razy dziennie – rano i wieczorem – można ją było wydoić. Belle nie musiała jej nawet wołać. Ale tego ranka coś ewidentnie przykuło uwagę zwierzęcia w okolicy, gdzie łąka przechodzi w nasyp albo też w gąszczu drzew rosnących za ogrodzeniem, skrywających tory kolejowe. Krowa usłyszała gwizdek Belle, a także jej wołanie i z wolna, lecz bez specjalnego entuzjazmu ruszyła w stronę zabudowań. Ale raptem postanowiła zawrócić, by spojrzeć jeszcze raz.

Belle odstawiła wiadro i zydę, a potem ruszyła przez mokre o poranku pastwisko.

– Dobra krówka, stójże, stój.

Ni to łagodna perswazja, ni to reprimenda.

Coś się poruszyło wśród drzew. Męski głos krzyknął, że wszystko w porządku.

No pewnie, że w porządku. A co, myślał, że się go wystraszyła? Lepiej niech on się strzeże krowy, jej rogów.

Wspinając się na ogrodzenie kolejowe, pomachał do niej, najwidoczniej chcąc, by się nie bała.

Tego już było za wiele dla Margaret Rose, musiała pokazać, ile jest warta. Wierznąć to w jedną, to w drugą stronę. Szelmowsko potrząsnąć różkami. Niby niewiele, ale krowy rasy jersey zawsze potrafią nieprzyjemnie zaskoczyć swoją szybkością i narowistością. Belle krzyknęła, by ją utemperować i uspokoić nieznanego.

– Nie robi panu krzywdy. Proszę się nie ruszać. Zaraz złagodnieje.

Wtem zobaczyła worek, który przybysz trzymał w ręce. To on był powodem całego zamieszania. Najpierw pomyślała, że ktoś wybrał się na spacer torami, ale nieznanomy najwyraźniej zmierzał do jakiegoś celu.

– Zdenerwował ją pański bagaż. Proszę go na chwilę odłożyć. Muszę ją zabrać do szopy i wydoić.

Spełnił jej prośbę i tylko patrzył, stojąc w zupełnym bezruchu.

Odprowadziła Margaret Rose tam, gdzie zostawiła wiadro i zydę, za szopę.

– Może pan podnieść swój worek! – zawołała po chwili. A podchodząc nieco bliżej, odezwała się ze swadą: – Tylko proszę nim przed nią nie wymachiwać. Pan jest żołnierzem, prawda? Jak pan poczeka, aż ją wydoję, to zrobię panu śniadanie. Jej imię zupełnie się nie nadaje do tego, by na nią krzyżeć: Margaret Rose.

Gospodyni była niską, przysadzistą kobietą o pros tych jasnych włosach, tu i ówdzie poprzetykanych siwizną. Miała po dziecinnemu przystrzyżoną grzywkę.

– To moja robota – powiedziała, sadowiąc się na zydlu. – Jestem rojalistką. A przynajmniej kiedyś byłam. Gotuję owsiankę na piecyku. Dojenie pójdzie szybciotko. Niech no pan z łaski swojej skryje się za szopą, żeby zejść z oczu Mary Rose, i tam zaczeka. Niestety, jajkiem nie poczęstuję. Mieliśmy tu kiedyś kury, ale lisy je ciągle kradły, dlatego w końcu daliśmy sobie z tym spokój.

Mieliśmy kury. To znaczy, że jest tu gdzieś jakiś mężczyzna.

– Wystarczy owsianka. Oczywiście zapłace.

– Nie trzeba. Tylko niech się pan teraz schowa, bo taka zainteresowana, że nie mogę jej wydoić.

Przeniósł się za szopę. Była w dobrym stanie. Zajrzał przez szparę między deskami, żeby sprawdzić, jaki mają samochód, ale dostrzegł tylko starą bryczkę i wraki maszyn.

Obejście sprawiało wrażenie zagospodarowanego, lecz niezbyt tętniącego życiem. Dom był

pomalowany na biało, ale przybrudzona farba zaczynała się łuszczyć. Okno zabite deskami, po szybie ani śladu. Podupadły kurnik, z którego, jak mówiła, lisy kradły kiedyś kury. Gonty poukładane w stertę.

Jeśli w tym gospodarstwie pracował jakiś mężczyzna, to musiał być albo inwalidą, albo strasznym obibokiem.

W pobliżu przebiegała droga gruntowa. Przed domem, na ogrodzonym kawałku łąki pasł się poczciwy jabłkowity koń. Nic dziwnego, że mieli krowę, ale po co im koń? Jeszcze przed wojną farmerzy zastępowali je traktorami. A gospodyni nie wyglądała na miłośniczkę jazdy wierzchem.

Wtedy zastanowiła go jedna rzecz. Bryczka w szopie. To nie był żaden zabytek, tylko jedyny dostępny pojazd.

Od jakiegoś czasu do jego uszu dobiegał trudny do zidentyfikowania dźwięk. Droga prowadziła w górę, a spoza wzniesienia dochodził stukot końskich kopyt. A oprócz tego coś jakby szmer albo cichy gwizd.

I oto zza wzgórza wyłonił się wóz ciągniony przez dwa niewielkie konie. Mniejsze od pasącego się przed domem, ale bez porównania bardziej żwawe. A na wozie siedziało z pół tuzina niewielkich postaci, ubranych na czarno, w porządnym czarnych kapeluszach.

A więc to był ten dźwięk. Śpiewali. Ściszymi, wysokimi głosami, wprost anielskimi. Przejeżdżając, nawet na niego nie spojrzeli.

Przebiegł go dreszcz. Bryczka w szopie i koń przed domem były niczym w porównaniu z tym widokiem.

Stał wpatrzony, gdy nagle usłyszał:

– Gotowe.

Kobieta stała przed domem.

– To jedyne wejście – pokazała na drzwi od podwórka. – Frontowe się od zimy nie otwierają. Można by pomyśleć, że jeszcze nie odmarzły.

Stąpali po deskach ułożonych na klepisku. Z powodu zabitego okna wewnątrz panował półmrok. Było równie zimno jak w jamie, w której wcześniej nocował. Całą noc się budził i próbował skulić się na tyle, żeby poczuć choć odrobinę ciepła. Ale kobieta nie wyglądała na zmarzniętą – spała mocno po trudach dnia i rozsiewała krowi zapach.

Przelała mleko do miski i przykryła ją kawałkiem płótna do wyciskania sera, a potem wskazała drogę do głównej części domu. W oknach nie było zasłon, więc do środka wpadało światło. W piecyku na drewno buzował ogień. Dostrzegł jeszcze zlew z ręczną pompą i stół nakryty zużytą, miejscami postrzępioną ceratą oraz kanapę zasłaną starym, połatanym pledem.

Była jeszcze poduszka, z której wychodziło kilka piórek.

Na razie wewnątrz, choć ubogie, zrobiło na nim nie najgorsze wrażenie. Wszystko, co dostrzegł do tej pory, było użyteczne. Ale kiedy podniósł głowę, zauważył na półkach sterty gazet i magazynów albo innych papierzysk – aż po sufit.

Nie mógł się powstrzymać od pytania, czy nie boi się pożaru. Gazety mogły się zająć chociażby od pieca.

– Pilnuję. Nawet tutaj śpię. Bo wszędzie indziej są przeciągi. Mam się na bacności. Nie rozpalam w kominku. Parę razy za bardzo się nagrzał i musiałam przygasić płomień sodą do pieczenia. Nic się nie stało. Moja mama też tu mieszkała, bo było jej najwygodniej. Łóżko stało o tu. Wszystkiego pilnowałam. Nawet chciałam przenieść te papierzyska do przechodniego pokoju, ale tam jest za

wilgotno, zapleśniałyby.

Potem dodała tonem wyjaśnienia:

– Mama nie żyje. Zmarła w maju. Akurat jak się pogoda poprawiła. Dożyła wiadomości w radiu, że skończyła się wojna. Rozumiała wszystko. Dawno oniemiała, ale wszystko rozumiała bez problemu. Tak przywykłam do niej, że mam wrażenie, jakby wciąż tu była. Ale już jej nie ma.

Jackson wyraził współczucie.

– Wiadomo było, że to nieuniknione. Dobrze, że nie w zimie.

Nałożyła mu owsianki i naląła herbaty.

– Nie za mocno naciągnęła?

Miał pełne usta, pokręcił więc przecząco głową.

– Nie oszczędzam na herbacie. Albo pić porządną, albo wrzątek. Ostatniej zimy pogoda tak się pogorszyła, że skończyły się nam zapasy. Wody nie było, radia nie było i herbata się skończyła. Jak wychodziłam na podwórko, to wiązałam sznurek do drzwi. Chciałam nawet wprowadzić Margaret Rose do sieni, ale była tak zdenerwowana burzą, że nie upilnowałabym bydłęcia. Jakoś przeżyła. Wszyscy przetrwaliśmy.

Korzystając z chwili przerwy w rozmowie, spytał, czy w okolicy żyją jakieś karły.

– Nie słyszałam o tym.

– A te, co jechały wozem?

– Aha i śpiewały? To musieli być chłopcy od menonitów. Jeżdżą do kościoła i całą drogę tak koncertują. Dziewczynki zabierają się do bryczki z rodzicami, ale chłopaczki jadą wozem.

– W ogóle na mnie nie zwrócili uwagi.

– To do nich podobne. Zawsze mówiłam mamie, że mieszkamy w odpowiednim miejscu, bo wszyscy wyglądamy jak menonici. Tak jak oni jeździmy bryczką i pijemy niepasteryzowane mleko. Tylko nie umiemy śpiewać. Jak mama zmarła, to mi przynieśli jedzenia na kilka tygodni. Pewnie myśleli, że będzie stypa. Cieszę się, że tu mieszkają. I mam nadzieję, że oni się cieszą ze mnie. Bo mają obowiązek świadczenia uczynków miłosierdzia, a skoro do mnie mają parę kroków, to mogą mi pomagać, ile im się tylko podoba.

Chciał zapłacić, jednak machnęła na to ręką i odmówiła przyjęcia pieniędzy.

Ale zapytała, czy by nie naprawił żłobu dla konia.

Okazało się, że właściwie żłób trzeba zrobić od nowa, więc najpierw przetrząsnął obejście w poszukiwaniu materiału i narzędzi. Zajęło mu to cały dzień. Na kolację dostał naleśniki z syropem klonowym od menonitów. Powiedziała, że jakby się zjawił tydzień później, to może miałyby już tegoroczny dżem. Zbiera dzikie jagody rosnące wzdłuż nasypu.

Aż do zachodu słońca przesiedzieli na schodach prowadzących z kuchni na podwórko. Opowiedziała mu, jak przybyła w te strony, a on słuchał nie do końca skupiony, bo cały czas rozglądał się wokół i myślał, że całe domostwo wyraźnie już podupadło, jednak nie na tyle, aby ktoś, kto chciałby się tu na dobre osiedlić, nie zdołał go podźwignąć. Trzeba by włożyć trochę pieniędzy, ale przede wszystkim sporo czasu i energii. Byłoby to niemałe wyzwanie. Zaczynał już niemal żałować, że musi stąd wkrótce odejść.

Jego brak skupienia wynikał także z faktu, że Belle opowiadała o życiu, które nie bardzo umiał sobie wyobrazić.

Jej ojciec – czy też, jak mówiła, tatuś – kupił ten dom jako siedzibę na lato, ale potem zdecydował, że mogliby tu właściwie zamieszkać na stałe. Pracować mógł wszędzie, bo pisał felietony do

„Toronto Evening Telegram”. Pracownik poczty odbierał od niego przesyłkę, a kolej dostarczała ją na miejsce. Pisał o różnych wydarzeniach. W jego tekstach występowała nawet Belle, pod pseudonimem Kicia^[11]. Pojawiała się też jej mama, jako księżna Casamassima, bo tak nazywała się postać z pewnej książki, dziś już zupełnie zapomnianej^[12]. Niewykluczone, że zostali tu na stałe właśnie z powodu mamy. Zaraziła się straszną grypą, na którą w 1918 roku zmarło tyłu ludzi, a po wyzdrowieniu zrobiła się jakaś dziwna. Nie żeby całkiem straciła mowę, bo niektóre słowa pamiętała, ale jednak większości nie potrafiła wymówić. Albo raczej wyleciały jej z głowy. Od nowa musiała się uczyć jeść i korzystać z ubikacji. Trzeba jej było przypominać, przywracając odpowiednie słowa, żeby w letnie dni nie rozbierała się całkiem i nie chodziła nago po ulicach, stając się pośmiewiskiem.

Na zimę Belle wyjeżdżała do szkoły, która nosiła nazwę Bishop Strachan. Mówiąc o szkole, nie mogła się nadziwić, że Jackson nigdy o niej nie słyszał. Dla pewności przeliterowała nazwę. Szkoła mieściła się w Toronto, a chodziły do niej dziewczęta z bogatych domów albo takie jak ona, czyli korzystające z pomocy krewnych lub jakichś oszczędności. Wyniosła stamtąd skłonność do wymądrzania się, za to nie była pewna, co chciałaby robić w życiu.

Ale wszystko zmieniło się po wypadku taty. Podczas spaceru po torach, co było jego ulubioną rozrywką, wpadł pod pociąg. Leżały już w łóżku, gdy to się stało, i Belle myślała, że to jakieś zbląkane zwierzę z gospodarstwa miało pecha, ale mama żałośnie jęczała, bo najwyraźniej przeczuwała prawdę.

Czasami pisywała do niej dawna przyjaciółka szkolna i pytała, czym właściwie Belle po całych dniach się zajmuje, bo ona nie potrafi tego pojąć. A przecież trzeba było doić krowę, gotować, opiekować się mamą, a i kury jeszcze wtedy hodowali. Nauczyła się tak kroić ziemniaki, żeby każda część miała oczko, a potem sadziła je i zbierała latem. Nie opanowała jednak umiejętności prowadzenia auta, więc z nastaniem wojny sprzedała samochód tatusia. Menonici dali jej konia, który nie był już zdalny do pracy na farmie, a potem jeden z nich nauczył ją zaprzęgać i powozić.

Odwiedziła ją inna przyjaciółka, Robin, która uznała, że życie w takich warunkach woła o pomstę do nieba, i namawiała Belle na wyjazd do Toronto, tylko co z mamą? Matka wyciszyła się i nie biegała już nago po ulicach, a w sobotnie popołudnia pasjami słuchała audycji radiowych, zwłaszcza opery. Oczywiście, mogłaby to równie dobrze robić w Toronto, ale Belle nie chciała przesadzać starego drzewa. Robin twierdziła, że to sama Belle zapuściła tutaj korzenie zbyt głęboko. Ona zaś – ta Robin – wyjechała wkrótce i zaciągnęła się do oddziałów kobiecych.

Na początek musiał się zająć urządzeniem innych niż kuchnia pomieszczeń, aby dało się tam mieszkać, gdy przyjdą chłody. Trzeba się też było uporać z myszami, a nawet szczurami, które pchały się do domu, uciekając przed zimnem. Zapytał, dlaczego nie sprawiła sobie kota, i w odpowiedzi wysłuchał wywodu ułożonego zgodnie z jej własną logiką. Bo, jak tłumaczyła, kot zawsze by jej przynosił swoje ofiary, żeby się pochwalić zdobyczami, a ona nie znosi patrzeć na martwe zwierzęta. Wyteżał więc słuch, żeby nie przegapić trzasku pałapek i pozbywał się schwytych gryzoni, zanim ona zorientowała się, o co chodzi. Potem tak długo przekonywał o niebezpieczeństwie pożaru, bo od zaproszonego ognia łatwo mogły zapalić się gazety, aż zgodziła się przenieść je do przechodniego pokoju, pod warunkiem że nie będzie tam wilgoci. Zajął się więc tym. Wyłożył też pieniądze na grzejnik i wyremontował ściany, a następnie namówił Belle, by poświęciła ponad pół miesiąca na przeniesienie, przejrzanie i ułożenie gazet na nowo zrobionych półkach.

Wyjaśniła mu, że w gazetach jest wydrukowana w odcinkach książka jej taty. Nie pytał

o szczegóły, ale któregoś dnia powiedziała, iż występuje w niej dwoje głównych bohaterów – Matilda i Stephen, i że to powieść historyczna.

– Pamiętasz coś z lekcji historii?

Skończył pięć klas szkoły średniej z niezłymi wynikami, szczególnie z trygonometrii i geografii, ale z historii niewiele pamiętał. W ostatniej klasie myślał już, prawdę mówiąc, tylko o wyruszeniu na wojnę.

– Nie za wiele – odparł.

– Jakbyś chodził do szkoły Bishop Strachan, na pewno byłoby inaczej. Wbiliby ci ją do głowy. Przynajmniej historię Anglii.

Powiedziała, że Stephen był bohaterem. Człowiekiem honoru, na którego ten świat sobie nie zasłużył. Należał do rzadkich również i wtedy altruistów, którzy myślą nie tylko o sobie. Nie był wiarołomcą, kombinującym, jakby się tu wycofać z danego słowa. Dlatego musiał ponieść życiową klęskę i tak się też stało.

A drugą osobą była Matilda. Potomkini Wilhelma Zdobywcy, okrutna i wyniosła, jak należało się tego spodziewać. A mimo to zdarzają się głupcy, którzy próbują ją usprawiedliwiać, tylko dlatego, że była kobietą.

– Gdyby tatuś zdołał dokończyć pisanie, powstałaby znakomita powieść.

Jackson zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że książki powstają, bo piszą je coraz to nowi ludzie. Powieści nie spadają z nieba, tylko wychodzą spod piór pisarzy. Ale właściwie po co? Przecież tyle już książek napisano. Dwie to on nawet przeczytał w szkole: *Opowieść o dwóch miastach*^[13] i *Przygody Hucka Finna*^[14]. Przez obie przedzierał się z równym trudem, mało nie wyzionął ducha. I trudno się dziwić. Powstały przecież dawno temu.

Zastanawiało go jednak, choć nie chciał się tymi przemyśleniami podzielić, po co w dzisiejszych czasach ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, by sięść i napisać kolejną książkę.

– Tragedia – powiedziała Belle zdecydowanym głosem, a Jackson nie był pewien, czy mówi o swoim ojcu, czy o bohaterach powieści, która nie została dokończona.

W każdym razie skoro dało się już zamieszkać w odnowionym przez niego pokoju, należało teraz skupić uwagę na dachu. Bo jaki sens miałby remont, gdyby kiepski dach spowodował ponowną ruinę domu po roku albo dwóch latach. Udało mu się tak połatać poszycie, by wytrzymało jeszcze ładnych parę zim, choć oczywiście trwałości nie mógł zagwarantować. Mimo działań, które podejmował, wciąż nosił się z zamiarem, że wyruszy w dalszą drogę jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

W menonickich rodzinach z sąsiedztwa oprócz starszych dziewczyn byli też chłopcy, których kiedyś widział. Nie podrośli jednak jeszcze na tyle, by pomagać w cięższych pracach. Jackson najął się więc u nich do jesiennych zniw. Zapraszano go na wspólne posiłki, podczas których ze zdziwieniem odkrył, że dziewczęta obsługujące go zachowywały się wesoło i wcale nie były małomówne. Zauważył też, że ich matki były czujne, a ojcowie bacznie obserwowali gościa. Z radością przekonał się, że jedna i druga strona oceniła go przychylnie. Nie wzbudził w nich niepokoję. Czuli się przy nim bezpiecznie.

A z Belle wolał nie prowadzić rozmów. Zorientował się, że jest od niego starsza o szesnaście lat. Dotknięcie tego tematu, nawet w formie żartu, zepsułoby wszystko. Ona była specyficzną kobietą, a on osobliwym typem mężczyzny.

Jeśli chcieli wybrać się na zakupy, jechali do miasteczka Oriole. Znajdowało się w przeciwnym kierunku niż jego rodzinna miejscowość. Konia zostawiał w szopie przy kościele protestanckim, bo w centrum nie było już słupków, do których kiedyś wiązało się wierzchowce. Z początku był bardzo nieufny i nie chciał wstępować do sklepu z narzędziami i zakładu fryzjerskiego. Ale szybko zdał sobie sprawę z czegoś, co przyszło mu tym łatwiej, że sam wychował się w niewielkiej miejscowości. Otóż mieszkańcy miasteczek niewiele się ze sobą kontaktowali, jeśli nie liczyć meczy rozgrywanych na boiskach do gry w baseball lub hokeja, które to spotkania w oczywisty sposób wywoływały rozmaite emocje, niekoniecznie przyjazne w stosunku do przybyszów. Kiedy w sklepach, które zwykle odwiedzali, nie mogli czegoś dostać, jechali do większego miasta. Podobnie gdy potrzebowali specjalistycznej porady lekarskiej. Jackson nie natknął się nigdy na żadnych znajomych i nikt się nim szczególnie nie interesował, no chyba że z powodu konia. Ale zimą właściwie nikogo to nie dziwiło, bo gdy śnieg zasypał lokalne drogi, których nie odśnieżano, wiele osób dostarczało mleko do mleczarni lub jajka do sklepu spożywczego, podróżując właśnie tak jak on i Belle.

Belle zawsze zatrzymywała się, by sprawdzić, jaki grają film, choć nie miała zamiaru się na niego wybrać. Jej wiedza na temat gwiazd i produkcji kinowych była rozległa, ale właściwie już historyczna, podobnie jak ta dotycząca Matildy i Stephen'a. Potrafiła na przykład wyrecytować, z kim ożenił się Clark Gable, zanim zagrał Rhett'a Butlera.

W końcu Jackson zaczął chodzić do fryzjera i kupować tytoń. Palił teraz jak farmer, robił sobie skręta, lecz nigdy go nie zapalał, dopóki nie wyszedł na dwór.

Używane samochody nie od razu stały się dostępne, ale gdy farmerzy, którzy dorobili się podczas wojny, zaczęli pozbywać się starych pojazdów, bo w sprzedaży pojawiły się nowe modele, rozmówił się na ten temat z Belle. Koń Freckles był już stary i nie miał ochoty mierzyć się z żadną górką.

Jackson zauważył, że dealer samochodowy spogląda w jego stronę, ale nie żywi specjalnej nadziei na ubicie interesu.

– Bo ja zawsze myślałem, że pan i siostra jesteście menonitami, tyle tylko, że trochę inaczej się ubieracie – powiedział.

Określenie to odrobinę wstrząsnęło Jacksonem, ale i tak było lepsze niż mąż i żona. Zdał sobie sprawę z faktu, jak bardzo musiał się postarzyć i zmienić przez ostatnie lata i jak mało zostało w nim z tego człowieka, który wyskoczył z pociągu, wychudzonego żołnierza o starganych nerwach. Natomiast Belle, jeśli był w stanie ocenić, zatrzymała się w jakimś punkcie i pozostała wyrośniętym dzieckiem. Jej sposób mówienia jeszcze potęgował to wrażenie, gdyż wciąż balansowała na granicy między przeszłością i terażniejszością, dowolnie mieszając ze sobą różne etapy życia, jak gdyby nie dostrzegała różnicy między ostatnią wyprawą do miasteczka, na którą wyruszyła razem z nim, a ostatnią wizytą w kinie odbytą w towarzystwie mamy i taty albo pamiętnym komicznym epizodem, kiedy to krowa Margaret Rose – której od dawna już nie ma – nastawiła rogi i napędziła Jacksonowi strachu.

Latem 1962 roku wybrali się do Toronto. W tym czasie byli już posiadaczami drugiego z kolei używanego samochodu. Nie planowali tej wizyty i nastąpiła ona w niekorzystnym dla Jacksona czasie. Bo z jednej strony budował nową stajnię u menonitów, którzy zajęci byli przy żniwach,

a z drugiej – powinien się zająć zbiorem własnych warzyw, które zakontraktował już w pewnym sklepie spożywczym w Oriole. Jednak Belle uległa wreszcie namowom, by zająć się guzem, który niepokoił ją od jakiegoś czasu. Miała w Toronto wyznaczony termin operacji.

– Co za zmiana – powtarzała oszołomiona Belle. – Jesteś pewien, że nadal jesteśmy w Kanadzie?

To było, zanim jeszcze minęli Kitchener. Kiedy wjechali na nową autostradę, Belle była tak wstrząśnięta tym, co dokoła widziała, że zaczęła nalegać, by Jackson zjechał na lokalną drogę albo najlepiej zawrócił do domu. Dosyć ostro jej wtedy odpowiedział, bo chciał się skupić na prowadzeniu auta, a ku jego zaskoczeniu ruch był naprawdę spory. Od tej pory już się nie odzywała, a on nie wiedział, czy przymknęła oczy, bo się poddała, czy dlatego, że się modli. Wcześniej nigdy nie widział jej pogrążonej w modlitwie.

Jeszcze rankiem, tuż przed wyjazdem, próbowała go nakłonić do zmiany planów. Twierdziła, że guz się zmniejsza, zamiast rosnać. A z powodu wprowadzenia powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych wszyscy wokół tylko biegają po doktorach i zmieniają swoje życie w niekończące się pasmo badań i operacji, co tak naprawdę nic nie daje, a tylko sprawia kłopot innym, którzy muszą się tymi chorymi zajmować.

Uspokoila się i rozchmurzyła, gdy dotarli do właściwego zjazdu i znaleźli się już w mieście. Jechali po Avenue Road i pomimo ciągłych okrzyków, jak wszystko się zmieniło, Belle wszędzie dostrzegała teraz coś znajomego. Rozpoznała na przykład budynek, w którym mieszkał pewien nauczyciel z Bishop Strachan. Na samym dole znajdował się tam kiedyś sklep, gdzie kupowało się mleko, papierosy i gazety. Ale byłoby wspaniale, gdyby wciąż można było tam dostać „Telegram”, a w nim znaleźć nie tylko nazwisko tatusia, ale i jego nieostrą gazetową fotografię z czasów, gdy nie brakowało mu jeszcze włosów.

Potem kolejny już cichszy okrzyk, bo w wąskiej przecznicy dostrzegła kościół – mogłaby przysiąc, że dokładnie ten sam – w którym ślub brali jej rodzice. Zabrali ją tam kiedyś, by trochę powspominać, choć nie było to miejsce, które regularnie odwiedzali. Właściwie w ogóle do kościoła nie chodzili, a z tym ślubem pewnie żartowali, bo on twierdził, że pobierali się w dolnej kaplicy, a ona, że w zakrystii.

Matka zawsze się przy tym temacie ożywiała.

Być może w tamtych czasach uważano, że tylko małżeństwo zawarte w kościele było ważne.

Na Eglinton zwróciła uwagę na znak metra.

– I pomyśleć, że nigdy w życiu z niego nie korzystałam.

Mówiąc to, miała w głosie zarówno żal, jak i dumę.

– Ale ja jestem zacošana.

W szpitalu już na nią czekali. Zachowywała się bardzo żywiołowo, opowiadała o strasznych przeżyciach na ruchliwej autostradzie i o zmianach w mieście, a także zastanawiała się, czy z okazji Bożego Narodzenia urządzi się wciąż przedstawienie koło sklepu sieci Eaton i czy ludzie czytają jeszcze „Telegram”.

– Szkoda, że nie wjechaliście od strony Chinatown – powiedziała jedna z pielęgniarek. – To dopiero warto zobaczyć.

– Chętnie obejrzę w drodze do domu – powiedziała Belle ze śmiechem. – Jeśli w ogóle stąd wyjdę.

– No co też pani.

Inna pielęgniarka zapytała Jacksona, gdzie zaparkował samochód, i doradziła, dokąd go przestawić, żeby uniknąć mandatu. Uświadomiła mu też, że miejsca noclegowe dla zamiejskowych

krewnych pacjentów są znacznie tańsze od hoteli.

Belle zostanie teraz zaprowadzona do łóżka, powiedzieli. Zbada ją lekarz, a Jackson będzie mógł przyjść później i powiedzieć jej dobranoc. Pacjentka może być już wtedy nieco otumaniona lekami.

Belle usłyszała tę uwagę i powiedziała, że ona cały czas chodzi tu otumaniona, więc po lekach nie będzie różnicy, czym wywołała ogólną wesołość.

Przed wyjściem został poproszony przez pielęgniarkę o wypełnienie jakiegoś formularza. Zawahał się przy pytaniu o pokrewieństwo. Wpisał: „Przyjaciół”.

Wieczorem rzeczywiście zauważył zmianę, choć nie użyłby w stosunku do Belle słowa „otumaniona”. Była w luźnej zielonej koszuli, która nie okrywała szyi ani większej części ramion. Rzadko widywał ją tak niekompletnie ubraną, by można było dostrzec ścięgna biegnące od obojczyka do brody.

Była zdenerwowana i zasychało jej w ustach.

– Nie dali mi nic do picia poza kilkoma łykami wody.

Chciała, żeby przyniósł jej colę, coś, czego wcześniej nie знаła.

– Na dole musi być automat. Na pewno. Co chwila ktoś tu wchodzi z butelką, a mnie się wtedy tak strasznie chce pić.

Odparł, że nie może, skoro zabraniają.

Była bliska płaczu, odwróciła obrażoną twarz.

– Chcę do domu.

– Niedługo pojedziemy.

– To przynieś mi ubranie.

– Tego nie mogę zrobić.

– Jak mi nie pomożesz, to sama sobie poradzę. Trafię na stację.

– Na naszej linii nie kursują już żadne pociągi pasażerskie.

Niespodziewanie zrezygnowała ze swoich planów ucieczki. Po chwili zaczęła wspominać dom i wszystkie naprawy, jakich ostatnio dokonali, a właściwie on dokonał. Zewnętrzne ściany lśnią bielą i nawet kuchnia została nie tylko odmalowana, ale i wyposażona w drewnianą podłogę. Dach pokryty jest nowym gontem, a okna powróciły do pierwotnego stanu. Największy jednak powód do dumy to kanalizacja, jakże przydatna, zwłaszcza w zimie.

– Jakbyś się wtedy nie pojawił, to już wkrótce popadłabym w zupełną nędzę.

Nie powiedział głośno, że już ją w nędzy zastał.

– Jak z tego wyjdę, natychmiast przygotuję testament – powiedziała. – Wszystko ci zapiszę, twoja praca nie pójdzie na marne.

Prawdę mówiąc, myślał już o tym i zapewne perspektywa zostania właścicielem dałaby mu jakieś zadowolenie, choć oczywiście wyraziłby przy takiej okazji nadzieję, że nieprędko z zapisów testamentowych skorzysta. Ale nie teraz. Daleki był od takich myśli, mało go te sprawy obchodziły.

– Chciałabym być tam, nie tu. – W jej głosie wyczuł smutek.

– Po operacji dużo lepiej się poczujesz.

Jednak z otrzymanych dotąd informacji mógł wnioskować, że to wierutna bzdura i kłamstwo.

Nagle opanowało go wielkie zmęczenie.

Jednak wypowiedziane przez niego słowa okazały się bliższe prawdy, niż myślał. Dwa dni po usunięciu guza przeniesiono Belle do innej sali. Siedziała na łóżku, chętna do rozmowy i niezrażona pojękiwaniami dobiegającymi zza parawanu. Ona sama też wydawała takie mniej więcej odgłosy poprzedniego dnia, a Jacksonowi nie udało się jej wtedy skłonić do otwarcia oczu i spojrzenia na niego.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedziała Belle. – Jest nieświadoma swojego zachowania. Prawdopodobnie nic nie czuje. Jutro będzie jak nowo narodzona. Na pewno.

Przemawiała jak weteran – bez ogródek i z wyraźną satysfakcją, że ma to już za sobą. Piła przez zakrzywioną słomkę jakiś jasnopomarańczowy napój. Wydawała się znacznie młodsza od kobiety, którą tak niedawno przywiózł do szpitala.

Wypytywała go, czy nie za mało sypia, czy znalazł jakieś miejsce, gdzie można dobrze zjeść, czy nie jest zbyt gorąco na spacer i czy zwiedził już Królewskie Muzeum Ontario, jak mu wcześniej radziła.

Ale nie potrafiła się skupić na jego odpowiedziach. Była ciągle w stanie zadziwienia. Kontrolowanego zadziwienia.

– Ach, muszę ci coś powiedzieć – przerwała mu tłumaczenia, dlaczego nie wybrał się jeszcze do muzeum. – Ale nie bądź taki przerażony. Rozśmiesza mnie ta twoja zaniepokojona mina, a od śmiechu bolą mnie szwy. A tak w ogóle to wcale nie powinno mi być wesoło, bo to, co chcę powiedzieć, jest przeraźliwie smutne, wręcz tragiczne. Pamiętasz historię mojego ojca? Opowiadałam ci o nim...

Od razu zauważył, że powiedziała ojciec zamiast tatuś.

– Ojciec i matka...

Musiała się zastanowić i zaczęła jeszcze raz.

– Dom był w lepszym stanie niż wtedy, kiedy go po raz pierwszy ujrzałeś. Kiedyś był. Pokoju na piętrze używaliśmy w charakterze łazienki. Trzeba było oczywiście nosić wodę po schodach, w obie strony. Dopiero później, jak już się zjawileś, przeniosłam łazienkę na dół. Do tego pokoju z półkami, który kiedyś był spiżarnią.

Czyżby zapomniała, że to on zdemontował półki i urządził tam łazienkę?

– Co to ma za znaczenie – powiedziała, jakby odczytując jego myśli. – Więc kiedyś zagrzałam wodę na dole i zaniiosłam na górę, żeby się umyć gąbką. Rozebrałam się. No tak. Nad umywalką było duże lustro, bo tam miałam umywalkę jak w prawdziwej łazience, tylko że po myciu wyciągało się korek, a woda spływała do wiadra. Ubikacja znajdowała się gdzie indziej. Tak. Więc, oczywiście naga, myłam się. Dochodziła dziewiąta wieczorem, ale było jasno, bo, chyba już wspomniałam, działało się to latem, a pokoik miał okno na zachód...

Wtedy usłyszałam kogoś na schodach, to tatuś. Mój ojciec. Pewnie skończył układać mamę do snu. Zbliżał się, idąc ciężkim krokiem. Inaczej niż zwykle. Jakby z rozmysłem. A może dopiero potem tak to oceniłam? Z perspektywy człowiek widzi rzeczy bardziej dramatycznie. Zatrzymał się pod drzwiami łazienki i pomyślałam, że pewnie musi być strasznie zmęczony. Nie zamknęłam drzwi, bo przecież nie było tam żadnej zasuwki. Po prostu, jak nie były otwarte, to znaczyło, że ktoś jest w środku. Stał na korytarzu, a ja nie zwracałam na to uwagi. Chwilę potem otworzył drzwi, dalej stał i nie mógł oderwać ode mnie wzroku. I chodzi mi o to, że patrzył na mnie całą, nie tylko na twarz. A w lustrze było widać jego, jak się wpatruje i w moją twarz, i w całą resztę, i w coś, co było za moimi plecami. Nie było to normalne spojrzenie.

Powiem ci, co sobie wtedy pomyślałam. Przyszło mi do głowy, że lunatykuje. Nie wiedziałam, jak się zachować, bo lunatyka nie wolno przestraszyć. Wykrztusił: „Przepraszam” i wiedziałam już, że to

nie ma nic wspólnego ze snem. Ale głos miał jakiś dziwny, zupełnie inny niż zwykle, brzmiało to tak, jakby czuł do mnie obrzydzenie. Albo wściekłość, sama już nie wiem. Zostawił drzwi otwarte i zszedł na dół. A ja się wytarłam, założyłam koszulę nocną, poszłam do łóżka i natychmiast zasnęłam. Kiedy zbudziłam się rano, w umywalce ciągle była woda, której nie spuściłam. Poczułam wstręt, ale się przemożłam.

W domu wszystko wyglądało normalnie. On już wstał i stukał na maszynie. Przywitał się ze mną głośno i zapytał o pisownię jakiegoś słowa. Zawsze tak robił, bo byłam od niego lepsza z ortografii. Przeliterowałam mu wyraz, a potem dodałam, że mógłby się w końcu nauczyć, skoro chce być pisarzem, bo na razie nie najlepiej mu to idzie. A później w ciągu dnia, kiedy zmywałam naczynia, stanął za moimi plecami, a ja zamarłam. Powiedział tylko: „Belle, przepraszam”. I pomyślałam wtedy, że lepiej, jakby nic nie mówił. Te przeprosiny mnie przeraziły. Nie wątpiłam w ich szczerość, ale odnosił się do tamtego zdarzenia zupełnie otwarcie, a tego nie mogłam zignorować. Odpowiedziałam tylko: „W porządku”, lecz nie potrafiłam się zdobyć na beztroski ton, tak jakby rzeczywiście wszystko było bez zarzutu.

Nie umiałam, musiałam dać mu do zrozumienia, że coś w naszych relacjach nieodwracalnie zmienił. Wyszłam, żeby wylać brudną wodę, a po powrocie dalej wykonywałam swoją pracę w milczeniu. Później, kiedy mama ocknęła się z drzemki, zrobiłam kolację i zawołałam go, ale nie przyszedł. Powiedziałam mamie, że pewnie poszedł na spacer. Często tak robił, jak nie szło mu pisanie. Pomogłam mamie przy jedzeniu, ale ciągle miałam jakieś obrzydliwe myśli. Przed wszystkim na temat odgłosów, jakie dobiegały nieraz z ich pokoju, a ja udawałam, że nie słyszę. Teraz przyglądałam się mamie, jak jadła kolację, i zastanawiałam się, co ona o tym wszystkim myśli i czy w ogóle cokolwiek rozumie.

Nie miałam pojęcia, dokąd poszedł. Przygotowałam mamę do snu, choć to był jego obowiązek. I wtedy usłyszałam nadjeżdżający pociąg, a potem zamieszanie i hałas, to znaczy pisk hamulców, i pewnie zorientowałam się, co nastąpiło, ale sama nie wiem, w którym momencie.

Już ci kiedyś mówiłam, że wpadł pod pociąg.

Ale teraz opowiadam ci całą historię. I nie po to, żeby wyrzucić mocne wrażenie. Na początku nie mogłam się z tym pogodzić. Długo sobie wmawiałam, że szedł po torach zatopiony w myślach o pracy i dlatego nie usłyszał pociągu. Taka była oficjalna wersja. Nie dopuszczałam myśli, że miało to głębszą przyczynę lub coś wspólnego ze mną.

Z seksem.

Teraz już wiem. W pełni rozumiem, że nikt tu nie zawinił. Powodem była ludzka seksualność i strasznie zawikłana sytuacja życiowa. Ja dorastałam, mama była w złym stanie zdrowia, jak ci już wspomniałam, a tatuś – był, jaki był. Ani to jego wina, ani moja.

Chcę jeszcze powiedzieć, że przydałoby się jakieś wyjście awaryjne. Takie miejsce, gdzie ludzie mogą pójść, jak znajdują się w matni. I nie mieć z tego powodu poczucia winy ani wstydu. Tak, mam na myśli burdele. A więc i prostytutki, przyznaję. Rozumiesz mnie?

Jackson utkwiał wzrok ponad jej głową i powiedział, że tak.

– Czuję wielką ulgę. I nie chodzi o to, że ta tragedia mnie już nie porusza, ale zdołałam się od niej uwolnić, stanąć obok. Takie rzeczy są po prostu wpisane w los każdego. Uśmiech na mojej twarzy nie oznacza, że wyzbyłam się współczucia. Ono jest we mnie. Nawet bardzo dużo. Ale mimo wszystko czuję ulgę. I w pewnym sensie uważam się za osobę szczęśliwą. Jesteś tym wszystkim zażenowany?

– Nie.

– Wiesz, że zachowuję się teraz inaczej niż zwykle. Ja też zdaję sobie z tego sprawę. Wszystko wydaje mi się takie jasne i oczywiste. Jestem za to wdzięczna.

Podczas całej ich rozmowy, a właściwie monologu Belle, kobieta z sąsiedniego łóżka wciąż jęczała. Jackson czuł, że ten żaloszny głos wrył mu się w pamięć jak refren.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków pielęgniarki. Miał nadzieję, że za chwilę te człapiące buty wejdą do ich sali. I rzeczywiście.

Pielęgniarka oświadczyła, że czas na tabletkę nasenną. Zaniepokoiło go, czy będzie musiał ucałować Belle na dobranoc. Zauważył, że w szpitalu całowaniem wyrażano różne uczucia. Na szczęście, kiedy wstał, nikt takiej formy pożegnania od niego nie oczekiwał.

– Do jutra.

Obudził się wcześniej i postanowił pójść przed śniadaniem na spacer. Wyspał się dobrze, ale chciał odetchnąć od szpitalnej atmosfery. Zmiana, która zaszła w Belle, nie zmartwiła go zbytnio. Wydawało mu się możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że uda jej się wrócić do normalnego stanu już po kilku dniach. I może nie będzie pamiętała tego, co mu opowiedziała. Tak byłoby znacznie lepiej.

Słońce stało już wysoko, jak przystało na tę porę roku. Tramwaje i autobusy były zatłoczone, dlatego skierował się pieszo na południe, a potem skręcił na zachód w Dundas Street i po chwili dotarł do Chinatown, o którym już tyle słyszał. Do sklepów dostarczano właśnie mnóstwo znanych mu z wyglądu warzyw, a także inne – zupełnie nieznanne. Oprawione tuszki małych, najwyraźniej chętnie tu spożywanych zwierząt zostały już wywieszane i czekały na klientów. Na ulicach stało wiele nieprzepisowo zaparkowanych ciężarówek, a zewsząd dobiegały strzępy rozmów prowadzonych po chińsku, podobnych do desperackich okrzyków. Cała ta wrzawa brzmiała tak, jakby wszyscy ze sobą walczyli, ale dla Chińczyków było to zapewne najzupełniej normalne. Mimo to ulica go zmęczyła i zapragnął wejść gdzieś na chwilę. Wybrał restaurację prowadzoną przez Chińczyka, ale oferującą najzwyczajniejsze jajka sadzone na bekonie. Po wyjściu chciał wrócić do siebie tą samą drogą.

Ale wbrew planom poszedł znów na południe. Trafił na ulicę z dość wysokimi i wąskimi domami mieszkalnymi z cegły. Musiały powstać w czasach, kiedy nie budowało się podjazdów, bo być może nikt nie miał wtedy samochodu. Albo nawet samochody w ogóle jeszcze nie istniały. Szedł przed siebie, aż natknął się na tabliczkę z nazwą Queen Street, która brzmiała znajomo. Znowu skręcił na zachód i po minięciu kilku przecznic napotkał przeszkodę. Przed barem z pączkami stał mały tłum.

Ludzie gromadzili się, ponieważ przejście zablokowała im karetka pogotowia, która wjechała tyłem na chodnik. Niektórzy narzekali, że tracą czas, i pytali głośno, czy przestrzegane są przepisy, inni stali spokojnie i próbowali się dowiedzieć, co jest przyczyną tego zamieszania. Ktoś wspomniał o śmiertelnym wypadku, a wtedy jedni zaczęli się zastanawiać, kto ucierpiał, natomiast drudzy uparcie twierdzili, że to tylko wymówka uzasadniająca wjazd karetką na chodnik.

Człowiek, którego w końcu wyniesiono na noszach, wcale nie zmarł, bo nie zakryto mu twarzy. Był jednak nieprzytomny i blady jak ściana. Wbrew żartobliwym przewidywaniom niektórych obserwatorów nie transportowano go przez bar – miał to być złośliwy przytyk do jakości pączków – tylko przez główne drzwi budynku, dość solidnego pięciopiętrowego domu mieszkalnego z cegły, który na parterze mieścił pralnię automatyczną i właśnie ów bar z pączkami. Nazwisko wypisane nad głównym wejściem było niegdyś synonimem dumy, ale i głupoty.

Bonnie Dundee.

Za noszami wyszedł mężczyzna nienależący do załogi ambulansu, bo nie miał na sobie uniformu. Stał i z wyraźnym poirytowaniem spojrzał na tłum, który miał się lada moment rozejść. Ludzie patrzyli, jak karetka przy złowróżbnym dźwięku syreny toruje sobie drogę i odjeżdża na pełnym gazie.

Jackson należał do tych, którzy pozostali na chodniku. Właściwie nie był szczególnie zainteresowany rozwojem wypadków, a jedynie czekał, aż będzie mógł skręcić w wybraną ulicę i pójść w swoją stronę. Mężczyzna, który wyszedł z budynku, zbliżył się do niego i zapytał, czy bardzo się spieszy. Nie. Niezbyt.

Był to właściciel posesji. Natomiast człowiek, który odjechał karetką, był gospodarzem domu i zarządcą.

– Muszę skoczyć do szpitala i sprawdzić, co mu jest. Cieszył się zdrowiem, na nic się nie skarżył. Nie ma żadnych bliskich, których mógłbym o to spytać. A najgorsze, że nie mogę znaleźć kluczy. Nie miał ich przy sobie i nie widzę ich w zwykłym miejscu. Muszę więc pojechać po zapasowe i chciałem prosić, żeby pan w tym czasie miał oko na to, co tu się dzieje. Pojadę po nie, a potem do szpitala. Mógłbym poprosić o pomoc kogoś z najemców, ale nie palę się do tego, wie pan, jak to jest. Nie mam ochoty wysłuchiwać pytań, skoro sam jeszcze nie wiem, co się stało.

Ponownie zapytał, czy może na pewno liczyć na jego pomoc, a Jackson powiedział, że oczywiście, że tak.

– Proszę mieć oko na wszystkich wchodzących, prosić każdego o pokazanie kluczy i tłumaczyć, że to wyjątkowa sytuacja. A ja zaraz wracam.

Na odchodnym odwrócił się jeszcze.

– Niech pan sobie tu siądzie.

Stało tam krzesło, którego Jackson wcześniej nie zauważył. Złożono je i odsunięto, żeby mogła wjechać karetka. Było zwyczajne, z płóciennym siedziskiem, ale solidne i dość wygodne. Jackson podziękował i rozłożył je w miejscu, gdzie nie przeszkadzało ani przechodniom, ani mieszkańcom. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Pomyślał, że chciał wspomnieć o szpitalu i ostrzec, iż wkrótce będzie musiał tam pójść, ale właściciel bardzo się spieszył, miał umysł zaprzątnięty mnóstwem spraw, a ponadto obiecał przecież, że postara się szybko wrócić.

Gdy tylko Jackson przysiadł na krzesło, zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu biegał po mieście bez odpoczynku.

Właściciel domu zaproponował, by wziął sobie kawę lub coś do jedzenia z baru, jeżeli będzie miał ochotę. „Na mój rachunek”. Ale Jackson nie zapytał go przecież o nazwisko.

Po powrocie właściciel przeprosił za spóźnienie. Okazało się, że człowiek, którego zabrała karetka, zmarł. Trzeba więc było zająć się wieloma sprawami. Dorobić nowy zestaw kluczy. Już go ma. Pogrzeb odbędzie się z udziałem długoletnich mieszkańców. Klepsydra w gazecie może spowodować, że przyjdzie też kilka innych osób. Będzie trochę zamieszania, zanim wszystko się jakoś ułoży.

Bardzo by mu było na rękę, gdyby Jackson popracował u niego. Tymczasowo. Przez jakiś czas.

Jackson, ku własnemu zaskoczeniu, zgodził się.

Właściwie, jeśli woli, mógłby zacząć dopiero za kilka dni. Tak powiedział do niedawna nieznajomy, a teraz już jego szef. Na przykład tuż po pogrzebie i małym przemeblowaniu. Ten czas mógłby spożytkować na zorganizowanie się i przeprowadzkę.

Nie jest konieczne, zapewnił Jackson. Wszystko ma zorganizowane, a dobytek przy sobie.

Wzbudziło to zrozumiałe podejrzenia. Jackson nie zdziwił się, gdy kilka dni później wyszło na jaw, że jego nowy pracodawca poszedł na policję. Ale najwyraźniej niczego złego się nie dowiedział. Ustalił, że Jackson jest jednym z tych samotników, którzy może trochę się w życiu pogubili, ale w żaden sposób nie złamali prawa.

Jego nowego pracownika nie było na liście poszukiwanych.

Z reguły Jackson wolał starszych lokatorów. Zazwyczaj samotnych. Ale nie ponuraków. Raczej ludzi z pasją i zainteresowaniami. Wręcz z talentem, niezwykłym darem, który kiedyś rozbłysnął i pozwolił zbudować karierę życiową, ale potem okazywało się, że z jakiegoś powodu wszystko się kończy. Był tam na przykład spiker radiowy, który zyskał popularność w czasie wojny, ale potem struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Większość słuchaczy uznała pewnie, że zmarł. A on mieszkał sobie w kawalerce, śledził na bieżąco wiadomości i prenumerował „The Globe and Mail”, a kiedy Jackson miał ochotę, mógł od niego pożyczyć egzemplarz tej gazety.

I pewnego dnia pożyczył.

„Marjorie Isabella Treece, córka Willarda Treece, długoletniego dziennikarza «Toronto Evening Telegram» i Heleny Treece (z domu Abbott), oddana przyjaciółka Robin Ford (z domu Shillingham), odeszła po przegranej walce z rakiem. Prosimy, by gazeta z Oriole przedrukowała tę wiadomość. 18 lipca 1965”.

Żadnej wzmianki o tym, gdzie mieszkała. Prawdopodobnie w Toronto, bo obok niej na zdjęciu widać było Robin. Żyła być może dłużej, niż się spodziewano, i prawdopodobnie niemal do samego końca zachowała niezłą formę oraz dobry nastrój. Wykazała się umiejętnością przystosowania do okoliczności. Większą niż on sam.

Nie rozmyślał o domu, w którym z nią mieszkał, ani o przepracowanych tam latach. Nie musiał – często mu się to wszystko śniło, a budził się wtedy nie tyle z uczuciem tęsknoty, co zdenerwowania, jakby coś kazało mu zerwać się i dokończyć porzucone zadanie.

Kiedy w Bonnie Dundee podejmowano jakieś prace remontowe, najemcy byli zaniepokojeni, bo przeczuwali, że mogą one spowodować podwyżkę czynszu. Rozmawiał wtedy z nimi, kładąc akcent na uprzejmość, ale i rzeczową, opartą na rachunku ekonomicznym argumentację. Z czasem standard nieruchomości został podwyższony, a chętni do mieszkania zapisywali się na listę oczekujących. Właściciel narzekał, że jego dom stał się przystanią dla różnych ekscentryków. Ale Jackson utrzymywał, że tacy lokatorzy są porządniejsi, a z racji starszego wieku mniej skłonni do wybryków. Mieszkali tam pewna pani, niegdyś solistka torontowskiej orkiestry symfonicznej, oraz wynalazca, który jak dotąd nie mógł się pochwalić patentem, ale miał niezachwianą wiarę, że w końcu odniesie sukces, a także aktor, uchodząca z Węgier, któremu przeszkadzał w karierze silny obcy akcent, ale mimo to wciąż jeszcze próbował grania w reklamówkach. Były to same przyzwoite osoby. Zawsze udało się im wykrobać jakieś pieniądze, by popołudniami przesiadywać w restauracji Epicure i snuć opowieści o sobie. W dodatku ludzie ci mieli też różnych, nawet bardzo sławnych, znajomych, którzy nieoczekiwanie mogli wpaść z wizytą. Nie do pogardzenia był również fakt, że w Bonnie Dundee mieszkał również pewien kaznodzieja, trochę wprawdzie na bakier ze swoim kościołem, mniejsza o wyznanie, ale zawsze gotów pełnić swą duszpasterską posługę.

Lista najemców była w zasadzie stała i nikt się nie wyprowadzał przed czasem, chyba że na tamten świat, a wówczas zatrudniony w Dundee kaznodzieja odprawiał nabożeństwo za zmarłego.

Wyjątek stanowiła młoda para, Candace i Quincy. Nigdy nie uścili czynszu, a którejs nocy po prostu się ulotnili. Tak się złożyło, że sam właściciel wynajął im pokój, a teraz tłumaczył swoją

lekkomyślność chęcią wprowadzenia do grona lokatorów jakichś nowych twarzy. Chodziło mu o oczywiście o Candace, nie o jej chłopaka. Quincy wyglądał bowiem na palanta.

Któregoś gorącego letniego dnia Jackson otworzył szeroko dwuskrzydłowe drzwi, służące zwykle do przyjmowania dostaw, aby wpuścić jak najwięcej świeżego powietrza, w czasie gdy lakierował stół. Był to uroczy mebelek, który dostał za darmo, bo obłaziła z niego politura. Pomyślał, że przyda się koło drzwi – będzie można zostawiać na nim pocztę.

Zamierzał wyjść z biura, bo pojawił się właściciel i sam sprawdzał stan płatności za czynsz.

Dzwonek przy wejściu delikatnie zadźwięczał. Jackson właśnie czyścił pędzel i już miał podejść do drzwi, bo wydawało mu się, że właściciel jest zbyt zajęty rachunkami. Ale po chwili usłyszał, że drzwi się jednak otwierają i dobiega stamtąd kobiecy głos. Bardzo znużony, ale nie pozbawiony uroku i pobrzmiwający absolutną pewnością, że jest w stanie zjednać sobie każdego bez wyjątku.

Może miała ojca kaznodzieję, pomyślał Jackson, zanim jeszcze uderzyła w niego fala wspomnień.

Ten adres był ostatnim, jaki córka podała, mówiła nieznajoma. Szukała jej. Dziewczynie było na imię Candace. Podróżowała po świecie z przyjacielem. Ona, matka, przybyła tu aż z Kolumbii Brytyjskiej. Z Kelowny, gdzie mieszkała z ojcem Candace.

Jackson rozpoznał jej głos i nie miał żadnych wątpliwości. Tą kobietą była Ileana.

Usłyszał, jak pyta, czy mogłaby usiąść. Właściciel podsunął Ileana jego – Jacksona – krzesło.

W Toronto jest goręcej, niż się spodziewała, choć prowincję Ontario zna dobrze, bo tu się wychowała.

Chciałaby poprosić o szklankę wody.

W pewnym momencie jej głos stał się stłumiony, bo ukryła zapewne twarz w otwartych dłoniach. Właściciel wyszedł na korytarz, wrzucił monetę do maszyny i wyjął puszkę 7UP. Pomyślał pewnie, że bardziej pasuje do kobiety niż cola.

Dostrzegł Jacksona i skinął na niego, by podszedł i zajął się nieznajomą, bo ma przecież większą praktykę w negocjacjach z mieszkańcami domu, którzy bywają wzburzeni lub rozgoryczeni. Ale Jackson gwałtownie potrząsnął głową.

Nie.

Kobieta wkrótce jednak uspokoiła się i doszła do siebie. Serdecznie przeproszała za swoje zachowanie, twierdząc, że to z powodu upału.

Wracając do Candace i Quincy'ego – opuścili Bonnie Dundee po niecałym miesiącu, jakieś trzy tygodnie temu. Nie podali nowego adresu.

– W takich okolicznościach zwykle nie zostawia się adresu – stwierdził właściciel.

Zrozumiała aluzję.

– Ja oczywiście wyrównam...

Jackson usłyszał, jak mówiła coś pod nosem, i dobiegł go szelest banknotów.

A chwilę potem:

– Może pozwoliliby mi pan obejrzeć pokój, w którym mieszkali...

– Nowy lokator niestety wyszedł. Ale nawet gdyby był, to pewnie nie wyraziłby zgody.

– Oczywiście, przepraszam.

– Czy szuka pani czegoś konkretnego?

– Ależ nie. Dziękuję za uprzejmość, i tak zabrałam panu już zbyt wiele czasu.

Wstała i zmierzali do wyjścia. Wyszli z biura i zeszli po schodkach w stronę drzwi. Potem gwar ulicy pochłonął pożegnanie, jeśli jakieś w ogóle nastąpiło.

Ileane mogła być zawiedziona, ale nie dała tego po sobie poznać.

Jackson wyszedł z kryjówki, gdy tylko jego szef wrócił do biura.

– Niespodzianka – powiedział właściciel domu. – Odzyskaliśmy pieniądze.

Nie był wścibski. Przynajmniej jeśli chodzi o życie prywatne. Jackson cenił tę cechę jego charakteru.

Oczywiście, że Jackson chciałby ją zobaczyć. Teraz, gdy wyszła, niemal żałował straconej szansy. Nie zniżyłby się nigdy do tego, by wypytywać właściciela, czy wciąż miała ciemne włosy, niemal czarne, czy nadal była smukła i miała niewielki biust. Na córkę – blondynkę, ale pewnie farbowaną – nie zwrócił bacznej uwagi. Miała około dwudziestu lat, choć dzisiaj łatwo popełnić w tej sprawie błąd. Wyraźnie zdominowana przez chłopaka. Uciekać z domu, od zobowiązań, ranić serca rodziców, a wszystko z powodu takiego nadętego ponuraka.

Kelowna w Kolumbii Brytyjskiej – daleko ją zaprowadziły te poszukiwania. Zawsze była wytrwałą, optymistycznie nastawioną osobą. Pewnie do dziś taką została. Wyszła za męża. Chyba że córka pochodziła z pozamałżeńskiego związku, ale to wydało mu się mało prawdopodobne. Drugi raz nie byłaby już taka nieostrożna, nie dopuściłaby do tragedii. Dziewczyna też pewnie będzie ostrożna, a jak jej się znudzi, to wróci do domu. Może z dzieckiem, ale tak to już dzisiaj jest.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1940 roku w szkole wybuchła awantura. Jej echa dotarły nawet na trzecie piętro, zwykle odseparowane od reszty świata za pomocą stukotu maszyn do pisania i sumatorów. Piętro to zajmowały najstarsze dziewczęta, które w poprzednim roku studiowały historię Europy, łacinę i biologię, a teraz uczyły się maszynopisania.

Wśród nich Ileane Bishop, która zgodnie ze swoim nazwiskiem była, o ironio, córką duchownego, tyle że nie biskupa, bo w Zjednoczonym Kościele nie mianowano biskupów. Ileane przybyła w te strony z całą rodziną, gdy była w dziewiątej klasie, i przez pięć lat z powodu alfabetycznego przydziału ławek siedziała za Jacksonem Adamsem. W chwili gdy do nich dołączyła, cała klasa zaakceptowała już wyjątkową nieśmiałość i małomówność Jacksona, ale dla niej była to nowość i w ciągu najbliższych pięciu lat, może dlatego, że nic sobie z tych cech charakteru Jacksona nie robiła, zdołała niepostrzeżenie spowodować ocieplenie ich stosunków. Bezustannie pożyczala od niego gumki, stalówki, przybory do geometrii i to nie w celu pokonania trudności w nawiązaniu z nim bliższego kontaktu, ale dlatego, że była z natury roztrzepana. Wymieniali się rozwiązaniami zadań i poprawiali swoje testy. Na ulicy mówili sobie „cześć”, a kiedy Jackson wypowiadał to powitanie, przestawało być zwykłym burknięciem, pojawiała się w nim nuta szczerości. Nic szczególnego ich nie łączyło, ale i tak stali się przedmiotem żartów. Ileane była daleka od nieśmiałości, ale potrafiła zachować dystans i nie bratała się z każdym, a to podobało się Jacksonowi.

Gdy uczniowie wylegli na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje, Ileane zauważyła, patrząc ze schodów w dół, że jednym z uczestników burdy jest Jackson, a drugim Billy Watts. Chłopcy, którzy jeszcze w poprzedniej klasie pilnie się uczyli i posłusznie przechodzili z jednej sali do drugiej, ulegli teraz przemianie. W mundurach wydawali się dwa razy potężniejsi, a biegając, głośno tupali wojskowymi buciorami. Krzyczeli, że lekcje zostały odwołane, bo wszyscy idą na wojnę. Częstowali kolegów papierosami i rozrzucali je po podłodze, a przecież mogli po nie sięgnąć nawet całkiem młodzi uczniowie, którzy się nawet jeszcze nie golą.

Byli wojowniczo nastawieni, wręcz napastliwi, i pijani.

Dyrektor próbował ich uspokoić. Ale ponieważ była to jeszcze wczesna faza wojny i chłopców, którzy zaciągnęli się do wojska, traktowano z respektem, nie okazał tak zdecydowanej reakcji, na jaką zdobyłby się już rok później.

– Spokój, spokój – mówił.

– Ja się nie dekuję! – odpalił Billy Watts.

Jackson otworzył już usta, żeby krzyknąć to samo, ale wtedy jego oczy napotkały spojrzenie Ileany Bishop, która w lot pojęła, o co chodzi.

Stało się dla niej jasne, że Jackson jest co prawda nietrzeźwy, ale nie na tyle, by nie móc udawać jeszcze bardziej pijanego. Uznała to za rodzaj pozy, nad którą można zapanować. (Bill Watts był natomiast kompletnie zalany). Gdy to zrozumiała, zeszła na dół, z uśmiechem przyjęła papierosa i trzymała go w palcach. Następnie wzięła za ręce obu bohaterów i wyprowadziła ich ze szkoły.

Zapalili dopiero na zewnątrz.

Wydarzenie to było potem różnie komentowane wśród wiernych z parafii jej ojca. Jedni mówili, że Ileana nie paliła, tylko udawała, by uspokoić chłopaków, natomiast według innych zaciągała się na serio. Córka ich pastora. Paliła.

Billy objął Ileanę ramieniem i próbował ją pocałować, ale zatoczył się, siadł na schodach i zaczął pisać jak kogut.

Dwa lata później zginął.

Ale tamtego dnia trzeba go było odstawić do domu. Jackson dźwignął kolegę, chwycili go pod ręce i zaczęli holować. Na szczęście Billy mieszkał niedaleko szkoły. Zostawili go na progu domu, spitego do nieprzytomności. Potem zaczęli rozmawiać.

Jackson nie chciał wracać do siebie. Dlaczego nie? Bo czekała tam na niego macocha. Nienawidził jej. Dlaczego? Bez powodu.

Ileana słyszała że jego mama zginęła w wypadku samochodowym, kiedy był bardzo mały – tym właśnie tłumaczono jego nieśmiałość. Pomyślała, że pewnie alkohol skłania go do pewnej przesady w ocenach, ale nie chciała kontynuować tej rozmowy wbrew jego woli.

– Dobrze – powiedziała. – Możesz u mnie zostać.

Tak się złożyło, że matka Ileany wyjechała opiekować się chorą babcią. Dziewczyna zaś, o tyle o ile, prowadziła dom dla ojca i dwóch młodszych braci. Zdaniem niektórych zaproszenie Jacksona było dosyć niefortunnym posunięciem. I nie chodzi o to, że gdyby matka była wtedy w domu, podniosłaby zaraz raban, ale na pewno o wszystko by się wypytała i zechciała lepiej poznać chłopaka. A przynajmniej nakłoniłaby córkę, żeby dalej normalnie chodziła do szkoły.

Żołnierz i dziewczyna, nieoczekiwanie tak blisko siebie. Do tej pory łączyły ich tylko logarytmy i deklinacje.

Ojciec Ileany nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Wojnę interesował się bardziej niż, w opinii wielu parafian, powinien, a obecność żołnierza w domu napełniała go dumą. Przeżywał również to, że nie może posłać córki do college'u. Musiał bowiem odkładać pieniądze, by za jakiś czas posłać tam synów, bo to oni przecież będą potem zarabiać na życie. Dlatego też w stosunku do Ileany był dosyć pobłażliwy.

Jackson i Ileana nie chodzili do kina. Ani na tańce. Za to odbywali spacer – i to bez względu na pogodę, często po zmierzchu. Zdarzało się, że wstępowali do restauracji na kawę, ale nie nawiązywali z nikim bliższych znajomości. Co się między nimi rodziło? Miłość? Spacerując razem,

dotykali swoich dłoni i Jackson zdołał się do tego przyzwyczaić. Potem, gdy z jej inicjatywy przypadkowy dotyk przerodził się w umyślny, również i ten stan zaakceptował.

Stał się spokojniejszy i godził się nawet na pocałunki.

Ileane osobiście wybrała się do domu Jacksona po jego rzeczy. Macocha błysnęła białymi sztucznymi zębami i sprawiała takie wrażenie, jakby traktowała całą sprawę z rozbawieniem.

Spytała, czy wiedzą, co robią.

– Lepiej uważajcie – przestrzegła.

Miała opinię osoby pyskatej. A nawet wulgarnej.

– Zapytaj, czy pamięta, jak myłam mu tyłek.

Gdy Ileane opowiadała mu później o tej rozmowie, przyznała, że sama zachowywała się uprzejmie, ale traktowała macochę Jacksona z góry, bo nie mogła jej znieść.

Ku jej zaskoczeniu Jackson poczerwieniał, skurczył się w sobie i wydawał się przestraszony, zupełnie jakby miał odpowiadać przy tablicy.

– Niepotrzebnie ci o niej opowiadałam – zreflektowała się Ileane. – Jak się człowiek wychowuje na probostwie, to potem jest zbyt krytyczny w stosunku do innych.

Zapewnił, że nic się nie stało.

Okazało się potem, że był to ostatni urlop Jacksona. Później zaczęli ze sobą korespondować. Ileane pisała, że skończyła naukę maszynopisania oraz stenografii i podjęła pracę w magistracie. O wszystkim wyrażała się kpiąco i znacznie bardziej sarkastycznie niż w czasach szkolnych. Może jej się wydawało, że gdy trwa wojna, dobrze jest traktować różne sprawy z przymrużeniem oka. I na każdy temat wypowiadała się tonem znawcy. Kiedy do magistratu wpływały sprawy o zawarciu ślubu w trybie pilnym, używała nazwy Wojenne Dziewice. Kiedy opisywała przypadek pastora, który nocował u nich na probostwie, w pokoju gościnnym, wyraziła się, że może ich łóżko sprowadziło na niego Niezapomniane Sny.

Jackson pisał z kolei o tłumach na Île-de-France i ciągłej konieczności krycia się przed U-Bootami. Z Anglii relacjonował, że kupił sobie rower i zaczął jeździć na dłuższe wycieczki, by się przekonać, jak daleko może dotrzeć, nie łamiąc zakazów.

Chociaż skupiał się na rzeczach bardzo prozaicznych, podpisywał się zawsze „kochający Jackson”. Po lądowaniu w Normandii listy się urwały, co Ileane odebrała z najwyższym niepokojem, ale wkrótce znowu napisał, choć nie było mu wolno podawać szczegółów. W liście tym wspomniał też o małżeństwie, podobnie jak ona wcześniej.

W końcu zwycięstwo i wyjazd do domu. „Całe niebo rozbłysło wtedy gwiazdami”, napisał.

Ileane nauczyła się krawiectwa. Na powitanie swojego żołnierza szyła nową letnią sukienkę ze sztucznego jedwabiu, w limonowym odcieniu, z szerokim dołem i krótkimi rękawkami, tylko trochę zachodzącymi na ramiona, do której dobrała wąski złoty pasek ze sztucznej skóry. Kapelusz zamierzała przyozdobić wstążką z tego samego materiału.

„A piszę ci, w co będą ubrana, żebyś mnie rozpoznał i nie zwiął ze stacji z pierwszą ślicznotką, jaką spotkasz na peronie”.

Dostała od niego krótką wiadomość z Halifaksu, że przyjedzie wieczornym pociągami w sobotę. Dodał jeszcze, że doskonale ją pamięta i nie pomyli z żadną inną, nawet jeśli na stacji będzie się roić od kobiet.

Ostatniego wieczoru przed wojennym rozstaniem siedzieli na probostwie, a nad głowami mieli

portret króla Jerzego VI, który w tamtym czasie był niemal wszędzie. Pod obrazem słowa:

„I powiedziałem do tego, który stał u wrót czasu:

«Daj mi światło, bym bezpiecznie poszedł w nieznanie».

A on odpowiedział:

«Wyjdź w ciemność i podaj swą dłoń Bogu. Będzie to dla ciebie lepsze od światła i poczujesz się bezpieczniej, niż jakbyś wyruszał w to, co dobrze znane»”^[15].

Potem cichutko wymknęli się na górę i on położył się spać w pokoju gościnnym. To, że po chwili do niego dołączyła, musiało odbyć się za obopólną zgodą, ale może on nie do końca wiedział, po co to robiła.

To była zupełna katastrofa. Ale Ileana zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało. Im bardziej oczywista stawała się klęska, z tym większym uporem w nią brnęła. Nie potrafił jej powstrzymać. Jak to możliwe, żeby dziewczyna była aż tak nieświadoma? W końcu się rozstali, zachowując się, jakby wszystko poszło jak należy. A na drugi dzień przyszedł oficjalnie się pożegnać, w obecności jej ojca i braci. Wkrótce potem nastąpiła wymiana listów.

Kiedyś upił się w Southhampton i próbował jeszcze raz potwierdzić swoją męskość. Ale tamta kobieta powiedziała mu:

– Dość tego, chłopcze. Jesteś kompletna dętka.

Nie lubił, kiedy kobiety czy dziewczęta elegancko się ubierały. Rękawiczki, kapelusze, zwiewne sukienki, tyle się o tym mówi i taką wagę przykładają do tego niektórzy. Ale skąd ona miała o tym wiedzieć? Limonowy odcień. Nie umiał sobie tego koloru nawet wyobrazić. Nazwa kojarzyła mu się z czymś kwaśnym.

I wtedy przyszła mu do głowy zbawienna myśl, że przecież wystarczy zniknąć, po prostu się nie stawiać.

Czy Ileana w mówi wówczas sobie i znajomym, że widocznie pomyliła datę? Łatwo siebie przekonał, że ona z pewnością temu podola i znajdzie jakieś wiarygodne kłamstwo. No bo w końcu pomysłowa z niej dziewczyna.

Teraz, kiedy zniknęła na ulicy, Jackson czuje, że chciałby się z nią zobaczyć. Ale nie zdobędzie się na to, żeby zagadnąć właściciela o jej wygląd. Miała włosy ciemne czy siwe? Nadal była szczupła, a może przybrała na wadze? Jej głos, mimo zdenerwowania, brzmiał jak dawniej. Cała uwaga Jacksona skupiła się na jego muzycznej stronie oraz na wyraźnie słyszalnym smutku.

Przyjechała z daleka, ale zawsze była wytrwała. Tak ją oceniał.

A córka wróci. Jest zbyt rozpieszczona, żeby mogła dać sobie radę poza domem. Bo córka Ileana musi być rozpieszczona, nawykła do widzenia świata z własnego punktu widzenia, jakby inna perspektywa się nie liczyła.

Czy Ileana poznałaby go, gdyby się spotkali? Pewnie tak. Bez względu na to, jak się zmienił. I czyby mu wybaczyła? Natychmiast. Żeby nie zepsuć sobie dobrego wyobrażenia na swój własny temat. To cała ona.

Nazajutrz opuściło go poczucie swobody, które towarzyszyło mu od czasu wizyty Ileany. Skoro znała to miejsce, mogła tu w każdej chwili wrócić. Zamieszkać na kilka dni w Toronto, żeby pochodzić po mieście i sprawdzić wszystkie możliwe tropy. Z pokorą, choć może nie do końca szczerą, zadawać pytania przechodniom, błagalnym, ale i obliczonym na określony efekt głosem. Pojawiło się ryzyko, że natknie się na nią, ledwo zdąży zamknąć za sobą drzwi. I tylko na moment

ogarnie ją zdziwienie, jakby nigdy nie porzuciła pewności, że go odnajdzie. Bo przecież żywiła przeświadczenie, jak to ona, iż z każdą przeciwnością losu można sobie poradzić.

Mógł jednak jeszcze temu zapobiec, gdyby znalazł w sobie dość odwagi. Tak jak postąpił w dzieciństwie, gdy jako sześć- czy siedmiolatek poradził sobie z nieznośnym zachowaniem macochy, które jej wydawało się zabawą. Wybiegł wówczas nocą na ulicę i choć pozwolił, by go złapała, to jednak dał jej do zrozumienia, że jak nie odpuści, to naprawdę ucieknie z domu, i to już na dobre. Nie miała więc wyjścia i dała mu spokój. Powiedziała tylko, że on nie zna się na żartach, bo nigdy nie przyznałaby się głośno do tego, że ktoś może jej nienawidzić.

Trzy kolejne noce przespał jeszcze w Bonnie Dundee. Sporządził właścicielowi inwenturę wszystkich mieszkań, zaznaczając, kiedy przydałby się remont oraz jaki będzie jego koszt. Powiedział, że musi wyjechać, bo ma pewne zobowiązania. Nie próbował wyjaśniać, kogo one dotyczą ani dokąd zamierza się udać. Wypłacił z banku oszczędności i spakował swój skromny dobytek. Wieczorem, niemal nocą, wsiadł do pociągu.

Podczas podróży przysypiał i na powrót się budził, a w którymś momencie przypomniał sobie małych menonitów, przejeżdżających obok niego wozem. Miał wrażenie, że słyszy ich cichy śpiew.

Rano wysiadł w Kapuskasing. Owiąło go rześkie chłodne powietrze przesycone zapachem tartaku. Od razu poczuł się lepiej. Był pewien, że w miasteczku żyjącym z wyrębu lasu musi znaleźć się dla niego praca.

Nieopodal jeziora

Kobieta idzie do lekarki, aby prosić o przedłużenie terminu ważności recepty. Ale lekarki nie ma. W ten dzień akurat nie pracuje. Kobieta o tym zapomniała. Pomieszał jej się poniedziałek z wtorkiem.

W rzeczywistości to właśnie o tym chciała porozmawiać z panią doktor, niezależnie od recepty. Zaczyna się poważnie zastanawiać, czy z jej pamięcią nie dzieje się czasem coś złego. „Niech pani nie żartuje – spodziewała się usłyszeć. – Jakie tam luki w pamięci. Komu jak komu, ale pani to z pewnością nie grozi”.

(I nie w tym rzecz, że lekarka tak świetnie ją zna, po prostu mają wspólnych znajomych).

Tak czy inaczej dzień później dzwoni do niej asystentka lekarki, żeby powiedzieć jej, iż recepta jest gotowa do odbioru i pani doktor umówiła ją – Nancy – na wizytę u specjalisty w dziedzinie zaburzeń pracy mózgu.

Jakie tam zaburzenia. Zwykle kłopoty z pamięcią.

Mniejsza z tym. W każdym razie ten specjalista zajmuje się problemami ludzi starszych.

Rzeczywiście. Problemami ludzi starszych, którym odjęło rozum.

Dziewczyna się śmieje. Nareszcie ktoś się śmieje.

Asystentka informuje, że gabinet specjalisty jest w miasteczku o nazwie Hymen, położonym około dwudziestu mil od miejsca zamieszkania Nancy.

– O mój Boże, a więc to specjalista od spraw małżeńskich – żartuje pacjentka, nawiązując do nazwy miasteczka.

Dziewczyna nie chwyta aluzji i przeprasza, że nie rozumie.

– Nieważne, na pewno się u niego stawię.

W ciągu ostatnich kilku lat zaszło wiele zmian, jeśli chodzi o specjalistów. Chcąc do nich dotrzeć, trzeba się bezustannie przemieszczać. Badanie tomograficzne głowy robi się w jednej miejscowości, onkolog przyjmuje w innej, pulmonolog jeszcze gdzie indziej itd. Chodziło o to, by odciążyć szpital miejski i by pacjenci nie musieli długo czekać w kolejkach, ale jeżdżenie do lekarzy zajmuje tyle samo czasu, ponieważ nie w każdym miasteczku jest szpital i czasami trudno dociec, gdzie przyjmuje dany specjalista.

To właśnie z tego powodu Nancy decyduje się udać do Specjalisty od Staruszków – jak go sobie nazwała – wieczorem poprzedzającego dnia, przed datą umówionej wizyty. Dzięki temu powinna mieć wystarczająco dużo czasu, by spokojnie ustalić, gdzie ów lekarz przyjmuje. Nie chciałaby przyjechać nazajutrz zdenerwowana, albo wręcz się spóźnić i od początku wyrzucić złe wrażenie.

Wprawdzie mogła poprosić męża, by jej towarzyszył, ale wie, że on chce obejrzeć w telewizji mecz piłki nożnej. Jest ekonomistą, który przez pół nocy ogląda sport, a przez drugie pół pracuje nad swoją książką, chociaż jej każe mówić znajomym, że zupełnie zarzucił pracę zawodową.

Zapewnia go, że sama sobie poradzi. Asystentka lekarki podała jej dokładne wskazówki, jak jechać.

Wieczór jest piękny. Ale kiedy Nancy zjeżdża z autostrady, kierując się na zachód, widzi, że

słońce jest już nisko i będzie świecić jej prosto w twarz. Jeśli jednak wyprostuje się i uniesie brodę, to jej oczy znajdą się w cieniu. A poza tym ma dobre okulary przeciwsłoneczne. Mimo oślepiającego blasku potrafi przeczytać, co jest napisane na znaku. „Highman, osiem mil”.

A więc Highman, a nie Hymen, jak początkowo sądziła. To nie żart. Oba słowa brzmią tak samo, tylko pisownia jest inna. „Liczba mieszkańców 1553”. Tę trójkę na końcu to już mogli sobie darować.

Widocznie każda dusza się liczy.

Ma zwyczaj przyglądania się różnym małym miejscowościom, ot tak, dla zabawy. Sprawdza, czy mogłaby w którejś zamieszkać. Ta wydaje się odpowiednia. Spory rynek, gdzie można nabyć dość świeże warzywa, choć raczej nie pochodzą z okolicznych pól, poza tym – dobra kawa. Oprócz tego pralnia samoobsługowa i nieźle zaopatrzona apteka, w której bez wątpienia zrealizuje się receptę, chociaż nie sprzedają tam czasopism z wyższej półki.

Oczywiście jest wiele znaków wskazujących na to, że kiedyś w miasteczku żyło się lepiej. Na jednej z wystaw sklepowych w centralnym miejscu umieszczono zegar, który przestał chodzić. Można by się tu spodziewać ekskluzywnej biżuterii, ale zamiast niej jest pełno tandetnych starych naczyń porcelanowych i glinianych, wiaderek i wieńców osadzonych na skręconych drutach.

Bezwiednie zaczyna przyglądać się rupieciom wystawionym w oknie, bo akurat przed tym sklepem zaparkowała. Przychodzi jej na myśl, że właściwie rozsądnie będzie poszukać doktora, idąc pieszo. I niemal natychmiast, zbyt szybko, żeby poczuć z tego powodu jakąkolwiek satysfakcję, dostrzega parterowy budynek z ciemnej cegły, przykład funkcjonalizmu z ubiegłego stulecia, i gotowa jest się założyć, że to właśnie tu. W małych miastach lekarze często przyjmują pacjentów we własnych domach, gdzie oprócz części mieszkalnej mają również wydzielone pomieszczenie na gabinet. W tej sytuacji należy też zapewnić pacjentom miejsca parkingowe i zwykle w pobliżu takie powstają. Podobnie było i w tym wypadku. Rudobrazowe cegły, a z przodu oczywiście wielki napis: „Praktyka lekarska/Praktyka stomatologiczna. Parking na tyłach budynku”.

Wyciąga z kieszeni kawałek papieru z nazwiskiem specjalisty. Na drzwiach z matowego szkła umieszczone są dwie tabliczki: „Dr H.W. Forsyth, dentysta” i „Dr D. McMillen, lekarz”.

Na kartce Nancy nie ma takich nazwisk. I nic dziwnego. Okazuje się, że widnieje na niej jedynie numer. Rozmiar buta siostry męża, która już nie żyje: O 7½. Dopiero po chwili przypomina sobie, że „O” oznacza Oliwię. Napisała tylko samo „O”, bo notowała w pośpiechu. Przypomina sobie bardzo mgliście, że kupowała jej pantofle, gdy szwagierka przebywała w szpitalu.

Kartka tak czy owak do niczego już się nie przyda.

Możliwe, że specjalista, do którego ma umówioną wizytę, dopiero niedawno się tu wprowadził i tabliczka jeszcze nie została wymieniona. Najlepiej będzie kogoś o to zapytać. Najpierw powinna chyba zadzwonić, bo może ktoś mimo późnej pory jeszcze tam pracuje. Robi to, i właściwie dobrze, że nikt nie otwiera, bo nazwisko specjalisty, z którym ma się nazajutrz spotkać, chwilowo wyleciało jej z pamięci.

Przychodzi jej do głowy kolejna myśl. Prawdopodobnie ten specjalista – Doktor od Czubków, jak go sobie teraz nazwała – całkiem możliwe, że on (albo ona – jak większość osób w jej wieku bierze taką możliwość pod uwagę dopiero po chwili namysłu) przyjmuje jednak pacjentów gdzieś poza domem. To wydaje się całkiem sensowne i może nawet tańsze. W końcu do leczenia czubków nie potrzeba kupować jakiejś wielkiej aparatury.

Dlatego skręca w bok z głównej ulicy i idzie dalej. Teraz, gdy napięcie już minęło, przypomina sobie nazwisko specjalisty, ale za późno, jak to się często zdarza w takich razach. Większość

domów, obok których przechodzi, została zbudowana w dziewiętnastym wieku. Niektóre z nich są drewniane, inne z cegieł. Te ceglane, dwukondygnacyjne, mają normalne, wysokie sufity. Drewniane domy są jakby skromniejsze. Parter i do tego poddasze ze skosami. Niektóre drzwi frontowe oddziela od chodnika zaledwie kilka kroków. Inne wychodzą na obszerne werandy, niekiedy przeszklone. Jeszcze sto lat temu, w wieczory takie jak ten, zarówno gospodynie, które skończyły zmywać naczynia i zamiotły kuchnię po raz ostatni danego dnia, jak i mężczyźni, którzy pozwijali węże ogrodowe po podlaniu trawników, siadywali na werandach albo na schodkach prowadzących do domów. Nie widywało się pustych mebli ogrodowych, ustawionych tylko na pokaz, jak to się zdarza dziś. Dawniej do siedzenia służyły drewniane stopnie albo wytaszczone z kuchni krzesła. Rozmowy skupiały się głównie na pogodzie, koniu, który uciekł, albo jakiejś osobie, która położyła się do łóżka bez nadziei, że kiedykolwiek odzyska zdrowie. Pewnie rozmawialiby także o niej, gdyby odeszła już na bezpieczną odległość i nie mogła ich usłyszeć.

A może do tego czasu zdążyłaby już zaspokoić ich ciekawość, zatrzymując się i pytając o lekarza. „Przepraszam, gdzie przyjmuje doktor?”

Mieliby nowy temat do rozmowy. Ciekawe dlaczego ona idzie do lekarza? (Oczywiście dopiero wtedy, gdy byliby już pewni, że ich nie usłyszy).

Teraz wszyscy siedzą w domach przy włączonych wiatrakach albo klimatyzacji. Domy mają numery tak jak w mieście. Ani śladu lekarza.

W miejscu gdzie kończy się chodnik, stoi wielki ceglany budynek ze ścianami szczytowymi i wieżą zegarową. Może to szkoła, która pozostała z czasów, kiedy dzieci nie były dowożone autobusami do większych i jeszcze bardziej nudnych ośrodków edukacji. Wskazówki zatrzymały się na godzinie dwunastej w południe, a może o północy, i oczywiście nie jest to czas prawidłowy. Wokół bogactwo letnich kwiatów, które, jak się wydaje, posadzono bardzo profesjonalnie. Niektóre wysypują się kaskadowo z dekoracyjnych tacek, a inne, kwitnące jeszcze obficie, ze stojącego obok naczynia na mleko. Na budynku jest coś napisane, ale ona nie widzi, bo słońce świeci prosto na tablicę. Nancy wchodzi na trawnik, żeby popatrzeć na napis pod innym kątem.

„Zakład pogrzebowy”. Teraz dostrzega dobudowany garaż, w którym najprawdopodobniej umieszczono karawan.

Nieważne. Lepiej, żeby zajęła się z powrotem tym, co trzeba.

Skreca w boczną uliczkę, gdzie domy są naprawdę dobrze utrzymane, co jest żywym dowodem na to, że nawet miasteczko tej wielkości może mieć swoje bogate przedmieście. Zabudowania różnią się nieznacznie od siebie, ale nie wiadomo czemu wszystkie wydają się takie same. Delikatnie zabarwiony kamień albo jasna cegła, okna zwieńczone łukiem półkolistym lub ostrym, ani śladu funkcjonalizmu, powrót do parterowych domów w stylu rancza z minionych dekad.

Tutaj widać wreszcie ludzi. Nie wszyscy zamknęli się w klimatyzowanych pokojach. Jakiś chłopiec jedzie rowerem po chodniku, cały czas zakosami. Dosyć dziwnie to wygląda i początkowo Nancy nie wie dlaczego.

Wszystko jasne. Dziecko jedzie tyłem. Jego kurtka trzepotała na wietrze i dlatego nie można było – albo też ona nie potrafiła – określić, co jest nie w porządku.

Jakaś kobieta – chyba za stara na matkę chłopca, a jednocześnie zadbana i pełna energii – stoi na ulicy i obserwuje młodego rowerzystę. W rękę trzyma skakankę i rozmawia z mężczyzną, który raczej nie wygląda na jej męża, bo odnoszą się do siebie zbyt serdecznie.

Ulica biegnie po łuku i prowadzi donikąd.

Nancy przerywa dwójce dorosłych rozmowę, przeprosza i usprawiedliwia się. Mówi, że szuka lekarza.

– Nie, zupełnie nie ma powodów do niepokoju – dodaje zaraz. – Chodzi mi tylko o adres. Liczyłam, że może państwo go znacie.

Potem powraca ten sam problem – Nancy uświadamia sobie, że nadal nie jest pewna nazwiska lekarza. Ludzie, których zagadnęła, są zbyt grzeczni, żeby okazywać jakiegokolwiek zdziwienie, ale nie potrafią jej pomóc.

Chłopiec dalej wykonuje szalone ewolucje na rowerze i pewnie z przekory, mijając ich, omal ich nie potrąca.

Śmiech. Żadnej reprimendy. Rozwydrzone chłopaczysko, a oni wydają się nim szczerze zachwyceni. Wymieniają uwagi na temat piękna wieczoru. Nancy zawraca i idzie tą samą drogą, którą przyszła.

Tyle że nie przemierza jej całej. Nie dochodzi nawet do zakładu pogrzebowego. Widzi przecznicę, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi, uznając zapewne, że niemożliwe, by mógł tam mieszkać doktor.

Nie ma chodnika, a wokół domów leżą śmieci i różne rupiecie. Dwóch mężczyzn nachyla się nad maską ciężarówki i Nancy dochodzi do wniosku, że lepiej będzie im nie przeszkadzać. A poza tym w oddali ujrzała coś, co wzbudziło jej zainteresowanie.

Widzi żywopłot, który dochodzi do samej ulicy. Jest na tyle wysoki, że nie ma szans, by zobaczyć cokolwiek ponad nim, ale ona liczy, iż może uda jej się coś dojrzeć między gałązkami.

Nie ma takiej potrzeby. Kiedy przechodzi obok żywopłotu, odkrywa, że parcela – czterokrotnie większa niż działki, jakie zazwyczaj widuje się w miastach – jest dostępna od strony drogi. Teren przypomina nieco park, w którym regularnie koszoną, bujną trawę przycinają brukowane ścieżki. Pomiedzy nimi, a także na trawniku wyrastają łany kwiatów. Niektóre z nich poznaje, na przykład ciemnożółte i jasnożółte margerytki, floksy w kolorze jaskrawego i bladego różu, a także białe, z czerwonymi środeczkami. Niestety nie zna się na ogrodnictwie na tyle dobrze, żeby umieć nazwać wszystkie kwiaty, mieniące się feerią barw, posadzone w kępach albo płożące się po ziemi. Część roślin pnie się po treliach, a inne rosną zupełnie swobodnie. Wszystko zostało zaprojektowane bardzo pomysłowo i bez zadęcia. Nie przytłacza nawet fontanna, wystrzelająca na mniej więcej siedem stóp w górę i opadająca do wyłożonej kamieniem sadzawki. Nancy schodzi z drogi i zmierza w stronę wodotrysku, pragnąc się trochę ochłodzić. W pobliżu dostrzega ławkę z kutego żelaza, na której może przysiąść.

Jedną ze ścieżek nadchodzi jakiś mężczyzna, w rękach trzyma sekator. Najwidoczniej ogrodnicy pracują tu do późna. Chociaż, szczerze mówiąc, człowiek ten nie wygląda na wynajętego robotnika. Jest wysoki, ubrany w czarną koszulę i obcisłe spodnie.

Nie przychodzi jej do głowy nic innego jak to, że dotarła do jakiegoś parku miejskiego.

– Pięknie tutaj – zwraca się do nieznajomego, starając się mówić pewnym i sympatycznym głosem. – Utrzymuje pan wszystko w najlepszym porządku.

– Dziękuję – odpowiada mężczyzna. – Może pani tu sobie odpocząć.

Oschły ton uświadamia jej, że to jednak nie jest park, tylko prywatna posiadłość, a rzekomy ogrodnik to w rzeczywistości właściciel posesji.

– Powinam poprosić pana o zgodę.

– Wszystko jest okej.

Mężczyznę pochłania praca. Pochylony, przycina roślinę, która zarasta ścieżkę.

– To należy do pana, tak? Całość?

– Tak, całość – odpowiada mężczyzna dopiero po chwili, gdy już uporał się z chwastem.

– Powinam się domyślić. Ten niezwykły ogród jest za bardzo fantazyjny jak na park publiczny.

Brak odpowiedzi. Nancy ma ochotę zapytać, czy lubi przesiadywać tu sam, wieczorami. Ale może lepiej dać spokój. Właściciel ogrodu nie wydaje się zbyt przystępny. I pewnie jeszcze się tym szczyli. Za chwilę podziękuje mu i pójdzie sobie.

Tymczasem po chwili nieznajomy się do niej przysiada. Mówi, jakby odpowiadał na pytanie.

– Prawdę rzekłszy, dobrze czuję się tylko wtedy, gdy jestem czymś zajęty – stwierdza. – Gdy siadam, staram się na nic nie patrzeć, bo zaraz wynajduję jakąś robotę.

Powinna od razu się domyślić, że ma do czynienia z kimś, kto nie lubi żartów. Ale nadal jest ciekawa.

– Co było tutaj wcześniej, zanim powstał ten ogród?

– Fabryka włókiennicza. We wszystkich miasteczkach działały podobne zakłady; w tamtym okresie jeszcze można było bezkarnie płacić ludziom głodowe stawki. Ale z czasem te małe firmy upadły. Wtedy pojawił się przedsiębiorca, który planował stworzyć tutaj dom opieki. Jednak wynikły jakieś trudności, miasto nie chciało dać mu zezwolenia, bo uważano, że wkoło będzie zbyt wielu starych ludzi, co mogłoby działać przygnębiająco na pozostałych mieszkańców. Wówczas przedsiębiorca podpalił budynek albo kazał go zburzyć, nie wiem.

Właściciel posesji na pewno nie jest z tych stron. Nawet ona wie, że gdyby był miejscowy, nigdy nie mówiłby w tak otwarty sposób.

– Nie pochodzę stąd – rzuca mężczyzna, jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń. – Ale miałem przyjaciela, który tu mieszkał. Kiedy zmarł, przyjechałem jedynie po to, żeby uregulować jego sprawy. Potem pojawiła się okazja, bo właściciel, ów przedsiębiorca, o którym wspominałem, doprowadził do tego, że z budynku pozostała tylko dziura w ziemi, i wszystko wyglądało okropnie. Dlatego posesja została wystawiona tanio na sprzedaż.

– Przepraszam, jeśli wydaję się wścibska.

– Proszę się nie krępować. Gdy nie mam ochoty o czymś mówić, po prostu tego nie robię.

– Nigdy wcześniej tu nie byłam. Z całą pewnością nie, bo zwróciłabym uwagę na to miejsce. Przechodziłam tędy, bo czegoś szukam. Pomyślałam, że szybciej uda mi się trafić do celu, jeśli zaparkuję gdzieś samochód i dalej pójde pieszko. Właściwie to chodzi mi o lekarza.

Wyjaśnia właścicielowi posesji, że nie jest chora, tylko nazajutrz ma umówioną wizytę i nie chciałaby rano niepotrzebnie tracić czasu na jałowe poszukiwania. Potem opowiada o tym, jak zaparkowała samochód i ku swojemu zaskoczeniu nigdzie, na żadnej tablicy, nie znalazła nazwiska lekarza.

– Nie mogłam przecież zajrzeć do książki telefonicznej, bo jak pan dobrze wie, zarówno książki telefoniczne, jak i budki zniknęły. Albo mają powyrywane kartki. Ale zdaje się, że zaczynam mówić głupstwa.

Podaje mu nazwisko specjalisty, ale mężczyzna stwierdza, że nigdy o nim nie słyszał.

– Ja nie chodzę do doktorów.

– I chyba dobrze pan robi.

– No nie wiem, nie byłbym taki pewny.

– Tak czy inaczej powinienam wrócić do samochodu.

Gdy Nancy wstaje, mężczyzna również się podnosi i mówi, że ją odprowadzi.

– Żeby się nie zgubiła?

– Niezupełnie. O tej porze wieczorami zawsze staram się rozprostować trochę nogi. Praca w ogrodzie może wywoływać skurcze mięśni.

– Jestem pewna, że te kłopoty z ustaleniem miejsca zamieszkania doktora da się w jakiś sposób wytłumaczyć. Myśli pan, że kiedyś łatwiej było znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla wielu spraw?

Mężczyzna nie odpowiada. Możliwe, że myśli o przyjacielu. A może ten ogród to rodzaj pomnika, który ma zmarłego upamiętnić?

To jego milczenie nie wywołuje w niej zakłopotania, raczej poczucie rzeźkości i spokoju – zwykła przerwa w rozmowie.

Idą, nie spotykając po drodze żywej duszy.

Wkrótce docierają do głównej ulicy, za kolejną przecznicą jest już znajomy budynek z gabinetami lekarskimi, w którym była. Widok ten sprawia, że nagle znowu czuje się nieswojo i nie rozumie dlaczego, ale po chwili już wie. Przychodzi jej do głowy absurdalna, lecz alarmująca myśl. A jeśli nazwisko specjalisty, którego szukała i nie mogła znaleźć, jednak tam jest, a ona je po prostu przeoczyła? Idzie szybciej, czuje, że zaczyna drżeć, i zaraz potem, ponieważ ma dobry wzrok, może przeczytać – ale nie, wciąż są to te same dwa nieprzydatne dla niej nazwiska lekarzy, które widziała poprzednio.

Udawiała, że przyspieszyła kroku, bo chciała obejrzeć wystawę: lalki z porcelanowymi głowami, stare łyżwy, nocniki i mocno już sfatygowane kołdry.

– To smutne – stwierdza.

Idą dalej i po drodze mijają dwóch młodych mężczyzn okupujących chodnik. Jeden z nich siedzi z wyprostowanymi nogami, więc muszą zatoczyć koło. Właściciel ogrodu nie zwraca na nich specjalnej uwagi, ale ścisza głos. Mówi, że właśnie coś przyszło mu do głowy.

– Ten doktor...

– Tak?

– Zastanawiam się... może on przyjmuje w domu opieki.

– W domu opieki? – pyta Nancy.

– Jeśli wjechała pani do miasta od strony autostrady, nie mogła go pani widzieć. Ale gdyby wyjeżdżając, pojechała pani dalej prosto, w stronę jeziora, minęłaby go pani po drodze. Stoi nie dalej jak pół mili za rogatkami. Przejedzie pani obok hałdy żwiru usypanej przy południowej stronie drogi i tylko nieco dalej, prawie naprzeciwko, zobaczy pani ten dom. Nie wiem, czy jakiś doktor mieszka i pracuje u nich na stałe, ale wydaje się to wielce prawdopodobne.

– Rzeczywiście – odpowiada Nancy. – Wielce prawdopodobne.

Po chwili rozważa, czy mężczyzna nie poczuł się dotknięty, że powtórzyła jego słowa, i nie pomyśli, że to jakaś uszczypliwość z jej strony, głupawy żarcik. Chciałaby porozmawiać z nim dłużej, mniejsza o żarciki.

Ale oto pojawia się kolejny problem – nie może sobie przypomnieć, gdzie włożyła klucze, jak to jej się często zdarza przy wsiadaniu do samochodu. Wiecznie musi się zamartwiać, czy nie zatrzasnęła kluczy w środku albo nie wiadomo gdzie je upuściła. Czuje, że narasta w niej panika, irytujące, doskonale znane uczucie. Na szczęście znajduje kluczyki, ma je w kieszeni.

– Może warto tam się udać – mówi mężczyzna, a ona się z nim zgadza.

Bez problemu zjedzie z drogi, tam jest sporo miejsca i można się rozejrzeć. Jeśli ten doktor

przyjmuje w ośrodku regularnie, to pewnie nie uznał za konieczne, albo nie uznała, bo przecież równie dobrze to może być kobieta, umieszczać swojego nazwiska także na tablicy w mieście.

Mężczyzna nie wydaje się zbyt spieszyc, jakby chciał jeszcze chwilę porozmawiać.

– Muszę panu podziękować.

– To tylko przeczucie, ale kto wie, może trop jest właściwy.

Przytrzymuje drzwi, gdy ona wsiada do samochodu, a potem zamyka je. Czeka, aż nawróci i pojedzie we właściwym kierunku. Macha ręką na pożegnanie.

Gdy jest już na drodze wyjazdowej z miasta, dostrzega go jeszcze przez moment w lusterku wstecznym. Pochyla się nad młodymi mężczyznami siedzącymi na chodniku z plecami opartymi o ścianę sklepu. Kiedy wcześniej przechodzili obok nich, nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, więc zdumiała się, widząc, że teraz z nimi rozmawia.

Może dzieli się uwagami na jej temat, rzuca jakiś żart na temat tego, że jest roztargniona czy może mało rozgarnięta. Albo też po prostu stara. Przyczepia jej łatkę – jaki miły.

Wcześniej myślała, że wróci drogą prowadzącą przez miasteczko, wtedy będzie miała okazję znów mu podziękować i powiedzieć, czy udało jej się znaleźć lekarza, którego tak długo szukała. Mogłaby po prostu zwolnić, roześmiać się i zawołać do niego przez okno.

Ale teraz dochodzi do wniosku, że pojedzie jednak drogą wokół jeziora i nie będzie zawracać mu głowy.

Musi przestać o nim myśleć. W oddali widzi hałdę żwiru, powinna bardziej skupić się na drodze.

Wszystko jest tak, jak powiedział. Tablica. Napis informujący, że w budynku mieści się dom opieki, z widokiem na jezioro. I rzeczywiście w oddali je widać – bładoniebieski pasek na linii horyzontu.

Przestronny parking. Długie skrzydło podzielone na segmenty albo sporej wielkości pokoje z odrębnymi ogródkami lub miejscami do siedzenia. Metalowe ogrodzenie w formie kraty przed każdym z nich, dosyć wysokie, może po to, by zapewnić prywatność, a może ze względów bezpieczeństwa. Tylko że nie widać, aby teraz ktoś tam siedział.

Ale nie ma się czemu dziwić. Przecież w takich ośrodkach wcześniej obowiązuje cisza nocna.

Podoba jej się pomysł z metalowym ogrodzeniem, bo ozdobna krata przydaje fantazji i tajemniczości. Budynki publiczne bardzo się zmieniły w ostatnich kilku latach, podobnie zresztą jak prywatne. Te z czasów jej młodości – surowe w formie i pozbawione uroku, bo tylko takie wówczas stawiano – zniknęły.

Teraz parkuje przed wejściem, nad którym wznosi się wielka, jasna kopuła – wrażenie nadmiaru nie przytłacza, lecz budzi radość i optymizm, zachęca do wejścia. Pewnie niektórym ta kopuła wydałaby się czymś nierealnym, ale czy nie za tym właśnie tęsknimy? Mnóstwo szkła, a więc i światła, z pewnością dobrze nastraja ludzi starszych, a może nawet niekoniecznie starszych, lecz po prostu nieprzystosowanych, z problemami.

Gdy podchodzi do wejścia, szuka jakiegoś przycisku lub dzwonka. Ale drzwi otwierają się samoczynnie. Wewnątrz wrażenie przestrzeni i strzelistości jeszcze się nasila, a szkło zyskuje niebieskawy odcień. Cała podłoga wyłożona jest srebrzystymi kafelkami, takimi, na których lubią ślizgać się dzieci. Przez chwilę wyobraża sobie pacjentów ośrodka również ślizgających się po nich dla przyjemności i ta wizja budzi w niej poczucie beztraski. Naturalnie posadzka z całą pewnością nie może być tak śliska, na jaką wygląda, bo przecież nikt nie chce, żeby ktoś się na niej przewrócił.

Nigdy nie odważyłabym się sama spróbować – mówi do kogoś w swojej głowie, może do męża. – Takie zachowanie byłoby uznane za niedopuszczalne. No i mogłabym się natknąć na doktora, tego,

który ma stwierdzić, czy jestem osobą zrównoważoną psychicznie. I co by wówczas musiał orzec?

W tej chwili jednak w zasięgu wzroku nie ma żadnego lekarza.

No ale skąd miałby się tu niby wziąć? Lekarze nie przesiadują przy biurkach i nie wyczekują na pacjentów.

A ona nie przyszła tutaj nawet na konsultację. Znowu będzie musiała wyjaśniać, że chciała się tylko upewnić co do czasu i miejsca jutrzejszej wizyty. Świadomość ta sprawia, że czuje się dosyć zmęczona.

W holu stoi biurko o zaokrąglonym blacie, sięgające mniej więcej do wysokości talii, zrobione z ciemnych paneli, które wyglądają jak mahoń, chociaż prawdopodobnie tylko go udają. Teraz jednak nikt za nim nie siedzi. Naturalnie musi być już dawno po godzinach przyjęć. Szuka dzwonka, ale nie znajduje. Potem sprawdza, czy jest tam może wyłożona jakaś lista lekarzy albo tabliczka z nazwiskiem kierującego ośrodkiem. Niczego takiego nie ma. A wydawałoby się rzeczą całkiem naturalną, że w miejscu takim jak to zawsze zostanie się kogoś z personelu, bez względu na porę dnia. Ktoś powinien przecież pełnić dyżur.

Ani na biurku, ani w pobliżu nie widać też żadnego typowego dla takich miejsc sprzętu. Nie ma komputera, telefonu, stosu papierzyk, nawet kolorowych przycisków. Oczywiście Nancy nie wie, co kryje się bezpośrednio za biurkiem: może tam być jakiś schowek, przegródki, których ona nie dostrzega, albo guziki, do których może sięgnąć recepcjonistka, ale nie pacjent.

Na moment Nancy przestaje interesować się biurkiem, za to uważniej lustruje całe pomieszczenie, w którym się znalazła. Hol ma formę sześcioboku. Są tam cztery pary drzwi umieszczone w pewnej odległości od siebie – wielkie frontowe, które wpuszczają do wnętrza zarówno światło, jak i osoby odwiedzające ośrodek; kolejne znajdują się za biurkiem, wyglądają na służbowe i są dostępne tylko dla personelu; następne dwa wejścia – zupełnie takie same i umieszczone naprzeciwko siebie – najprawdopodobniej prowadzą do obu wydłużonych skrzydeł budynku, którymi biegną korytarze z pokojami pensjonariuszy. Górna część tych drzwi jest przeszklona, a szyba wydaje się na tyle przezroczysta, że każdy może przez nią zobaczyć, co znajduje się dalej, w głębi.

Podchodzi do jednych z dwójga drzwi, które wydały jej się najbardziej dostępne, i puka, a potem próbuje przekręcić gałkę, ale ona ani drgnie. Zamknięte. Okazuje się, że szyba nie jest jednak przezroczysta, i starsza pani niewiele przez nią widzi. Obraz jest nieostry i zniekształcony.

Z drzwiami naprzeciwko jest ten sam problem.

Stukanie jej butów na posadzce, zdradzieckie szyby, całkowita bezużyteczność wypolerowanych gałek – to wszystko wywołuje w niej uczucie zniechęcenia, większe, niż byłaby skłonna przyznać.

Mimo wszystko się nie poddaje. Jeszcze raz próbuje uchylić drzwi, w tej samej kolejności. Usiłuje mocniej przekręcać gałki, na tyle, na ile starcza jej sił. Woła:

– Halo?! Jest tam kto?! – Głos z początku brzmi nieco trywialnie i niezbyt mądrze, a potem wydaje się przepełniony goryczą, wciąż jednak jest tak samo pozbawiony nadziei.

Przeciska się za biurko i wali rozpaczliwie do drzwi, chociaż właściwie w ogóle nie liczy, że ktoś jej otworzy. Te nawet nie mają gałki, tylko dziurkę od klucza.

Nie pozostaje jej nic innego jak opuścić to miejsce i wrócić do domu.

Wszystko tutaj zostało tak zaprojektowane, by wewnątrz wydawało się jasne, radosne i eleganckie, myśli, ale nie widać, żeby ktoś choćby udawał, że troszczy się o pacjenta. Naturalnie pakują swoich podopiecznych, pensjonariuszy, czy jak ich tam zwać, możliwie wcześniej do łóżek – ich polityka jest dokładnie taka sama jak w każdym innym ośrodku tego typu, bez względu na to, jak luksusowy jest jego wystrój.

Wciąż się nad tym zastanawiając, próbuje otworzyć drzwi wejściowe. Są zbyt ciężkie. Pcha jeszcze raz.

Potem znowu. Ani drgną.

Widzi stojące na zewnątrz donice z kwiatami, jakiś samochód przejeżdżający drogą. Łagodne wieczorne światło.

Musi odpocząć i pomyśleć.

W holu nie palą się żadne lampy. Za chwilę wszystko ogarnie mrok. Pomimo że na dworze wciąż jeszcze jest dosyć jasno, powoli zaczyna zapadać zmierzch. Nikt już nie przyjdzie, wszyscy skończyli pracę albo przynajmniej to, co mieli do zrobienia w tej części budynku. Gdziekolwiek teraz się przenieśli, z pewnością zostaną tam do rana.

Otwiera usta, bo chce znów zawołać, ale wygląda na to, że nie może wydobyć głosu. Drży na całym ciele i bez względu na to, jak bardzo się stara, nie jest w stanie nabrać powietrza. Jakby coś utknęło jej w gardle. Dusi się. Wie, że powinna zachowywać się inaczej, a nawet więcej – myśleć inaczej. Spokój. Całkowity spokój. Głęboki oddech. I jeszcze raz.

Nie wie, jak długo trwał atak paniki. Jej serce wali jak oszalałe, ale ona czuje się już prawie bezpieczna.

Jest przy niej kobieta o imieniu Sandy. Tak ma napisane, zdaje się, na broszce, którą nosi, ale Nancy i bez tego wie, jak ona się nazywa.

– I co mamy z panią zrobić? – pyta Sandy. – Chcemy tylko przebrać panią w koszulę nocną. A pani zachowuje się jak kurczak, który trzęsie się ze strachu, że go zjedzą na obiad. Coś musiało się pani śnić. Co to było?

– Nic takiego – mówi Nancy. – To się działo dawno, wtedy kiedy żył mój mąż, a ja wciąż jeszcze prowadziłam samochód.

– Ma pani ładny samochód?

– Volvo.

– No proszę! Jaka pamięć! Naprawdę doskonała.

Dolly

Tamtej jesieni rozmawialiśmy trochę o śmierci. Naszej śmierci. Franklin miał wtedy osiemdziesiąt trzy lata, ja siedemdziesiąt jeden, nic więc dziwnego, że postanowiliśmy omówić plany uroczystości żałobnych (darujmy to sobie) i pogrzebów (tylko bez udiwnień) na wykupionych już miejscach. Wykluczaliśmy kremację, jakże powszechną wśród naszych przyjaciół. Tylko o samym umieraniu nie dyskutowaliśmy, może poza krótką wzmianką.

Pewnego dnia wybraliśmy się w podróż po okolicy i napotkaliśmy nieznaną nam wcześniej drogę. Drzewa – klony, dęby i inne gatunki – ponownie zarastały wykarczowaną polanę i osiągnęły już całkiem imponujące rozmiary. Kiedyś były tu osady, domy, stodoły i pastwiska. Ale wszystko zniknęło bez śladu. Droga była nieutwardzona, choć uczęszczana. Wyglądało na to, że każdego dnia przejeżdża tamtędy kilka pojazdów. Może ciężarówki robią sobie skrót.

– To ważne – zauważył Franklin. – Nie chcielibyśmy, żeby nas odnaleziono dopiero po kilku dniach czy po tygodniu. Nie chcielibyśmy też opuszczać samochodu, żeby policjanci musieli potem szukać po zaroślach resztek naszych ciał, ocalałych z ucztę kojotów.

Również i dzień nie powinien być zbyt melancholijny. Żadnego tam deszczu, czy wczesnego śniegu. Liście przebarwione, ale jeszcze w większości na drzewach. Pokryte złotem jak tamtego właśnie dnia. Ale może lepiej, żeby słońce tak nie świeciło, bo moglibyśmy czuć się winni, że zepsuliśmy taki piękny słoneczny dzień.

Nie byliśmy jednomyślni co do listu. To znaczy w sprawie postanowienia, czy w ogóle go pisać. Ja byłam zdania, że ludziom należą się jakieś wyjaśnienia. Powinni wiedzieć, że nie stanęliśmy przed wyzwaniem nieuleczalnej choroby, falą bólu, który mógłby uniemożliwić nam godne życie. Powinni zrozumieć, że decyzję podjęliśmy, mając jasny umysł i można by nawet rzec – z lekkim sercem.

Po prostu odejść, kiedy jeszcze można uczynić to z godnością.

Ale nie. Wycofałam się z tego. Takie odejście bez wyjaśnienia to byłaby nonszalancja. Nawet impertynencja.

Franklin uważał, że wszelkie tłumaczenie się jest zniewagą, nie tyle dla innych, ile dla nas. Wprawdzie sami decydujemy o sobie, ale jesteśmy razem i należymy do siebie. A z jego punktu widzenia usprawiedliwianie się byłoby formą uzalania się nad sobą.

Rozumiałam tok jego myślenia, ale w kwestii listu obstawałam przy swoim.

I ten właśnie fakt – brak porozumienia – był według niego dowodem na to, że z całego pomysłu należało zrezygnować.

Doszedł do wniosku, że jest nonsensowny. Jemu może by odpowiadał, ale ja byłam jeszcze na to za młoda. Uznał, że wrócimy do sprawy, gdy skończę siedemdziesiąt pięć lat.

Ja dodałam, że mnie najbardziej w naszym planie przeszkadza założenie, iż w naszym życiu nic się już nie wydarzy. Nic ważnego, nic, z czym trzeba by się zmierzyć.

– Przecież właśnie doszło do konfrontacji między nami – powiedział. – Więc czego jeszcze chcesz?

– To nie była prawdziwa sprzeczka, rozmawialiśmy zbyt uprzejmie – odparłam.

Nie czuję się młodsza od Franklina, może tylko wtedy, gdy rozmowa schodzi na temat wojny – drugiej wojny światowej – a to nieczęsto się dzisiaj zdarza. Po pierwsze, Franklin jest ode mnie bardziej aktywny fizycznie. Jakiś czas temu pracował w stadninie – takiej, gdzie ludzie trzymają swoje konie do jazdy wierzchem, nie wyścigowe. Wciąż jeszcze bywa tam dwa, trzy razy w tygodniu i jeździ na własnym koniu, a przy okazji rozmawia z właścicielem, który od czasu do czasu potrzebuje jego porady. Ale, jak mówi, przeważnie stara się do niczego nie mieszać.

Franklin jest tak naprawdę poetą. Autentycznym poetą i trenerem koni. Zdarzało mu się mieć zajęcia przez cały semestr na jednej czy drugiej uczelni, ale nigdy nie było stamtąd na tyle daleko, by musiał zerwać kontakt ze stadniną. Zdarza się też, że daje odczyty, ale, jak sam mawia, od wielkiego dzwonu. Nie chwali się swoją twórczością.

Bywa, że taka postawa mnie irytuje – nazywam to zbyt skromnością – ale rozumiem go. Bo jak pracujesz w stajni, wszyscy wiedzą, że harujesz, a jak piszesz wiersze, to gotowi uznać cię za nieroba i musisz im z zażenowaniem tłumaczyć, czym się zajmujesz.

Problem polega też na tym, że chociaż Franklin jest z natury człowiekiem skrytym, utwór, z którego jest najlepiej znany tutaj, w swoich rodzinnych stronach, uważany jest za odważny, może wręcz nieprzyzwoity. Sama słyszałam, jak kiedyś przyznał, że to dość kontrowersyjny wiersz, a powiedział tak nie po to, żeby przeproszać, lecz raczej w formie ostrzeżenia. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że mógłby urazić czyjeś uczucia, choć z drugiej strony jest zagorzałym zwolennikiem wolności słowa.

I nie w tym rzecz, że w tej części kraju nic się nie zmieniło w kwestii tego, co można głośno powiedzieć lub przeczytać w druku. Na pewno prestiż, nagrody i to, że piszą o tobie w gazetach, sporo pomagają.

Przez wiele lat nauczalam w szkole średniej, i to nie literatury, jak można by przypuszczać, lecz matematyki. Potem, kiedy dużo czasu spędzałam w domu i brakowało mi zajęć, zabrałam się do pisania dość tradycyjnych, ale mam nadzieję ciekawych biografii kanadyjskich pisarzy, którzy zostali niesłusznie zapomniani albo też nigdy nie byli szczególnie popularni. Nie sądzę, żebym w ogóle otrzymała to zlecenie, gdyby nie Franklin i jego literacka sława, o której zgodnie z jego życzeniem nie mówimy – urodziłam się w Szkocji i tak naprawdę początkowo nie miałam zbyt wielkiego pojęcia o kanadyjskich pisarzach.

Nigdy bym nie powiedziała, że Franklin czy jakikolwiek inny poeta zasługuje na tyle uwagi, ile poświęciłam powieściopisarzom, których sława przygasła, a może nawet zupełnie przeminęła. Trudno mi powiedzieć dlaczego. Może uważam, że poezja powinna bronić się sama.

Lubiłam tę pracę, wydawała mi się potrzebna, a po latach spędzonych w szkole szczególnie ceniłam sobie spokój i ciszę. Ale mimo wszystko tak około czwartej po południu potrzebowałam odpoczynku i czyjegoś towarzystwa.

Właśnie o takiej porze, w zwykły, wypełniony zajęciami dzień do moich drzwi zastukała pewna kobieta sprzedająca kosmetyki. O żadnej innej porze nie byłabym z jej wizyty zadowolona, ale akurat trafiła na właściwy moment. Na imię miała Gwen i na powitanie wyznała, że nigdy wcześniej mnie nie odwiedzała, bo powiedziano jej, że nie pasuję do profilu klienta.

– Cokolwiek to znaczy – dodała. – Ale pomyślałam, że wstąpię i najwyżej nie zrobię interesu. Zapytałam, czy napije się kawy, którą właśnie zaparzyłam, a ona z chęcią przystała na propozycję. Stwierdziła, że właściwie zamierza już kończyć dzień pracy. Postawiła swój bagaż, postępując.

– Nie ma pani makijażu. Też bym sobie nie robiła, ale taka moja praca.

Gdyby nie ta uwaga, pomyślałabym, że jest nieumalowana tak jak ja. Bez makijażu, z ziemistą cerą i gęstą siecią zmarszczek wokół ust. Okulary sprawiały, że jej jasnoblękitne oczy wydawały się większe. Raziły tylko pomarańczoworude cienkie włosy przycięte nad czołem w prostą grzywkę.

Może poczuła się skrępowana zaproszeniem. Obrzucała pokój rozbieganym wzrokiem.

– Strasznie dzisiaj zimno – stwierdziła i szybko dodała: – A popielniczki to pani nie ma, co?

Sięgnęłam do szafki. Wyjęła papierosa, z ulgą wygodnie usiadła.

– Pani nie pali?

– Kiedyś paliłam.

– Każdy przez to przeszedł.

Nalałam kawy.

– Dla mnie czarna – powiedziała. – Robiła pani coś ciekawego? Mam nadzieję, że nie przerwałam. Listy?

Nieoczekiwanie zaczęłam jej opowiadać o zapomnianych literatach, a pisarkę, nad której twórczością właśnie pracowałam, wymieniłam nawet z nazwiska.

– Martha Ostenso, napisała powieść *Dzikie gęsi* i mnóstwo innych, równie zapomnianych.

– I to, co tu leży, będzie wydrukowane? Znaczy się w gazecie?

– W książce – powiedziałam. Westchnęła, trochę dwuznacznie, a ja zorientowałam się, że chciałabym powiedzieć jej o czymś ciekawszym: – Jej mąż podobno napisał część tej powieści, ale nigdzie się go nie wymienia.

– Może nie chciał, żeby się z niego koledzy naśmiewali. Bo co by sobie pomyśleli o takim, co to książki pisze.

– Nie przyszło mi to do głowy.

– Ale forszę pewnie wziął, wie pani, jacy są mężczyźni – dodała.

Potem uśmiechnęła się, pokręciła głową i powiedziała jeszcze:

– Pani to jest nie byle kto. Jak wrócę do moich, to zaraz powiem, że widziałam pisarkę w akcji.

Chcąc porzucić temat, który zaczynał mnie już krępować, poprosiłam, żeby opowiedziała mi o swoich bliskich.

Wspomniała mnóstwo osób, trochę się w tym pogubiłam. Nie pamiętam już szczegółów, poza tym, że na koniec wymieniła męża, już nieżyjącego.

– To się stało w tamtym roku. Ale nie był moim oficjalnym mężem. Wie pani.

– Mój też nie był, nie jest – powiedziałam.

– No właśnie. Często tak się dzisiaj dzieje, nie? Kiedyś to myślałam, tak nie można, ale teraz mi przeszło. A niektórzy to całe lata są razem i potem nagle się żenią, nie? I myśli sobie człowiek: po co? Żeby dostać prezenty albo się wystroić w białą sukienkę? Śmiechu warte, co?

Powiedziała, że jej córka brała ślub z tymi wszystkimi och i ach, no i co z tego wyszło? Nic, właśnie siedzi za handel narkotykami. Głupia. A wciągnął ją w to facet, za którego wyszła. Właśnie dlatego ona musi teraz sprzedawać kosmetyki i zajmować się dwójką wnucząt, które nie mają nikogo innego na świecie.

Podczas całej tej opowieści tryskała znakomitym humorem. Straciła nieco entuzjazmu dopiero wtedy, gdy wspomniała drugą córkę, której się w życiu nieźle powiodło, bo była dyplomowaną pielęgniarką, a potem przeszła na emeryturę i teraz mieszka w Vancouver. Chciała, żeby matka rzuciła wszystko i zamieszkała u niej.

– Ale mnie się nie podoba w Vancouver. Wiem, że wszyscy to miasto lubią, ale ja nie i już.

Może nie do końca tak. W rzeczywistości najbardziej nie odpowiadało jej to, że musiałaby tam rzucić palenie. Chodziło więc nie o Vancouver, tylko o nałóg.

Kupiłam jakiś specyfik, który miał mi zapewnić młodość, a ona obiecała, że wpadnie, jak znów będzie w pobliżu.

Opowiedziałam Franklinowi o nowej znajomej. Miała na imię Gwen.

– Jakby z innego świata. Nawet mi się to podobało – wyznałam i pożałowałam tych słów.

Powiedział, że chyba za dużo siedzę w domu, więc może powinnam zacząć jeździć do uczniów i udzielać im lekcji.

Kiedy zjawiała się z kosmetykami już po kilku dniach, byłam zdziwiona. Przecież dopiero co kupiłam u niej jakiś balsam. Ale ona nawet mnie nie namawiała na zakupy i wydawało się, że to szczere zachowanie, a nie taktyka. Znów zaparzyłam kawę i zaczęłyśmy luźną rozmowę, nieco chaotyczną, jak poprzednim razem. Dałam jej egzemplarz *Dzikich gęsi*, z którego korzystałam podczas pracy nad tekstem na temat Marthy Ostenso. Powiedziałam, że może nie oddawać, bo ja i tak dostanę nowe wydanie razem z moją książką.

Przyrzekła przeczytać. Żeby nie wiem co się działo. Już sama nie pamięta, kiedy ostatnio sięgała po książkę, tyle miała roboty, ale teraz obiecuje.

Wyznała, że nigdy nie spotkała kogoś takiego jak ja, wykształconego i sympatycznego. Poczułam się mile połączona, ale równocześnie postanowiłam mieć się na baczności jak wtedy, gdy zaczynam zbyt ciepło myśleć o którymś uczniu. A w końcu poczułam zakłopotanie, bo niby co miałyby mnie uprawniać do takiego stawiania się ponad Gwen.

Było już ciemno, kiedy wsiadła do samochodu, ale nie zdołała go uruchomić. Spróbowała kilka razy, lecz silnik zarzęził i zgasł. Franklin wyszedł akurat przed dom i nie mógł przecisnąć się obok auta, więc wyjaśniłam w czym problem. A ona wyskoczyła zza kierownicy i zaczęła opowiadać, że ostatnio samochód jeździł całkiem bez zarzutu.

Teraz Franklin podjął próbę, a my czekałyśmy obok jego wozu. Wszystko na nic. Wszedł więc do domu, żeby zadzwonić do warsztatu. Gwen nie chciała pójść za nim, chociaż było zimno. Obecność pana domu najwyraźniej ją onieśmielała. Została więc ze mną. Po chwili Franklin zawołał od drzwi, że warsztat jest już zamknięty.

Nie pozostało więc nic innego, jak tylko zaprosić Gwen na kolację i zaproponować nocleg. Z początku bardzo przeproszała, ale potem, gdy siadła z papierosem, poczuła się swobodniej. Zaczęłam przygotowania do posiłku. Franklin poszedł się przebrać. Zapytałam, czy nie chciałaby powiadomić kogoś z domowników.

Powiedziała, że dobrze by było.

Liczyłam, że ktoś będzie mógł ją od nas odebrać. Nie miałam ochoty na kolejną rozmowę, tym razem w towarzystwie Franklina, który by milczał. Mógł oczywiście pójść do swojego pokoju – nie lubił słowa „gabinet” – ale wtedy poczułabym się winna. Poza tym chcieliśmy obejrzeć wiadomości, a ona z pewnością przez cały czas by gadała. Wszystkie moje przyjaciółki, nawet te najbardziej inteligentne, tak robią, czego on nie znosi.

A może siedziałyby cicho, zahukana. Jeszcze gorzej.

Nikt nie odbierał. Zadzwoiła więc do sąsiadów – oni zajmowali się dziećmi – i najpierw przeproszała ich, śmiejąc się bez przerwy, potem upominała dzieciaki, żeby się dobrze sprawowały, w końcu jeszcze raz serdecznie dziękowała sąsiadom za opiekę. Okazało się, że oni dokądś się wybierają następnego dnia, więc będą musieli zabrać dzieci ze sobą, co z pewnością nie będzie łatwe.

Franklin wrócił do kuchni dokładnie w chwili, gdy odłożyła słuchawkę.

Powiedziała mi, że obawiała się odmowy sąsiadów, jak wyskoczyli z tym swoim wyjściem, bo oni lubią robić problemy, już tacy są. Chociaż ona tak się zawsze stara iść im na rękę.

Nagle ona i Franklin stanęli jak wryci.

– O Boże! – powiedziała Gwen.

– Żaden tam Bóg. To tylko ja – odparł Franklin.

I nadal trwali w bezruchu. Jak się mogli z początku nie rozpoznać? Pewnie myśleli, że nie wypada teraz rzucić się sobie w ramiona. Oboje postępowali tak, jakby nie wierzyli własnym oczom. Powtarzali swoje imiona trochę żartem, trochę z zaskoczeniem. Ale nie takie imiona, jakie spodziewałam się usłyszeć.

– Frank.

– Dolly.

Po chwili zorientowałam się, że Dolly jest zdrobnieniem Gwen, czyli Gwendolyn. A do młodego mężczyzny bardziej pasuje forma Frank niż Franklin.

Nie zapomnieli o mojej obecności, a przynajmniej Franklin pamiętał, z wyjątkiem tej jednej krótkiej chwili.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem o Dolly?

Widać było, że z trudem próbuje zapanować nad głosem, za to Dolly, czy może Gwen, była tak rozradowana, jakby uważała to spotkanie za świetny żart, nieoczekiwany prezent od losu.

– Nawet nie pamiętam, kiedy ktoś ostatnio tak mnie nazwał. Chyba tylko ty używasz tego imienia. Dolly.

Najdziwniejsze, że mnie również udzieliła się ich euforia. Bo poczucie niezwykłości tego spotkania ustąpiło miejsca radości, która okazała się wszechogarniająca. Zaskakujące spotkanie należało uczcić. Tak się w tę sytuację wczułam, że sięgnęłam po butelkę wina.

Franklin już nie pije. Nigdy nie pił za wiele, a ostatnio przestał zupełnie. Więc tylko Gwen i ja zatraciliśmy się w rozmowie i wyjaśnieniach, podtrzymując radosne uniesienie i komentując niesamowity zbieg okoliczności.

Powiedziała, że w czasach, gdy znała Franklina, była opiekunką do dzieci. Pracowała w Toronto, zajmowała się dwójką angielskich malców, wysłanych przez rodziców do Kanady, żeby uniknęły wojny. W domu tym zatrudniona była jeszcze służąca, dlatego Gwen miała przeważnie wolne wieczory i mogła wychodzić, jaka dziewczyna by z tego nie skorzystała? Franklina spotkała, gdy był na ostatnim urlopie przed wyjazdem do Europy, i spędzili razem szalone, niewyobrażalnie szalone chwile. Potem napisał może parę listów, ale ona była zbyt zajęta, żeby odpowiedzieć. A gdy wojna się skończyła, tak szybko jak tylko się dało, zorganizowano transport angielskich dzieci do ich rodzin – ona była wśród opiekunek. Właśnie na tym statku poznała człowieka, za którego wyszła.

Jednak niedługo została za oceanem. Powojenna Anglia była tak ponurym krajem, że nie dało się tam wytrzymać, więc wróciła do domu.

Był to fragment jej życiorysu, którego jeszcze nie zdążyłam poznać. Ale o dwutygodniowym

romansie z Franklinem wiedziałam, podobnie jak wielu innych ludzi. Przynajmniej tych, którzy czytają poezję. Wiedzieli też, jak Gwen szczerze obdarzała miłością, za to nie mieli pojęcia, że według jej ówczesnych przekonań nie musiała się obawiać zajścia w ciążę, bo w medalionie na szyi nosiła pukiel włosów zmarłej siostry bliźniaczki. Wierzyła w tego rodzaju przesady. Na przykład dała Franklinowi magiczny ząb – nie wiedział, biedak, czyj – by go chronił podczas zamorskiej wyprawy. Co prawda od razu go zgubił, ale los i tak mu sprzyjał.

Była też przekonana, że jeżeli rano przekroczy próg niewłaściwą nogą, to będzie miała pecha przez cały dzień, dlatego nieraz musieli wracać do domu i wychodzić powtórnie. Franklin był tymi praktykami zafascynowany.

Prawdę mówiąc, ja – wręcz przeciwnie i to od pierwszej chwili. Nie mogłam się nadziwić, że mężczyźni tak łatwo dają się zauroczyć i ulegają różnym dziwactwom, jeśli tylko kobieta im się spodoba. Mam na myśli ich upodobanie do infantylnych panienek. Na szczęście ta moda już przeminęła. Taką przynajmniej żywię nadzieję. (Gdy zaczęłam pracę w szkole, powiedziano mi, że jeszcze do niedawna kobiety nie nauczały matematyki, bo uważano, że są słabsze intelektualnie).

Oczywiście, ta niezwykła dziewczyna, ta czarodziejka, o której po wielu namowach mi opowiedział, mogła być wytworem jego fantazji, całkiem przypadkowym. Ale podejrzewałam, że tak nie jest. To ona z całą swoją beczelnością potrafiła narzucić mu taki właśnie obraz swojej osoby. Jej samouwielbienie było ewidentne.

Rzecz jasna nie zdradziłam się ani jednym słowem, co na ten temat dowiedziałam się od Franklina oraz ile z tych wspomnień trafiło do wiersza. On sam w trakcie naszej rozmowy raczej do tych lat nie nawiązywał, może poza krótkim napomknięciem o pełnej wojennego zamętu atmosferze Toronto z tamtych czasów, o idiotycznej ustawie dotyczącej alkoholu i zakrawającej na kpinę manifestacji kościelnej. Jeśli wcześniej sądziłam, że uwiecznił Dolly w którymś ze swoich utworów, to teraz zaczęłam mieć wątpliwości.

Poczuł się zmęczony i poszedł spać. Razem z Gwen, czyli Dolly, przygotowałyśmy dodatkowe posłanie na kanapie. Siadła na pościeli z ostatnim przed snem papierosem w ustach, mówiąc, żebym się nie martwiła. Na pewno nie spowoduje pożaru, bo nigdy nie kładzie się spać, zanim nie wypali do końca.

W naszym pokoju było zimno. Franklin spał przy znacznie szerzej niż zwykle otwartym oknie. Naprawdę spał, zawsze wiem, kiedy udaje.

Nie lubię kłaść się ze świadomością, że na stole zostały brudne naczynia, ale poczułam się bardzo zmęczona i nawet z pomocą Gwen, która na pewno by nie odmówiła, nie byłabym w stanie ich sprzątnąć. Pomyślałam, że wstanę wcześniej i wtedy się nimi zajmę.

Ale rano obudził mnie brzęk talerzy w kuchni, zapach śniadania i dymu z papierosa. Do tego odgłosy rozmowy, tyle że mówił Franklin, a nie Gwen, jak bym się tego spodziewała. Kwitowała śmiechem każde jego słowo. Natychmiast wstałam, pospiesznie założyłam ubranie i uczesałam się, choć nigdy nie robię tego tak wcześnie.

Poczułam, że pierzchła cała atmosfera bezpieczeństwa i radości z ubiegłego wieczoru. Zeszłam po schodach, mocno hałasując.

Gwen stała przy zlewie, a umyte słoiki lśniły na suszarce.

– Pozmywałam ręcznie, bo bałam się, że sobie nie poradzę z waszą zmywarką – powiedziała. – A potem zobaczyłam te słoiki i pomyślałam, że jak już jestem przy myciu, to nimi też się zajmę.

– Od lat nikt ich nie mył – odparłam.

– Tak mi się wydawało.

Franklin znów próbował uruchomić auto, ale na próżno. Dodzwonił się jednak do warsztatu i obiecali, że przyślą kogoś po południu. Zdecydował jednak, że lepiej będzie podholować samochód do nich i wtedy naprawią go jeszcze rano.

– A w tym czasie Gwen dokończy porządki w kuchni – powiedziałam, ale mój żart się nie spodobał.

Franklin chciał, żeby ona pojechała z nim, bo to nie jego auto, a w warsztacie będą pytali o różne rzeczy. Zauważyłam, że zastępowanie imienia Dolly formą Gwen sprawiało mu pewną trudność. Zapytał, co chciałabym zjeść na śniadanie, ale stwierdziłam, że nie mam teraz apetytu.

– Ależ ona dba o figurę – powiedziała Gwen. I nawet ten komplement spowodował ich wybuch śmiechu.

Żadne z nich nie zwracało uwagi na moje samopoczucie, a ja miałam wrażenie, że cokolwiek powiem, w moich słowach będzie pobrzmiwać odrobina gorzkiej ironii. Tacy zajęci sobą, pomyślałam. Nie wiem, skąd mi taka myśl przyszła do głowy. Kiedy Franklin wyszedł przygotować samochód do holowania, natychmiast za nim podążyła, jakby nie chciała go stracić z oczu ani na minutę.

Wychodząc, powiedziała, że nie wie, jak mi za wszystko dziękować.

Franklin pożegnał mnie klaksonem, choć nigdy wcześniej tego nie robił.

Miałam ochotę pobiec za nimi i porządnie ich stłuc. Zaczęłam niespokojnie chodzić tam i z powrotem, narastało we mnie złowrogie podniecenie. Nie miałam wątpliwości, co powinnam zrobić.

Pospiesznie wyszłam z domu, zamknęłam drzwi, klucz wrzuciłam przez otwór na listy i wsiadłam do samochodu. W bagażniku miałam walizkę, chociaż nie pamiętałam już, co do niej zapakowałam. Zostawiłam zwięzłą informację, że wyjeżdżam sprawdzić parę faktów dotyczących Marthy Ostenso. A potem napisałam list przeznaczony tylko dla Franklina. Nie chciałam, żeby Gwen poznała jego treść po powrocie (byłam pewna, że wróci). Oświadczyłam mu, że może robić, co zechce, a jedyną rzeczą, z którą trudno mi się pogodzić, jest jego nieszczerłość, czy raczej oszukiwanie samego siebie. Chodzi o to, żeby otwarcie przyznał się, do czego zmierza. I oszczędził mi okrucieństwa, z jakim każe, abym się wszystkiemu przyglądała. Dlatego ustępuję pola.

Napisałam jeszcze, że najgorsze są tak naprawdę te kłamstwa, które tworzymy i uparcie powtarzamy, żeby ukryć gorycz, jaka w nas tkwi i nasącza od środka, o czym wkrótce się przekona. I tak dalej, a wyrzuty te pomimo krótkiej formy listu kilkakrotnie się powtarzały, pozbawiając mnie godności i szacunku do samej siebie. Zrozumiałam, że muszę to przepisać; postanowiłam wysłać list do Franklina pocztą.

Z naszego podjazdu nie skręciłam w stronę miasteczka, gdzie był warsztat, lecz w przeciwnym kierunku i pojechałam autostradą na wschód. Dokąd? Nie wiedziałam, ale wkrótce doszłam do wniosku, że jeśli trafię do Toronto, różne miejsca całkiem niepotrzebnie wywołają we mnie wspomnienia dawnych szczęśliwych dni z Franklinem.

Chcąc temu zapobiec, skręciłam w stronę Cobourga, bo tam nigdy razem nie byliśmy.

Jeszcze przed południem zameldowałam się w motelu położonym w centrum miasteczka. Minęłam pokojówki sprzątające pokoje. W moim nikt długo nie mieszkał, dlatego był wyziębiony. Włączyłam ogrzewanie i chciałam pójść na spacer, ale nie byłam w stanie, zawróciłam od drzwi. Cała drżałam. Wślizgnęłam się do łóżka w ubraniu, ale niewiele to pomogło, naciągnęłam więc kołdrę pod samą brodę.

Obudziłam się słonecznym popołudniem, cała odzież, przesiąknięta potem, przywarła mi do ciała.

Wyłączyłam ogrzewanie, wyjęłam z walizki świeże ubrania. Po przebraniu się wyszłam z pokoju. Ruszyłam szybkim krokiem. Byłam głodna, ale czułam, że nie mogę ani zwolnić, ani usiąść, ani jeść.

Przydarzyło mi się coś, co wcale nie należy do rzadkości, pomyślałam. Ani w książkach, ani w życiu. Musi wobec tego być jakiś sprawdzony sposób radzenia sobie w takiej sytuacji. Można oczywiście iść przed siebie tak jak ja. Ale kiedyś trzeba stanąć, bo nawet w takim małym miasteczku jeżdżą samochody, a na skrzyżowaniach zapalają się czerwone światła. Zdarzają się też ludzie, którzy chodzą jak we śnie – to staną, to ruszą, a do tego jeszcze tabuny uczniów, podobnych do moich byłych nieokielzanych wychowanków. Po co ich tu aż tylu i dlaczego się tak idiotycznie nawołują i przekrzykują – nadmiar niepotrzebnych bytów. Gdzie się tylko obrócisz, dopada cię zniewaga.

Obelgą były też dla mnie sklepy z neonami, hałaśliwe samochody – na przemian zatrzymujące się i ruszające. Wszystko pulsowało. A komu jest potrzebne to wciskające się z każdej strony życie?

W końcu sklepy zniknęły i pojawiły się domki letniskowe. Puste, z deskami zamiast szyb, czekające na rozbiórkę. To w nich ludzie spędzali skromne wakacje, zanim powstały motele. Przypomniało mi się, że i ja tu kiedyś mieszkałam. Tak, w jednym z tych domków, zachecona obniżką cen – być może posezonową – która przyciągała różnych popołudniowych grzeszników, do których też się wówczas zaliczałam. Było to dawno, kiedy odbywałam praktykę w szkole, i pewnie bym sobie nie przypomniała tego miasteczka, gdyby nie charakterystyczny wygląd domków. Byłam wtedy ze starszym mężczyzną, nauczycielem. Z pewnością miał kochającą rodzinę. Ingerowanie w czyjeś życie. Żona nie może się o niczym dowiedzieć, bo pękłoby jej serce, a dzieci... A mnie tam było wszystko jedno. Niech jej pęka.

Resztę wspomnień zatarł czas i nie warto do nich wracać. Ale pod ich wpływem zwolniłam nieco i zawróciłam do motelu. A tam na szafce leżał list, który wcześniej napisałam. Zaklejony, ale bez znaczka. Znowu wyszłam, znalazłam pocztę, kupiłam znaczek i wrzuciłam list do skrzynki. Niemal bezwiednie i bez wątpliwości. Szkoda, że nie zostawiłam go na stole w domu, co za różnica? I tak wszystko skończone.

Podczas poprzedniego spaceru zauważyłam restaurację, do której schodziło się po schodkach. Odszukałam ją teraz i wczytałam się w wywieszone menu.

Franklin nie lubił jadać poza domem. A ja tak. Zdecydowałam, że w oczekiwaniu na otwarcie lokalu pospaceruję jeszcze trochę, ale już bez pośpiechu. Przypadła mi do gustu apaszka wystawiona w oknie któregoś sklepu i pomyślałam, że będzie mi w niej ładnie, więc ją kupię. Ale kiedy wzięłam ją do ręki, zaraz odłożyłam – dotyk jedwabiu przyprawił mnie o mdłości.

W restauracji piłam wino i długo czekałam na jedzenie. Poza mną nie było prawie nikogo, tylko zespół muzyczny przygotowywał się do wieczornego występu. Poszłam do łazienki i ogarnęło mnie zdziwienie na widok mojej twarzy, niezmienionej od lat. Czy jakiś mężczyzna, starszy pan, mógłby zechcieć mnie poderwać? Myśl ta wydała mi się groteskowa, nie z powodu prawdopodobnego wieku amanta, ale dlatego, że nie potrafiłam sobie wyobrazić w tej roli nikogo poza Franklinem.

Kiedy wreszcie podano moje danie, z trudem przełknęłam kilka kęsów. Było smaczne, ale dziwnie się czułam, siedząc w pojedynkę, jedząc samotnie, opuszczona, jakby wyrwana z rzeczywistości.

Zabrałam ze sobą tabletki nasenne, choć strasznie rzadko je zażywałam. Ponieważ miałam je od bardzo dawna, zastanawiałam się, czy podziałają. A jednak zasnęłam i nie obudziłam się ani razu, dopiero o szóstej rano.

Jakieś wielkie ciężarówki zaczęły opuszczać miejsca parkingowe przy motelu.

Miałam świadomość, gdzie jestem i co zrobiłam. Wiedziałam, że popełniłam okropny błąd. Ubrałam się i tak szybko jak mogłam opuściłam motel. Ledwo wytrzymałam przyjazną pogawędkę,

którą uraczyła mnie recepcjonistka. Powiedziała, że w ciągu dnia ma padać śnieg. Niech pani na siebie uważa, dodała.

Ruch na autostradzie już gęstniał. Potem sytuację skomplikował jeszcze jakiś wypadek.

Przyszło mi do głowy, że Franklin zaczął być może mnie szukać. A o wypadek nietrudno. Możemy się już nie spotkać.

O Gwen nie myślałam wiele, tyle tylko, że się przyplątała i wywróciła wszystko do góry nogami. Te jej krótkie masywne nogi, idiotyczna fryzura, sieć zmarszczek wokół ust. Istna karykatura; takiej nawet nie można mieć nic za złe i nie powinno się jej traktować poważnie.

Dotarłam do domu. Był, nic się nie zmieniło. Skręciłam na podjazd i spostrzegłam samochód Franklina. Dzięki Bogu. Zauważyłam jednak, że nie stał tam gdzie zawsze.

Ponieważ jego miejsce zajmował samochód Gwen.

Konsternacja. Bo zdążyłam sobie pomyśleć, co prawda przelotnie, ale jednak, że już sobie poszła, zrobiła sporo zamieszania w naszym życiu, ale na szczęście zniknęła. Mimo wszystko poczułam ulgę, że zastałam Franklina. Dobrze, nic mu się nie stało. Odzyskałam pewność siebie i już byłam gotowa wyskoczyć z auta i pobiec do domu. Zaczęłam nawet szukać klucza, bo zapomniałam, co z nim zrobiłam.

Ale i tak nie byłby mi potrzebny, bo Franklin otworzył właśnie drzwi naszego domu. Nie wydał z siebie okrzyku zdziwienia ani ulgi, nawet wtedy, gdy wysiadłam już z samochodu i byłam od niego o krok. Powoli zszedł po schodach, a jego słowa zaskoczyły mnie.

– Zaczekaj – powiedział.

Zaczekaj. Oczywiście. Ona tam jest.

– Wsiądź do auta. Nie możemy tu rozmawiać, jest za zimno – dodał.

Potem, zajmując przednie miejsce pasażera, powiedział:

– Życie jest absolutnie nieprzewidywalne.

Mówił spokojnie, smutnym głosem, jak nigdy. Nie patrzył na mnie, tylko wprost przed siebie, na nasz dom.

– Nawet nie wspomnę, jak mi jest przykro – oznajmił. – Wiesz, tu nie chodzi o konkretną osobę, tylko o aurę. Jakby ktoś rzucił czar. Niby człowiek też jest ważny, ale przede wszystkim liczy się to, co wokół siebie roztacza i co sobą reprezentuje. A może też to, kim jest – sam już nie wiem. Rozumiesz? To spada na nas nagle, jest jak zaćmienie słońca albo coś w tym rodzaju.

Zwiesił głowę i potrząsnął nią, zupełnie odmieniony.

Widać było, że aż się rwie, by o niej mówić. Wcześniej brzydziłby się taką wylewnością. Widząc to, straciłam już nadzieję.

Czułam przeszywający chłód. Miałam zamiar zapytać, czy i moją rywalkę zdążył powiadomić o tej zmianie. Ale przyszło mi do głowy, że przecież na pewno, skoro Gwen jest w naszej kuchni i właśnie ją pucuje.

To zauroczenie było wstrętne. Jak zawsze w takim wypadku. Odrażające.

– Daruj sobie – powiedziałam. – Przestań.

Odwrócił się, po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy spojrzał na mnie i dodał już bez onieśmielenia, pełnym głosem:

– No dobra, żartowałem. Myślałem, że się zorientujesz. No, już dobrze, daj spokój i słuchaj.

Bo ja zaczęłam wycić ze złości i poczucia ulgi.

– Szczerze mówiąc, trochę wkurzyłem się na ciebie. Pomyślałem, że dam ci nauczkę. Jak ja się

czułem, kiedy wróciłem do domu i zorientowałem się, że sobie w najlepsze wyjechałaś? Zgoda, jestem draniem. Już dobrze. Przestań.

Nie chciałam przestać. Wiedziałam, że nie mam powodu, lecz płacz działał na mnie kojąco. Nagle ogarnęła mnie wątpliwość.

– A co u licha robi tu jej wóz?

– Nie nadaje się do naprawy. Istny złom.

– Więc dlaczego tu stoi?

Wyjaśnił, że kupił jej nowy, a z tego trzeba wymontować trochę części, które mogą się przydać.

– Samochód? Nowy?

Na tyle, żeby jako tako działał.

– Bo widzisz, ona chciała wyjechać do North Bay. Ma tam jakichś krewnych i planowała się do nich przeprowadzić, tylko nie miała środka transportu.

– Ale tutaj, nie wiem dokładnie gdzie, też ma rodzinę i trzyletnie dzieciaki, którymi się opiekuje.

– Prawdopodobnie woli tych z North Bay. O dzie ciach nie słyszałem. Pewnie zabierze je z sobą.

– Prosiła cię o samochód?

– O nic nie prosiła.

– Więc jednak – powiedziałam. – Jednak wtargnęła w nasz świat.

– Z pewnością jest już w North Bay. Chodźmy. Nie założyłem nawet kurtki.

Idąc do domu, zapytałam, czy powiedział jej o swoim wierszu. A może go jej przeczytał.

– Ależ nie, po co miałbym to robić?

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, gdy weszłam do kuchni, były lśniące słoiki. Z hukiem wlałam na krzesło i zaczęłam je ustawiać na najwyższej półce szafki.

– Mógłbyś mi pomóc? – zapytałam, a on zaczął mi je podawać.

Zastanawiałam się, czy skłamał w sprawie wiersza. Może go jednak przeczytał? Albo dał jej, żeby sobie sama przeczytała?

Jeśli nawet, to pewnie nie zareagowała tak, jak by tego oczekiwał. Ale czy mogło być inaczej?

Prawdopodobnie powiedziała, że to śliczny wiersz, a on się nie ucieszył, bo nie znosił tego rodzaju pochwał. Albo przeciwnie – głośno wyraziła zdziwienie: jak on mógł coś takiego napisać? Same sprośności. Tego rodzaju reakcja byłaby już lepsza, ale tylko odrobinę.

No bo jaka uwaga na temat wiersza mogłaby zadowolić poetę? Żeby nie była przesadzona. Taka w sam raz.

Objął mnie i zdjął z krzesła na ziemię.

– Szkoda czasu na kłótnie – powiedział.

Rzeczywiście. Zapomniałam, ile mamy lat, wyleciało mi to z głowy. Zachowywałam się tak, jakbyśmy mieli nie wiadomo jak dużo czasu na smutki i narzekania.

Zauważyłam klucz, ten, który wrzuciłam przez otwór na listy. Utkwił w szparze między progiem a włochatą brązową wycieraczką.

Będę jeszcze musiała przechwycić list, który napisałam.

A jeśli umrę, zanim nadejdzie? Można być przekonanym o swoim dobrym zdrowiu, a potem nagle zejść z tego świata i już. Czy powinnam zostawić Franklinowi jakieś ostrzeżenie? Tak na wszelki wypadek?

„Jeżeli otrzymasz list adresowany moją ręką, podrzyj go, nie czytając”.

On by na pewno posłuchał. Ja na jego miejscu – nie. Rozerwałabym kopertę, bez względu na wcześniejsze obietnice.

Ale on by posłuchał.

Poczułam w sobie niesamowitą mieszaninę złości i podziwu za to, że tak by postąpił. I z powodu całego naszego wspólnego życia.

Finiał

Ostatnie cztery teksty zawarte w tym tomie nie s tak naprawd opowiadaniem. To zupełnie odrbny zbiór utworów literackich, autobiograficznych, jeli chodzi o sfer uczu, ale niekoniecznie jeli idzie o fakty. Wierz, e te wspomnienia, pojawiajce si w takiej formie po raz pierwszy i po raz ostatni – najbardziej mi bliskie – najwierniej oddaj to, co chciaabym powiedzie o sobie i swoim yciu.

Oko

Kiedy miałam pięć lat, moim rodzicom urodził się chłopiec, a mama powiedziała, że zawsze marzyłam o braciszku. Skąd przyszła jej do głowy taka myśl, nie mam pojęcia. Długo się nad tym rozwodziła, wysuwając same zmyślane argumenty, które ciężko było mi jednak odeprzeć.

Rok później przyszła jeszcze na świat dziewczynka, co znowu wywołało spore zamieszanie, ale już nie takie jak przy poprzednich narodzinach.

Do czasu kiedy pojawiło się pierwsze dziecko, nigdy nie uważałam, by moje odczucia były inne, niż je opisywała mama. Aż do tego momentu cały dom był pełen matki, jej kroków, głosu, pudrowego, lecz złowieszczonego zapachu, który przenikał wszystkie pomieszczenia, nawet gdy jej w nich nie było.

Dlaczego mówię, że był złowieszczy? Nie czułam się przestraszona. Nie chodzi o to, że matka instruowała mnie, w jaki sposób powinnam odbierać różne rzeczy. Była absolutnym autorytetem i nie musiała niczego tłumaczyć. Nie tylko jeśli idzie o mojego młodszego brata, ale także płatki Red River – po prostu uznała, że są dla mnie dobre i dlatego musiałam je lubić.

Tak samo było w przypadku obrazka wiszącego w nogach mojego łóżka, który przedstawiał Jezusa zezwalającego małym dzieciom zbliżyć się do siebie. (W tamtych czasach na małe dzieci mówiło się dziatki, ale nie o tym rozmawialiśmy). Matka wskazała mi na nim postać ledwo widoczną za rogami. Dziewczynka chciała podejść do Jezusa, ale była zbyt nieśmiała. Matka powiedziała, że to ja, więc uznałam, że rzeczywiście muszę być tą dziewczynką, chociaż sama pewnie nigdy bym na to nie wpadła i raczej wolałabym, żeby tak nie było.

W rzeczywistości na poważnie przejęłam się losem biednej Alicji z Krainy Czarów, która zrobiła się tak duża, że utknęła w norze Królika, ale mimo to śmiałam się, bo matka wydawała się tą sceną rozbawiona.

Jednak dopiero pojawienie się na świecie mojego brata i niekończące się opowieści o tym, jaki to wspaniały prezent otrzymałam, sprawiły, że zaczęłam sobie powoli uświadamiać, jak bardzo wyobrażenia matki na mój temat różnią się od moich własnych.

Przypuszczam, że to wszystko przygotowywało mnie na przyjęcie Sadie, kiedy przyszła do nas pracować. Zakres obowiązków matki znacznie się wówczas zmniejszył, bo skupiła się na maluchach. Ponieważ przestała tak bardzo wypełniać sobą przestrzeń, mogłam zacząć samodzielnie myśleć, co jest prawdą, a co nie. No i miałam dość rozsądku, żeby nikomu o tym nie mówić.

Najbardziej niezwykłą rzeczą, jeśli chodzi o Sadie – chociaż u nas w domu nigdy się o tym specjalnie nie mówiło – było to, że cieszyła się w mieście sporą sławą. Mieliśmy lokalne radio, w którym Sadie grała na gitarze i śpiewała skomponowaną przez siebie piosenkę, będącą sygnałem stacji.

– „Dzień dobry państwu, witamy serdecznie wszystkich radiosłuchaczy...”

A pół godziny później:

– „Żegnamy się z państwem, do usłyszenia”.

Pomiędzy powitaniem a pożegnaniem Sadie śpiewała wcześniej zamówione piosenki, a także te, które sama wybrała. Słuchacze o bardziej wyrafinowanych gustach żartowali sobie z tych występów,

a także z samego radia, o którym mówiono, że jest najmniejsze w całej Kanadzie. Ludzie ci słuchali radia torontowskiego, w którym puszczano popularne utwory z tamtych lat, na przykład *Three Little Fishes and a Momma Fishy Too*^[16]. Z kolei wiadomości wykrzykiwał w eter Jim Hunter^[17], relacjonujący w ten sposób tragiczne doniesienia z toczącej się wojny. Ale ludzie na farmach woleli lokalną stację i piosenki w wykonaniu Sadie. Miała silny, rzewny głos, a śpiewała o samotności i żalu.

„Opieram się o płot starej chaty
I żalu swojego ukoić nie mogę.
Wspominam, jak przed wielu laty
Przyjaciel mój wyruszył stąd w samotną drogę...”

Teren pod większość farm w naszej części kraju został wykarczowany i przygotowany do zasiedlenia jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Domy, położone dość blisko siebie, były rozdzielone polami. Wystarczyło wyjrzeć z okna, by zobaczyć sąsiednią farmę. Jednak utwory, o które prosili farmerzy, zawsze poruszały podobne tematy. Mówiły o samotnych pasterzach bydła, zwodniczym uroku dalekich krain, ciężkich zbrodniach, które kończyły się tym, że przestępcy umierali, przywołując swoje matki albo Boga.

Takie właśnie piosenki wyśpiewywała altowym głosem Sadie. Kiedy jednak przychodziła do nas pracować, była pewna siebie i pełna energii, chętnie podejmowała rozmowę i głównie rozprawiała o sobie. Zwykle jedynym partnerem do dyskusji byłem ja. Ponieważ matka i Sadie miały całkowicie różny zakres obowiązków, rzadko się widywały, ale wydaje mi się, że i tak raczej nie miałyby wspólnych tematów do rozmowy. Matka była poważną osobą, czego przykłady już podawałam. Kiedyś nauczała w szkole, jeszcze zanim zaczęła uczyć mnie. Pewnie chciałyby wobec Sadie odgrywać rolę przewodnika, pomóc jej wyrugować złe nawyki językowe, nauczyć, że nie mówimy „lekcja się ciągnęła”, tylko „ciągnęła”. Ale Sadie nie dawała do zrozumienia, że czeka na taką pomoc, i nie miała też najmniejszej ochoty zmieniać swojego sposobu mówienia.

Po obiedzie, który jedliśmy w południe, Sadie i ja zostawałyśmy same w kuchni. Matka uciwała sobie drzemkę i jeśli miała szczęście, maluchy również zasypiały. Kiedy wstawała, zakładała nową sukienkę, jakby czekało ją spokojne popołudnie, przeznaczone na relaks. W rzeczywistości było to zmienianie pieluch, a także owo mało stosowne zajęcie, które zawsze starałam się ignorować i omijać wzrokiem, kiedy to najmniejsze z dzieci, przystawione przez matkę do piersi, łapczywie ssało mleko.

Mój ojciec też lubił się chwilę zdrzemnąć – jakieś piętnaście minut na werandzie z twarzą zakrytą gazetą „Saturday Evening Post”. Potem wracał do stodoły.

Sadie podgrzewała wodę na kuchni i z moją pomocą zmywała naczynia. Rolety były wtedy spuszczone dla ochrony przed upałem. Kiedy zdołaliśmy się już uporać z naczyniami, Sadie myła podłogę, a ja wycierałam ją do sucha, metodą, którą sama odkryłam – stawałam na szmatach i ślizgałam się po posadzce jak po lodzie. Potem zbierałyśmy zwoje żółtych lepów, które były rozwieszane po śniadaniu, a teraz były ciężkie od czarnych much – już martwych albo jeszcze lekko bzyjących. Zawieszałyśmy też nowe lepy, które do kolacji znów robiły się czarne. W trakcie wykonywania tych wszystkich czynności Sadie opowiadała mi o swoim życiu.

W tamtym czasie nie potrafiłam oceniać wieku ludzi. Dzieliłam ich na dwie kategorie: dzieci i dorosłych, a Sadie zaliczałam do tej drugiej grupy. Mogła mieć szesnaście, osiemnaście albo

i dwadzieścia lat. Bez względu na to, ile faktycznie miała lat, wielokrotnie zarzekała się, że nie spieszy jej się wychodzić za mąż.

Co tydzień chodziła na tańce. Sama i dla siebie, jak lubiła mawiać.

W mieście była jedna sala taneczna położona przy bocznej ulicy, tam gdzie zimą urządzano lodowisko do curlingu. Płaciło się dziesięć centów za taniec, potem można było wejść na podest i wirować na oczach gapiących się ludzi, co nie znaczy, że Sadie to cokolwiek obchodziło. Zawsze lubiła płacić za siebie i nie czuć się do niczego zobowiązana. Ale czasami wcześniej zdążył do niej podejść któryś z obecnych tam facetów. Wtedy ona z miejsca odzywała się dość obcesowo: „A potrafisz tańczyć?”. Wówczas ów potencjalny partner spoglądał na nią dziwnie i odpowiadał, że tak, myśląc sobie: inaczej bym nie podchodził. Zwykle jednak okazywało się, że to, co on rozumiał przez taniec, było tylko powłóceniem nogami i trzymaniem wielkich spoconych łapsk na jej ciele. Czasami Sadie po prostu porzucała takiego delikwenta na parkiecie i tańczyła sama – co zresztą bardzo lubiła. Odbywała do końca opłacony przez partnera taniec, a jeżeli gość przyjmujący pieniądze żądał dodatkowej opłaty za część solową, mówiła, że wystarczająco dużo zgarnął od jej towarzysza. Jeśli przybyli na zabawę ludzie mieli ochotę się z niej śmiać, nie przeszkadzało jej to.

Druga sala taneczna była tuż za miastem, przy autostradzie. Za wstęp pobierano opłatę zaraz przy drzwiach i nie za jeden taniec, tylko z góry za całą noc. Miejsce to nosiło nazwę Royal-T. Również i tam Sadie płaciła za siebie. Z reguły do Royal-T przychodzili lepsi tancerze, ale Sadie i tak zawsze wolała najpierw sprawdzić, jak się poruszają, zanim zgodziła się wyjść z którymś na parkiet. Royal-T było popularne wśród mieszkańców miasta, natomiast salę obok lodowiska odwiedzali głównie farmerzy. Wprawdzie ci miastowi lepiej panowali nad swoimi nogami, ale nie tylko na nogi warto było zwracać uwagę, niekiedy również na ręce. Czasami była zmuszona przywoływać ich do porządku. Bez ogródek mówiła, co im robi, jeśli zaraz nie złączą zachowywać się przyzwoicie. Dawała jasno do zrozumienia, że sama zapłaciła za wstęp i przyszła tylko się zabawić, bez zobowiązań. W dodatku wiedziała, gdzie najlepiej wymierzyć cios. To od razu załatwiłoby sprawę. Czasami trafiali jej się naprawdę świetni tancerze i Sadie była szczęśliwa. Potem, kiedy już grano ostatni kawałek, szybko zbierała się do wyjścia i wracała do domu.

Powtarzała, że nie jest taka jak inne. Nie miała zamiaru dać się złowić.

Złowić. Kiedy to mówiła, wyobrażałam sobie, jak wielka drucziana sieć zrzucona z góry oplątuje czyjąś postać. Jakieś złe małe istoty natychmiast owijają nią ciało ofiary, tak że zaczyna się dusić i nie może się uwolnić. Sadie musiała wyczytać coś takiego z mojej twarzy, ponieważ zaraz powiedziała, żebym się nie bała.

– Niczego na tym świecie nie trzeba się bać, wystarczy tylko na siebie uważać.

– Ty i Sadie dużo ze sobą rozmawiacie – powiedziała matka.

Wiedziałam, że na coś się zanosi i powinnam być czujna, ale nie miałam pojęcia, co to może być.

– Lubisz ją, prawda?

Odpowiedziałam twierdząco.

– No oczywiście. Ja też ją lubię.

Miałam nadzieję, że to już wszystkie pytania, i przez moment byłam nawet o tym przekonana.

Ale za chwilę usłyszałam:

– Teraz, gdy urodziły się dzieci, ty i ja nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu. One nam na to nie pozwalają, prawda? Ale bardzo je kochamy, tak?

Szybko odparłam, że tak.

– Naprawdę? – znowu zapytała.

Nie przestałaby wypytywać, gdybym nie powtórzyła, że naprawdę, więc zrobiłam to.

Matce czegoś bardzo brakowało. Może chciała mieć grono sympatycznych przyjaciółek? Kobiet grających w brydża, których mężowie chodzili do pracy w garniturach z kamizelkami? Chyba nie do końca, a poza tym i tak raczej nie było na to widoków. Może chodziło jej o mnie z dawnych lat? Z czasów, kiedy cierpliwie pozwalałam kręcić sobie długie loki i bezbłędnie recytowałam modlitwy wymagane w szkółce niedzielnej? Nie miała już czasu, żeby takimi rzeczami się zajmować. A ja zachowywałam się, jakbym ją zdradziła. Nie wiedziała za bardzo, na czym ta zdrada polega ani co mną kieruje, i ja również tego nie wiedziałam. Nie zaprzyjaźniłam się z żadnym dzieckiem z miasta uczęszczającym do szkółki niedzielnej. Ale za to przepadałam za Sadie.

Usłyszałam, jak matka powiedziała do ojca:

– Ona ubóstwia Sadie.

Wtedy ojciec odparł, że Sadie jest dla nas darem niebios. Ciekawe, co miał na myśli? Mówił to radosnym głosem. Może po prostu nie chciał się opowiedzieć po żadnej ze stron.

– Szkoda, że koło naszego domu nie ma porządnego chodnika – stwierdziła matka. – Może wtedy ona mogłaby się nauczyć jeździć na wrotkach i poznałaby jakieś koleżanki.

Ja rzeczywiście chętnie nauczyłabym się jeździć na wrotkach. Ale w tamtym momencie, zupełnie nie wiadomo dlaczego, uznałam, że nigdy się do tego nie przyznam.

Potem matka powiedziała jeszcze coś na temat szkoły, że nie może się doczekać, kiedy się zacznie. Że niby dla mnie byłoby lepiej albo dla Sadie. Nie chciałam tego słuchać.

Sadie uczyła mnie niektórych swoich piosenek i wiedziałam, że nie mam specjalnego talentu do śpiewania. Miałam nadzieję, że nie muszę koniecznie być w tym lepsza, bo inaczej każą mi tego zaniechać. Naprawdę to lubiłam i za nic nie chciałabym przestać.

Ojciec nie miał w tej kwestii zbyt wiele do powiedzenia. Takimi rzeczami zajmowała się matka. Dopiero później sprawy przybrały nieco inny obrót, gdy ja zrobiłam się naprawdę pyskata i tata musiał mnie karać. Czekał, aż mój brat podrośnie i stanie się jego podporą. Z chłopakiem jest prościej, z pewnością nie stwarzałby tylu problemów.

I tak się oczywiście stało. Brat wyrósł na całkiem porządnym faceta.

Zaczęła się szkoła. Za kilka tygodni liście miały przybrać czerwone i żółte barwy. Teraz większość już opadła. Nie mam dodatkowego płaszcza przeznaczonego tylko do szkoły, ale zakładam swój najlepszy, ten z mankietami i kołnierzem z ciemnego aksamitu. Matka ma na sobie płaszcz, w którym chodzi do kościoła, a większość jej włosów zakrywa turban.

Jedziemy samochodem. Matka nie prowadzi często i zawsze jest bardziej usztywniona i mniej pewna niż ojciec. Na każdym zakręcie naciska klakson.

– Dojechałyśmy – mówi, ale zawsze musi upłynąć trochę czasu, zanim ostatecznie zaparkuje. – No to jesteśmy na miejscu. – Jej głos w założeniu ma brzmieć zachęcająco. Delikatnie dotyka mojej ręki, jakby w nadziei, że odwzajemnię ten gest, ale ja udaję, że tego nie dostrzegam, więc cofa dłoń.

Przy budynku nie ma podjazdu ani nawet chodnika. Dom wygląda na zadbane, ale jest całkiem zwyczajny. Matka unosi dłoń w rękawiczce, chcąc zapukać, ale okazuje się, że niepotrzebnie. Ktoś

otwiera nam drzwi. Matka, tytułem zachęty, mówi coś w rodzaju: „To pójdzie szybciej, niż myślisz” – ale nie kończy. Ton, jaki przybrała, zwracając się do mnie, był nieco surowy, choć równocześnie kojący. Gdy uchylono drzwi, jej głos nieco przycichł, stał się bardziej miękki i ciepły, jakby skłaniała głowę na powitanie.

Drzwi otworzyły się nie tylko po to, żebyśmy mogły wejść, ale również dlatego, że wychodzili stamtąd jacyś ludzie. Jedna z kobiet głośno mówi przez ramię do osoby pozostającej w środku i nawet nie stara się być uprzejma:

– To dla niej pracowała i dla tej małej dziewczynki.

Potem do drzwi podchodzi jakaś kobieta, ubrana dosyć elegancko, rozmawia z moją matką i odbiera od niej płaszcz. Wtedy matka pomaga mi zdjąć mój i mówi, że ja bardzo lubiłam Sadie. Ma nadzieję, że dobrze zrobiła, przyprawiając mnie tutaj.

– Biedactwo – mówi kobieta, a matka dotyka mnie delikatnie, dając sygnał, że powinnam się przywitać. – Sadie naprawdę bardzo kochała dzieci.

Widzę, że oprócz mnie jest jeszcze dwójka innych dzieciaków. To chłopcy. Znam ich ze szkoły. Jeden jest w pierwszej klasie razem ze mną, a drugi starszy. Wystawiają głowy z pomieszczenia, które wygląda na kuchnię. Młodszy w zabawny sposób wpycha sobie do ust całe ciasteczko, a drugi jest wyraźnie zdegustowany. Nie kolegą opychającym się ciasteczkami, lecz mną. Oczywiście nie znoszą mnie. Chłopcy albo zupełnie ignorowali dziewczynki, gdy spotykali je poza szkołą (choć tam również ich nie dostrzegali), albo robili straszne miny i nie szczędzili im wyzwisk. Gdybym musiała przejść obok któregoś z nich, zaraz cała bym się usztywniła i myślała, jak tu się zachować. Oczywiście, kiedy obok byli dorośli, sprawy przybierały trochę inny obrót.

Ci dwaj nie odzywali się, ale ja czułam się bardzo nieswojo, dopóki ktoś nie wciągnął ich z powrotem do kuchni. Potem zauważyłam, że matka mówi szczególnie ciepłym i sympatycznym głosem, bardziej dystygowanym nawet niż głos kobiety, z którą rozmawiała, i pomyślałam, że może niechętna mina chłopaka była przeznaczona dla niej. Czasami ludzie parodiowali jej głos, kiedy przywoływała mnie do siebie, przychodząc po mnie do szkoły.

Pani, która rozmawiała z matką i wyglądała na zwierchniczkę, poprowadziła nas do pokoju, gdzie na kanapie siedziała starsza para. Sprawiali takie wrażenie, jakby nie do końca rozumieli, po co w ogóle się tu znaleźli. Matka pochyliła się nad nimi i okazując im szacunek, zamieniła z nimi parę słów. Po chwili wskazała na mnie.

– Ona bardzo kochała Sadie – oznajmiła.

Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć, ale zanim się odezwałam, kobieta, która tam siedziała, przeraźliwie krzyknęła. Nie patrzyła na obecnych, a dźwięk, który wyrwał się z jej ust, przypominał reakcję człowieka kłanego albo szarpanego przez jakieś zwierzę. Uderzała się dłońmi po ramionach, zupełnie jakby chciała się pozbyć czegoś, co ją atakowało. Popatrzyła na moją matkę, oczekując od niej pomocy.

Mężczyzna próbował ją uspokoić.

– Ona bardzo się tym wszystkim przejęła – wyjaśniła pani, która nas przyprowadziła. – Nie panuje nad tym wszystkim. – Nachyliła się nieco niżej i dodała: – Już dobrze, przestraszy pani tę małą dziewczynkę.

– Przestraszysz tę małą dziewczynkę – powtórzył za nią posłusznie jej towarzysz.

Zanim dokończył mówić, kobieta się uspokoiła i zaczęła gładzić podrapane ramiona, jakby nie wiedziała, co się przed chwilą z nią działo.

– Biedna kobieta – powiedziała matka.

– Straciła jedyne dziecko – dodała nasza przewodniczka. – Nic się nie martw – zwróciła się do mnie.

Byłam zmartwiona, ale nie z powodu krzyku.

Wiedziałam, że gdzieś tam była Sadie, a ja nie chciałam jej oglądać. Matka tak naprawdę wcale nie poinformowała mnie, że nie będę do tego zmuszona, ale nie powiedziała też, że to okaże się konieczne.

Sadie zginęła, kiedy wracała do domu z zabawy w Royal-T. Potracił ją samochód właśnie na tym krótkim odcinku zwirowej drogi, która łączyła parking przy budynku, gdzie odbywały się tańce, i chodnik prowadzący do miasta. Sadie z pewnością jak zwykle się spieszyła i bez wątpienia była przekonana, iż samochody ją zauważą albo że ona jest tutaj na równych z nimi prawach. Prawdopodobnie jadący za nią samochód nagle gwałtownie skręcił, a może Sadie nie szła tak, jak powinna. Auto uderzyło w nią od tyłu. Kierowca, który ją najechał, ustępował miejsca pojazdowi za nim i przymierzał się do skrętu w stronę miasta. Na zabawie krążył alkohol, chociaż oficjalnie nie można go było tam kupić. No i jak to zawsze bywa po zakończeniu imprezy, zewsząd dobiegało trąbienie klaksonów, jakieś krzyki, zbyt gwałtownie nawracano i odjeżdżano z piskiem opon. Sadie spieszyła się do domu i nawet nie miała ze sobą latarki, bo uważała zapewne, że wszyscy powinni na nią uważać i schodzić jej z drogi.

– Dziewczyna idąca samotnie na zabawę, bez towarzystwa chłopaka, no cóż – powiedziała nasza przewodniczka, która wciąż bardzo przyjaźnie odnosiła się do mojej matki. Mówiła dość cicho i matka w odpowiedzi zamruczała coś, co miało wyrażać żal z powodu całej sytuacji. – Na własne życzenie pakowała się w tarapaty – dodała jeszcze ciszej.

Wcześniej, w domu, usłyszałam rozmowę, której nie rozumiałam. Matka chciała coś zrobić w kwestii tego potrącenia Sadie przez samochód, ale ojciec powiedział, żeby dała sobie z tym spokój. Miastowe układy to nie nasza sprawa. Nawet nie próbowałam pojąć, o co mu chodziło, bo starałam się w ogóle nie myśleć o Sadie, a już zupełnie nie chciałam wracać do faktu jej śmierci. Kiedy zdałam sobie sprawę, że mamy pójść do domu Sadie, wcale nie miałam na to ochoty, nie wiedziałam jednak jak mogłabym się z tego wywinąć, by nie zostało mi to poczytane za afront.

Teraz, gdy ta stara kobieta tak przeraźliwie krzyknęła, przyszło mi na myśl, że spokojnie mogłybyśmy wykorzystać ten incydent jako pretekst, by się odwrócić i pójść do domu. Nie musiałabym nigdy przyznawać się do tego, że strasznie boję się zmarłych.

Gdy tylko pomyślałam, że może tak właśnie się stanie, usłyszałam, jak matka przystaje na sugestię naszej przewodniczki i podejmuje najgorszą z możliwych dla mnie decyzji.

Miałyśmy zobaczyć Sadie.

Matka wyraźnie to potwierdziła. Oczywiście, że musimy pożegnać się z Sadie. Z martwą Sadie.

Głowę miałam teraz spuszczoną i kątem oka widziałam właściwie tylko tych chłopców, którzy byli niewiele ode mnie wyżsi, i starych ludzi, którzy siedzieli na kanapie. Ale matka ujęła mnie za rękę i poprowadziła w inną stronę.

Przez cały ten czas w pokoju stała trumna, ale ja nie byłam tego świadoma, bo myślałam, że to coś zupełnie innego. Ponieważ nigdy nie widziałam trumny, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wygląda. To coś, do czego się zbliżyliśmy, równie dobrze mogłoby być skrzynką na kwiaty albo zamkniętym pudłem fortepianu.

Może ludzie, którzy wcześniej gromadzili się wokół trumny, zasłaniali ją na tyle, że nie zdołałam dojrzeć jej prawdziwych kształtów, rozmiaru ani odkryć przeznaczenia. Teraz jednak żałobnicy rozstąpili się z szacunkiem i powagą, a moja matka odezwała się do mnie nieznanym mi, bardzo

cichym głosem:

– Podejdź tutaj.

Pomimo łagodności tej wypowiedzi wydało mi się, że pobrzmiewają w niej nuty niechęci i triumfu.

Nachyliła się, popatrzyła na mnie uważnie i byłam pewna, że robi to tylko dlatego, żeby sprawdzić, czy nie zacisnęłam czasem powiek, co zresztą właśnie miałam zamiar zrobić. Potem wyprostowała się i odwróciła ode mnie wzrok, ale dalej mocno trzymała mnie za rękę. Udało mi się przymknąć powieki, gdy tylko przestała zwracać na mnie uwagę, ale nie zamknęłam ich, żeby się nie potknąć. Bałam się też, że ktoś przesunie mnie tam, gdzie wcale nie chciałam się znaleźć. Obraz, który do mnie docierał, był rozmazany i nieostry – jakieś sztywno sterczące kwiaty i błysk politurowanego drewna.

Potem usłyszałam, jak matka zaczyna łkać, i poczułam, że odciąga mnie na bok. Rozległ się trzask otwieranej torebki. Chciała włożyć do niej rękę, więc uścisk jej dłoni zelżał. Płakała. To, że skupiła się na własnych emocjach, pozwoliło mi się wyswobodzić.

Popatrzyłam na trumnę i zobaczyłam Sadie.

Zauważyłam, że jej twarz i szyja nie ucierpiały w wypadku, ale nie zdołałam dojrzeć wszystkiego od razu. Odebrałam tylko ogólne wrażenie, że nie wyglądało to wszystko aż tak źle, jak się obawiałam. Szybko zamknęłam oczy, ale nie mogłam się powstrzymać, by znów na nią nie spojrzeć. Najpierw skupiłam wzrok na małej żółtej poduszce, którą miała pod głową, ale zdążyłam także dostrzec jej szyję, podbródek i policzek. Cały trick polegał na tym, żeby dojrzeć kawałek Sadie, a potem znowu zjechać wzrokiem na poduszkę, by przy kolejnym razie, kiedy najgorszy strach minie, odważyć się na więcej. A potem ujrzałam już całą Sadie, albo przynajmniej tyle, ile udało mi się zobaczyć z tej strony, po której stałam.

Coś drgnęło. Widziałam to. Poruszyła się jej powieka, ta od mojej strony. Nie otworzyła się zupełnie, tylko lekko się uniosła i gdybym wtedy mogła stać się Sadie, gdyby to było możliwe, to widziałabym tyle, ile można zobaczyć, patrząc spod rzęs. Nie więcej pewnie niż to, czy w pokoju jest jasno, czy ciemno.

Wcale nie byłam tym zaskoczona ani się nie przestraszyłam. Natychmiast uznałam to za coś całkiem naturalnego, idealnie wpisującego się w wizerunek i postać mojej opiekunki, takie, jakie zapamiętałam. Przypisałam to także specjalnym relacjom, które miałam z Sadie. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby kogoś alarmować i opowiadać o tym, co zauważyłam, ponieważ byłam przekonana, że widok ten był przeznaczony wyłącznie dla mnie.

Matka znów ujęła mnie za rękę i stwierdziła, że pora wracać do domu. Zamieniła jeszcze parę zdań z obecnymi tam osobami, ale ja odniosłam wrażenie, że niemal natychmiast gdy oznajmiła, że wychodzimy, znalazłyśmy się na zewnątrz.

– Świetnie dałaś sobie radę, brawo – pochwaliła mnie. Potem ścisnęła moją dłoń i dodała: – No, już po wszystkim.

Na chwilę musiała jeszcze się zatrzymać, by przepuścić kogoś, kto zmierzał do budynku, który przed chwilą opuściliśmy, a potem wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy do domu. Wydawało mi się, że matka czekała, aż się odezwę i może nawet coś jej powiem, ale ja milczałam.

Później nigdy i nigdzie już nie musiałyśmy uczestniczyć w podobnym spotkaniu i szczerze mówiąc, dosyć szybko zapomniałam o Sadie, zwłaszcza że szkoła i tak regularnie dostarczała mi sporej dawki mocnych wrażeń, a ja musiałam się nauczyć radzić sobie zarówno z paraliżującym strachem, jak i z chęcią popisania się swoimi umiejętnościami.

W gruncie rzeczy rozczarowałam się w stosunku do Sadie już w pierwszym tygodniu września, kiedy oznajmiła, że nie może do nas więcej przychodzić, bo musi zostać w domu i zaopiekować się swoimi rodzicami.

A potem moja matka odkryła, że Sadie podjęła pracę w sklepie nabiałowym.

Jednak przez długi czas, kiedy faktycznie sporo o niej rozmyślałam, nigdy nie przyszło mi na myśl, by kwestionować to, co wtedy udało mi się zaobserwować. Dużo później, kiedy zupełnie nie interesowały mnie żadne nadnaturalne zjawiska, wciąż miałam w pamięci, że taka rzecz się wydarzyła. Po prostu w to wierzyłam, całkiem zwyczajnie, tak jak się wierzy i pamięta, że kiedyś miało się mleczne zęby, które wypadły i zostały zastąpione nowymi, ale te pierwsze nie przestają być realne. Tak było, aż któregoś dnia, kiedy podrosłam i stałam się już chyba nastolatką, nagle uświadomiłam sobie, że na dnie mojej duszy coś się wypaliło i że więcej już w to nie wierzę.

Noc

Kiedy byłam młoda, wszystkie dramatyczne wydarzenia, takie jak poród albo ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, następowały w czasie burzy śnieżnej. Drogi były nieprzejezdne, zresztą samochodu i tak nikt by nie odkopał z przydomowej zasy, więc zaprzęgało się konie i saniami jechało do szpitala w mieście. Całe szczęście, że była taka możliwość, a wojna i racjonowanie paliwa doprowadziły do tego, że wykorzystywano taki transport przez jakiś czas.

Tak więc gdy poczułam ostre klucie w boku, była właśnie jedenasta w nocy, a wokół szalała zawieja. Ponieważ chwilowo nie mieliśmy własnych koni, trzeba je było pożyczyć od sąsiada i jechać do szpitala. Dystans wynosił zaledwie półtora mili, ale i tak przygoda była niezła. Lekarz czekał już na mnie i nikogo nie zdziwiło, że od razu rozpoczął przygotowania do operacji.

Czy innym też usuwano wyrostek? Na pewno, bo w takiej sytuacji nie wolno zwlekać – słyszałam nawet, że ktoś umarł z powodu zbyt późno przeprowadzonego zabiegu – a jeśli dobrze pamiętam, wśród moich rówieśników był to nieomal rytuał. Może nie powtarzający się często, ale dość powszechny i pewnie niepowodujący zbyt wielu protestów ze strony pacjenta – nie trzeba było iść do szkoły i miało się poczucie wyjątkowości z racji stanięcia na krótko w obliczu śmierci, co w tym akurat momencie życia mogło być traktowane jako powód do chluby.

Pozbawiona już wyrostka przeleżałam kilka dni w szpitalu, zapatrzona w okno i śnieg padający równo na tle zimozielonych krzewów. I z pewnością nie przyszło mi nawet na myśl, jak mój ojciec zapłaci za ten status wyjątkowości. (Myślę, że sprzedał las, który pozostał mu po likwidacji farmy dziadka. Pewnie planował tam zakładać wnyki albo zbierać syrop klonowy. Pozbył się więc lasu i może popadł w nostalgię). Po jakimś czasie wróciłam do szkoły i dostałam dłuższe, niż się spodziewałam, zwolnienie z gimnastyki.

Pewnego sobotniego ranka, gdy byłam z mamą w kuchni sam na sam, dowiedziałam się, że w szpitalu usunięto mi nie tylko wyrostek. Właściwie lekarz wyciął wyrostek przy okazji, ale tak naprawdę zaniepokoił go guz. Jak to ujęła mama – wielkości indyczego jaja.

– Ale nie martw się – powiedziała. – Już po wszystkim.

Myśl o raku nigdy nie powstała w mojej głowie i mama też o tym nie wspomniała. Dzisiaj zapewne wykonano by analizy, aby ustalić, co to za guz – złośliwy czy nie – i zaraz zaczęto by szukać odpowiedzi. Powodem unikania tego tematu była związana z nim zagadkowa aura, podobnie jak w przypadku seksu. Nawet gorsza, bo seks, choć wydawał się odrażający, to jednak wiązał się z jakąś nagrodą – wiedziałyśmy o tym, chociaż matki nam tego nie mówiły – natomiast słowo „rak” przywodziło na myśl jedynie ciemną, gnijącą i cuchnącą istotę, którą należało ignorować, nawet gdy weszła nam już w drogę.

Nie dociekałam więc i nikt mnie nie informował, a mogłam jedynie mieć nadzieję, że zabieg wykonano prawidłowo, skoro wciąż żyję. I na tyle wymazałam ten epizod z pamięci, że pytana o przebyte operacje, odpowiadam bez wahania: „wyrostek”.

Rozmowa z mamą nastąpiła pewnie podczas ferii wielkanocnych, kiedy po zamieciach i zaspach nie zostało już ani śladu, a wezbrane rzeki unosiły wszystko, co spotkały na drodze. Gorące lato niemal stało u progu. Nasz klimat był nieubłagany, bezlitosny.

Na początku upalnego czerwca skończyłam naukę, bo moje stopnie były na tyle dobre, że nie musiałam zdawać egzaminów. Wyglądałam dobrze, krzątałam się po domu, jak zwykle czytałam książki i nikt nie podejrzewał, że coś jest ze mną nie w porządku.

Muszę teraz przejść do opisu sypialni, którą dzieliłam z siostrą. Pokój był mały, nie mógł więc pomieścić dwóch osobnych łóżek, dlatego miałyśmy piętrową pryczę z drabinką, której używała osoba śpiąca na górze. Czyli ja. Dawniej lubiłam zaczepki, unosiłam siennik i groziłam młodszej siostrze, że jej zrobię krzywdę, a ona leżała bezradnie i nic mi nie mogła zrobić. Prawdę mówiąc, siostra – na imię miała Catherine – nie była tak zupełnie bezbronna. Naciągała na głowę kołdrę, a ja czekałam, aż zacznie się dusić albo z ciekawości odsłoni twarz i będę mogła na nią na przykład napluć lub przynajmniej udać, że to robię, i ją zezłościć.

Byłam już jednak za stara na takie zabawy. Siostra miała dziewięć lat, a ja czternaście. Nadal jednak nie żyłyśmy ze sobą w zgodzie. Kiedy się nad nią nie pastwiłam ani nie prowokowałam w niemądry sposób, dawałam jej jakichś wydumanych porad albo opowiadałam różne mrozące krew w żyłach historie. Przebierałam ją w stare ubrania, które mama odłożyła na dno szafy, bo były za dobre, by pociąć je na skrawki do patchworków, a zbyt niemodne, by ktokolwiek chciał je nosić. Robiłam jej makijaż ze zbrylonego różu i pudru mamy, a potem opowiadałam, jak pięknie wygląda. Była naprawdę ładna, ale moje wyczyny upodabniały ją raczej do jakiejś cudacznej egzotycznej lalki.

Nie twierdzę, że ją zupełnie zdominowałam ani że bardzo wiele nas łączyło. Miała własne koleżanki i ulubione zabawy. Te ostatnie były dość zwyczajne, wcale nie jakieś wyszukane. Wozila w wózek lalki albo ubranego kota, który przerażony wrywał się na wolność. Lubila też bawić się w szkołę i wtedy osoba, która była nauczycielem, biła uczniów po łapach za złe zachowanie, a oni udawali, że płaczą.

Jak już wspomniałam, w czerwcu uwolniłam się od szkoły i zaczęłam spędzać sporo czasu w samotności, jak nigdy przedtem ani potem w okresie dorastania. Pomagałam trochę w domu, ale mama dobrze sobie z wszystkim radziła sama. Albo może mieliśmy jeszcze wtedy dość pieniędzy, żeby wynająć, jak to mówiła mama, służącą, którą cała reszta domowników nazywała po prostu dziewczyną do pomocy. W każdym razie nie pamiętam, bym miała wówczas tak dużo obowiązków domowych jak w późniejszych latach, kiedy mocno się już w różne prace angażowałam. Wydaje się, że moje nie do końca zbadane indycze jajo dawało mi status wiecznej rekonwalescentki, dlatego traktowana byłam w domu jak gość.

Jednak nie pozwalano mi na robienie cierpiętniczej miny. Nikt by się na to w naszej rodzinie nie zgodził. Poczucie bezcelowości i wyobcowania miały głównie wymiar psychiczny. Nie wiązały się też z całkowitą beczynnością. Pamiętam, jak każdej wiosny przesiadywałam w ogródku i przerywałam młodą marchewkę, by miała więcej miejsca i rosła gruba, dobra do jedzenia.

Tyle że tamtego lata obowiązki nie wypełniały mi każdej minuty, jak w latach poprzednich i kolejnych.

Może dlatego właśnie zaczęłam mieć problemy z zasypianiem. Początkowo przewracałam się z boku na bok do północy i myślałam, dlaczego to tak długo trwa, skoro cały dom od dawna pogrążony jest we śnie. Czytałam, a kiedy poczułam zmęczenie, wyłączałam światło i czekałam. Do niczego mnie nie zmuszano. Po raz pierwszy pozwolono mi, co również świadczyło o moim uprzywilejowaniu, samodzielnie decydować, kiedy chcę iść spać.

Nieprędko cały dom przestawał się ze światła dziennego i blasku żarówek na wieczorny mrok. Nie od razu cichł całodzienny gwar związany z tym, co musi być przeprowadzone, wykonane, zakończone, i nie od razu zagościć mogła bardziej tajemnicza rzeczywistość, pozbawiona

obowiązków narzucających tempo, wyzbyta oczekiwań, by każdy drobiazg miał wartość użytkową; meble stawały się na powrót sobą i nie istniały już tylko dlatego, że ktoś ich potrzebuje.

Można powiedzieć, że to było pewnego rodzaju wyzwolenie. Z początku chyba tak. Wolność. Oderwanie. Ale gdy przez dłuższy czas nie potrafiłam zasnąć, a bezsenność przedłużała się nawet do świtu, byłam coraz mocniej wytrącona z równowagi. Powtarzałam sobie rymowanki, następnie patetyczne wiersze, wszystko po to, żeby zasnąć; jednak z czasem klepałam już słowa zupełnie bezmyślnie. Robiła się z tego jakaś kpina. Kpiłam z samej siebie, deklamując absurdalne, pozbawione sensu wersy.

Nie byłam już sobą.

Przez całe życie słyszałam, jak mówiono w ten sposób o innych, ale nie zastanawiałam się, co to właściwie znaczy.

„Więc za kogo ty się właściwie uważasz?”

Takie pytanie też słyszałam, ale nie brałam go za przyganę, tylko zwykłe szyderstwo.

„Zastanów się”.

Wtedy doskwierał mi już nie tylko brak snu. Bo sen nie mógł przyjść sam z siebie. Może nawet lepiej, żeby nie przychodził. Coś przejmowało nade mną kontrolę i moim dążeniem, moją nadzieją, było zwalczyć to coś, odeprzeć. W zasadzie udawało mi się, ale tylko do pewnego stopnia. Cokolwiek to było, usiłowało nakazać mi robić różne rzeczy niezupełnie w jakimś określonym celu, ale po to, bym sprawdziła, czy to możliwe. Okazywało się, że żadna motywacja nie jest potrzebna.

Konieczne jest tylko to, abym uległa. Jakie to dziwne. Nie muszę dążyć do zemsty ani mieć innego zwyczajnego powodu, wystarczy, aby coś wpadło mi do głowy.

I rzeczywiście miewałam takie myśli. A im bardziej starałam się je odpędzić, tym natarczywiej wracały. Nie pragnienie zemsty czy nienawiść, lecz – jak powiedziałam – absolutnie niezrozumiała, zimna, nurtująca myśl, w zasadzie pragnienie, czy raczej obsesja była w stanie przejąć nade mną kontrolę. Nie powinnam była o czymś myśleć, a jednak myślałam.

Myśl taka nadchodziła i zagnieżdżała się w mojej głowie.

Myśl, że byłabym w stanie udusić moją młodszą siostrę, śpiącą na posłaniu pode mną, którą kochałam bardziej niż kogokolwiek innego na świecie.

Zrobiłabym to nie z zazdrości, złości lub gniewu, ale z szaleństwa, które wisiało gdzieś w ciemności, bardzo blisko. I nie było to dzikie szaleństwo, ale coś nieustępliwego. Taki leniwy, dokuczliwy, trochę ospały podszept, który czał się w pobliżu od dłuższego czasu.

Podpowiadał mi: spróbuj. Spróbuj najgorszego.

Najgorsze. Tu, w pokoju, gdzie sypiałyśmy od początku naszego życia i gdzie czułyśmy się takie bezpieczne. Nie było żadnego powodu, który byłby zrozumiały dla mnie samej albo kogokolwiek innego, a jednak to coś mogło stać się ode mnie silniejsze.

Pozostało mi tylko wstać i wyjść z domu. Zeszłam po szczeblach drabinki i nawet przelotnie nie spojrzałam na śpiącą siostrę. Potem cicho ruszyłam po schodach (nikt nie zareagował) do kuchni, gdzie każdy drobiazg był mi tak dobrze znany, dlatego swobodnie mogłam poruszać się w ciemnościach. Drzwi kuchenne nie były zamknięte na zamek, możliwe, że w ogóle nie mieliśmy do nich klucza. Pod klamką stało krzesło, by ewentualny włamywacz narobił hałasu. Ale można też było odsunąć je powoli i bezgłośnie.

Po pierwszej nocy umiałam już poruszać się pewnie i wychodzić na dwór, jak mi się wydawało, w kilka sekund.

Oczywiście w pobliżu nie było latarni ulicznych – mieszkaliśmy daleko od miasta.

Wtedy wszystko zdawało się większe. Mówiąc o drzewach koło domu, używaliśmy ich nazw: buk, wiąz, dąb, klony. Klony zawsze w liczbie mnogiej i traktowane jako zbiorowość, bo tworzyły gęstwinę. Teraz drzewa były intensywnie czarne. Również biały bez (już utracił kwiaty) i fioletowy – je też uważaliśmy za drzewa, nie krzewy, bo takie okazały się.

Trawniki naokoło domu były mi dobrze znane, bo sama je kosiłam, żeby dodać naszemu obejściu szczyptę miejskiego splendoru.

Wschodnia i zachodnia ściana domu przylegały do dwóch zupełnie innych światów, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wschodnia miała miejski charakter, choć żadnego miasta nie było tam widać. Dopiero w odległości jakichś dwóch mil pojawiały się rzędy zabudowań oświetlonych latarniami i wyposażonych w bieżącą wodę. I choć powiedziałam, że wszystko to było z naszego domu niewidoczne, to być może ktoś, kto bardzo wyteńczył wzrok, dostrzegłby odległe zarysy.

Po zachodniej stronie szerokim zakolem płynęła rzeka, była łąka i drzewa; nic nie przesłaniało zachodzącego słońca. Nie było tu żadnych ludzi, jak mi się wydawało, ani śladu codziennej krzątaniny.

Chodziłam tam i z powrotem, najpierw w pobliżu domu, a potem nieco dalej, polegając na wzroku, by nie wpaść na uchwyt pompy albo werandę, nad którą rozpięte były sznury na pranie. Ptaki zaczęły trzepotać skrzydłami w koronach drzew, a potem śpiewać, jakby każdy z osobna wpadał na ten sam pomysł. Budziły się o wiele wcześniej, niż myślałam. I wkrótce po tych pierwszych trelach niebo zaczynało delikatnie jaśnieć. Nagle ogarniała mnie wielka senność. Wracałam do domu, gdzie zaskakiwał mnie nieprzenikniony mrok, i bardzo dokładnie, ostrożnie, bezgłośnie podstawiałam krzesło pod klamkę, a potem bezszelestnie szłam na górę, uważając na każdy stopień i każde drzwi, choć niemal już zasypiałam. Padałam na kołdrę i budziłam się późno – a w naszym domu późno oznaczało godzinę ósmą.

Pamiętałam wszystko, ale było to nedorzeczne. Ta najgorsza część była tak absurdalna, że wkrótce bez trudu wypierałam ją z pamięci. Mój brat i siostra byli już w szkole, ale na blacie ciągle stały ich nakrycia, w resztkach mleka pływały ostatki dmuchanego ryżu.

Zupełny absurd.

Kiedy siostra wracała ze szkoły, bujałyśmy się w hamaku, każda z nas siedziała na przeciwległym końcu.

Właśnie w tym hamaku spędzałam większą część dnia i pewnie dlatego nie mogłam potem zasnąć w nocy. A ponieważ nie zwierzałam się nikomu ze swoich kłopotów, nikt nie udzielił mi oczywistej porady, żebym bardziej aktywnie spędzała czas za dnia.

Z nastaniem nocy moje problemy wróciły. Demony znów wzięły mnie w posiadanie. Na szczęście wiedziałam, kiedy wstać, przestać udawać, że wszystko się jakoś ułoży i zdołam zasnąć, jeśli tylko bardzo się postaram. Jak zawsze, ostrożnie wyszłam z domu. Coraz lepiej orientowałam się w ciemnościach; potrafiłam nawet dostrzec wiele szczegółów wyposażenia pomieszczeń, co i tak nie umniejszało niesamowitego wrażenia. Rozpoznałam sufit kuchni pokryty wpuszczanymi jedna w drugą deskami boazerii, który powstał jakieś sto lat temu, a także futrynę okna od północnej strony, którą mocno nadwerężył zębami pies zamknięty w domu pewnej nocy, na długo przed moimi narodzinami. Przypomniało mi się coś, o czym zdążyłam już zupełnie zapomnieć, a mianowicie moja piaskownica ustawiona pod tym właśnie oknem, żeby ułatwić mamie pilnowanie mnie. Teraz w tym

miejscu kwitła kępa przerośniętej tawuły, która niemal zupełnie zasłaniała widok.

Od wschodu kuchnia nie miała okien, tylko drzwi prowadzące na werandę, gdzie wywieszaliśmy ciężkie, mokre pranie, a potem ściągaliśmy je suche, pachnące i tak świeże, że można było być dumnym z każdego bielutkiego prześcieradła i każdego grubego kombinezonu roboczego.

Na tej werandzie przystawałam nieraz podczas moich nocnych wycieczek. Nie siadałam, a jednak czułam odprężenie, gdy spoglądałam w stronę miasta i wyobrażałam sobie, co tam się dzieje. Myślałam o tych, którzy niebawem mieli wstać, by pójść do sklepu albo otworzyć drzwi i zabrać z progu butelkę mleka, czyli zacząć poranną krzątanie.

Pewnej nocy – nie pamiętam już, czy był to mój dwudziesty, dwunasty, a może dziewiąty nocny spacer – odniosłam wrażenie, że ktoś jest za rogiem, ale było już za późno, żeby się wycofać. Na pewno tam był, ale nie mogłam zawrócić, bo wtedy by mnie złapał, a ja wolałam już natknąć się na tego kogoś twarzą w twarz, niż dać się zaskoczyć od tyłu.

Kto to był? Mój tata we własnej osobie. Siedział na werandzie i patrzył w stronę miasta, na majaczące w oddali światła. Był ubrany jak za dnia, w ciemne drelichowe spodnie, podobne do kombinezonu roboczego, choć jednak nieco lżejsze, ciemną koszulę z grubej bawełny i buty. Palił skręta, którego sam sobie oczywiście zrobił. Może to zapach papierosa podpowiedział mi, że ktoś siedzi na werandzie, ale z drugiej strony w tamtych czasach tytoniowy dym był tak wszechobecny, w budynkach i na zewnątrz, że nie stanowił żadnego ostrzeżenia.

– Dzień dobry – powiedział tonem, który miał uchodzić za naturalny, ale jednak zupełnie taki nie był.

W naszej rodzinie nie mieliśmy zwyczaju tak się pozdrawiać. Nie żebyśmy byli do siebie wrogo nastawieni, ale tego typu powitania uważaliśmy za niepotrzebne, pewnie dlatego, że widywaliśmy się przez cały dzień.

Odpowiedziałam:

– Dzień dobry.

I dzień rzeczywiście musiał już być blisko, bo inaczej ojciec nie miałby na sobie dziennego ubrania. Niebo pewnie jaśniało, ale kryły je gęste korony drzew. I ptaki śpiewały.

Stopniowo wychodziłam z pokoju coraz później i później, ale nie dawało to już takiego efektu jak na początku. To, co wcześniej czaiło się tylko w naszej sypialni, w piętrowym łóżku, zaczynało teraz wyzierać z każdego kąta.

Kiedy dziś sobie przypominam tamtą chwilę, myślę, że ojciec nie miał na sobie kombinezonu, bo wybierał się do miasta załatwić coś z samego rana.

Nie dało się kontynuować spaceru, zostałam wybita z rytmu.

– Nie możesz spać? – zapytał.

W pierwszej chwili chciałam zaprzeczyć, ale potem zorientowałam się, że jeśli tak postąpię, to jak zdołam wytłumaczyć swoje nocne przechadzki, więc przytaknęłam.

Odparł, że w letnie noce często tak bywa.

– Kładzie się człowiek zmęczony, myśli, że zaraz zaśnie, ale nic z tego. Z tobą też tak jest?

Potwierdziłam.

Domyśliłam się, że nie pierwszy raz musiał mnie przyłapać na nocnych eskapadach. Bo człowiek, który ma w domu cały dobytek, trzyma tu wszystkie swoje skromne zarobki, a w szufladzie jego biurka leży pistolet, jest z pewnością wyczulony na najcięższe skrzypnięcie schodów i najdelikatniejszy ruch gałki przy drzwiach.

Nie pamiętam już, co potem mówiliśmy o moich nocach wypełnionych czuwaniem. Bezsenność uznał za kłopot, ale czy powiedział coś jeszcze? Z pewnością nie miałam zamiaru wyznać mu więcej. Nawet, gdyby dał do zrozumienia, że czegoś się domyśla, że przyszedł tu, bym mu o tym opowiedziała, to i tak niczego by ze mnie nie wydobył. Jednak poskarżyłam się, że nie mogę zasnąć. Muszę wstawać i spacerować.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Śni ci się coś złego?

– Nie.

– Głupie pytanie – przyznał. – Jak by ci się śniło coś miłego, to nie wyskakiwałabyś z łóżka.

Począł na moją reakcję, o nic nie pytał. Chciałam sobie pójść, a jednak ciągle mówiłam. Powiedziałam prawdę z jedną tylko i to delikatną zmianą. Na temat siostrzyczki wspomniałam, że boję się zrobić jej krzywdę. Uznałam, że to wystarczy, by zorientował się, o co mi chodzi.

– Mogłabym ją udusić – nie zdołałam się jednak powstrzymać.

I tych słów nie dało się już cofnąć, nie było powrotu do obrazu mojej osoby, jaki wcześniej istniał.

Ojciec to usłyszał. Pojął, że uważam siebie za zdolną, by udusić małą Catherine we śnie, całkiem bez powodu.

– No tak. – Westchnął i dodał, że bym się nie martwiła: – Ludzie miewają czasem takie myśli.

Zabrzmiało to poważnie i bez śladu zdenerwowania czy zdziwienia. Ludzie miewają takie myśli, czy może lęki, ale nie ma się co przejmować, nie bardziej, prawdę mówiąc, niż zwykłym snem.

Nie powiedział wyraźnie, że nie wierzy, bym coś takiego mogła zrobić. Jednak przyjął za pewnik, że to się nie zdarzy.

– Wszystko na pewno z powodu eteru. Eteru, który ci podawali w szpitalu. Myśli mieszają się ze snami. Ale nic takiego się nie stanie, podobnie jak meteor nie uderzy w nasz dom (to znaczy, mógłby, ale ryzyko jest tak nikłe, że w zasadzie nie istnieje).

I wcale mnie nie obwinia za te myśli. Nawet go one nie dziwią.

Może dodał coś jeszcze, spytał o moje nastawienie do młodszej siostry albo o rozczarowanie życiem w ogóle.

Gdyby to działo się dziś, umówiłby mnie pewnie na wizytę u psychiatry. (Z perspektywy czasu myślę, że sama tak właśnie postąpiłabym z dzieckiem mającym podobne problemy. Tyle że byłaby to jednak różnica jednego pokolenia, a i moje dochody były całkiem inne).

Jego podejście okazało się skuteczne. Powstrzymując się od kpiny czy alarmu, przywrócił mnie do życia w realnym świecie.

Ludzi nachodzą myśli, których woleliby nie mieć. Zdarza się.

Doświadczeni rodzice odkrywają często, że popełniają zarówno błędy nieświadomione, jak i takie, z których aż za dobrze zdają sobie sprawę. Pogarsza to ich samopoczucie, a nawet napawa niechęcią do siebie. Wydaje mi się, że mój ojciec niczego takiego nie odczuwał. Nie wiem, czy robiłam mu kiedykolwiek wyrzuty z powodu spuszczenia mi manta za pomocą pasa do ostrzenia brzytwy albo paska od spodni i czy odpowiedział mi wtedy, że ojciec ma swoje prawa. Lanie paskiem uważał pewnie, jeżeli w ogóle się nad tą sprawą zastanawiał, za konieczny i odpowiedni sposób ujarzmienia pyskatego dziecka, któremu się zdaje, że rządzi całym światem. „Uważasz się za najmądrzejszą”, mógł uzasadniać karę, bo często tak wtedy mówiono, a harde dzieci traktowano jak diabliki, którym trzeba wybić podobne zachowanie z głowy. Tak też mogło być w moim przypadku.

Wówczas, bladym świtem, powiedział tylko to, co koniecznie powinnam była usłyszeć, a i tak wkrótce miałam o tym zapomnieć.

Myszę, że chyba miał wtedy na sobie trochę lepsze ubranie, bo wybierał się do banku, żeby uzyskać odpowiedź, której się zresztą spodziewał, że nie przedłuży mu się umowy kredytowej. Pracował tak ciężko, jak tylko mógł, ale sytuacji rynkowej tą swoją determinacją nie potrafił zmienić, dlatego musiał znaleźć nowy sposób zarabiania na rodzinę, a równocześnie spłacania wcześniej zaciągniętych zobowiązań. A może dowiedział się, też w tamtych dniach, jak fachowo nazywa się choroba mojej matki, dlaczego drżą jej ręce i że nie da się jej wyleczyć. Albo odkrył, że zakochał się w niewłaściwej kobiecie.

Nie wiadomo. Ale od tamtej pory odzyskałam sen.

Głosy

Kiedy moja matka dorastała, chodziła z całą rodziną na tańce. Zwykle odbywały się one w budynku szkoły lub w jednym z wiejskich domów, jeżeli był tam wystarczająco obszerny pokój. Przychodzili młodzi i starzy. Ktoś zazwyczaj przygrywał na pianinie – domowym albo szkolnym – a ktoś inny przynosił skrzypce. Popularny był tak zwany taniec w cztery pary, który miał dosyć skomplikowane układy i kroki. Zwykle tańczącym przewodził wodzirej (i zawsze był to mężczyzna). Polecenia wygłaszał, rycząc na cały głos i nie wiadomo dlaczego tak szybko – w ogóle nie można go było zrozumieć, chyba że dobrze znało się taniec. I rzeczywiście większość uczestników zabawy zdążyła poznać wszystkie jego tajniki przed ukończeniem dziesiątego lub dwunastego roku życia.

Teraz moja matka jest już mężatką z trójką dzieci, ale wciąż jeszcze jej wiek i temperament upoważniałyby ją do tego, by czerpać radość z takich tańców, pod warunkiem że mieszkałaby na prawdziwej wsi, gdzie wciąż jeszcze odbywają się tradycyjne potańcówki. Pewnie przypadłby jej do gustu również wykonywany w parach taniec wirowy, który do pewnego stopnia zaczął wypierać dawny styl. Ale matka była w trochę dziwnej sytuacji. Podobnie jak my wszyscy. Nasza rodzina mieszkała bowiem poza miastem, ale jeszcze nie na wsi.

Mój ojciec, znacznie bardziej lubiany niż matka, był mężczyzną, który wierzył, że należy przyjmować wszystko, co niesie ze sobą życie. Jego żona była inna. Pokonała długą drogę i ze zwykłej wiejskiej dziewczyny stała się nauczycielką, ale to jej nie wystarczało, nie dawało takiej pozycji, która by ją zadowalała, ani takich przyjaciół, z którymi lubiłaby się spotykać, gdyby żyła w mieście. Mieszkała w nieodpowiednim miejscu, nie miała dosyć pieniędzy, a oprócz tego wciąż brakowało jej czegoś jeszcze. Grywała w euchre, ale już nie w brydża. Na widok palącej kobiety czuła się osobiście dotknięta. Ludzie uważali pewnie, że zadziera nosa i jest nadmiernie przywiązana do konwencji. Posługiwała się takimi zwrotami jak: „z miłą chęcią” czy „w rzeczy samej”, jakby się wychowała w dziwnej rodzinie, w której zawsze dialogowano w ten sposób. A przecież wcale tak nie było. Moje ciotki i wujowie rozmawiali na swoich farmach całkiem zwyczajnie, jak wszyscy inni. I nie przepadali zbytnio za moją matką.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie robiła nic innego, że tylko użalała się nad sobą. Tak jak zwykle kobiety, miała mnóstwo obowiązków – do kuchni trzeba było taszczyć balie, bo brakowało bieżącej wody, a przez większą część lata robić zapasy na zimę. Z tego samego powodu nie znajdowała też czasu, by dawać upust swojemu rozczarowaniu moją osobą, a na pewno doszłoby do tego w innych okolicznościach. Gdyby nie była tak zapracowana, zastanawiałaby się, dlaczego wracając ze szkoły w mieście, nie przyprowadzam do domu odpowiednich przyjaciół czy choćby jakichkolwiek znajomych. I co wyprawiałam z włosami? (Rozczesywałam loki, a to było profanacją, której się jednak notorycznie dopuszczałam, nawet zanim jeszcze poszłam do szkoły, ponieważ nikt inny nie nosił takiej fryzury, jaką robiła mi matka). Albo dlaczego nauczyłam się wymigiwać od śpiewania hymnów w szkółce niedzielnej, skoro kiedyś tak bardzo to lubiłam? A moja fenomenalna niegdyś pamięć do poezji? Nagle zaczęła poważnie szwankować, zwłaszcza gdy trzeba było popisywać się recytacją wierszy, czego już nigdy więcej nie zamierzałam robić.

Ja na razie nie zgłaszam pretensji do świata. Jeszcze nie. Mam teraz prawie dziesięć lat, bardzo chcę się ładnie ubrać i towarzyszyć mojej mamie, gdy wychodzi na zabawę.

Tańce odbywały się w jednym z przyzwoicie utrzymanych, ale niezbyt bogato wyglądających domów przy naszej ulicy. Duży drewniany budynek zamieszkiwali zupełnie nieznanymi mi ludźmi. Coś więcej wiedziałam jedynie na temat męża pani domu, który pracował w odlewni, chociaż z racji wieku mógłby uchodzić za mojego dziadka. W tamtych czasach nie odchodziło się z odlewni ot tak. Każdy starał się pracować jak najdłużej i próbował zaoszczędzić pieniądze na gorsze czasy. Przejście na emeryturę zawsze było uważane za dyshonor, nawet jeśli następowało w samym środku tak zwanego Wielkiego Kryzysu, którą to nazwę przyswoiłam sobie dopiero później. Dopuszczenie do takiej sytuacji przynosiło wstyd również dorosłym dzieciom, bez względu na to, w jakich tarapatach same akurat były.

Obecnie nasuwają mi się pytania, które wcześniej nie przychodziły mi do głowy.

Czy ludzie, u których była organizowana potańcówka, robili to wyłącznie z potrzeby zapewnienia sobie rozrywki? Czy też czerpali z tego jakieś zyski? Mogli wpaść w jakieś poważne kłopoty, nawet jeśli mąż miał pracę. Wystarczą same rachunki za leczenie. Dobrze wiedziałam, jak strasznie potrafią obciążyć skromny rodzinny budżet. Moja młodsza siostrzyczka była, jak to się mówi, wątłego zdrowia i miała usuwane migdałki. Brat i ja nieodmiennie każdej zimy zapadaliśmy na ciężkie zapalenie oskrzeli i trzeba było wzywać doktora. A lekarze kosztują.

Inną rzeczą, która mogła mnie zastanawiać, był fakt, iż to ja towarzyszyłam matce w tych wyjściach, a nie ojciec. Ale właściwie nie ma w tym nic zagadkowego. Możliwe, że ojciec, w przeciwieństwie do matki, po prostu nie lubił tańczyć. A poza tym w domu oprócz mnie była dwójka maluchów, a ja nie mogłam się nimi zajmować z powodu zbyt młodego wieku. Nie pamiętam, żeby moi rodzice kiedykolwiek wynajmowali opiekunkę do dziecka. Nie wiem nawet, czy w tamtych czasach takie pojęcie w ogóle funkcjonowało. Kiedy byłam nastolatką, dorabiałam sobie w ten sposób, ale do tego czasu wiele zdążyło się zmienić.

Na zabawę szło się w najporządniejszych ubraniach, ale na wiejskich potańcówkach, które zapamiętała moja mama, nie widywało się takich wymyślnych strojów, jakie w późniejszym okresie można było zobaczyć w telewizji, w programie *Taniec w cztery pary*. Jeżeli ktoś pokazałby się w falbankach i dekoracyjnych chustach, które rzekomo stanowiły nieodłączny element stroju ludowego, zostałyby to odebrane jako afront zarówno przez gospodarzy, jak i pozostałych uczestników zabawy. Ja miałam sukienkę, którą uszyła mi mama, zrobioną z miękkiej, odpowiedniej na zimę wełny. Spódnica była różowa, góra żółta, a na lewej piersi (biust ledwie się zarysowywał) widniało serce wyhaftowane różową wełnianą nicią. Moje włosy – odpowiednio zwilżone i uformowane w długie pukle – przypominały tłuste kiełbaski. Pozbywałam się tych loków codziennie w drodze do szkoły. Mówiłam mamie, że inni nie noszą takich fryzur, a ona odpowiadała, że nie mają tyle szczęścia. Przestałam narzekać, ponieważ strasznie chciałam iść z mamą, a może dlatego, że i tak nie spodziewałam się spotkać tam nikogo z mojej szkoły, wygląd był więc właściwie bez znaczenia. Bo ja najbardziej zawsze bałam się szyderstw ze strony szkolnych koleżanek i kolegów.

Kreacja matki nie została uszyta własnym sumptem. Była to jej najlepsza suknia, zbyt elegancka do kościoła i zbyt biesiadna jak na pogrzeb, dlatego rzadko noszona. Zrobiono ją z czarnego aksamitu, miała rękawy do łokcia i płytki dekolt. Jej najwspanialszą ozdobę stanowiły bardzo liczne koraliki: złote, srebrne, różnokolorowe, naszyte na stan sukni i odbijające światło, mieniące się przy każdym poruszeniu, a nawet przy każdym oddechu. Matka splatała włosy, w większości wciąż jeszcze czarne, w warkocze i robiła z nich koronę ciasno okalającą głowę. Gdyby to nie była moja mama,

pomyślałabym, że to jakaś niesamowicie przystojna pani. Chyba faktycznie tak ją postrzegałam, ale gdy tylko znalazłyśmy się w tym dziwnym domu, musiałam zauważyć, że najlepsza suknia mamy nie była ani trochę podobna do sukien innych obecnych tam kobiet, chociaż i one włożyły na tę okazję swoje najlepsze stroje.

Niektóre uczestniczki zabawy siedziały w kuchni. My również do nich dołączyłyśmy i zaczęłyśmy przyglądać się jedzeniu ustawionemu na dużym stole. Były tam najróżniejsze rodzaje tart, ciasteczek, placków i tortów. Moja mama również postawiła na stole jakieś wykwintne, upieczone przez siebie ciasto, przy którym wciąż jeszcze coś udoskonalała. Głośno zachwalała wszystkie wypieki i mówiła, że wyglądają niezwykle apetycznie.

Czy na pewno powiedziała: „apetycznie”? Bez względu na to, jakim dokładnie słowem się posłużyła, zawsze brzmiało ono trochę dziwnie. Żałowałam wtedy, że nie było z nami mojego taty, który zawsze mówił to, co należało w danej sytuacji powiedzieć, nawet jeśli uciekał się do konwencji. Język, którego używał w domu, był zawsze poprawny pod względem gramatycznym, ale już w towarzystwie ojciec nie stronił od potoczności. Zawsze starał się włączać do rozmowy – rozumiał, że lepiej jest mówić tak jak inni i nie silić się na wyszukane zwroty, by nie być posądzonym o pretensjonalność. Matka postępowała dokładnie odwrotnie. Słowa w jej ustach zawsze brzmiały wyraźnie, dźwięcznie i miały zwracać uwagę.

Również i teraz tak właśnie się zachowywała, próbując pokryć radosnym śmiechem to, że nikt z nią nie rozmawia. Pytała, gdzie mogłybyśmy zostawić nasze okrycia.

Okazało się, że gdziekolwiek, ale – jak powiedziała któraś z obecnych tam osób – jeśli mamy ochotę, możemy zanieść je na górę i położyć na łóżku. Na piętro prowadziła zabudowana ciemna klatka schodowa, oświetlona dopiero na samym szczycie. Matka poleciła mi, żebym poszła przodem, a ona zaraz do mnie dołączy; tak też zrobiłam.

Można by sobie postawić pytanie, czy rzeczywiście za udział w potańcówce trzeba było wносить jakąś opłatę. Niewykluczone, że matka została chwilę na dole, aby to załatwić. Ale z drugiej strony, czy proszono by wówczas ludzi, żeby przynosili ze sobą poczęstunek? I czy wszystkie te przysmaki naprawdę aż tak bardzo cieszyły oczy, jak to utrwaliło się w mojej pamięci? Przy panującej wtedy biedzie? Chociaż możliwe, że wówczas bieda nie dawała się już tak bardzo we znaki, bo wojna przyniosła nowe miejsca pracy, no i żołnierze ślali do domu pieniądze. Jeżeli w tamtym okresie byłam dziesięcioletnią dziewczynką, a myślę, że tak właśnie było, oznacza to, że korzystne zmiany następowały już od dwóch lat.

Schody na górę wychodziły z kuchni i z dużego pokoju na dole, a potem łączyły się ze sobą w jeden ciąg prowadzący na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Zdążyłam zdjąć płaszcz i buty w schludnym, położonym od frontu pokoiku. Głos mojej mamy nadal rozbrzmiewał na dole, w kuchni. Ale ponieważ z pomieszczenia, gdzie miała odbywać się zabawa, dobiegała muzyka, zdecydowałam się pójść właśnie tam i nie wracać już do niej.

Z dużego pokoju gościnnego, pełniącego funkcję sali tanecznej, wyniesiono wszystkie meble z wyjątkiem pianina. Okna przesłonięte były ciemnozielonymi roletami, które wydawały mi się szczególnie ponure. Za to panująca tu atmosfera daleka była od smutku. Wiele osób tańczyło w parach, z godnością i poszanowaniem dobrych obyczajów. Przemieszczali się posuwistym krokiem albo zataczali koła. Kilka dziewcząt w wieku szkolnym ćwiczyło nowy taniec, który właśnie zaczynał być modny. Poruszały się, stojąc naprzeciwko siebie, i czasem łapały się za ręce. Gdy weszłam, przywitały mnie szczerym uśmiechem. Od razu zrobiło mi się miło, jak zawsze, gdy jakaś pewna siebie starsza koleżanka zechciała okazać mi swoje zainteresowanie.

Wśród tańczących była kobieta, której nie dało się nie zauważyć. Musiała być sporo starsza od mamy. Miała siwe włosy i elegancką fryzurę, na którą składały się starannie ułożone fale – efekt popularnej w tamtym czasie trwałej ondulacji. Nieznajoma była postawną osobą o ładnej linii ramion i szerokich biodrach. Jej suknia – ze złoto-pomarańczowej tafty, z dość głęboko wyciętym kwadratowym dekoltem i spódnicą ledwo zakrywającą kolana – bez trudu przyćmiłaby suknię matki. Krótkie rękawki ciasno opinały jej ramiona, które były masywne, gładkie i białe niczym smalec.

Kobieta robiła naprawdę niesamowite wrażenie. Nigdy bym nie pomyślała, że będąc starym, można prezentować się tak wytwornie, być mocnej budowy, ale mieć także mnóstwo wdzięku, prowokować, a zarazem wyglądać godnie i dostojnie. Ktoś mógłby ją nazwać bezwstydnicą i zdaje się, że moja matka później tak właśnie się o niej wyraziła – w charakterystyczny dla siebie, wyniosły sposób. Inny, nieco lepiej usposobiony uczestnik zabawy powiedziałby raczej, że ta kobieta wyglądała imponująco. Z pewnością nie starała się brylować, może tylko wyróżniała się stylem i kolorem sukienki. Ona i mężczyzna, z którym tańczyła, nawzajem okazywali sobie szacunek, ale wydawali się trochę nieobecni duchem, niczym małżonkowie.

Nie wiedziałam, jak się nazywa. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Nie miałam też pojęcia, że w naszym mieście, a może jeszcze dalej, rzekomo cieszyła się złą sławą.

Myślę, że gdybym pisała powieść zamiast wspomnień opartych na faktach, nigdy nie kazałabym jej włożyć tamtej sukienki. Był to bowiem ten rodzaj reklamy, którego nie potrzebowała.

Oczywiście, gdybym mieszkała w mieście, a nie tylko jeździła tam do szkoły, pewnie dotarłoby do mnie, że kobieta ta była znaną prostytutką. Bez wątpienia prędzej czy później bym ją zobaczyła, chociaż nie w tamtej pomarańczowej sukience. Z pewnością też nie użyłabym słowa prostytutka. Powiedziałabym raczej: „zła kobieta”. Bardziej wyczułabym, niż w sposób świadomy wiedziała, że jest w niej coś nieprzyzwoitego i niebezpiecznego, ekscytującego i wyzywającego. Gdyby ktoś wtedy próbował powiedzieć mi prawdę, nie sądzę, bym uwierzyła.

W mieście było parę osób, które wyglądały dość niezwykle, i całkiem możliwe, że w moim pojęciu kobieta z potańcówki również zaliczała się do tej grupy. Należał do niej pewien garbus, który codziennie polerował drzwi ratusza i chyba nie zajmował się niczym więcej. Była też kobieta, która wprawdzie ubierała się całkiem stosownie, ale ciągle mówiła coś do siebie na głos, strofując postaci, których nikt inny poza nią nie widział.

Z czasem pewnie poznałabym nazwisko kobiety w pomarańczowej sukni, w końcu odkryłabym również, że naprawdę robiła to wszystko, co nie mieściło mi się w głowie. I że mężczyzna tańczący z nią na zabawie, którego nazwiska raczej nigdy nie poznałam, był właścicielem klubu bilardowego. Pewnego dnia, gdy chodziłam do szkoły średniej, mijałyśmy ten klub po drodze i koleżanki podpuściły mnie, żebym weszła do środka. Dałam się namówić, zrobiłam to, co chciały, i tam go zobaczyłam. Ten sam mężczyzna, z tą tylko różnicą, że ubyło mu włosów, przybyło tuszy, a jego ubranie wyglądało na bardziej sfatygowane. Nie przypominam sobie, żeby coś do mnie powiedział. Ale przecież nie musiał. Popędziłam z powrotem do moich przyjaciółek, które chyba nie do końca nimi były, i nic im nie powiedziałam.

Kiedy zobaczyłam właściciela klubu, wróciły do mnie obrazy sprzed lat – tamten taniec, dudniące pianino, dźwięk skrzypiec, pomarańczowa suknia, którą w późniejszym okresie uznałabym za śmieszna i żalonna; nagle pojawienie się mojej mamy w płaszczu, bo z jakiegoś powodu wcale go nie zdjęła.

Stała tam i zawołała mnie po imieniu, starając się przekrzyknąć muzykę. Gdy do niej podeszłam, mówiła tonem, którego szczególnie nie znosiłam, jakby chciała mi uświadomić, że to przecież dzięki

niej pojawiłam się na świecie.

– Gdzie masz płaszcz? – zapytała, sugerując, że gdzieś go zawieruszyłam.

– Jest na górze.

– No to idź po niego.

Wiedziałyby, że tam jest, gdyby sama wcześniej pofatygowała się na górę. Ale pewnie wcale nie opuściła kuchni. Bez wątpienia krążyła po niej w rozpiętym płaszczu, robiąc mnóstwo szumu wokół jedzenia, aż w końcu zajrzała do pokoju, gdzie odbywały się tańce, i rozpoznała tancerkę w pomarańczowej sukni.

– Tylko się nie ociągaj.

Wcale nie miałam takiego zamiaru. Otworzyłam drzwi prowadzące na korytarz i ruszyłam prędko na górę, ale okazało się, że na zakręcie schodów siedzieli jacyś ludzie, blokując przejście. Nie spostrzegli, że się do nich zbliżam – ich uwagę zaprzętało coś, jak mi się zdawało, bardzo ważnego. Toczyli rozmowę, ale nie była to kłótnia, raczej pospieszne wyjaśnianie jakiejś sprawy.

W grupie tej było dwóch młodych mężczyzn. W mundurach Sił Powietrznych. Jeden siedział wyżej, a drugi nieco niżej, wychylony do przodu, z ręką na kolanie. Stopień nad nimi zajmowała dziewczyna, a mężczyzna obok niej uspokajająco klepał ją po nodze. Pomyślałam, że pewnie spadła z tych wąskich schodów i się skaleczyła, bo płakała.

Peggy. Na imię miała Peggy.

– Peggy, Peggy, już dobrze – młodzi lotnicy usilnie starali się ją pocieszyć, w ich głosach pobrzmiwała chyba nawet nuta czułości.

Ona coś powiedziała, ale nie zrozumiałam co. Miała dziecinny głos. Skarżyła się, jakby spotkała ją krzywda. Ludzie w podobnej sytuacji nie przestają mówić, że spotkała ich niesprawiedliwość, ale w ich głosie i tak nie ma nadziei na zadośćuczynienie za zło, którego doznali. Innym słowem przywoływanym w takich okolicznościach jest „podłość”. „To takie podłe”. „Ktoś podle się zachował”.

Kiedy przysłuchiwałam się rozmowie matki z ojcem, gdy już wróciliśmy do domu, dowiedziałam się wprawdzie, co się stało, ale i tak nie potrafiłam do końca wszystkiego zrozumieć. Panią Hutchinson przywiózł na tańce właściciel klubu bilardowego, o którym wówczas nie wiedziałam nawet, że ma klub. Nie wiem też, jakie nazwisko moja matka wtedy wymieniła, ale pamiętam, że była naprawdę przygnębiona i skonsternowana postępkim tego mężczyzny. Wieści o planowanej zabawie rozeszły się po okolicy i kilku chłopców z Port Albert – to znaczy z tamtejszej bazy Sił Powietrznych – również zdecydowało się przyjechać. Oczywiście nikt nie miał nic przeciwko temu. Chłopcy z Sił Powietrznych byli w porządku. To pani Hutchinson swoim pojawieniem się wywołała skandal. Ona i ta dziewczyna. Przyprowadziła ze sobą jedną ze swoich panienek.

– Chyba po prostu miała ochotę gdzieś wyjść – stwierdził ojciec. – Może zwyczajnie lubi tańczyć.

Matka wydawała się w ogóle nie słyszeć jego słów. Powiedziała, że to wstyd. Każdy liczył przecież, że przyjemnie spędzi czas na przyzwoitych tańcach i zabawie, wśród znajomych z sąsiedztwa, a tymczasem wszystko zostało zepsute.

Na potańcówce przyjął się zwyczaj oceniania wyglądu starszych dziewcząt. Nie uważałam, żeby Peggy jakoś szczególnie wyróżniała się urodą. Możliwe, że cały jej makijaż spłynął, gdy płakała. Upięte do góry włosy mysiego koloru tu i ówdzie wysuwały się spod spinek. Jej paznokcie były wprawdzie wypolerowane, ale wyglądało na to, że Peggy je obgryzała. Nie wydawała się doroślejsza niż inne znane mi starsze dziewczyny, przebiegłe, ciągle niezadowolone i narzekające na wszystko. A jednak tamci młodzi mężczyźni zachowywali się w stosunku do niej tak, jakby była

delikatną i kruchą osobką, którą należało chronić przed nieprzyjemnymi zdarzeniami, traktować wyrozumiale i z szacunkiem.

Jeden z nich zaferował jej kupnego papierosa. Było to coś w rodzaju prezentu, bo na przykład mój ojciec palił skręty, tak samo jak inni, których znałam. Ale Peggy potrząsnęła głową i zranionym głosem powiedziała, że nie pali. Wtedy drugi z mężczyzn zaproponował jej gumę do żucia, którą przyjęła.

Co takiego się właściwie stało? Nie potrafiłam się w tym rozeznaczyć. Żołnierz, który częstował gumą do żucia, zauważył mnie, gdy przeszukiwał kieszenie, i powiedział:

– Peggy, jakaś mała dziewczynka stoi na schodach i chyba chce dostać się na górę.

Spuściła głowę, żebym nie mogła spojrzeć jej w twarz. Gdy ją mijałam, owiały mnie jej perfumy. Czułam też zapach papierosów, wojskowych wełnianych mundurów i wypolerowanych butów.

Kiedy wracałam z płaszczem na dół, oni nadal tam siedzieli, ale tym razem byli przygotowani, że za moment się pojawię, dlatego milczeli, gdy przechodziłam. Tylko Peggy głośno pociągnęła nosem, a młody człowiek, który siedział najbliżej niej, nadal głaskał ją po udzie. Dziewczyna miała podciągniętą spódnicę i dlatego dostrzegłam klamerkę przytrzymującą jej pończochę.

Przez długi czas pamiętałam brzmienie ich głosów. Wiele o nich rozmyślałam. Nie o głosie Peggy, lecz tamtych młodych mężczyzn. Teraz wiem, że część żołnierzy stacjonujących w bazie Sił Powietrznych w Port Albert przyjechała z Anglii i była tam szkolona do walki z Niemcami. Dlatego teraz zastanawiam się, czy to jakiś lokalny brytyjski akcent sprawił, że ich głosy wydały mi się takie łagodne i pełne uroku. Bez wątpienia nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby mężczyzna zwracał się do kobiety w ten sposób, uważał ją za tak wspaniałą i niezwykłą istotę, że wszelkie przejawy nieuprzejmości względem niej traktował nieomal jak naruszenie prawa, jak grzech.

Co, moim zdaniem, sprawiło, że Peggy płakała? W tamtym czasie ta akurat kwestia nie bardzo mnie interesowała. Ja sama nie zaliczałam się do osób dzielnych. Płakałam, kiedy ktoś mnie gonił i rzucał we mnie kamykami, gdy wracałam do domu z mojej pierwszej szkoły; kiedy nauczycielka w miejskiej szkole wskazała na mnie i przy całej klasie powiedziała, żeby zobaczyli, jaki mam na ławce okropny bałagan. Roniłam łzy także wtedy, gdy nieco później zadzwoniła w tej sprawie do mojej mamy, a ona ze wstydu również zaczęła płakać, bo z pewnością moje zachowanie nie przyniosło jej chwały. Widocznie niektórzy ludzie są z natury dzielni, a inni nie. Ktoś musiał coś Peggy powiedzieć i nie zdołała powstrzymać się od łez, bo podobnie jak ja nie była odporna na krytykę.

Nie wiadomo dlaczego pomyślałam, że wszystkiemu winna jest ta kobieta w pomarańczowej sukni – to ona musiała zachować się podle wobec Peggy. Byłam pewna, że zawiniła właśnie ona. Bo gdyby zrobił to mężczyzna, z pewnością zostałby ukarany przez jednego z lotników, którzy starali się pocieszyć Peggy. Powiedziałby mu, żeby się liczył ze słowami, albo wyciągnął go na dwór i spuścił manto.

Tak więc nie byłam zbytnio zainteresowana samą Peggy, tym, że płakała i wyglądała marnie. Za bardzo przypominała bowiem mnie. To jej pocieszyciele tak naprawdę wzbudzili mój zachwyt. Byłam pod wrażeniem ich delikatności i tego, że zdecydowali się stanąć w jej obronie.

Co takiego do niej mówili? Nic szczególnego. „Będzie dobrze – zapewniali. – Wszystko będzie dobrze, Peggy. No już, Peggy. Już dobrze. Nie trzeba się martwić”.

Zwykła uprzejmość. Każdy mógłby się zachować tak jak oni.

To prawda, że ci młodzi mężczyźni – sprowadzeni do naszego kraju po to, by się nauczyć przeprowadzania nalotów bombowych, w czasie których tak wielu z nich ginęło – mogli posługiwać

się językiem ze zwykłym akcentem i bez jakiejś szczególnej intonacji, tak jak się mówiło na co dzień w Kornwalii, Kent, Hull lub w Szkocji. Ale dla mnie każde ich słowo brzmiało jak błogosławieństwo, którym cały czas się dzielili. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy z tego, że nad ich przyszłością zawisła zagłada ani też, że ich dawne zwyczajne życie legło w gruzach, rozpadło się w proch. Myślałam tylko o błogosławieństwie, którego udzielali, i sama chciałam stać się jego adresatką. Peggy, która w sposób niezасłużony została tak hojnie obdarzona ich troską i uwagą, wydawała mi się niesamowitą szczęściarą.

I sama już nie wiem, jak długo o nich myślałam. W zimnej, ciemnej sypialni kołysali mnie do snu. Za każdym razem udawało mi się przywołać ich twarze i głosy – z tą jednak różnicą, że wówczas były przeznaczone tylko dla mnie, ponieważ osoby trzecie zostały z moich wyobrażeń usunięte. Dłonie lotników błogosławiły teraz moje własne chude uda, a głosy zapewniały mnie, że ja również zasługuję na miłość.

Choć zamieszkiwali świat moich fantazji, jeszcze niezupełnie erotycznych, to jednak odeszli. A wielu z nich odeszło na zawsze.

Drogie życie

Mieszkałam na końcu długiej drogi, a przynajmniej w taki sposób to wówczas postrzegałam. Daleko za mną – gdy wracałam do domu ze szkoły, najpierw podstawowej, a potem średniej – zostawało tętniące życiem miasto, razem z jego gwarem, chodnikami i latarniami zapalonymi po zmroku. Granice miasta wyznaczały dwa mosty przerzucone przez rzekę Maitland: jeden wąski, żelazny, trudno przejezdny, bo czasami należało się wycofać i przepuścić najpierw auto jadące z przeciwka, oraz drugi, drewniany, w którym od czasu do czasu brakowało jakiejś deski, widać więc było płynącą w dole błyszczącą i wartką rzekę. Lubiłam patrzeć przez te otwory na wodę, ale w końcu zawsze ktoś uzupełniał brakujące kawałki drewna.

Nieco dalej znajdowała kotlinka z paroma małymi, rozpadającymi się domami, podtapianymi każdej wiosny, ale ludzie – całkiem różni – nie zważając na te niedogodności, przychodzili i zasiedlali ją na nowo. Wreszcie był kolejny most, zbudowany na młynówce, wąskiej, ale tak głębokiej, że można się było w niej utopić. Dalej droga się rozwidła. Jedna odnoga biegła pod górę, na południe i znowu przez rzekę, by w końcu ustąpić miejsca autostradzie, a druga – wokół starych targowisk i skręcała na zachód.

To była moja droga.

Była też inna, z prawdziwym chodnikiem na krótkim odcinku, prowadząca na północ, przy której stało kilka domów jeden przy drugim, co stwarzało wrażenie, że wciąż jest się w mieście. W oknie jednego z nich nadal widniała tablica z napisem: „Herbata Salada”, znak, że kiedyś sprzedawano tutaj artykuły spożywcze. Dalej znajdowała się szkoła, do której chodziłam przez dwa lata i nigdy więcej nie chciałam jej oglądać. Nie musiałam, bo matka nakłoniła ojca, by kupił starą szopę w mieście, za którą trzeba było uiszczać podatek, a ja dzięki temu mogłam przenieść się do szkoły miejskiej. Jak się później okazało, matka niepotrzebnie się starała, bo w tym samym roku, dokładnie w tym miesiącu, kiedy rozpoczęłam naukę w mieście, wybuchła wojna z Niemcami i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w starej szkole – w której moi klasowi prześladowcy zabierali mi śniadanie, grozili, że mnie stłuką, i gdzie pośród ciągłego zgiełku nikt niczego się nie uczył – nagle zapanował spokój. Wkrótce była tam tylko jedna sala lekcyjna i jeden nauczyciel, który podczas przerwy nawet nie zamykał drzwi na klucz. Najwidoczniej te same chłopaczyska, które, budząc mój przestach, wciąż z upodobaniem zadawały mi retoryczne pytanie, czy mają mnie przelecieć, równie gorliwie ruszyły do pracy, gdy ich starsi bracia zostali powołani do wojska.

Nie wiem, czy porządek w toaletach nieco się poprawił, czy nie, ale właśnie ten aspekt szkolnego życia doskwierał mi najbardziej. Przy domu mieliśmy tylko wychodek, ale ten nasz był przynajmniej czysty, a na podłodze leżało linoleum. Natomiast w starej szkole, nie wiadomo czy to z chęci okazania lekceważenia, czy z jakiejś innej przyczyny, nikt nawet się nie starał, żeby trafić w otwór ubikacji. Naturalnie w nowej szkole również nie było mi łatwo – z różnych względów, bo przecież byłam nowa, a wszyscy się tam znali od pierwszej klasy. Jeśli chodzi o naukę, wielu rzeczy jeszcze nie opanowałam – ale widok czystych toalet i przyjemny szum splukiwanej wody (w mieście działała bowiem kanalizacja) wpływały na mnie kojąco.

Gdy chodziłam jeszcze do starej szkoły, udało mi się zaprzyjaźnić z jedną osobą. Dziewczyna,

którą nazwę Diana, pojawiła się w naszej klasie w trakcie drugiego roku nauki. Była mniej więcej w moim wieku i mieszkała w jednym z tych domów na ulicy z chodnikiem. Zapytała mnie któregoś dnia, czy potrafię zatańczyć *Highland Fling*, taniec wykonywany przez górali szkockich. Kiedy zaprzeczyłam, zaproponowała, że mnie nauczy. W tym celu któregoś dnia poszliśmy po lekcjach do jej domu. Matka Diany zmarła i dziewczyna przeprowadziła się do dziadków. Wy tłumaczyła mi, że zabierając się do ćwiczenia *Highland Fling*, trzeba zaopatrzyć się w specjalne buty, które odpowiednio stukają podczas tańca. Ona je oczywiście miała, a ja nie, ale ponieważ nosiliśmy zbliżony rozmiar, mogłam je od niej pożyczać, kiedy Diana uczyła mnie kroków. W końcu zachciało nam się pić i babcia poczęstowała nas wodą, która jednak smakowała okropnie, bo była czerpana z tradycyjnej studni kopanej, podobnie jak ta w szkole. Wyjaśniłam, że dużo lepsza jest ze studni wierconej, jaką mamy w domu. Babcia Diany w ogóle się na te słowa nie obraziła, tylko powiedziała, że też chciałaby móc z takiej korzystać.

Ale potem, zdecydowanie za wcześnie, pojawił się przed domem Diany samochód mojej mamy, która najpierw pojechała do szkoły i dowiedziała się, dokąd poszłam. Nacisnęła klakson, żeby mnie przywołać, a później w ogóle nie zareagowała, gdy babcia Diany przyjaźnie machała do nas na pożegnanie. Matka niezbyt często prowadziła auto, dlatego jak już siadała za kierownicą, stwarzała niezwykle poważną i nieco napiętą atmosferę. W drodze powrotnej nakazała mi, żebym nigdy więcej tam nie chodziła (co łatwo było spełnić, ponieważ już kilka dni później Diana przestała pokazywać się w szkole – została gdzieś odesłana). Wyjaśniłam mamie, że matka Diany umarła, a ona przyznała, że już wcześniej o tym słyszała. Opowiedziałam jej też o *Highland Fling*, na co odparła, że owszem, mogę się go uczyć, jeśli mi na tym zależy, ale nie w domu Diany.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam – i nie wiem, kiedy to odkryłam – że matka Diany była prostytutką i umarła na jakąś przypadłość, na którą zapadają kobiety uprawiające ten zawód. Chciała być pochowana w rodzinnym mieście i pastor z naszego kościoła odprawił nabożeństwo. Powstała jednak kontrowersja co do tekstu, który wtedy przeczytał. Niektórzy byli zdania, że powinien go w ogóle pominąć, ale moja matka uznała jego decyzję za właściwą.

„Zapłatą za grzech jest śmierć”.

Matka powiedziała mi to dużo później, albo przynajmniej tak mi się wówczas zdawało, bo upłynęło bardzo dużo czasu. Byłam wtedy na takim etapie, że nienawidziłam wielu rzeczy, które nakazywała mi mama, zwłaszcza gdy zwracała się do mnie drżącym, wręcz podekscytowanym głosem i mówiła z pełnym przekonaniem.

Co jakiś czas biegłam odwiedzić babcię Diany. Zawsze witała mnie z uśmiechem. Cieszyła się, że nadal uczęszczam do szkoły, i przekazywała mi informacje o wnuczce, która również przykładnie chodziła na szkolne zajęcia, gdziekolwiek mieszkała – chociaż nie aż tak długo jak ja. Zgodnie z tym, co mówiła jej babcia, po zakończeniu nauki dostała pracę w restauracji w Toronto, gdzie nosiła strój wyszywany cekinami. Byłam już wtedy wystarczająco dorosła i na tyle zorientowana, by się domyślić, że prawdopodobnie tam, w jej miejscu pracy, nie wystarczyło nosić takiego stroju – należało go również z siebie zdejmować.

Nie tylko babcia Diany uważała, że moja edukacja się przedłuża. Przy naszej ulicy stało kilka domów bardziej od siebie oddalonych niż to zwykle bywa w mieście, ale przylegające podwórka i tak nie były zbyt duże. W jednym z nich, położonym na niewielkim wzniesieniu, mieszkał Waitey Streets, jednoręki weteran z okresu pierwszej wojny światowej. Hodował owce i miał żonę, którą widziałam przez wszystkie te lata tylko raz, gdy przyszła pod pompę po wodę. Waitey lubił żartować, jak to strasznie jest mu mnie żal. Uważał, że skoro tyle już lat tkwię w szkole, to widocznie nie

potrafię zdać wymaganych egzaminów, by zakończyć edukację. Ja też lubiłam się z nim przekomarzać i udawałam, że jest tak, jak on mówi. Nie miałam jednak pewności, co rzeczywiście sobie myśli. Był przecież tylko znajomym z ulicy, z którym wymienia się pozdrowienia, rozmawia o pogodzie, a jeśli szczęśliwym trafem ten ktoś wybiera się dokądś samochodem, można liczyć, że podrzuci nas do domu, i to wszystko. Brakowało w tych relacjach takiej zażyłości, jaka panuje na wsi, gdzie ludzie się nawzajem odwiedzają, wiedzą, jak kto mieszka, i mają podobne źródła zarobku.

Jeżeli chodzi o szkołę średnią, to w moim przypadku nauka wcale nie trwała dłużej, niż przewidywał program, czyli pełne pięć lat. Jednak tylko niewielka grupa uczniów ją kończyła. Nikt w tamtych latach nie wymagał, by wszyscy, którzy rozpoczynają edukację w klasie dziewiątej, dotarli do klasy trzynastej i zaliczyli ją, zdobywszy ogromny zasób wiedzy, w tym z dziedziny gramatyki. Młodzież często podejmowała pracę najpierw na część etatu, a potem już na cały. Dziewczęta wychodziły za mąż i rodziły dzieci – albo następowało to w odwrotnej kolejności. W trzynastej klasie z początkowej grupy uczniów pozostawało około jednej czwartej, za to wszyscy bardziej przykładali się do nauki, chcieli coś osiągnąć albo też po prostu uczyli się, zachowując spokój i pogodę ducha, bez jakiegoś praktycznego celu i oglądania się na to, co nastąpi później.

Czułam się, jakbym była oddalona o milion lat świetlnych od większości tych osób, które poznałam w dziewiątej klasie, nie wspominając już o uczniach ze szkoły podstawowej.

W kącie naszej jadalni stało coś, co zawsze mnie trochę intrygowało, gdy wyciągałam elektroluks, żeby odkurzyć podłogę. Wiedziałam, co to takiego – torba ze sprzętem do golfa, zupełnie jak nowa. W środku były kije i piłeczki. Zastanawiałam się, co torba robi w naszym domu. Prawie nie znałam zasad gry, ale miałam pewne refleksje na temat osób, które uprawiają ten sport. To nie byli ludzie pokroju mojego ojca, który najczęściej chodził w kombinezonie i zakładał lepsze spodnie dopiero wtedy, gdy szedł do miasta. Do pewnego stopnia byłam w stanie wyobrazić sobie matkę w sportowym ubraniu golfistki, przewiązującą ładne puszyste włosy chustką, ale już wbijanie piłki do dołka było raczej poza jej zasięgiem. Frywolność tej zagrywki zupełnie do niej nie pasowała.

Widocznie kiedyś matka postrzegала to inaczej. Pewnie miała nadzieję, że ona i ojciec któregoś dnia staną się innymi ludźmi, będzie ich stać na rekreację. Golf. Proszone obiady. Może wmówiła sobie, że tak naprawdę granice nie istnieją. Zdołała się przecież wyrwać z lichej farmy położonej na surowej Tarczy Kanadyjskiej – farmy o wiele uboższej niż ta, z której pochodził mój ojciec – i została nauczycielką, wyrażającą się w taki sposób, że jej bliscy krewni czuli się przy niej nieswojo. Pewnie mogło jej się wydawać, że po tak wielkim wysiłku, jaki podjęła, by zdobyć wykształcenie, wszędzie będą ją witać z otwartymi ramionami.

Ojciec trochę odmiennie patrzył na pewne sprawy. Może nie tyle uważał ludzi z miasta lub jakichś innych za lepszych od siebie, ale przyjmował, że być może oni się za takich uważają. I dlatego nigdy nie dawał im sposobności, by mogli tę wyższość okazać.

I wyglądało na to, że przynajmniej w kwestii golfa ojciec odniósł zwycięstwo.

Co nie oznacza jeszcze, iż pragnął żyć, po przejęciu po nich niezłe prosperującej farmy, tak, jak oczekiwali tego jego rodzice. Gdy on i jego żona opuścili środowiska, w których się wychowali, i kupili parcelę przy końcu drogi, w pobliżu nieznanego im miasta, z całą pewnością wiązali swoją przyszłość z hodowlą srebrnych lisów, a w perspektywie – norek. Jako chłopiec ojciec wolał być traperem niż pomagać na farmie albo chodzić do szkoły średniej – chciał się również wzbogacić. Uchwycił się tej myśli i sądził, że zdoła wytrwać przy swoim planie całe życie. Wszystko, co zarobił, inwestował w fermę lisów, do czego dokładała się również matka ze swojej pensji

nauczycielskiej. Ojciec sam wybudował kojce i zadaszone pomieszczenia, w których zwierzęta pędziły swój niewolniczy żywot, a potem otoczył wszystko drutem, by żadne z nich nie mogło wydostać się na zewnątrz. Parcela o powierzchni dwunastu akrów była wystarczająco duża – starczyło na łąkę oraz wybieg dla naszej krowy i starych koni, które pasły się tam, dopóki nie zostały zabite i przeznaczone na karmę dla lisów. Pastwisko lekko opadało w stronę rzeki. Rosło na nim dwanaście wiązów, które dawały przyjemny cień.

Na farmie często zabijano zwierzęta, co dotarło do mnie znacznie później. Stare konie szły na mięso dla lisów, a wśród zwierząt futerkowych każdej jesieni przeprowadzano ubój i pozostawiano tylko sztuki rozplodowe. Byłam jednak do tego przyzwyczajona i starałam się ignorować rzeczy nieprzyjemne, konstruując sobie całkiem inny, wyidealizowany obraz świata, jaki zapamiętałam z książek, które lubiłam: *Ani z Zielonego Wzgórza* albo *Pat ze Srebrnego Gaju*. Pomagały mi w tym gałęzie wiązów, które zwieszały się nad łąką, błyszcząca rzeka, a także źródło bijące niespodzianie na skarpie powyżej pastwiska. Zdrój ten dostarczał wodę dla przeznaczonych na śmierć koni, dla krowy, ale także dla mnie. Wlewałam ją do blaszanego kubka, który ze sobą zabierałam. Wokół zawsze rozchodził się zapach świeżego obornika, ale ten fakt również ignorowałam, tak jak zapewne robiła Ania, kiedy mieszkała na Zielonym Wzgórzu.

W tamtym okresie musiałam czasami pomagać ojcu, bo brat był jeszcze na to za mały. Pompowałam świeżą wodę i chodziłam tam i z powrotem wzdłuż kojców, czyszcząc pojemniki i napełniając je. Lubiłam to zajęcie. Taka praca wydawała mi się ważna, ceniłam też samotność, która się z nią wiązała. Później, gdy podrosłam, musiałam więcej pomagać mamie, czego nie znosiłam. Zajęcia domowe wykonywałam z rozżaleniem i wciąż rzucałam zjadliwe uwagi. Mówiono, że „pyskuję”. Matka twierdziła, że ranię jej uczucia, i chodziła do stodoły, żeby skarżyć się na mnie ojcu. Wtedy on musiał przerywać swoją pracę i bił mnie pasem. (W tamtym czasie był to często stosowany rodzaj kary). Potem leżałam w łóżku, zalewałam się łzami i snułam plany ucieczki. Ale ta faza również minęła i jako nastolatka nie sprawiałam już takich kłopotów, stałam się bardziej posłuszna, wręcz wesoła. Słyszałam nawet z tego, że w zabawny sposób opowiadałam o tym, co zasłyszałam w mieście, albo o wydarzeniach ze szkoły.

Nasz dom nie był ani za mały, ani za duży. Nie wiedzieliśmy, kiedy dokładnie go zbudowano, ale musiał liczyć sobie mniej niż sto lat, ponieważ dopiero w 1858 roku w miejscu o nazwie Bodmin – które zdążyło już zniknąć z mapy – pojawił się pierwszy osadnik. Mężczyzna ten sklecił tratwę, popłynął w dół rzeki, by w upatrzonej przez siebie okolicy dokonać wycinki drzew, tam gdzie później powstała cała wieś. W nowo powstałej osadzie wkrótce pojawiły się młyn, hotel, trzy kościoły i szkoła, ta sama podstawówka, do której ja potem chodziłam i której tak bardzo się bałam. Z czasem na rzece zbudowano most, a mieszkańcy doszli do wniosku, że znacznie dogodniej będzie zamieszkać na drugim, wyżej położonym brzegu, dlatego pierwotna osada znacznie się skurczyła, zamieniając się w ową niesławną, a potem już tylko osobliwą pół-wieś, o której wcześniej wspominałam.

Nasz dom nie został wzniesiony jako jeden z pierwszych. Obłożono go cegłą, a wszystkie pozostałe były tylko drewniane. Był zwrócony tyłem do wioski, a frontem wychodził na zachód, w kierunku lekko opadających w stronę rzeki łąk, ciągnących się aż do niewidocznego z domu miejsca, gdzie rzeka gwałtownie skręcała, tak zwanego Wielkiego Zakola. Za rzeką znajdował się pas ziemi porośnięty ciemnozielonymi iglastymi drzewami, najprawdopodobniej cedrem kanadyjskim, ale z daleka trudno to było ustalić. Jeszcze dalej, na następnym wzgórzu, stał kolejny dom, który z tej odległości wydawał się dosyć mały. Był obrócony fasadą w naszą stronę. Nigdy w nim nie byliśmy i nie wiedzieliśmy, jak wygląda w środku, mnie przypominał domek

krasnoludków z jakiejś opowieści. Zналиśmy jednak nazwisko człowieka, który w nim nadal mieszka albo kiedyś mieszkał, bo niewykluczone, że już nie żyje. Mężczyzna nazywał się Roly Grain i pomimo jego oryginalnego nazwiska, odpowiedniego dla trolla, nie wspomnę o nim więcej, bo nie jest to opowiadanie, lecz prawdziwa historia, jaką napisało życie.

Moja matka przed urodzeniem mnie dwukrotnie poroniła. Dlatego kiedy już przyszedłam na świat w 1931 roku, musiała odczuwać pewną satysfakcję. Tyle że czasy były coraz mniej obiecujące. Prawda jest taka – ojciec zaangażował się w interes futrzarski trochę za późno. Liczył, że odniesie sukces, i gdyby to była połowa lat dwudziestych, pewnie miałby na to spore szanse, ponieważ futra stały się wtedy znowu modne i ludzie mieli pieniądze. Ale ojciec nie zaczynał swojej działalności w latach prosperity. Mimo to jakoś udawało nam się przeżyć, zarówno w przededniu, jak i w trakcie wojny, a nawet pod jej koniec, kiedy to musiało dojść do pewnego ożywienia w handlu futrami, bo właśnie tamtego lata ojciec zdołał odnowić dom. Na tradycyjną czerwoną cegłę nałożono wówczas warstwę brązowej farby, ponieważ z jakiegoś powodu deski obłożone cegłą źle izolowały dom przed chłodem. Uważano, że pomalowanie cegieł farbą może pomóc, chociaż nie przypominam sobie, żeby faktycznie tak się stało. W tym samym czasie w domu urządzono łazienkę, nieużywany wyciąg kuchenny zabudowano szafkami, wielką jadalnię z otwartą klatką schodową przerobiono na tradycyjny pokój, a schody wydzielono. Ta zmiana, w pewien trudny do wyjaśnienia sposób, podziałała na mnie kojąco. Stary układ, z otwartą jadalnią, kojarzył mi się ze scenami przemocy, ponieważ tam właśnie tata dawał mi lanie, a ja pragnęłam umrzeć ze wstydu i upokorzenia. Teraz, w nowym pokoju, trudno mi było nawet sobie wyobrazić, że naprawdę dochodziło do czegoś takiego. Byłam w szkole średniej i co roku lepiej sobie radziłam, zwłaszcza że zajęcia takie jak haft mereżkowy i kaligraficzne pisanie z użyciem stalówki, obsadki i kałamarza należały już do przeszłości. Poza tym zamiast podstaw nauki o społeczeństwie pojawiła się wreszcie historia i można było uczyć się łaciny.

Po fali optymizmu, gdy sytuacja chwilowo się poprawiła i mogliśmy przeprowadzić remont, nasza ferma znowu zaczęła podupadać i już nigdy z tego upadku się nie podźwignęła. Ojciec wybił wszystkie lisy, a później także norki, i dostał za nie szokująco mało pieniędzy. W ciągu dnia zajmował się rozbiórką wszystkich pomieszczeń, w których nasz futrzarski biznes się narodził i wkrótce potem upadł, a później wychodził pracować do odlewni, na popołudniową zmianę. Do domu wracał koło północy.

Zaraz po przyjściu ze szkoły zabierałam się do przygotowywania lunchu dla taty. Smażyłam dwa kotlety wieprzowe, które obficie polewałam ketchupem. Termos napełniałam mocną czarną herbatą. Szykowałam też muffinkę z otrębami, posmarowaną dżemem, albo spory kawałek domowego placka. W soboty piekłam ciasto, a czasami robiła to matka, chociaż na jej pieczeniu od pewnego czasu nie można było do końca polegać.

Spotkało nas bowiem coś bardziej niespodziewanego i druzgocącego niż utrata dochodów, chociaż wtedy jeszcze nie byliśmy tego świadomi. Po czterdziestce ujawniły się u mamy początki choroby Parkinsona.

Początkowo nie wyglądało to najgorzej. Matce z rzadka tylko uciekały oczy, a z powodu nadmiaru śliny, wypływającej czasami w sposób niekontrolowany, meszek wokół ust stawał się bardziej widoczny. Z niewielką pomocą potrafiła się jednak rano sama ubrać, a nawet wykonywać drobne prace domowe. Miała w sobie jakąś niespożytą siłę, która pozwalała jej trwać zadziwiająco długo.

Można by pomyśleć, że spadło na nas zbyt wiele nieszczęść. Likwidacja interesu, postępująca

choroba matki. W literaturze coś takiego by nie przeszło. Dziwna rzecz, ale nie pamiętam, bym czuła się wtedy jakoś szczególnie nieszczęśliwa. W domu nie zapanowała atmosfera przygnębienia i beznadziei. Niewykluczone, że wówczas nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z tego, iż stan matki nie będzie się poprawiał, tylko pogarszał.

Jeśli chodzi o mojego ojca, on również potrafił być silny i pozostał taki jeszcze przez długie lata.

Ojciec szczególnie lubił pracę w odlewni, chociaż wieczorami dodatkowo jeszcze stróżował, bo w jego przekonaniu zajęcie odlewnika stanowiło pewne wyzwanie. Lubiał też mężczyzn, z którymi tam pracował, ponieważ byli do niego podobni. Odlewnia produkowała staromodne piece sprzedawane na cały świat. Robota ta była niebezpieczna (między innymi trzeba było wlewać roztopiony metal do form odlewniczych), ale ojciec lubił mawiać, że wystarczy uważać i tyle. W dodatku całkiem przyzwoicie płacili, a to było dla niego pewną nowością.

Przypuszczam, że ojciec był zadowolony, bo miał okazję się wyrwać, nawet jeżeli robota, którą wykonywał, była ciężka i ryzykowna. Mógł przebywać w towarzystwie mężczyzn, którzy tak jak on mieli własne problemy, ale starali się radzić sobie z nimi najlepiej, jak potrafili.

Po wyjściu ojca do odlewni zabierałam się do robienia kolacji. Wolno mi było przygotowywać dania w moim przekonaniu egzotyczne, takie jak spaghetti albo omlety, pod warunkiem że były tanie. A gdy wszystkie talerze zostały już umyte – moja siostra miała obowiązek je powycierać, a brata musiałam przynaglać, by mimo ciemności wyszedł na dwór i wylał pozostałą po zmywaniu wodę (mogłam to zrobić sama, ale lubiałam wydawać polecenia) – opierałam stopy o krawędź ciepłego jeszcze paleniska pieca kuchennego, z którego odpadły drzwiczki, i czytałam wielkie powieści wypożyczone z miejskiej biblioteki. Jedną z nich była książka *Niezależni*, opisująca życie na Islandii – daleko trudniejsze niż nasze, pogrążone w beznadziei, lecz pełne dostojeństwa. Czytałam też *W poszukiwaniu straconego czasu*, z której to powieści niczego nie mogłam pojąć, a jednak nie chciałam jej zarzucić. Kolejną była *Czarodziejska góra* – mówiła o gruźlicy, przedstawiała dwie przeciwstawne wizje świata: jasną i łagodną, odwołującą się do idei postępu, oraz mroczną, pełną wątpliwości i wiodącą ku rozpacz. Te godziny spędzone na czytaniu były dla mnie bardzo cenne i nawet nie myślałam wtedy, by zabrać się do odrabiania lekcji, ale kiedy zbliżał się czas egzaminów, potrafiłam się zmobilizować i siedzieć całymi nocami nad książkami, napychając głowę wszystkim, co powinnam wiedzieć, żeby zdać. Miałam dobrą pamięć krótkotrwałą, która w tym wypadku doskonale się sprawdzała.

Pomimo różnych trudności uważałam się za szczęściarę.

Niekiedy mama i ja wdawałyśmy się w rozmowę na temat jej lat młodości. W tamtym czasie sposób, w jaki moja matka postrzegała różne rzeczy, rzadko budził mój sprzeciw.

Kilka razy opowiedziała mi historię związaną z domem należącym obecnie do weterana wojennego o nazwisku Waitey Streets (wspominałam o nim wcześniej). Nie dotyczyła jednak ona pana Streetsa, lecz kogoś, kto mieszkał tam na długo przed nim, a mianowicie pewnej szalonej starej kobiety, pani Netterfield.

Podobnie jak my wszyscy, pani Netterfield zamawiała produkty spożywcze przez telefon, później dostarczane jej bezpośrednio do domu. Któregoś dnia, jak opowiadała matka, właściciel sklepu zapomniał włożyć do torby masło, albo też pani Netterfield zapomniała je zamówić. Gdy kierowca dostawczej furgonetki otworzył tylne drzwi, natychmiast zauważyła niedopatrzenie i bardzo ją to wytrąciło z równowagi. W pewien sposób była nawet na tę sytuację przygotowana, bo zabrała ze sobą siekiere. Podniosła ją, jakby zamierzała wymierzyć dostawcy karę – chociaż oczywiście nie było w tym żadnej jego winy. Chłopak błyskawicznie wskoczył za kierownicę i odjechał, nie

próbując nawet zamknąć tylnych drzwi.

Niektóre szczegóły w tej historii wydawały się naprawdę zagadkowe, chociaż wtedy ani ja, ani matka nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy. Skąd staruszka miała pewność, że w dostarczonych zakupach brakuje masła? I dlaczego przysłała z siekierą, skoro jeszcze nie wiedziała o niedopatrzeniu? Czy chodziła w ten sposób uzbrojona cały czas, ot tak, na wszelki wypadek?

We wsi mówiono, że gdy pani Netterfield była młodą kobietą, zachowywała się jak prawdziwa dama.

Wiązała się z nią jeszcze inna historia, która dla mnie była bardziej interesująca, bo dotyczyła bezpośrednio mojej osoby i rozegrała się w pobliżu naszego domu.

Był piękny jesienny dzień. Spałam sobie w dziecięcym wózekczku, który wystawiono na nowym trawniku przed domem. Taty po południu nie było, bo gdzieś wyjechał – może do swojego ojca, żeby pomagać mu na starej farmie, co czasem robił – mama zaś zajmowała się praniem. Byłam ich pierwszym dzieckiem i pewnie dlatego miałam całą masę paradnych ubrań – wdzianek robionych na drutach i rozmaitych wstążek, które trzeba było prać ręcznie, w ciepłej wodzie. Mama prała i wyżywała ubrania nad zlewem, przy którym nie było okna. Żeby wyrzeć na zewnątrz, musiała przejść przez cały pokój do okna położonego od północy. Stamtąd widać było podjazd, który prowadził od skrzynki pocztowej do domu.

Dlaczego mama zdecydowała się porzucić pranie i wyżywanie, żeby popatrzeć na drogę? Nie czekała przecież na gości. Mój ojciec też nie był spóźniony i nie trzeba go było wyglądać. Może poprosiła, by kupić coś do jedzenia, i zastanawiała się, czy przyjdzie odpowiednio wcześniej, żeby zdążyła przygotować kolację. W tamtym czasie matka lubiła przyrządzać dość wymyślne potrawy – i szczerze mówiąc, bardziej się w to angażowała niż jej teściowa i pozostałe kobiety ze strony ojca, które gotowały tylko tyle, ile uznały za konieczne.

A może jej zachowanie nie miało nic wspólnego z kolacją. Równie dobrze mogło chodzić o wzór ubrania, które ojciec obiecał przywieźć ze sklepu, lub o rodzaj materiału na nową sukienkę.

Matka nigdy nie powiedziała, co właściwie spowodowało, że poszła wyrzeć przez okno.

Kontrowersje, jakie wzbudzało gotowanie mojej mamy, nie były jedynym źródłem nieporozumień z rodziną ojca. Jej sposób ubierania się musiał wywoływać podobne wątpliwości. Wystarczy, jak powiem, że przebierała się w sukienkę popołudniową, nawet jeśli nigdzie nie wychodziła i stała przy zlewie, zmywając naczynia. Po zjedzeniu lunchu mama uciwała sobie półgodzinną drzemkę, a gdy już wstała, zawsze zakładała nowy strój. Kiedy przeglądałam później zdjęcia z tamtego okresu, doszłam do wniosku, że ówczesna moda nie była zbyt twarzowa, nie dodawała urody ani matce, ani chyba nikomu. Sukienki były bezkształtne, a włosy ostrzyżone na pazia nie pasowały do pełnej, łagodnie zarysowanej twarzy mojej mamy. Ale ten fakt raczej nie budziłby zastrzeżeń kobiet z rodziny mojego ojca, mieszkających wystarczająco blisko, by mieć matkę stale na oku. Jej przewiną było to, że według nich nie wyglądała tak, jak powinna. Nie przypominała wiejskiej kobiety wychowanej na farmie. Nic też nie wskazywało na to, że chciałyby na niej pozostać.

Matka nie dostrzegła na podjeździe samochodu ojca. Zobaczyła za to starą kobietę, właśnie ową panią Netterfield. Musiała przyjść do nas na piechotę ze swojego domu. Tego samego, gdzie dużo później widywałam weterana wojennego, który lubił się ze mną przekomarzać. Był to ten sam dom, z którego szalona pani Netterfield wypadła z siekierą, by dać nauczkę dostawcy, gdy ten zapomniał przywieźć jej masło.

Mama musiała widywać tę dziwną staruszkę już wcześniej przy różnych okazjach, zanim zauważyła ją na podjeździe przed naszym domem. Możliwe, iż nigdy ze sobą nie rozmawiała. Ale

niewykluczone, że było inaczej. Matce mogło na tej rozmowie specjalnie zależeć, nawet jeżeli ojciec był temu przeciwny. Pewnie powiedział jej, żeby nie starała się nawiązywać z nią kontaktu, bo tylko ściągnie na siebie kłopoty. Matka miała jednak sporo współczucia dla ludzi takich jak pani Netterfield, pod warunkiem że zachowywali się przyjaźnie i stosownie do okoliczności.

Teraz jednak nie myślała ani o przyjaznym nastawieniu, ani o tym, czy ktoś zachowuje się stosownie, czy nie. Wybiegła pędem z kuchni, by czym prędzej wyciągnąć mnie z wózka. Porzuciła go wraz ze wszystkimi okryciami tam, gdzie stał, i pognała z powrotem do domu, próbując zamknąć za sobą drzwi na klucz. O frontowe nie musiała się martwić – te nigdy nie były otwarte.

Problem stanowiły jednak drzwi kuchenne. Jeśli dobrze pamiętam, nie miały porządnego zamka. Wprowadziliśmy taki zwyczaj, że na noc przysuwaliśmy do nich krzesło. Ustawialiśmy je na dwóch nogach, oparte o gałkę, dlatego gdyby ktokolwiek próbował dostać się do środka, musiałby je pchnąć i przy okazji narobiłby straszego rabanu. Dosyć niezwykła metoda dbania o bezpieczeństwo mieszkańców, jak mi się wydaje, w dodatku pozostająca w pewnej sprzeczności z tym, że mieliśmy w domu broń. Ojciec trzymał w szufladzie biurka rewolwer. Oprócz tego, jak przystało na człowieka, który regularnie musiał zabijać konie, miał także strzelbę i kilka śrutówek. Nienaładowanych oczywiście.

Czy moja matka w ogóle rozważała użycie broni, gdy już zabezpieczyła gałkę? Czy kiedykolwiek trzymała w ręce rewolwer albo umiała go naładować?

Czy pomyślała, że ta stara kobieta mogła po prostu przyjść do niej z sąsiedzką wizytą? Nie sądzę. W zachowaniu pani Netterfield, w jej sposobie poruszania się od samego początku musiało być coś niepokojącego, jakaś determinacja, coś, co sprawiało, że gdy szła naszym podjazdem, nie wyglądała jak ktoś przychodzący w odwiedziny.

Możliwe, że matka zaczęła się wtedy modlić, chociaż nigdy o tym nie wspomniała.

Wiedziała, że wózek został przeszukany, bo zanim jeszcze zaciągnęła roletę na drzwiach w kuchni, zdążyła zauważyć, że jeden z kocyków ciśnięto na ziemię. Po tej scenie matka nie próbowała już spuszczać pozostałych rolet, tylko tuląc mnie w ramionach, skryła się w rogu, tam gdzie była niewidoczna.

Żadnego grzecznego pukania do drzwi. Nie było też próby odsunięcia krzesła. Żadnego łomotu ani rabanu. Matka stała schowana przy wyciągu kuchennym, żywiąc mimo wszystko nadzieję, że panująca cisza oznacza, iż kobieta zmieniła zdanie i wróciła do siebie.

Nic z tych rzeczy. Pani Netterfield wolno obchodziła dom, zatrzymując się przy każdym oknie i przyciskając twarz do szyby. Latem dodatkowe okiennice zimowe, zabezpieczające przed wichurami, były zawsze zdjęte, dlatego kobieta mogła zaglądać do środka bez najmniejszego problemu. Wszystkie rolety były podciągnięte ze względu na piękną pogodę. Staruszka nie odznaczała się wysokim wzrostem, ale nie musiała też specjalnie wyciągać szyi, żeby sprawdzić, co dzieje się wewnątrz.

Skąd matka wiedziała o jej poczynaniach? Nie biegała przecież ze mną w ramionach, chowając się za meblami i wyglądając co chwila z przerażeniem, czy nie ujrzy czasem za szybą wpatrzonych w nią oczu i twarzy wykrzywionej grymasem uśmiechu.

Po prostu stała bez ruchu. Co innego mogła zrobić?

Może powinna zaryzykować i zejść do piwnicy. Okienka w niej były zbyt małe, by komukolwiek udało się precyzyjnie. Niestety drzwi piwniczne nie miały haczyka. A poza tym już sama myśl o spotkaniu z panią Netterfield tam na dole, w ciemnościach – gdyby jakimś trafem ta szalona kobieta zdołała wdrzeć się do domu i zejść po stopniach do piwnicy – budziła chyba jeszcze większą grozę.

Były też sypialnie na piętrze, ale żeby się do nich dostać, matka musiałaby przejść przez duży pokój, największe pomieszczenie w domu, to samo, gdzie w późniejszym okresie ojciec wymierzał mi karę, a które przestałam odbierać jako niezycziwe i złowrogie, dopiero gdy zabudowano schody.

Nie wiem, kiedy po raz pierwszy matka zrelacjonowała mi tę historię, ale wydaje mi się, że każda kolejna wersja zaczynała się tam, gdzie kończyła się poprzednia – to znaczy na opisie pani Netterfield, przyciskającej rękę i twarz do szyby, i na opowiadaniu o próbach znalezienia kryjówki. Jednak w późniejszych odmianach opowieść ciągnęła się dalej i nie tylko o patrzeniu była mowa – dochodziły nowe wątki. W opisach pojawiało się zniecierpliwienie albo gniew, a potem także walenie do drzwi. O nawoływaniach matka jakoś nie wspominała. Może starszej kobiecie brakowało tchu, by móc wznosić jakieś okrzyki. A może po prostu uszły z niej siły i zapomniała, po co w ogóle przyszła.

Tak czy inaczej wycofała się i na tym wszystko się skończyło. Obeszła dom dokoła, dokonała inspekcji okien i drzwi, a potem po prostu zniknęła. Matka znalazła dość odwagi, by wśród zalegającej ciszy przejść się po pokojach i stwierdzić, że pani Netterfield już nie ma.

Krzesło spod drzwi usunęła dopiero, gdy wrócił ojciec.

Nie chcę powiedzieć, że mama często nawiązywała do tego wydarzenia. Nie należało ono do tradycyjnego repertuaru wspomnieniowych opowieści, które miałam koniecznie znać lub uważałam za szczególnie interesujące: dotyczących starań o przyjęcie do szkoły średniej, pracy w Albercie, w szkole, do której dzieci przyjeżdżały konno, historii o przyjaciołach z seminarium nauczycielskiego i różnych niewinnych żartach, jakie się ich trzymały.

Zawsze potrafiłam zrozumieć, co mówiła, chociaż gdy jej głos uległ zmianie, stał się gruby i chropawy, inni mieli z tym problemy. Byłam jej tłumaczką i czasami przeżywałam prawdziwe katusze, kiedy musiałam powtarzać po niej jakieś skomplikowane figury stylistyczne albo to, co w jej mniemaniu miało brzmieć żartobliwie, a widziałam, że mili ludzie, którzy przystawali, żeby zamienić z nami parę słów, myśleli tylko o tym, jak się od nas uwolnić.

Inspekcja dokonana przez starą panią Netterfield, jak o tym zdarzeniu mówiła moja mama, nie była historią, do której musiałam wracać i o niej rozmawiać. Ale z pewnością była mi znana od dawna. Pamiętam, jak w którymś momencie zapytałam matkę, czy wie, jak się potoczyły dalsze losy tej kobiety.

– Zabrali ją – powiedziała. – Tak myślę. Na pewno nie pozwolono jej umrzeć w samotności.

Później, gdy wyszłam za mąż i przenieśliśmy się do Vancouver, nadal otrzymywałam pocztą tygodnik, który wychodził w mieście, gdzie się wychowałam. Ktoś zadbał o subskrypcję, niewykluczone, że mój ojciec i jego druga żona. Zdarzało się, że prawie w ogóle do gazety nie zaglądałam, ale któregoś razu, gdy ją otworzyłam, zobaczyłam nazwisko Netterfield. Nie należało do kogoś, kto aktualnie mieszkał w moim rodzinnym mieście, ale było to najwyraźniej panińskie nazwisko mieszkanki Portland, w stanie Oregon. Kobieta ta (podobnie jak ja otrzymywała lokalną prasę) napisała list do redakcji i dołączyła wiersz poświęcony latom dzieciństwa, które upłynęło tam gdzie moje.

„Pamiętam zielone wzgórze
I rzekę, co błyskiem swym nęci,
Błogość i ciszę

Dobrymam ze skarbca mojej pamięci...”

Wiersz składał się z kilku strof i podczas czytania stopniowo uświadomiłam sobie, że ona mówiła o tych samych nadrzecznych terenach, o których myślałam, że należą tylko do mnie.

„Te linijki wiersza, które dołączam, zostały nakreślone pod wpływem wspomnień i obrazu z tamtych dni – napisała. – Jeżeli Redakcja Waszej szacownej gazety uzna, że są coś warte, będzie mi bardzo miło”.

„Słońce wędruje nad rzeką,
Figlarne krzesząc skry,
A tam, na drugim brzegu
Kipi radością kalina i dzikie bzy...”

To był nasz brzeg. Mój brzeg. Kolejna zwrotka mówiła wprawdzie o grupie klonów, ale ja myślę, że autorka wiersza się pomyliła – w tym miejscu rosły wiązy, których już nie ma, bo dopadła je grafioza, holenderska choroba tych drzew.

Dalsza część listu wiele wyjaśniała. Wynikało z niej, że ojciec tej kobiety, o nazwisku Netterfield, w 1883 roku kupił od rządu kawałek ziemi leżący na terenach określanych później jako Dolne Miasto. Posiadłość Netterfieldów opadała łagodnie w dół i sięgała brzegu rzeki Maitland.

„Przy wodzie rosną irysy,
Naprzeciw cieniste klony.
Na rzece do łąki podobnej
Stada gęsi jak białe welony...”

Autorka listu pominęła jednak niektóre mniej malownicze elementy opisywanej rzeczywistości, ja zresztą postąpiłabym tak samo. Nie napisała, że woda przy brzegu była często mętna i zamulona, a ziemia grząska i wydeptana kopytami koni. Oczywiście nie wspomniała też o zalegającym tam końskim oborniku.

Szczerze mówiąc, ja również tworzyłam kiedyś bardzo podobne wiersze. Utwory te zaginęły, a może nawet w ogóle nie zostały spisane. Wersom opiewającym piękno przyrody ciężko było nadać jakąś spójną formę. Pisałam je w okresie młodzięczego buntu, kiedy to często wdawałam się w utarczki z mamą, a ojciec usilnie starał się sprowadzić mnie na dobrą drogę lub – żeby ująć to nieco dosadniej i bardziej w duchu tamtych czasów – prał mnie na kwaśne jabłko, jak popadło.

Mieszkanka Portland napisała, że urodziła się w 1876 roku. Całą młodość, aż do zamążpójścia spędziła w rodzinnym domu, który stał na rogatkach miasta, a tuż za nim rozciągała się otwarta przestrzeń i można było podziwiać wspaniałe zachody słońca.

To był nasz dom.

Czy to możliwe, że moja matka nigdy o tym nie wiedziała ani się nie dowiedziała? Czyżby stara

pani Netterfield zagłądała do naszych okien dlatego, że kiedyś był to jej dom?

Całkiem możliwe. W podeszłym wieku zainteresowałam się historią naszej rodziny i zadałam sobie trud sprawdzenia różnych faktów. Odkryłam, że kiedy Netterfieldowie sprzedali ten dom, mieszkało w nim kolejno kilka innych rodzin, aż w końcu wprowadzili się tam moi rodzice i stał się naszą własnością. Można się zastanawiać, dlaczego Netterfieldowie zdecydowali się go sprzedać, skoro stara pani Netterfield miała przed sobą jeszcze wiele lat życia. Niewykluczone, że nagle owdowiała albo też nie miała pieniędzy na jego utrzymanie... Któż to wie? Ciekawe, kto później zabrał ją do siebie. Możliwe, że jej córka – autorka wierszy – zamieszkała w Oregonie. Może to właśnie ona, teraz dojrzała kobieta, była tą, której stara pani Netterfield szukała w wózku przed naszym domem. Zaraz po tym, jak matka chwyciła mnie i co tchu popędziła do domu, starając się ocalić, jak powiedziała, moje drogie życie.

Córka pani Netterfield, gdy była już dorosła, nie mieszkała daleko ode mnie. Mogłam do niej napisać, może nawet ją odwiedzić. Gdyby tak bardzo nie pochłaniała mnie moja własna rodzina i pisanie, z którego zawsze byłam niezadowolona, pewnie bym to zrobiła. Ale osobą, z którą naprawdę pragnęłam wówczas porozmawiać, była moja matka. Jednak było to już wtedy niemożliwe...

Nie pojechałam do domu, gdy matka po raz ostatni chorowała, nie pojechałam też na jej pogrzeb. Miałam dwójkę małych dzieci, a w Vancouver, gdzie mieszkałam, nie znalazłam nikogo, z kim mogłabym je zostawić. Nawet na przejazd w rodzinne strony z trudem mogłabym sobie pozwolić, a na dodatek mój mąż miał w pogardzie wszelkie konwencjonalne formy zachowania. Oczywiście nie mam prawa obciążać go winą za to, co się stało. Czuję bowiem tak samo. O niektórych postawach i decyzjach mówi się, że są niewybaczalne albo też, że my sami nie potrafimy ich sobie wybaczyć. Ale i tak postępujemy w ten sposób... bezustannie.

Przypisy

- [1] *Raj utracony* – poemat epicki Johna Milтона wydany w 1667 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Film François Truffauta z 1959 roku, należący do nurtu tzw. francuskiej Nowej Fali.
- [3] Duchoborcy – grupa wywodząca się z prawosławia. W końcu XIX w. wielu duchoborców opuściło Rosję i osiedliło się w Kanadzie. Wśród nich odłam swobodników, którzy na znak protestu – przeciw materializmowi, przymusowi edukacji w szkołach państwowych i wykupywaniu ziemi przez państwo – chodzili nago.
- [4] Alan Alexander Milne, *The Christopher Robin Book of Verse*, wiersze zaczerpnięte z dwóch tomików: *When We Were Very Young* (1924) i *Now We Are Six* (1927). Cytaty z wiersza *Buckingham Palace* w przekł. tłumaczki.
- [5] Dr. Seuss (Theodor Seuss Geisel), *Green Eggs and Ham*, w przekł. tłumaczki.
- [6] 1st Duke of Connaught and Strathearn – taki tytuł nosił książę Artur, trzeci i ulubiony syn królowej Wiktorii, który był gubernatorem generalnym Kanady w latach 1911–1916.
- [7] Piosenka popularna w latach 40. XX wieku, autorstwa Terry’ego Shanda, Jimmy’ego Eatona, Mickeya Leadera.
- [8] Oryg. *Friendly Giant*, popularny kanadyjski program dla dzieci nadawany przez telewizję CBC w latach 1958–1985.
- [9] Sieć sklepów z artykułami używanymi, prowadzona w Kanadzie przez Armię Zbawienia, z których sprzedaży dochód przeznaczany jest na cele charytatywne.
- [10] Dwukrotny premier Kanady, z ramienia Partii Liberalnej.
- [11] W oryg. „Pussycat”. Być może jest to literackie nawiązanie do wiersza Edwarda Leara *The Owl and the Pussycat* (1871). Wiersz został napisany dla trzyletniej dziewczynki, Janet Symonds.
- [12] *Księżna Casamassima* (1886), powieść Henry’ego Jamesa.
- [13] Charles Dickens, *A Tale of Two Cities* (1859).
- [14] Mark Twain, *Huckleberry Finn* (1884).
- [15] Cytowane słowa pochodzą z wiersza *God Knows* Minnie Louise Haskins z 1908 roku; przypomniał je król Jerzy VI podczas radiowego przemówienia wygłoszonego w najbardziej ponurym okresie drugiej wojny światowej.

[16] Piosenka z ery big-bandu, skomponowana przez Saxie Dowella, wykonywana między innymi przez The Andrews.

[17] Jim Hunter (1901–1949) – bardzo popularny i uznany prezenter wiadomości radia torontowskiego.